

ALEKSANDER
MICHAŁOWSKI



SZALONY
KRÓL

NOVAE RES

Aleksander Michałowski

SZALONY
KRÓL



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)



Na południu dalekiego kraju, u podnóża Gór Czarnych leżało miasto, które ongiś zwano Suur Erun. Wzniesione wieki temu, należało do najstarszych spośród wszystkich osad stworzonych przez ród ludzki.

Choć był piękny, ze swymi alejami, placami i targowiskami, gród skrywał mroczną tajemnicę. W czeluściach Gór Czarnych bowiem więziony był potężny i prastary demon, wróg wszelkich plemion – Jamróg. Został wygnany ze świata duchów za swoje plugastwa popełnione podczas Wielkiej Wojny u zarania dziejów. Demon po kres czasu miał być spętany w otchłani góry. Nałożona nań klątwa nie może zostać zdjęta lub osłabiona ani poprzez działanie magii, ani poprzez czarną modlitwę. Jeśliby wierzyć przepowiedniom, jeno przeznaczenie, ta nieubłagana siła, uwolni bestię z okowów w ostatni dzień świata, by za jego sprawą dokonał się Zmierzch Bogów.

Władcy grodu, począwszy od Erdena, strzegli tego miejsca i jego sekretów, nierzadko przypłacając ten obowiązek własnym życiem. Niemniej z każdym kolejnym panującym granice królestwa rosły. Jednak z biegiem

stuleci zachodziły także inne zmiany – jak woda drąży skałę, tak mrok drążył ludzkie serca. Nawet te najczystsze. Pycha, chciwość i zazdrość wkradły się w ludzkie umysły, zaś dawne wartości zgasły i pozostał po nich jeno popiół. A gdy ludzie słabli, bestia rosła w siłę.

W tysiąc lat po śmierci pierwszego władcy królestwo Erdena stanęło na krawędzi zagłady. Dwunastu potomków, dwunastu dziedziców – każdy z nich zapragnął wskutek mrocznych żądz posiąść ojcowiznę tylko dla siebie. Brat zwrócił się przeciwko bratu. Rzeki i pola spłynęły krwią, liczba ofiar była zatrważającą. Zdawało się, że rzezi nie będzie końca. Zwaśniony kraj w wygłodniałych spojrzeniach ościennych władców jawił się jako łakomy kąsek. Wystarczyło wyciągnąć dłoń, by pochwycić dawne bogactwa. Pokusa była zbyt wielka. Zebrawszy armie, plemienni wodzowie i książęta ruszyli na podbój Suur Erun. Los otoczonego ze wszystkich stron miasta zdawał się być przesądzony. Jednak zdarzyło się coś, czego byli sojusznicy korony się nie spodziewali. Zwaśnieni bracia, widząc maszerujące wojska, kierowani czystą chciwością, zwarli swoje szyki i ruszyli z wielką siłą na nieprzyjaciół. Nim nastał zmierzch, bitwa została wygrana. Jednak gdy opadł kurz zawieruchy, ogrom tragedii ukazał się w całej swej okazałości: wielu poniosło śmierć tego dnia. Przy życiu zostało się zaledwie dwóch spośród dwunastu braci, Perm oraz Borh. Gdy ujrzeli skutki swoich działań, rozpacz wkradła się w ich serca. Więcej krwi od tego dnia już nie

przelano. Mimo to królestwo na wiele lat popadło w ruinę, wyczerpane bratobójczą wojną.

Po bezpotomnej śmierci Perma władzę w kraju przejął Borh. Pomny przeszłości i swoich czynów, próbował przywrócić koronie dawną chwałę. Na stare lata oszedł w nieznane, osadziwszy na tronie jedyne go syna i dziedzica. Ten, widząc miasto w ruinie, przeniósł stolicę na wyżej położone tereny, do warowni osadzonej w trzewiach góry – na znak nowych rządów, które, jak skała, miały być nienaruszalne. W końcu po latach porządek zdawał się być przywrócony w umęczonym kraju.

Tak przynajmniej mówi legenda...

ROZDZIAŁ 1



Pozostało zaledwie parę dni do końca października, co oznaczało, że okres zimy zbliżał się wielkimi krokami i wkrótce można spodziewać się było pierwszych opadów śniegu. W całym królestwie zapanował zgiełk; wszyscy uwijali się jak w ukropie, byleby zdążyć przed pierwszym dniem listopada. Zwłaszcza na pastwiskach, przy spędzaniu zwierząt, było mnóstwo pracy i kto mógł, to pomagał. Nawet członkowie rodziny królewskiej, a właściwie tylko jeden z nich – najmłodszy z synów władcy, Borgo.

Był to dziwny człowiek, książę nie książę, dziedzic nie dziedzic. Niby nie stronił od ludzi, ale też nie ciągnęło go ku nim, nigdy jednak im nie odmawiał, kiedy byli w potrzebie. Zamiast zażywać rozrywek życia dworskiego, czego można by się spodziewać po osobie wysoko urodzonej, wolał przebywać pośród zieleni łąk i lasów. Cenił sobie wielce wolność płynącą z natury i proste przyjemności, a przede wszystkim – satysfakcję z pracy własnych rąk (a także to, w jego odczuciu, miłe zmęczenie – znak, że się naprawdę żyje). Z tego powodu pośród

możnych, którzy niezbyt chętnie spoglądali na praktyki młodzieńca, często przezywano go Księciem Prostakiem lub Swołoczem. Z drugiej zaś strony takie bratanie się z ludem, celowe zniżanie się do jego poziomu nie mogło przysporzyć szacunku księciu, wszak trudno, by gmin słuchał, szanował i lękał się kogoś, kto do niedawna mienił się równym im. Z powodu owego upodobania Borga do prostych ludzi jego ojciec, król Iwar, niejednokrotnie gniewał się na swego syna. (Inna sprawa, że kłócili się nieustannie, jakby nie potrafili normalnie ze sobą rozmawiać). Spierali się, czy jest to słuszne i czy postępowanie takie przystoi dziedzicowi tronu. Być może te nieporozumienia pomiędzy Iwarem a Borgiem miały także związek z tym, że młodzieniec raz za razem, przy każdej nadarzającej się sposobności, podważał słowa ojca.

Niebo z wolna przybierało ciemną barwę, gdy spędziwszy wszystkie zwierzęta do zimowych legowisk, Borgo wraz z innymi pasterzami udał się na odpoczynek. Po ciężkim dniu pracy z przyjemnością usiadł na pagórku. Choć było stosunkowo ciepło, czuło się w powietrzu zbliżającą się zimę. Przez dłuższą chwilę młodzieniec siedział zamyślony, wpatrzony w dal i dopiero głośny hałas przejeżdżającego nieopodal jeźdźca wyrwał go z zadumy.

Był to posłaniec, który gnał na złamanie karku niczym szalony. Zniknął równie szybko, jak się pojawił. Jedyne, co po sobie pozostawił, to tumany wznieconego kurzu.

- Te, patrzcie! Temu to się dopiero śpieszy! - zawołał jeden z pastuchów.

- Dowiedział się pewno, że starego Maćka nie ma w domu - zaśmiał się drugi.

- Jak chętką złapie, nie ma zmiłuj. Oj, nie... - wtrącił z powagą jeszcze inny.

- Mówiąc o chętkach... Jeszcze po jednym kuścyczku?

Wkrótce wszyscy zapomnieli o jeźdźcu, tym bardziej że żony pasterzy przyniosły posiłek - dobra, gęsta zupa zabieleną śmietaną, kiełbasa wędzona i świeży chleb do przegryzienia. Muszę zasmucić amatorów fajek, bowiem w owym czasie sztuka palenia tytoniu nie dotarła jeszcze w te strony i ludzie zmuszeni byli radzić sobie bez nich. Za to na pocieszenie pastuszkowie mieli beczułkę miodu, którą po podgrzaniu doprawili paroma korzonkami.

Czas płynął im szybko i nie wiadomo kiedy niebo na wschodzie przykryło się ciemnym całunem. Anegdoty i niewybredne żarty płynęły szerokim strumieniem. Wszyscy siedzieli wokoło ogniska, a bukłak z okowitą krążył z ręki do ręki, czy raczej z gardła do gardła. Borgo trzymał się na uboczu, raczej przysłuchując się rozmowom, niżli w nich uczestnicząc.

- Zatem tutaj jesteś - zabrzmiał nagle głos w ciemności. Wszyscy zerwali się wystraszeni. - Mogłem się tego spodziewać.

Z mroku wyłoniła się znajoma twarz Bursa, ojcowskiego sługi. Powiódł wzrokiem po twarzach pasterzy i oschle powiedział:

- To nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie, chłopcze. Król cię wzywa.

- Wyjawił chociaż po co?

- W ważnej sprawie.

- Oczywiście. Dla niego nawet błahostka urasta do rangi tragedii - stwierdził Borgo z nutą ironii w głosie. Zamarudził jeszcze chwilę, dopił resztkę trunku, po czym udał się wraz z Burssem w stronę grodu.

Wkrótce dotarli na pola przed warownią. Choć królewicz znał ten zamek od dawna, to jednak zawsze, kiedy stawał przed murami Suur Erun, jego widok robił na nim ogromne wrażenie. Czerwony blask zachodzącego słońca padał na mury grodu, nadając im różany odcień. Samo miasto wrzynało się głęboko w górotwór, na ponad sto łokci. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciął ogromny fragment skał i w powstałej przestrzeni umieścił dziedziniec w kształcie zwężającej się ku dołowi podkowy. Z obu stron okalały go, niczym wyciągnięte ramiona, ściany skalnych zboczy, ścięte pod kątem prostym i idealnie gładkie. Pomędzy tymi „ramionami”, przy zwężonych końcach dziedzińca, rozciągał się potężny, śnieżnobiały, wysoki na ponad piętnaście łokci mur. Wzniesiony na granitowych fundamentach, jedynej obecnie pozostałości po pierwotnej linii gór, wyłaniał się z otaczających go skał. Pośrodku białego muru widniał wjazd na dziedziniec.

Po przekroczeniu tej bramy pierwszą rzeczą, jaką się dostrzegąło, były dwa posągi wykute w skalnej fasadzie najniższego poziomu umocnień miasta. Przedstawiały one pierwszych władców z panującego obecnie rodu. Stali tak od wieków, odziani w zbroje i wsparci na włóczniach. Obok

każdego posągu ze skalnych ścian wyłaniały się dwie baszty, także wykute w górskim kamieniu. W sumie było ich cztery, z tym że skrajne wieże były nieznacznie wyższe. Pomiedzy dwoma środkowymi wieżyczkami, na wprost pierwszej bramy, ulokowano drugie, główne wrota, a za nimi tunel wiodący w głąb miasta i samej góry. Powyżej poziomu otaczającego gród muru w skale utworzono ustępy na kształt tarasów, podtrzymywane przez kolumnady połączone łukowymi sklepieniami, oraz lekkie, strzeliste wieże. Całość wyglądała niczym wykuta w górze płaskorzeźba. Ponieważ różnica poziomów pomiędzy bramą wjazdową a tunelem do miasta była znaczna, by dostać się do grodu, trzeba było skorzystać z jednej z dwóch dróg biegnących pod górę delikatnym łukiem wzdłuż bocznych ścian dziedzińca. Obie, szerokie na tyle, by zmieścić trzy obładowane wozy jeden obok drugiego, spotykały się na platformie przy głównych wrotach.

Minąwszy podwoje, a za nimi tunel, odkrywało się drugi, znacznie większy dziedziniec powstały z naturalnej kotliny. Okalały go trzy poziomy krużganków. Z wyższych partii wyzierały fasady pałaców oraz świątyń wyciosanych w skale. Najwyższy, a zarazem wysunięty najdalej na zachód szczyt przekształcony został w dzwonnice, która ostrzegała mieszkańców w razie zbliżającego się zagrożenia. Ta dziesięciokątna wieża, podobnie jak reszta grodu, została wykuta w skale.

Przy zachodniej granicy wąwozu, poniżej muru, leżało dolne miasto, ukryte w ogromnej grocie. Drewniane

domostwa mieszały się z lepiankami. Tylko ci, których było na to stać, żyli w domostwach wykutych, na podobieństwo wysokiego miasta, w ścianach jaskini. Niektóre z domów zdobione były nadzwyczaj bogato, inne posiadały jedynie wykute w skale drzwi lub okna. U wylotu jaskini znajdowało się niewielkie jezioro, z którego wypływał cicho szemrzący potok. Staw zasilał wodospad spadający ze ścian progu Taliaweru.

Borgo nawykł do ciszy i spokoju, które od dawien dawna towarzyszyły tym późnym, wieczornym godzinom na zamku. Dlatego wielkie zdziwienie ogarnęło go, gdy stwierdził, że niewiarygodny ruch zapanował na dworze – kobiety oraz mężczyźni krzatali się we wszystkich kierunkach, znosząc coraz to nowe potrawy do głównej sali izby, która rozświetlona była teraz blaskiem dziesiątek świec i wypełniona po brzegi – żadne miejsce nie pozostało wolne. Tuż za nią, za podwójnymi drzwiami, mieściła się mniejsza salka, w której w razie potrzeby zwoływano nadzwyczajne posiedzenia rady królewskiej. Tak jak wówczas.

Członkowie rady przerwali rozmowy, gdy tylko Borgo przekroczył próg sali. Zapadła cisza. Przybyły poczuł, jak kilkanaście osób utkwilo w nim swoje spojrzenia. Zirytowane ślepie śledziły go dopóty, dopóki nie podszedł do stołu, a postukiwanie palców o blat mebla towarzyszyło niecierpliwemu wyczekiwaniu tej chwili.

– Jestem rad, synu, że nareszcie zaszczyciłeś nas swoją obecnością – powiedział król, przerywając milczenie.

- Ojciec - odparł Borgo. - W końcu, jak wiadomo, przyjemności należy dawkować. - Wypowiedziawszy te słowa, szybkim krokiem przemknął pod ścianą i zasiadł na wyznaczonym mu przy długim stole miejscu.

- Miałeś na myśli uroczystość czy siebie? - zaśmiał się siedzący na prawo starszy z braci, Chors.

Borgo odpowiedział uśmiechem, który sugerował: „A jak sądzisz?”.

- Oj, maluchu... - odrzekł Chors, poklepując braciszka po plecach.

Borgo, rozejrzawszy się po sali, spytał zaciekawiony:

- Wiesz może, co to za zbiegowisko?

- Sam jestem ciekaw - odparł Chors. - Podobno goniec przybył z ważną wieścią.

- Skoro jesteśmy w komplecie... Starzy przyjaciele, druhowie - przemówił król. - Niektórzy z was już wiedzą, inni jeszcze nie - rzekł, zerkając w stronę Borga. - Dzisiaj dotarły do moich uszu wieści z zachodnich krain. Z Charoduny. Powiem krótko... Gidymowi, temu staremu capowi, już kompletnie się w głowie pomieszało! Wypisuje bzdury o jakichś smokach... Smoki mu się tym razem przywidziały. Że niby widział na własne oczy, jak zlatują z nieba. Kto niby da wiarę tym bajeczkom? - mówił, wymachując listem.

- A może jednak jest coś na rzeczy? - wtrącił Borgo. - Może rzeczywiście ujrzał coś i nie są to bynajmniej czcze wymysły?

- Gdzież tam! - odparł zagniewany Iwar. - To jakaś bałamutnia! Stek bzdur! Nic więcej!

- A może...

- Nie! Zresztą sam dobrze pamiętasz, co było ostatnim razem, i wcześniej, i jeszcze wcześniej... Nic! Zupełnie nic! Trzykrotnie w ciągu ostatnich siedmiu lat dałem się nabrać na te prośby. Trzykrotnie miał coś zobaczyć! Trzykrotnie! - zaznaczył władca, podnosząc jednocześnie dłoń i wystawiając odpowiednią ilość palców. - Lecz ponownie nabrać się nie dam. O nie! Olbrzymy pustoszące wsie i pożerające chłopów... Bajdurzenie! Żadna z tych rzeczy nie miała miejsca! Bredził wtedy, bredzi i teraz! To - uniósł dłoń ze zwitkiem papieru - nadaje się tylko do podtarcia tyłka!

- Ojczy, proszę. A co, jeżeli naprawdę jest w potrzebie?

- nie dawał za wygraną Borgo.

Po tych słowach nastąpiła zażarta wymiana zdań, która trwała jakieś kilkanaście minut. Ani syn, ani ojciec nie chcieli odpuścić. Pozostali uczestnicy narady siedzieli tylko i przysłuchiwali się toczącemu się sporowi.

- Tobie, chłopcze, jest szkoda tego starego capa, nieprawdaż? Dobrze - podjął po chwili namysłu król. - Chcesz jechać? Śmiało. Ja nie kiwnę nawet palcem. Zawsze byłeś naiwny i łatwowierny, a taka lekcja dobrze ci zrobi. Sam się przekonasz! Zapamiętaj moje słowa! Weź kilku ludzi. Co ja mówię, weź od razu całą armię...

- Dziękuję za ten zaszczyt, ojczy - zdążył rzucić drwiąco Borgo, nim opuścił salę.

Prawdę mówiąc, Borgo nie miał najmniejszej ochoty wyruszać, gdyż podróże mają to do siebie, że zwykle niosą za sobą konieczność poznawania nowych ludzi, czego on wprost nie znosił. Jednak możliwość, ażeby przytrzeć nosa własnemu ojcu, udowodnić, że się mylił, była wystarczającym argumentem, by w drogę wyruszyć. W ciągu najbliższych dni Borgo skompletował grupę śmiałków, oczywiście godnych uwiecznienia w balladach, prowiant oraz kilka innych, całkiem zbędnych rzeczy, takich jak pilniczki do paznokci. Na co komu zadbane paznokcie w trakcie takiej przygody? Nie wiem, może to ja się nie znam...

Co chyba najbardziej ucieszyło Borga, to fakt, że jego starszy brat, Chors, zgodził się uczestniczyć w owej eskapadzie. Równie szalony okazał się dobry przyjaciel Borga - Artam, który słynął w kraju z tego, że łatwo wkłada (i wyjmuje) nie tylko strzały na cięciwę. Oprócz wymienionej dwójki w grupie znalazł się Radomir, stary, ale jary siepacz, na dodatek ślepy na jedno oko, jego wnuk Ward, a także Sambor, człowiek słusznych rozmiarów i z wprost do nich proporcjonalnym pechem (kłopoty lgnęły do biedaka niczym ćmy do światła), oraz dwóch mało istotnych uczestników, Miron i Birsk, do których imion nie warto przywiązywać większej wagi. W dzień wyjazdu z niewiadomych powodów drużynę uzupełnił Gar, syn króla pochodzący z jego związku z drugą żoną. Jak podejrzewam, jedynym powodem, dla którego zdecydował się dołączyć,

były słowa władcy, wedle których pogromca rzeczony bestii miał przejąć władzę na dworze.

Razem mieli tworzyć drużynę pierś... Zaraz, zaraz...
Przepraszam, to nie ta historia.

ROZDZIAŁ 2



Trzydzieści dni po przybyciu posłańca wyprawa wyruszyła do Charoduny, miasta księcia Gidy. Choć cel z założenia był wielce ambitny, wyczuwalne było pewne rozluźnienie. Można było odnieść wrażenie, sądząc po zachowaniu pewnych członków drużyny, że jest to zwyczajna wycieczka krajoznawcza. Warto dodać, że nie jechali wierzchem, gdyż król, aby zniechęcić synów, nakazał wszystkim koniuszym, żeby odmówili im wydania koni. „Robię to dla waszego dobra” – tłumaczył się. Podejrzewam, że miał nadzieję, iż synowie zmuszeni do pieszej wędrówki szybko się zniechęcą. Ale nic z tego nie wyszło.

Z biegiem dni krajobraz wyżynny zaczął powoli ustępować miejsca coraz liczniejszym polanom i łąkom. Tak dobrze szło im to wędrowanie, że przed upływem dziesięciu dni osiągnęli bór, do którego według planów mieli dotrzeć dopiero za kilka dni.

Kolejny dzień wyprawy chylił się ku końcowi i nie było sensu maszerować dalej. Tej nocy grupa schroniła się w starej strażnicy. U jej podnóża leżała sterta kamieni.

Powyżej rumowiska zionęła ogromna wyrwa, która rozszerzała się ku górze i odsłaniała trzewia owalnej wieży. Biegła od pierwszego piętra aż po sam dach. Z poszczególnych poziomów pozostały jedynie sterczące kikuty, podtrzymywane przez drewniane belki, nadgryzione zębem czasu. Nadłamane i powykrzywiane we wszystkie strony przypominały palce starca. I tak samo jak one – drżały. Na pewno nie służył im dach, w którym brakowało wielu dachówek.

Dla bezpieczeństwa ustalono warty. W pierwszej kolejności pełnili ją inicjator wyprawy wraz ze swoim przyjacielem. Obaj usiedli na kamiennym progu strażnicy, a ogień w palenisku naprzeciw powoli przygasał. Deszcz spływał strugami z dachu. Wiatr świstał na wyższych kondygnacjach budynku. Co jakiś czas błyskawica przecinała niebo, na krótką chwilę rozświetlając okolicę.

- Erun się gniewa - powiedział Borgo, spoglądając w górę.

- Dlatego że grzmi?

Borgo przytaknął.

- Ktoś mi tak kiedyś powiedział. Nie pamiętam kto. Erun zsyła pioruny w trakcie burzy, bo chce ubić złego ducha, który przed nim czmycha.

- Więc ten jest wyjątkowo żywotny.

Ostatnimi, którzy zostali wyznaczeni do pełnienia warty, byli Sambor i Radomir. Ich zmiana przypadała tuż przed świtem. Wydawało się, że już nic złego nie powinno się wydarzyć. W pewnym jednak momencie zdało się

Samborowi, że dostrzegł ruch w niedalekich zaroślach. Zbliżywszy się nieco, zauważył nie tyle ruch, co poświatę, która jaśniała w gęstwinie. Źródłem okazały się być błędne ogniki, świetliste kule, unoszące się w powietrzu. Stary Radomir nawet nie zauważył braku kolegi.

Sambor, zaciekawiony, ruszył w stronę światełek. Kroczył po ciemku, mając za przewodników jedynie błędne ogniki. A one sunęły w głąb lasu, coraz dalej i dalej. Wciąż się w nie wpatrywał, nie chcąc stracić ich z oczu. Wystarczył jeden fałszywy krok, jedna źle postawiona stopa na przemoczonyj ziemi i biedak osunął się w dół zbocza. Dopiero usłyszawszy krzyk Sambora, Radomir dostrzegł brak przyjaciela u swego boku. Zerwał się, lecz nigdzie nie widział swojego towarzysza. Zapalił pochodnię i podbiegł w stronę, z której, jak mu się zdawało, usłyszał wołanie. Inni także zwlekli się ze swoich z posłań i ruszyli za Radomirem. Niczego jednak nie odnaleźli.

- Niech go piekło pochłonie - wściekał się Artam. - Czy on zawsze musi coś przeszkrobać! Miał tylko jedną rzecz... tylko jedną rzecz do zrobienia!

- Coś się musiało wydarzyć, za łatwo nam szło - skomentował inny.

- I co teraz? - spytał Ward.

- Nie wiem... - myślał głośno Borgo. - Nie możemy iść dalej, prawda? Przecież nie zostawimy go tu samego? - Powlókł niepewnym spojrzeniem po innych.

- A dlaczego by nie!?! - wyrwał się Gar. - Był na tyle głupi, by zapuścić się w las nocą, więc niech sam sobie

radzi.

- Nie! - sprzeciwił się Radomir. - Pójdziemy za nim. To ja go nie upilnowałem i to przeze mnie się zgubił.

- Hola, hola! Żadne takie, zostawmy go! - nalegał Gar.

- Chyba kpisz?! - wzburzył się Chors. - A gdybyś ty się zgubił, bracie? Też chciałbyś, żebyśmy o tobie zapomnieli? Nie? Zatem ucisz się.

Do rana przestało padać, lecz niebo wciąż było zasnuwane ciężkimi chmurami. W tym świetle las wydawał się ostatnim miejscem, które chciałoby się zwiedzić...

Swoją drogą, to ciekawe, że las jest jednym z niewielu miejsc, które wzbudzają w człowieku tak skrajne odczucia. Z jednej strony ciągniemy ku niemu, pragnąc poczuć wolność, bliskość natury. Z drugiej zaś odczuwamy pewien niepokój, wkraczając w jego granice. Nęka nas wrażenie, że jesteśmy tam kimś obcym, kimś niepożądanym. Może wynieśliśmy to z dawno zapomnianych czasów? A może to dlatego, że w tym miejscu kończy się to, co „nasze”, a zaczyna to, co „obce” - dzikie, niewyjaśnione i irracjonalne. Tutaj wszelkie normy czy nakazy tracą rację bytu. Strach, który czai się w zakamarkach, który przemyka ukradkiem w cieniu drzew, podsycany naszymi wewnętrznymi demonami. Choć pozostawieni tam sami sobie, zawsze czujemy czyjąś obecność; czujne oczy, które śledzą każdy nasz krok. Nigdzie indziej nie czujemy się tacy mali i tacy bezbronni. Zatem na czym polega ten fenomen? Może na tym, że w ten sposób zaspokajamy jakiś

prymitywny instynkt? A może po prostu lubimy czuć ciarki na plecach? Trudno orzec.

Cała grupa stała przed wejściem. Jakoś niezbyt im się śpieszyło.

- Tylko nie mów mi, że nagle stchórzyłeś - zaczął Chors, spoglądając na Borgia.

- Brońcie bogowie! Po prostu... nie mam ochoty.

Największy spokój ze wszystkich zachowywał Radomir. Twarz miał skupioną.

- Naprzód! Nie ma co zwlekać.

- Nie bądź taki wyrywny, dziadku - wtrącił Ward. - Okaż naturze należny jej szacunek. Wkraczasz do obcego królestwa.

- Proszę cię - wciął się Gar. - Spróchniałe gałęzie i mech. Czego tu się bać? Przerośniętych wiewiórek? - Królewicz próbował nadrabiać miną, choć sam także czuł się niepewnie.

- Uwierz mi, lasy są schronieniem dla istot i duchów o wiele bardziej niebezpiecznych niż przerośnięte gryzonie. Obyśmy nie musieli się o tym przekonać na własnej skórze.

Gar machnął ręką.

- Nonsens. Twój dziadek - wskazał na Radomira - wielokrotnie przemierzał te knieje i wciąż żyje. Prowadź!

Szli w ciszy. Radomir próbował odnaleźć ślady pozostawione przez Sambora. Niestety obfite opady tej nocy rozmazały wszystko, uniemożliwiając odczytanie czegokolwiek. Poza tym nie jest przyjemnie przemierzać jar,

brodząc w wodzie po kostki. Mimo to Radomir radził sobie całkiem nieźle. To znaczy dopóki droga była jedna, problem pojawił się przy rozwidleniu. Po dłuższej naradzie większość zdecydowała się obrać prawą odnogę.

Parę dni później wszyscy zdali sobie sprawę, że zabłądzili. Kręcili się w kółko.

- Te - ktoś co rusz rzucał w stronę Warda - podobno znasz to miejsce...

- Powinniśmy udać się w tym kierunku - ciągle padała z jego ust odpowiedź.

W rezultacie dwa dni później ciągle byli dalecy od znalezienia Sambora, a tym bardziej wyjścia z lesistego labiryntu. Mimo że wybierali różne ścieżki i wypróbowali wszystkie odnogi, to i tak, koniec końców, zawsze trafiali w jedno i to samo miejsce: zatęchłe bajorko przy starym głazie. Nie mogli także odnaleźć drogi powrotnej, bowiem za każdym razem, gdy się cofali, droga zmieniała swój bieg. Znikały rozgałęzienia lub ścieżki albo pojawiały się nowe, które z kolei wiodły w kolejne ślepe zaułki. Nie mogło to być dziełem przypadku; zupełnie jakby drzewa przemieszczały się pod nieobecność podróżników, czy to z własnej woli, czy to z rozkazu czegoś lub kogoś, pod czego lub czyją władzą pozostawały. Najwyraźniej ktoś lub coś im nie sprzyjało.

- To koniec! - wrzasnął zrozpaczony Ward. - To koniec, mówię wam! Umrzemy w tym...

Nie zdążył dokończyć zdania trzepnięty metalową rękawicą Chorsa.

- Weź się w garść, brateńku! - nakazał syn Iwara. - Dalej nie idziemy, chyba że ktoś widzi po ciemku. A ty dokąd, braciszku? - zawołał.

- Na zwiady - odrzekł Borgo. - Rozejrzę się, co jest przed nami, póki jeszcze widno.

- Na głowę upadłeś?! Zaraz się zgubisz.

- Bez obaw. Wezmę linę.

- Jak chcesz... - Chors niechętnie przystał na propozycję. - Tylko nie idź sam.

Borgo wspólnie z Artamem w ciszy przemierzali teren wokół miejsca postoj. Szli raz w górę, raz w dół, tak jak ścieżka ich prowadziła.

Gdy już mieli zawracać, Borgo usłyszał wyraźny hałas - jakby głosy - dobiegający z pobliskiej polany. Kierowany odruchem, bez namysłu rzucił się w tamtą stronę. Dźwięki nasiliły się. To, co wcześniej zdawało się być rozmową, przekształciło się w potworny, niezrozumiały jazgot, do którego po chwili dołączył skowyt zwierzęcia. Borgo przyśpieszył kroku, nie czekając na przyjaciela.

Wypadł na polanę zalaną resztkami zachodzącego słońca. Od razu dostrzegł na jej skraju zmasakrowane ciało wilczycy. Obok leżały ciała wilczych szczeni, wokół nich zaś krążyły czarne sylwetki mniejsze od człowieka. Pokraczne stwory chrząkały przy każdym wykonywanym ruchu. Część z nich wciąż ganiała za jednym wilczkiem, ale mały był twardy i nie dawał się tak łatwo złapać. Gdy stwory go pochwyciły, zaczęły maluchem potrząsać. Ten jednak nie pozostał im dłużny i dziabnął jednego w palec.

Taka nieuzasadniona przemoc wzbudziła w Borgu wielki gniew, dotyczyła bowiem bezbronного zwierzęcia. Sięgnął po miecz i ruszył w stronę bestii. Był na tyle szybki, że został zauważony, dopiero gdy rozbił najbliższemu potworowi owłosiony łeb. Chcąc wykorzystać powstałe zamieszanie, od razu poszedł za ciosem i położył kolejnego.

- Wracaj, idioto! - wrzasnął Artam, gdy w końcu dogonił towarzysza.

Borgo jednak nie słuchał. Gniew zagłuszał wszystko. Ostrze w jego dłoniach zwawo wywijalo. Stwór, który trzymał szczeniaka, na widok szarżującego człowieka wpierw rzucił nim w Borga, a następnie samemu dał drapaka.

Jedna z bestii dostrzegłszy okazję, natarła na Borga. Wyszczrzyła zakrzywione i pożółkłe kły. Jednak na tym musiała poprzestać - grot strzały przeszył jej gardziel. Siła wystrzału była na tyle duża, że pocisk zranił jeszcze jedną bestię, nim wbił się w korę drzewa.

Krótki pokaz zniechęcił resztę, która uciekła w gęstwiny. W sumie nie powinno to dziwić. Morogi, tak bowiem nazywa się te humanoidy, nie słyną z odwagi. Niewiele o nich wiadomo prócz tego, że wywodzą się z ludzkiego plemienia. (Jeżeli, Drogi Czytelniku, nie interesuje Cię charakterystyka morogów, pomiń zwyczajnie następny akapit).

Przed wiekami mieli zostać ukarani przez Boginię Matkę za okrucieństwa, których dopuścili się w trakcie Wojny Bogów oraz po niej, za czasów panowania Smoczych

Królów. Bestialskie zachowanie morogów wyrokiem Matki miało od teraz znaleźć swoje odzwierciedlenie w ich wyglądzie – stwory przybrały groteskową postać: stali się mali i porośnięci szczecina, pozbawiono ich również mowy. Osoby, które kiedykolwiek miały styczność z tymi bestiami, twierdzą, że przypominają krzyżówkę człowieka i hieny (bez obrazy dla hien). Silne ramiona Morogów pozwalają dobrać się im do kości ofiary, a masywne szczęki kruszyć je i wysysać z nich szpik. Z tego też powodu ich gęby często mają czerwoną, odrażającą barwę, która przydaje im jeszcze więcej grozy. Rzadko kiedy opuszczają swoje domostwa, znajdujące się w najgłębszych ostępach, gdzie światło w ogóle nie dociera. Jeżeli już jednak zdarza im się to zrobić, jedyne, co pozostaje po ich rajdzie, to sterty zakrwawionych ubrań.

Po ucieczce potworów na polanie zapadła niepokojąca cisza.

Jeszcze większy strach ogarnął przyjaciół, kiedy mgła, gęsta jak mleko, zaczęła się sączyć spomiędzy drzew. Wkrótce ogarnęła całą polanę.

Niski, basowy pomruk rozległ się z północnej części polany. Z początku słabo słyszalny, zaczął przybierać na sile. Coś się zbliżało.

Chłód owiał Borga. Nagłe wycie, głośnie, jakby dochodzące z setki wilczych gardeł, zabrzmiało w kniejach. Wielkie czerwone ślepia zajaśniały przed Borgiem w białej tkaninie mgły. Zaraz za nimi wyłonił się łeb wilka pięciokroć większego od przeciętnego wilczura, a czarnego jak noc.

Jednym skokiem pokonał dystans dzielący go od Borga, ten jednak w porę zdążył uskoczyć. Przyjaciół, stojący nieco dalej, znieruchomiał na widok olbrzymiego zwierzęcia. Z głowy wyrastało mu siedem rogów, choć może było to siedem gałęzi, trudno orzec. Wyglądało to jednak, jakby korona zdobiła jego skronie.

Przerażony Borgo cofał się i cofał, aż zatrzymała go ściana drzew. Wilk powoli szedł w jego kierunku.

- Coś ty za jeden? Mów szybko! - usłyszał w swojej głowie Borgo. Nie dał żadnej odpowiedzi, czym rozzłościł strażnika lasu. - Coś ty za jeden?! - zabrzmiał ponownie głos, tym razem mocniej.

Borgo w myślach wypowiedział swoje imię. W odpowiedzi wilk zażądał, by ten opowiedział, co się stało. Borgo posłusznie przytoczył obraz minionych zdarzeń.

- Kłamiesz! - odparł wilk. - Mów prawdę!

Borgo ponownie przedstawił te same zdarzenia.

Wilk wyszczerzył zęby. Lecz mały wilczek wciąż na niego skakał i ujadał swoim piskliwym głosikiem, jakby w sprzeczanie. Na tyle skutecznie, że olbrzym w końcu schował kły.

Wilk spojrzał na Borga i rzekł:

- On potwierdza twoje słowa, synu człowieczy. A zwierzęta nie potrafią mówić nieprawdy. Teraz odejdz.

Demon delikatnie chwycił malca za kark i umieścił go na swoim grzbiecie. Odszedł kilka kroków, jednak zanim zniknął całkowicie, dodał jeszcze:

- Uważaj na samotników. Nie są tymi, za kogo się podają.

Wypowiedziawszy te słowa, uciekł, znikając za zasłoną drzew.

- Bogowie, to był... To był... - powiedział Artam, podchodząc do Borga. - On... on naprawdę istnieje. Leszy, wilczy pasterz, naprawdę istnieje.

- Nie da się ukryć - odpowiedział królewicz i natychmiast zemdłał.

Od incydentu na polanie upłynęły dwa dni, a drużyna niewiele uszła. Wciąż nie natrafiła na żadne znaki, które mogłyby sugerować, że Sambor nadal żyje. Morale spadało. Słowa niezadowolenia były coraz bardziej stanowcze i padały coraz częściej (i tak porządek w szeregach panował zadziwiająco długo). Żądania, aby wyjść z lasu, były na porządku dziennym.

Po jednej z takich burzliwych dyskusji Ward przypomniał sobie, że spakował do plecaka bukłak wypełniony gorzałą, tak na wszelki wypadek. Przy blasku ogniska i z pomocą alkoholu nastroje zelżały, chociaż dalekie były od pozytywnych.

Nazajutrz wszyscy zbudzili się z tak zwanym kacem zabójcą. Podejrzewam, że temat jest dobrze znany, więc nie będę się zagłębiał w jego wyjaśnianie. Kilku osobom przyśnił się, co ciekawe, bardzo podobny sen. W każdym przypadku prezentował się mniej więcej następująco (pozwolę sobie przytoczyć słowa towarzysza Warda):

„Trudno to opisać. Spokojnie drzemałem, gdy ni stąd, ni zowąd nagle zerwałem się na równe nogi. Lecz wszystko wokół mnie było rozmazane, zamglone i nierealne, jakbym nadal śnił. W tym śnie szedłem gdzieś, ale nie wiedziałem po co. Jakby coś mnie wzywało, wołało, a ja... a ja nie mogłem się temu oprzeć, nie mogłem niczego zrobić. Kroczyłem, nie wiem dokąd. Z każdym krokiem szum w mojej głowie narastał, niepokój wzbierał. Otumaniony, w końcu gdzieś stanąłem, chyba na jakimś wzgórku. U moich stóp zebrały się dziewczęta. Piękne i powabne. Co najlepsze, nie miały nic na sobie. I one tam tańczyły. A ja patrzyłem i byłem oniemiały. Długo tam sterczałem. Coś im jednak przerwało. Uciekły w popłochu. A ja i on, i on, i on... - mówił, wskazując kolejno na Borga, Chorsa, a następnie na pozostałych - my wszyscy wyrwaliśmy do przodu. Potem nagle, nie wiem jak, ocknąłem się na własnym posłaniu. Szybko zasnąłem. Gdy ponownie otworzyłem oczy, nie mogłem drgnąć. Niczego nie czułem, jakbym był sparaliżowany. Wszystko widziałem, lecz świat był jakby za mgłą. Następnie stanęła przede mną jedna z dziewcząt, które widziałem w poprzednim śnie. Usiadła przy mnie, następnie na mnie. Jej jędrne ciało prężyło się, piersi unosiły się rytmicznie. Wtedy ponownie odpłynąłem. Jeżeli to był sen, to poproszę o takie częściej”.

Czy były to tylko urojenia strudzonych i, przede wszystkim, wyposzczonych głów, czy może rzeczywiste wydarzenia? Któż to wie?

Lepiej wróćmy do wyprawy. W ciągu następnych dni sytuacja uległa pogorszeniu wskutek szybko kurczących się racji pożywienia. Wkrótce drażliwość i irytacja stały się nieodzownym elementem codzienności. Każda drobna wymiana zdań, komentarz na czyjś temat lub uwaga prowadziły do awantury. Tylko jeden Artam zdawał się znosić te nieprzyjemne warunki nadzwyczaj dobrze – zachowywał spokój, gdy inni z głodu tracili nad sobą kontrolę. Tłumaczył to w ten sposób, że w młodości biedował i dzięki temu nawykł do zmniejszonych racji pożywienia. Nie zmieniało to faktu, że ostatnio, zwłaszcza podczas pełnienia wieczornych wart, dziwnie się zachowywał – trzymał się na uboczu lub niepostrzeżenie zniknął na kilka chwil. Szczególnie zaciekało to Warda. Za którymś razem, kiedy wspólnie pełnili nocną wartę, postanowił pójść za Artamem i odkryć przyczynę, która stała za jego wybrykami. Ku swemu zdziwieniu zastał kompana jedzącego po kryjomu schowane przed resztą racje. Natychmiast zawołał pozostałych towarzyszy. Ci dowiedziawszy się na miejscu, co wyprawia Artam, wpadli w furję. Tylko Borgo nie uniósł się gniewem i stanął w obronie, bądź co bądź, nieuczciwego Artama. Pozostali jęli obrzucać oszusta wyzwiskami, otaczając jego i jego adwokata. W pewnym momencie Miron spróbował wyrwać z rąk Artama torbę z jedzeniem. Ten go jednak odepchnął. Wkrótce inni też spróbowali wyrwać pakunek. Nagle, wskutek szamotaniny, torba wystrzeliła w powietrze. Towarzysze zamarli. Bezradnie tylko odprowadzili ją

wzrokiem, gdy ta lądowała w ognisku. W tym momencie puściły wszelkie hamulce i wywiązała się prawdziwa rozróżba. Nikt nie chciał słuchać Borga, który nawoływał do opanowania emocji, nawet jego bracia. I z pewnością rozzłoszczeni towarzysze zlinczowaliby Artama, gdyby nie woń, która doszła nozdrzy Borga. Wpierw grupa nie zwracała uwagi na słowa księcia mówiącego im o zapachu, który wyczuwa. Lecz drużynnicy zaprzestali burdy, gdy sami poczuli woń pieczonego mięsa. Nie potrafiąc mu się oprzeć, grupa, zebrawszy pierwszej manatki, ruszyła w poszukiwaniu jego źródła. Owa mięsna woń zdawała się dochodzić z chaty stojącej na skraju lasu.

Kiedy wędrowcy podeszli bliżej, drzwi domostwa rozwarły się. Stał w nich starszy, barczysty mężczyzna, który nosił gęstą, siwą brodę. U jego prawego boku zwiślał topór.

- Bądź pozdrowiony, ojciec - ozwał się Borgo.

- Wędrowcy. Ośmiu. Co was tutaj sprowadza? -
W oczach gospodarza wyraźnie widać było czujność.

- Wybacz, że cię niepokoimy, lecz podążamy tropem druha. Czy w ostatnim czasie ktoś jeszcze tędy przechodził?

- A nawet jeśli, dlaczego miałbym ci powiedzieć?

- Był nam bliski...

- No nie. - Splunął na podłogę. - Nikt prócz was nie kręcił się tu ostatnio.

- Jesteś pewien?

- Jestem, synu.

- A czy możemy skorzystać z waszej gościnności, ojcze?
- spytał stojący z tyłu grupy Chors. - Ciepła strawa i dach nad głową to wszystko, o co prosimy.

- Może i moglibyście. Ale nic za darmo, też muszę coś z tego mieć. Wyglądacie na porządnych ludzi... lecz takim właśnie najmniej można ufać. Nigdy nie wiadomo - rzekłszy to, splunął ponownie. - Ale co mi tam, niech stracę... - dodał po chwili namysłu.

- Jesteście łaskawi. Naprawdę nie wiem, jak...

- Najpierw zapłata - przerwał dziadek. - Tylko nic nie kombinujcie. Umiemy sobie radzić z psotnikami. Nawet liczniejszymi. - Z wnętrza izby wychynęło dwoje rostrych mężczyzn, prawdopodobnie synów gospodarza. Obaj trzymali w dłoniach drewniane pałki, z których wystawały żelazne kolce.

Wysokość zapłaty nie była aż tak wygórowana, jak się podróżnicy spodziewali. Wystarczyło trochę żelastwa, jak narzędzia, ubrania i inne rzeczy, o które trudno w głuchej dziczy, a które nie są problemem dla miastowych, jak to nazwał ich siwobrody.

Za jego zgodą wkroczyli do jednoizbowej chaty. Od paleniska biło przyjemne ciepło. Tej nocy po raz pierwszy od dłuższego czasu żaden z nich nie będzie narażony na lodowate podmuchy wiatru.

Oprócz starszego jegomościa oraz dwójki jego synów dom zamieszkiwała także jego żona. Później, w trakcie rozmowy przy kolacji, przybysze dowiedzieli się, że dawniej na tych terenach funkcjonował tartak. Za domem wciąż

można było znaleźć pozostałości głównego budynku. Część mieszkańców tych terenów opuściła je z powodu wilków, tak przynajmniej mówili gospodarze. Oni jednak postanowili zostać. Byli za starzy na podróż, poza tym już im się nie chciało przenosić.

- Gdzie są pozostałe domy? Bo ja żadnych nie widziałem - pytał Artam.

- A myślisz, że ten z czego jest zrobiony? - zaśmiał się dziadek, pukając w ścianę.

Trzeba przyznać, że gospodarze nie skąpili prowiantu. Stół został suto zastawiony. Pasztety, kielbasy własnej roboty i miód. Na niejednym dworskim stole nie stało tyle frykasów.

Blisko północy alkohol uderzył wszystkim do głów.

W pewnym momencie Borgo poczuł przemożną potrzebę udania się na osobność. Długo przeciskał się pomiędzy biesiadnikami. Miron i Birsk leżeli pijani pod stołem. Pozostali dochodzili do podobnego poziomu. Pochodnia, którą zabrał, okazała się zbędna - księżyc tej nocy świecił wyjątkowo jasno.

Nagle do uszu Borga doszedł dobiegający z wnętrza domu odgłos przewracanego stołu.

- Hej! Co ty wyprawiasz! - krzyknął któryś z kolegów. - Jeszcze rozlejesz!

No tak, nie potrafią się bawić - pomyślał Borgo. Chłodne powietrze nieco go otrzeźwiło. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

- Dobrze, dobrze, już kończę. Nawet nie dadzą się w spokoju załatwić - mamrotał pod nosem.

Nim zdążył się odwrócić, poczuł silne uderzenie w tył głowy. Cały świat spowiła ciemność. Drugi raz w ciągu niespełna tygodnia.

-Ja pierdołę, nigdy więcej. - Takie były pierwsze słowa, które nawinęły się na język Borgowi tuż po przebudzeniu.

- Braciszku? Żyjesz? - zabrzmiał znajomy głos.

Borgo kiepsko słyszał. Dźwięki zdawały się głuche i odległe, jakby dochodziły zza szyby. Było z nim na tyle źle, że nie rozpoznał głosu własnego brata, Chorsa.

- Co z tobą? Odezwij się! - spytał inny głos, po czym królewicz poczuł szarpnięcie z tyłu.

- Czego? - odpowiedział Borgo, choć dla osób trzecich brzmiało to bardziej jak niezrozumiały bełkot.

Otworzył oczy. Wszystko było niewyraźne i ciemne. W pomieszczeniu panował półmrok. Jedno wiedział na pewno - ma spętane ręce i nogi.

Było na tyle ciemno, że Borgo nie dostrzegł żelaznych prętów tuż przed swoją twarzą. Spróbował się pochylić... No cóż, zderzenie nie pomogło jego i tak już obolałej głowie.

- Bogowie! Tak się cieszę. Żyjesz! - odezwał się ponownie Chors.

- Niech to diabli - złorzeczył pod nosem Borgo, po czym powiedział: - Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale - wtrącił się Artam, zamknięty w klatce za plecami Borga - mamy przesrane. Stary wszarz nas uwięził. Zwyczajnie uwięził. Niech to szlag!

- A gdzie pozostali?

- Są wszyscy.

- Dosłownie wszyscy - do rozmowy włączył się znajomy głos.

- Sambor! Ty też tutaj?

- Jak widać.

- Zabili Mirona - dodał Gar.

- Kogo?

- Mirona! - zagrzemiał Gar.

- Nie pamiętam go.

- Teraz to już bez znaczenia...

Wszyscy siedzieli spętani, każdy w osobnej klatce, na tyle ciasnej, by uniemożliwić wykonywanie jakichkolwiek ruchów.

Drzwi wejściowe do piwnicy rozwarły się. Oślepiający blask dnia wlał się do środka. To był gospodarz. Stał u szczytu schodów.

- Jak miło. Wszyscy się już obudzili.

W odpowiedzi w jego kierunku posypała się fala przekleństw.

- Wypuść nas! - zażądał Ward.

- A po co? Źle wam? Macie to, czego chcieliście. Wikt i opierunek. Posiedzicie tutaj, póki nie wymyślimy, co z wami zrobić.

- Ratunku! - ryczał Ward.

- Krzycz, ile chcesz. I tak nikt cię nie usłyszy - rzekł dziad, na twarzy którego malował się szyderczy uśmiech, po czym opuścił pomieszczenie.

Mimo zapewnień starca Ward wciąż nawoływał.

- I tak nic ci to nie da - przerwał mu człowiek ulokowany pod schodami. - Nie strzępowo nadaremno.

- Hej! Kim jesteś? - spytał Radomir.

- Nikim - odrzekł beznamiętnie nieznajomy.

- Jak można stąd uciec?

- Nie można - odparł po dłuższej chwili.

- Jak to nie można? - drażył zaniepokojony Radomir. -

Skąd wiesz?

- Wiem i już!

- A długo tu siedzisz?

- Na tyle długo, by wiedzieć, że nie można uciec...

- A chociaż spróbowałaś?!

- Ja nie. Inni tak. Kiepsko skończyli.

- To ilu was tu było?

- Sześciu. Zostałem tylko ja.

- Co się stało z resztą?

- Zabici lub zjedzeni. Schodzili i zabierali nas pojedynczo, jednego po drugim.

- Jak to zjedzeni? Masz na myśli, że zostali pożarci przez wilki?

- Nie - zaprzeczył nieznajomy. - Przez nich.

- Chcesz mi powiedzieć, że oni... że ci na górze to... to pieprzeni, kanibale?!

- Znacznie gorzej. Wilkołaki.

- Czemu jeszcze cię nie zjedli?

- Proste - odparł nieznajomy. - Nie jem - jestem bezpieczny, chudego nie zechcą. A myślisz, że po co te ciasne klatki? Najpierw zamykają cię i ledwo możesz się ruszyć. Chcą, żeby mięso skruszało. A gdy już wystarczająco zmiękniesz, faszerują cię jadłem. Wpychają w ciebie coraz to większe porcje. I nim się zorientujesz, robisz się miękki i pulchny jak dobrze utuczona gęś; w sam raz na ruszt. Po takiej terapii, nawet jeśli spróbujesz uciec lub jakimś cudem wpadnie ci w łapy broń, nic ci to nie da, bo albo ci pikawa strzeli w czasie biegu, albo wyzioniesz ducha, walcząc.

Na dźwięk tych słów Radomir, opadł na plecy, zdruzgotany.

- Chore pojeby - pomyślał.

Najbardziej cierpiał Borgo. Nie mógł się uwolnić od przekonania, iż to przez niego, że to z jego winy jego braci i przyjaciół czeka marny los.

Dni płynęły. Nie wiedzieli, czy minęła doba, dwie czy może miesiąc, od kiedy spoczęli tutaj, w tych klatkach, bowiem dzień nie różnił się niczym od nocy. Gospodarze, którzy okazali się niezbyt gościnni, przydzielając przybyszom tak mało komfortowe kwatery, pojawiali się raczej z rzadka. Zaprzestali częstszych wizyt od momentu, w którym przyjaciele posłuchali rady współwięźnia i przestali jeść.

Jednak pewnego razu, nie wiedzieć dlaczego, w piwnicy zjawił się jeden z synów gospodarza. Światło, które wpadło przez otwarte drzwi, niemal wypaliło więźniom oczy. Schodził ze schodów wolnym krokiem, uważnie przyglądając się swym gościom. Gdy stanął na samym dole, wyciągnął z kieszeni mały nożyk i zbliżył się do klatki Gara. Chwilę przed nią postął, po czym sięgnął do drugiej kieszeni spodni po jabłko, które zaczął zjadać, odcinając sobie kawałek po kawałku. Krążył między klatkami, celowo chrupiąc głośno, by zdenerwować wygłodniałych podróżników.

Podszedł w końcu do klatki, w której przetrzymywany był Borgo. Ten siedział z opuszczoną głową, udając, że śpi. Przeżuwający uderzył w pręty, lecz więzień nie zareagował. Spróbował ponownie. I tym razem rezultat był podobny. Zaciekawiony czy zdenerwowany, oprawca nachylił się i zbliżył twarz do kraty. Wtedy Borgo zniemacka rzucił się w jego kierunku, a ten odruchowo odskoczył do tyłu, uderzając plecami o klatkę Sambora. Wpadł do niej pilniczek, który trzymany był przez oprawcę w tylnej kieszeni spodni.

We wszystkich celach dało się usłyszeć donośne parsknięcie śmiechem. By odzyskać twarz, mężczyzna podszedł do klatki Borga, włożył do środka obie ręce i chwycił królewicza za głowę. Metalowe kraty aż zadźwięczały w zetknięciu z czołem młodzieńca.

- Było warto - powiedział Borgo, gdy tamten, wychodząc, zatrzasnął za sobą drzwi.

Jako że Sambor schudł w ostatnim czasie, więzy na jego nadgarstkach poluzowały się, umożliwiając mu wykonywanie niewielkich ruchów, w tym pochwycenie pilniczka.

Nie upłynęła godzina, a nogi i ręce wszystkich więźniów zostały uwolnione.

Powyginanie żelaznych prętów i roztrzaskanie starego drewna nie jest wyzwaniem dla ramienia żołnierza, nawet wygłodzonego. Gdy kroki na górze ucichną, wyzwoleńcy z pomocą rzeczy znalezionych w piwnicy spróbują wydostać się na wolność. Po wyważeniu drzwi wybuchnie zawierucha, lecz Borgo niewiele z niej zapamięta, gdyż prędko padnie z łoskotem na ziemię, trafiony pałą w głowę. Znowu.

Kiedy królewicz w końcu doszedł do siebie, leżał na trawie przed domem, zaś obok niego walało się monstrualnych rozmiarów truchło. Nie muszę mówić, że zerwał się z krzykiem. Dopiero teraz miał okazję zobaczyć na własne oczy, jak wygląda wilkołak. Przypominał raczej szkielet odziany w futro aniżeli wilka. Skóra mocno opinała klatkę piersiową, nieproporcjonalnie długie oraz wychudzone kończyny górne wieńczyły szpony, grube i krótkie, natomiast z nóg pozbawionych jakiegokolwiek futra wyzierały czerwono-brunatne wstęgi mięśni, poprzątkane białą ścięgien. Innymi słowy - szkaradne monstrum.

- Taka kara spotyka tych, którzy żerują na swoich - pomyślał Chors, kręcąc się przy zwłokach. - Doprawdy,

okrutna kara za kanibalizm...

Zabrawszy co cenniejsze sprzęty, drużyna podłożyła ogień pod domostwo, w którym umieścili ciała bestii. Wspólnie z Samonem, uratowanym więźniem, przyjaciele obserwowali, jak płomień obejmuje kolejne pomieszczenia.

Dom płonął, a podróżnicy zażywali odpoczynku, kiedy usłyszeli huk, jakby coś lub ktoś powalił ścianę domu. Ruszyli sprawdzić, co to takiego. Z tyłu chaty dostrzegli wielką wyrwę - kilka desek leżało na ziemi, zaś w niewielkiej odległości od domu dostrzegli płonące poszycie lasu.

- Może to deski same upadły i rozniosły ogień - powiedział niepewnym głosem Ward.

Wtedy wszyscy zajrzeli do środka domu przez świeżo powstałą wyrwę: zdało im się, że jednych zwłok brakuje. Przerażeni towarzysze, nie myśląc długo, rzucili się do ucieczki.

Łuna pożaru jaśniała za ich plecami, rozświetlając mroki nocy. Drużyna podążała przed siebie, byle dalej od tego przekłętego miejsca. Nic sobie nie robili z gęstwiny, która ich otaczała, nie przeszkadzały im także ciemności nocy, dopiero brak tchu w piersiach zatrzymał pochód. „Też mi bohaterzy. Żeby płonących desek się bać. Toż to żenada” - rozmyślał Gar, ciężko sapiąc. Na szczęście wyimaginowanej pogoni nie było w zasięgu i można było spokojnie odpocząć. Srebrny sierp błyszczał wysoko na niebie.

Wkrótce cała kompania ponownie wyruszyła, nie było czasu do stracenia. Szli jeden za drugim. W pewnym momencie na czoło pochodu wyszedł Samon.

- Tędy! - zawołał.

Żaden z towarzyszy nie zakwestionował jego przewodnictwa. Wychudzony, zaniedbany brodacz wiódł grupę przez leśne ostępy, aż nastał świt. Dopiero wtedy pozwolili sobie na dłuższy odpoczynek.

ROZDZIAŁ 3



Od Kolacji Wilkołaka, jakim mianem ochrzczono to wydarzenie, upłynęło już wiele dni; niebawem miał minąć tydzień od wielkiej ucieczki. Do tej chwili nie napotkano żadnych niespodziewanych kłopotów lub wydarzeń mogących w jakikolwiek sposób utrudnić wyprawę.

Nowy znajomy, Samon, okazał się wspaniałym nabytkiem, bowiem świetnie sprawdzał się w roli przewodnika. Jako kupiec w trzecim pokoleniu często przemierzał szlaki leżące u styku Charoduny oraz Suur Erun, nie miały one już przed nim żadnych tajemnic. Mówił (a lubił dużo gadać): „Najszybsza i w miarę najłatwiejsza droga wiedzie przez Bramę Mirboru. Tylko po co chcecie dotrzeć do Charoduny? O tej porze roku niczego ciekawego tam nie znajdziecie. Co? Smok, mówicie. Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy wyruszałem, ludzie mieli inne, ważniejsze zmartwienia na głowie niż smoki. Ale to było dawno temu, może sprawy się pozmieniały. Kto wie? Zwiedziliście może Pogórze Charoduńskie? Gorąco polecam. Zwłaszcza latem. Ale, jak mawiał mój tatko: »Synu, góry są piękne, ale

bardzo zdradliwe. Zupełnie jak twoja matka«”. Potrafił godzinami opowiadać te swoje historie, za każdym razem nad wyraz je rozwlekając.

W końcu, przy nieustającym akompaniamencie Samona, drużyna dotarła do rzeki Nun, która stanowiła naturalną granicę władztwa księcia Gidyra. Na drugim jej brzegu, gdzieś w oddali, majaczył upragniony cel podróży, ukryty za morzem traw Skraju, skąpanych w karminowym blasku zachodzącego słońca. Lecz był pewien mały szkopuł, element z pozoru drobnutki, który przekreślał jednak wiele – ze względu na wezbrane wody przekroczenie rzeki wpływ było niemożliwe. Trzeba było znaleźć inną drogę.

Po chwili ciszy z propozycją wystąpił Samon.

– Jeżeli nie możemy przekroczyć rzeki, to spróbujemy przejść nad nią. Jest druga droga, która prowadzi przez stary górski szlak. Ostrzegam jednak, że marszruta znacząco się wydłuży, bowiem góry, Siwe Wierchy, zataczają w tym miejscu szeroki łuk w kierunku północno-wschodnim.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Wyruszyli więc na północ, ku łańcuchowi Siwych Wierchów, wzdłuż brzegów Nuny. Wkrótce, podążając w górę potoku, opuścili równiny i zagłębili się w leśne ostępy.

Przez pierwsze trzy dni słońce przyjemnie przeświecało pomiędzy drzewami, malując na ziemi świetliste wzory. W koronach ponad głowami towarzyszy mieszały się zielone plamy sosen i świerków z różnobarwnymi liśćmi dębów, brzoź oraz buków. Przed linią drzew, zarówno po lewej, jak

i po prawej stronie, wzdłuż brzegów Nuny ciągnęły się hen, hen daleko w głąb lasu rumowiska rzeczne - sterty mniejszych i większych kamieni, naniesionych tu z prądem potoku. Od jego wód bił nieprzyjemny, przejmujący chłód. Miejscami wartki strumień obmywał wielkie i omszałe głazy, pomiędzy którymi z powodu podniesionego poziomu wody potworzyły się mielizny - naturalne pułapki. W każdej z nich wręcz roiło się od ryb. Wystarczyło jeno rękę zanurzyć, żeby wyciągnąć jakąś zdobycz. Natomiast przed nimi, daleko na horyzoncie, spoza wyrwy pomiędzy ścianami lasu i ponad bystrymi wodami potoku wyzierały niewyraźne zarysy Gór Siwych, zasnuwane błękitną mgłą. Z każdą przebytą wiorstą zdawały się wciąż tak samo odległe.

Czwartego dnia pogoda niespodziewanie się odmieniła. Chłodne zachodnie wiatry ustąpiły miejsca tym wiejącym z południa. Ciężkie ołowiane chmury wkrótce napłynęły i podążały za drużyną w kierunku północnym. Pod wieczór, gdy dotarli na polanę leżącą u podnóża Siwych Wierchów, widzieli, jak ciężkie obłoki pomału przysłaniały doliny i wspinały się po gołych skalnych zboczach, okrywając ciemnym całunem granie i szczyty. W nikłym świetle szarość skał mieszała się z kolorem chmur, wskutek czego trudno było rozpoznać, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Było w tej scenerii coś mrocznego, niepokojącego. Wiatr dawno już ucichł, podobnie jak wszelkie zwierzęta, niedające znaku życia. Jedynym dźwiękiem, który dochodził

uszu wędrowców, był szum wodospadu, dobiegający gdzieś z oddali i wypełniający całą polanę.

Nazajutrz w bladym świetle dnia ujrzeli niewiele więcej. Na wprost przed nimi roztaczała się zalesiona Dolina Koziej Skałki. Szary, wysoki na ponad trzydzieści łokci głaz, od którego powstała nazwa, wyrastał z ziemi przy wejściu do doliny. Jego owalny kształt wyraźnie odcinał się na ciemnozielonym tle iglaków. Powyżej niego wszystko przysłaniała gęsta mgła, schodząca w dół stoków. Ledwie pojedyncze drzewa wyłaniały się z mlecznobiałej zasłony. Nieco głębiej i bardziej na prawo od głazu po stromej ścianie spływały wody wodogrzmotów, źródło wszechogarniającego polanę szumu. Od kilku strug, ciekących pomiędzy skalnym rumowiskiem, które wyściełało podnóże wodospadu, rozpoczynała swój bieg rzeka Nun. Zaś nad wszystkim rozpościerał się ciężki łożniany całun, nadal spowijający wyższe partie gór.

Minąwszy ogromny głaz, zanurzyli się w skąpaną w bieli dolinę. Szli pod górę powoli, jeden za drugim, widząc nie dalej niż na dwadzieścia kroków przed sobą. Trasa przez Dolinę Koziej Skałki łagodnie wiła się wokół zboczy zarośniętych smrekami, często zataczając serpentyny i unikając stromizn. Może nie była trudna, za to bardzo nużąca. W wyższych rejonach doliny grupa, opuściwszy las, wspinała się po kamienistym żlebie, śliskim od wszechobecnej wilgoci. Niecałe dwa dni zajęło wędrowcom dotarcie na szczyt grani, na tak zwaną Kozią Kopę. Niestety dalsza trasa w wysokie góry nadal

pozostawała ukryta za szarą kurtyną obłoków. Na noc schronili się poniżej grzbietu, w kotlinie wcinającej się w północne zbocze masywu, dzięki czemu byli osłonięci od wiatru, który znowu dał o sobie znać i zadał z południowego zachodu.

Zbudziwszy się rano, towarzysze zastali nad głowami czyste niebo – wichry przesunęły nocą ciężkie chmury na północny wschód, w odleglejsze rejony Siwych Wierchów. Widok słońca, które zobaczyli po raz pierwszy od kilku dni, wlał otuchę w zziębnięte ciało Borga. Z werwą jako pierwszy wdrapał się na grań. Obejrzał się na zachód, na falujący górski grzbiet z wyraźnie zaznaczającymi się pięcioma szczytami. Był łagodniejszy i niższy niż wschodni odcinek łańcucha – grań miał obłą i pokrytą trawami. Potem spojrzał za siebie – na wyżłobioną w masywie dolinę, którą się wspinali. Drzewne morze, unoszone nierównościami terenu, sięgało daleko na południe i obmywało górskie zbocza. Miejscami, rozsiane niczym wyspy, świeciły łysiny – pola pełne powalonych przez wiatr drzew. Potężne pnie z tej odległości wyglądały jak porozrzućane patyki. Wreszcie obrócił się i spojrzał na wschód, na następny etap podróży.

Na drugą stronę masywu, pokonując głęboką przepaść, opadającą kilkaset sążni w dół, można było przedostać się tylko mostem linowym. Rozklekotany i skrzypiący na wietrze, widział zdecydowanie zbyt wiele zim. Był to jeden z dwóch mostów, z jakimi przyjdzie się grupie zmierzyć w trakcie tej wyprawy. Pod nim z wielkim hukiem ze skał

wschodniego odcinka wypływał wodospad, który kaskadami spływał na dno przełęczy. Nieco powyżej koryta potoku rozpościerała się owalna rówień. Dalej trawiasty płaskowyż zwężał się i przekształcał w ścieżynkę wciśniętą pomiędzy wysokie skaliste szczyty o niemal pionowych ściankach, z lewej strony zamkniętą potokiem, z prawej zaś stromym zboczem. Ten wąski pas ziemi wił się wzdłuż turni i tak jak one wspinał się w górę, coraz wyżej i wyżej, aż zniknął za skalnym zboczem. Zaś jeszcze dalej, gdzieś na wschodnim horyzoncie, widniała korona pasma Siwych Wierchów – pięć najwyższych, a zarazem wysuniętych najdalej na północ szczytów. Najwyższy z nich zwano Askoldem.

Wkrótce cała drużyna znalazła się na wąskiej ścieżynce, nie szerszej niż dwa łokcie, wiodącej w głąb gór. Szli powoli, jeden za drugim, po gołoborzu z mnóstwem luźnych kamieni. Jeden fałszywy krok, chwila nieuwagi wystarczyły, by człowiek skończył w przepastnej otchłani ziejącej poniżej. Dodatkowo w tym miejscu wystawieni byli na pastwę szalejącego wichru.

W pewnym momencie jednak nachylenie zmalało, a sama ścieżka poszerzyła się. Szli tak dobrych kilka godzin.

- Zaraz wkroczymy do Doliny Dzikiej Wody. Zatrzymajmy się tutaj na krótki popas, bo później nie będzie na to czasu. Przed zmrokiem musimy osiągnąć Mokre Progi – rzekł Samon. Dochodziło południe.

Chwilę wypocząwszy, ruszyli dalej. Nieustannie wchodzili coraz wyżej. Niedługo przed zmrokiem droga

rozszerzyła się jeszcze bardziej i zeszła w wąwóz. Z obu stron strome ścianki, wysokie na kilkanaście sążni, były gładko ociosane i przypominały wrota. Po lewej strumień nadal płynął w wyżłobionym przez siebie korycie.

- Udało się - oznajmił Samon strudzonym towarzyszom.
- Jesteśmy mniej więcej w połowie Doliny Dzikiej Wody. Jeśli utrzymamy tempo pochodu, jutro wieczorem, najpóźniej pojutrze powinniśmy minąć Mokre Progi i dotrzeć do drugiego mostu.

Tego wieczora skromna półka skalna musiała wystarczyć im za nocleg. Wszyscy szybko posnęli, jeden tylko Borgo nie mógł zasnąć. Przewracał się na swoim pośłaniu, nierówności pod spodem wbijały mu się w plecy, a do tego dochodził jeszcze szmer tego przekłętego potoku. Zdawał mu się głośniejszy niżli stado żubrów. W końcu, zirytowany, zwał się z pośłania i owinięty kocem usiadł przy ognisku. Nie dostrzegł nigdzie Warda, choć ten miał pełnić wartę jako ostatni. Miał to jednak głęboko gdzieś. Zmęczonymi oczami wpatrywał się w skaczący płomień. Było w nim coś hipnotyzującego i nie mógł oderwać odeń wzroku.

- Gdzie byłeś? - spytał beznamiętnie Borgo, usłyszawszy hałasy za plecami.

- Już nawet odlać się nie można w spokoju - odrzekł Ward, kiedy wdrapał się na półkę skalną. Zajął miejsce obok Borga i pociągnął łyk ze swego bukłaka.

- Skoro i tak nie mogłeś zasnąć, trzeba było mnie zastąpić - powiedział, spoglądając na księcia. - Ja bym się

przynajmniej wyspał, a tak...

- Nie pomyślałem - odparł Borgo, wciąż wpatrując się w płomień.

- Chcesz? - zaproponował Ward, podtykając księciu bukłak pod nos.

- Nie. Nie chcę, żeby mi to gównno mózg wypaliło.

- Jaki wrażliwy - bąknął pod nosem towarzysz.

W końcu Borgo podniósł oczy znad ognia i omiół wzrokiem okolicę. Wtedy pojedynczy błysk rozświetlił zachmurzone niebo daleko na wschodzie. Nawet Ward na chwilę przestał pociągać z bukłaka. Niedługo potem niski, basowy pomruk przeszył okolicę. Wkrótce następne błyski oświetliły oddalone szczyty. Nie zrobiło to jednak wrażenia na księciu.

- Mogło być gorzej - zaśmiał się Ward. - Mogło przecież padać na nas.

Borgo nie zaśmiał się. Wręcz się skrzywił. Paplanina Warda wyraźnie go drażniła.

- Może uda mi się jeszcze trochę zdrzemnąć - rzekł Ward, widząc reakcję Borga, i się oddalił. Tej nocy królewicz w ogóle nie zmrużył oka.

Wyruszyli wcześniej, z pierwszymi promieniami brzasku, lecz ciemne chmury wciąż wisiały w oddali. Wąwóz kluczył raz do góry, raz w dół, aż po jakiejś godzinie dotarli nim do ciasnego przewężenia skalnego - pierwszej z trzech bram Mokrych Progów. Za nimi potok rozlewał się i płynął całą szerokością rozdołu, którego ścianki były dokładnie

wygładzone i zaokrąglone, jakby wydrążyła je ogromnych rozmiarów dżdżownica. Patrząc na masywne szare skały, Borgo zastanawiał się, czy było to dziełem skromnej stróżki górskiego potoku, która teraz łagodnie obmywała jego buty oraz skalne progi sterczące przed nim.

- Nie ma co zwlekać, zaproszenia nie dostaniemy - ponaglał Samon towarzyszy. - Im szybciej pokonamy ten odcinek, tym lepiej.

- A nie możemy trochę odpocząć? - posypały się narzekania. - Cały czas idziemy tylko do góry i do góry. Ile można! Już nogi nas bolą!

- Uwierzcie mi - mówił Samon - już prawie osiągnęliśmy szczyt. Ostatni wysiłek, a potem będzie już z górki.

- Nie jesteśmy mułami, człowieku - zripostował Artam. - Musimy złapać oddech.

- Bez gadania! - warknął w końcu zirytowany i zmęczony Borgo. W tym stanie było mu już wszystko jedno. - Bierzcie dupy w troki i idziemy! - rzekł i ruszył przed siebie, ku Niżnej Bramie. Inni pomarudzili, ale, koniec końców, dołączyli do Borga. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że nie byli sami. Od jakiegoś czasu czyjeś czujne oczy bacznie im się przyglądały, śledząc z wysoka każdy ich ruch.

Teren przed grupą łagodnie, acz nieustannie wznosił się oraz wił, to na prawo, to na lewo. Po jakichś siedmiu wiorstach, ślaniając się na nogach, dotarli do wielkiego zakrętu, który odbijał w lewo pod kątem niemal

dziewięćdziesięciu stopni. Niewiele dalej za nim widniała Średnia Brama. Było już dobrze po południu i słońce z wolna chyliło się ku zachodowi.

- Nie ma mowy! - stwierdził Ward, ciężko sapiąc. Wyraził to, co wszyscy inni mieli w głowach. - Dalej, kurwa, nie idę. Nie bez odpoczynku!

- Można naprędce coś zjeść, ale bez rozpalania ognia. Krótki popas, a potem idziemy aż do zmroku lub dopóki nie znajdziemy przyzwoitej półki skalnej - zarządził Chors.

- Ja pier... - bąknął pod nosem Artam pomiędzy którymś już z kolei głębokim wdechem i wydechem. - Jak daleko jeszcze ciągnie się ta zasnana kiszka?

- Czemu zasnana? - wtrącił się Borgo. - Zostawiłeś po sobie prezent?

- Przecież ostrzegałem, że nie będzie łatwo - odparł wreszcie Samon, także zdyszany. - Ostrzegałem, że nadrobimy drogi... Czyż nie?

- Mądrała się, kurwa, znalazł - syknął wyraźnie rozgniewany Sambor. - Lepiej powiedz, czy daleko jeszcze.

- Już naprawdę niedaleko. Prawie jesteśmy - zapewniał Samon, wsparty o kolana.

Rozsiedli się na dużej, suchej łacie przy ścianie zakrętu. Nikt niczego nie mówił, tylko jedli i pili. Niestety zimna strawa nie za bardzo pokrzepiała ducha.

Słońce zdążyło już przybrać czerwoną barwę, gdy towarzysze ponownie wyruszyli. Z chwilą gdy Samon minął Średnią Bramę, ze skał mieszczących się powyżej dało się słyszeć cichy dźwięk pazurów ocierających się o kamień.

Pięć masywnych, czarnych postaci zeskokczyło nagle pomiędzy zaskoczonych podróżników. Jedna z nich wylądowała tuż za Samonem, który tylko cudem uniknął natychmiastowej śmierci, i tym samym został odseparowany od pozostałych.

Inne ze stworów lepiej wymierzyły i spadły wprost na swe ofiary. Tylko Sambor, jak zwykle, mógł mówić o pechu, gdyż na niego spadły dwie bestie. Pazury i kły od razu poszły w ruch. Z gardła Sambora trysnęła czerwona posoka; wojak, choć ranny, objął swoimi ogromnymi ramionami jednego zwierza i położył go trupem, skręcając mu kark. Więcej szczęścia miał Radomir, któremu z pomocą przybył Artam. Tymczasem ostatni potwór z paszczą wypełnioną dziesiątkami zębów ruszył w stronę Borga. Chwilę przed napaścią królewicz ujrzał tylko żółte ślepiea wielkiego kota, smęda.

Osamotniony za Średnią Bramą Samon w okamgnieniu sięgnął po swój topór z ostrzem osadzonym na długim stylisku. Wściekły, olbrzymi kot warczał i wymachiwał łapami, spychając przeciwnika do tyłu, w głąb wąwozu Mokrych Progów. Zagoniwszy brodacza pod ściankę kolejnego zakrętu, który wżynał się mocniej w kamień, smęd zwolnił, by za chwilę wybić się z tylnych łap do góry. Samon wykorzystał chwilę i uskoczył do przodu poniżej zwierza, unikając jego ataku. Spróbował sieknąć kota, lecz chybił. Krążyli wokół siebie, brodząc po kostki w wodzie, strasząc się wzajemnie - Samon unosił topór, kot zaś szczyrzył kły. Samon opuścił krąg i uciekł w głąb wąwozu,

gdy tylko za jego plecami pojawił się kawałek pustej przestrzeni. Smędom puścił się w pogoń za uciekającą ofiarą. Wielkimi susami szybko zmniejszył dzielącą ich odległość. Kiedy był już blisko, napiął mięśnie do skoku. Gdy wydawało się, że Samon skończy przygnieciony ogromnym cielskiem, ten znowuż uskoczył, tym razem w bok. Nim smędom zdążył cokolwiek zrobić, ostry klin, który wieńczył drugi koniec głowicy topora, zagłębił się w ciele drapieżnika. Dopiero teraz Samon zauważył, że poziom wody w potoku podniósł się.

Tymczasem sytuacja pozostałych towarzyszy po drugiej stronie Bramy Mokrych Progów była dużo gorsza. Przyparciu do skał walczyli chaotycznie, bez żadnego pomysłu i planu. Prawdę mówiąc, mogłoby dojść do rzezi, gdyby nie nagłe pojawienie się Samona, który biegnąc co sił w nogach, zawołał:

- Chodu!

Dopiero po chwili drużyna zrozumiała, dlaczego uciekał. Szum pędzącej fali, podobny do huku kopyt stada spłoszonych koni, wypełnił wąwóz. Zza skalnego przewężenia nagle wypłynęła ściana wody, tocząca białą pianę, jakby była dzikim zwierzęciem. Huk był wszechobecny. Woda uderzyła w zgromadzonych z wielką mocą, zabierając wszystko, co stało na jej drodze.

Niesieni falą, członkowie kompanii ze wszystkich sił walczyli o każdy oddech. Jak rozjuszony zwierzę woda przepychała się przez kamienne ściany wąwozu, szamocąc się i bijąc, aż ziemia drżała. Nawet ogromne skalne

fragmenty, wystające ze ścianek, ułamywały się, niczym ogromne kęsy, pod jej naporem i porwane płynęły dalej z jej nurtem.

Z każdą sekundą niepokój wzrastał w sercu Borga. Próbował chwytać się skalnych ścian, gałęzi, czegokolwiek, co mogłoby go zatrzymać lub przynajmniej spowolnić, lecz nie udawało mu się. Czas mijał, a dostępnych możliwości wybawienia ubywało.

Więcej szczęścia miał Samon. Zahaczywszy o wystającą skałę klinem broni, zatrzymał się w miejscu, gdzie wąwóz wił się jak serpentyna. Cóż by brodacz począł bez swego toporka, który już po raz kolejny ocalił mu życie?

Borgo natomiast mknął dalej, niesiony wodą. Zdawało mu się, że minął po drodze dwie sylwetki: Warda oraz kogoś jeszcze, jednak nie był pewien kogo. Królewicz omal nie stracił przytomności, gdy fala, mijając serię zakrętów, wepchnęła go nagle na kamienną ścianę. Na domiar złego zimna woda utrudniała mu poruszanie się. Palce sztywniały, a ręce odmawiały posłuszeństwa. Lecz nie poddawał się. W oddali dostrzegł kipieli – spiętrzoną wodę przedzierającą się przez lukę pomiędzy dwoma występami skalnymi. Z trudem wyciągnął ku nim ręce, uniesiony do góry, lecz błyskawicznie opadł i tylko musnął je palcami, bowiem rozszerzające się koryto tuż za przewężeniem sprawiało, że poziom wody był w tym miejscu znacznie niższy. Właśnie minął Niżną Bramę. Czasu na ratunek pozostawało coraz mniej, a dystans do wylotu wąwozu nieubłaganie się zmniejszał.

I gdy zdawało się, że wszelka nadzieja zgasła, tuż przed sobą zauważył wystający korzeń starego krzewu. W akcie desperacji, zbierając wszystkie siły, jakie mu pozostały, Borgo sięgnął ku niemu skostniałym z zimna ramieniem. By uzmysłować Ci, drogi Czytelniku, z jaką siłą, z jakiej wielkości falą przyszło się przyjaciółom zmierzyć, powiem, że gdy mijali ów korzeń w drodze pod górę, znajdował się on ponad sześć łokci nad gruntem. Borgo wisiał tam dopóty, dopóki cała rozpędzona fala nie zniknęła za rogiem i nie spłynęła stromymi zboczami Siwych Wierchów, pozostawiając za sobą na dnie wąwozu jedynie zacieki i kałuże. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, Borgo spróbował opuścić się na korzeniu najniżej, jak to tylko było możliwe, lecz kłaczę wyslizgnęło mu się z dłoni. Z głośnym pluskiem wylądował na plecach w wodzie. Oszołomiony i pozbawiony tchu, zebrał się i ruszył w górę wąwozu odszukać kompanów, czy raczej, czego się obawiał, tego, co po nich pozostało.

Długo kroczył sam, ledwo żywy. Skołatany umysł co rusz podsuwał mu przerażające obrazy z udziałem jego braci i przyjaciół. Coraz bardziej zrozpaczonym głosem powtarzał pod nosem: „Gdzie oni są?”. Sam w tym wąwozie czuł się jak porzucone dziecko, zapomniane przez wszystkich. Uszedł z wiorstę, może trochę mniej, gdy za najbliższym załomem usłyszał dwa znajome głosy. Były podniesione, ich właściciele najwyraźniej o coś się kłócili.

Bogom niech będą dzięki! – przeszło przez myśl Borgowi. Nigdy nie sądziłem, że tak się ucieszę na dźwięk

głosu mojego głupiego brata!

Chors i Samon stali naprzeciwko siebie, jeden drugiemu wygrażał, wymachując pięściami przed nosem. Byli tak pochłonięci sobą, że nawet nie zauważyli nadciągającego Borga.

- Coś ty sobie myślał, kretynie?! - darł się wniebogłosy Chors. - Chciałeś nas wszystkich pozabijać?!

- Nie pozwalaj sobie, chłystku! Nie tym tonem, rozumiesz?

- Słuchaj, ty brodata kurwo! - wykrzyknął Chors, chwytając Samona za poły kołnierza. - Za kogo ty się uważasz?!

- Bracie, braciszku... - zawołał uradowany Borgo. - Kochany, ty żyjesz... ty naprawdę żyjesz - powiedział ze łzami w oczach.

Ten na dźwięk słów Borga zamilkł, jakby nagle się opamiętał. Rzucili się sobie w objęcia, jak gdyby wieki się nie widzieli.

- Daleko cię poniosło... Bałem się, że...

- Wiem - odparł Borgo. - Ale wszystko jest w porządku.

- Tak się cieszę.

- Wiesz może, co z pozostałymi?

- Niestety nie - odpowiedział. - Wiem niewiele więcej niż ty. I tak możemy mówić o dużym szczęściu, że przeżyliśmy - rzekł Chors, posyłając kąśliwe spojrzenie Samonowi. - Nie sądzę, by inni mieli go tyle samo co my.

- Ależ mieli - zaprzeczył Samon, wtrącając się do rozmowy. - Widziałem przynajmniej dwóch, kiedy mnie

niosło. Schronili się na półce skalnej! Byli cali i zdrowi, ledwie kilka minut drogi stąd! Tak jak rzekłeś wcześniej, to cud. A teraz zamiast stać i gadać ruszmy się!

- Milcz, kundlu! - warknął przez zaciśnięte zęby Chors.

- Proszę, nie unosź się - rzekł Borgo, powstrzymując brata przed napaścią.

- Mam się nie unosić?! Przez niego omal nie zginęliśmy!

- Tak, bo to ja sprawiłem, że wody nagle wezbrały?! Sami zgodziliście się na przejście przez góry, więc nie miej teraz do mnie pretensji! Wy obaj, wy wszyscy też ponosicie za to odpowiedzialność! W końcu sami zgodziliście się na tę trasę! Zatem łaskawie odwalcie się ode mnie!

Żaden z nich nie domyślał się, że to ulewa z ołowianych chmur, szalejąca w wyższych partiach gór, doprowadziła do wezbrania wód w rzece i spowodowała nagłą powódź.

Chors zacisnął pięść, jakby chciał się rzucić na Samona, lecz ostatecznie powstrzymał się. Rzekł tylko:

- Powinniśmy byli się ciebie pozbyć dawno temu. Drugi raz nie popełnię tego błędu. Nie będę podróżował z mordercą.

- Uwierz mi, bracie, gdyby chciał nas pozabijać, zrobiłby to już dawno temu! Okazji do tego miał aż nadto!

- Gadaj, co chcesz, ja mu nie ufam!

- Nie! - stwierdził krótko Borgo tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zdałoby się, że wypowiadając te słowa, nagle zmęźniał. - Być może i jesteś starszy, ale to ja, mój bracie, tu dowodzę. Samon zostaje!

Bracia wymienili się gniewnymi spojrzeniami, aż cali zeszywnieli.

- Jak chcesz! - rzekł w końcu Chors, odpuszczając jako pierwszy. Szybko się oddalił, sadząc długie kroki. - Rób, jak uważasz - rzucił, nawet nie raczywszy się obrócić. - Ale na mnie nie licz! Otaczają mnie sami idioci...

Borgo ruszył w te pędy za bratem.

- A ty dokąd?

- Byleby dalej stąd! - odparł Chors, nie spowalniając kroku.

- Hej! - rzekł Samon, wtrącając się. Podbiegł kawałek, by dogonić rodzeństwo. - Możemy kłócić się do woli, ale róbmy to gdzie indziej. Wkrótce może się zjawić więcej tych paskud. Nie możemy tutaj zostać, to zbyt niebezpieczne.

- Co więc proponujesz? - spytał Borgo, zatrzymując się.

- Zebrać ocalałych - odparł Samon na tyle głośno, by mógł go usłyszeć również Chors - znaleźć jakąś perć, półkę skalną czy cokolwiek innego gdzieś, gdzie jest wysoko, z dala od wody, i rozpalić tam ognisko; ogrzać się. Wtedy obmyślimy, co robić dalej.

- Tylko tyle? - zapytał ironicznie Chors. - Na nic lepszego waszmości nie stać?

- Bez ogniska i do cna przemoknięci daleko nie zajdziemy! - krzyczał Borgo.

- Jeżeli masz lepszy pomysł, chętnie na niego przystanę! - drwił Samon.

Chors nic nie odpowiedział.

- Tak też myślałem! - parsknął Samon. - Mocny tylko w gębie!

Szli we trzech pod górę. Wszyscy milczeli. Atmosfera była napięta - Chors i Samon patrzyli na siebie wilkiem. Dużo dalej trójka natknęła się na wspomnianą przez Samona dwójkę, Artama oraz Birską. Próbowali zejść z wąskiej wypukłości, na którą zostali wrzuceni przez powódź.

- Trzymaj mocno, bo zaraz się spieprzę! - syknął Artam, dyndając na sznurze. Jego zdrowie zależało od Birską, który ledwo utrzymując równowagę, trzymał linę.

Samon, zajęty wymyślaniem przezwisk dla Chorsa, nie zauważył towarzyszy i w przeciwieństwie do braci nie zatrzymał się.

Wtedy Birsk zachwiał się i wypuścił linę z rąk. W chwili gdy to się stało, Artam spojrział do góry, jakby tamten wbił mu nóż w plecy. Zanim runął, dało się słyszeć przeciągłe: „Ty gnido!”.

- Zaczekaj! - zawołał Borgo do Samona. Ten jednak nie posłuchał i napatoczył się wprost pod Artama, łagodząc jego upadek.

- Nawet nie bolało - zdziwił się Artam. - Ty dupo! - wykrzyknął po chwili w stronę Birską, wygrażając mu ręką.
- Co to?

Grunt nagle się pod nim poruszył.

- Złaź ze mnie! - wycedził Samon, spychając z siebie Artama.

- Wybacz. Nie wiedziałem, że to ty - odparł tamten.

- Jesteś cały. To jakiś cud - stwierdził Borgo, podchodząc do przyjaciela.

- Gdzie tam! Taka fala to za mało, żeby się mnie pozbyć - odarł Artam.

- Hej! A co ze mną?! - przypomniał innym o sobie Birsk. Przecież wciąż tkwił na wąskiej półeczce. - Rzuć mi linę!

- Nie ma mowy, gagatku! Za karę sobie tam posiedzisz! - odparł Artam.

- Co z tobą?! - warknął Chors. Wyszarpał linę Artamowi i rzucił ją Birskowi.

Ten, uradowany, złapał ją. Mina jednak szybko mu zrzędła, gdy uświadomił sobie, że nie ma kto mu jej trzymać. Chwilę stał jak kołek, po czym przypomniał sobie: „No tak! Przecież mam w plecaku hak!“. Szybko go wyciągnął i przywiązał doń koniec liny. Metalowy pazur wbił głowicą miecza w skałę. Szarpnął dwa razy. Wydawało się, że trzyma. Upewniwszy się jeszcze ostatni raz, że nic mu nie grozi, spuścił się w dół.

- Tylko nie zapomnij zabrać liny, gdy skończysz! - zawołał Chors. - Przyda się na pó...

W tym momencie wiązanie puściło i Birsk spadł.

- ...źniej - dokończył Chors, zamykając oczy.

- Ale gigant! - stwierdził krótko Artam z uśmiechem od ucha do ucha.

- Trzy do trzech - bąknął pod nosem Borgo. - Po co nam wrogowie - rzekł, ale już głośniej. - W tym tempie sami się wykończymy.

- Żyjesz? - spytał Samon, podchodząc do Biraska. Jako jedyny przejął się jego losem.

- Żyję - cicho odparł poszkodowany. Leżał na wznak, ale nic mu nie było. - Dobrze, że spadłem na miękkie podłoże.

- Lepiej już chodźmy - zaproponował Borgo, pomagając Samonowi podnieść Biraska.

Do wieczora piątka odnalazła Warda oraz Gara - kręcili się po wąwozie bez pomysłu, co dalej robić. Już po zmroku ocaleni zebrali się w zagłębieniu wyżłobionym w ścianie wąwozu. Zdołano rozpalić jedynie skromne ognisko, gdyż większość drewna była do cna przemoknięta. Tylko kora brzozy chciała się palić. Ogień, przygasający przy najdrobniejszym powiewie, oświetlał zmartwione twarze, gdy z głębi wąwozu dobiegł głośny hałas. Wędrowcy chwycili za broń i czekali. Ktoś się zbliżał, i to bardzo szybko.

- Nie strzelajcie! - zawołał uradowany głos.

Wtedy sylwetka wpadła w krąg światła. To był Radomir.

- Widzieliście Sambora? - spytał od razu. - Szukałem go wszędzie, ale wszelki śluch po nim zaginął.

- Jak to?! Sądziliśmy, że jest z tobą - odparł Ward.

Nikt nie miał wieści o Samborze, nikt nie wiedział, co się z nim stało po przejściu fali. Niestety rany zadane przez smędy były zbyt głębokie i wykrwawił się. Jego olbrzymie ciało, poniesione przez rozwścieczoną wodę, spoczęło gdzieś na stromym zboczu Siwych Wierchów lub zaległo

roztrzaskane u podnóża gór, wspólnie z ciałami swych kocich oprawców. Mimo to drużyna zdecydowała nie opłakiwać Sambora, bowiem wszyscy jeszcze wierzyli w to, że żyje i że się odnajdzie.

Wieczór płynął. Siedzący dotychczas z dala od innych Chors zbliżył się do Samona.

- Powinienem cię przeprosić... - powiedział. - Za swoje wcześniejsze zachowanie. Nie byłem sobą. Wybacz.

Samon dopiero po chwili wstał i odparł:

- Nie kryję urazy. Puśćmy to w niepamięć. Tak będzie lepiej.

- No, skoro mamy to już za sobą - odezwał się Gar, zacierając ręce - pomyślmy, co mamy robić dalej. Czy chcemy zawrócić, iść dalej czy też tkwić tutaj jak kury na grzędzie?

Artam, nie mogąc się powstrzymać, zagadał. Od razu zewsząd posypały się na niego gromy.

- Banda smutasów - skomentował.

- Żarty na bok - zaczął śmiertelnie poważny Samon. - W tych okolicznościach najrozsądniej byłoby zawrócić, zejść z powrotem na niziny, do brodu, tam przeczekać, aż woda w rzece Nun opadnie i przeprowić się przez nią, tak jak pierwotnie planowaliśmy. Tutaj za bardzo jesteśmy wystawieni na pastwę żywiołu oraz na napaści smędów. Wiem, że to ja zaproponowałem tę drogę, ale, jak widać, źle oceniłem sytuację. Dlatego bezpieczniej dla nas będzie, jeżeli prędko zejdziemy. Tak uważam.

- Zmienny jak chorągiewka - bąknął któryś pod nosem.

- A nie lepiej iść dalej? - zaproponował Borgo. - Nie widzę sensu zawracać, kiedy cel jest już tak blisko. Zabrnęliśmy za daleko, żeby... Ile drogi przed nami? - spytał, zwracając się do Samona. - Dzień? Góra dwa?

- Mniej więcej.

- Właśnie - ciągnął dalej Borgo. - Dzień drogi. A tak, jeśli zawrócimy, stracimy bogowie wiedzą ile.

- Tak, ale...

- Co gorsza - kontynuował Borgo, nie pozwalając sobie wejść w słowo - wędrować, mając za plecami te bestie... to jest prawdziwe niebezpieczeństwo. Przed kolejną falą możemy się uchronić w ten sposób, że będziemy podróżować spięci liną, którą przymocujemy do...

- Dość - przerwał bratu Chors, klepiąc go po ramieniu.

- Zagłosujmy. Kto jest za, kto przeciw...

Borga poparli Radomir i Artam, natomiast stronę Samona wzięli Ward oraz Birsk. Gar jako jedyny wstrzymał się od głosu. Spór musiał zatem rozstrzygnąć Chors.

- Choć niechętnie to przyznaję, Samon ma rację - oznajmił. - Musimy czym prędzej opuścić te przekłete góry. W przeciwnym razie równie dobrze możemy zacząć kopać sobie groby.

- Bracie - zaczął Borgo - chyba niezbyt...

- A co, jeżeli przyjdzie kolejna fala? Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia co teraz, a ja nie zamierzam kusić losu.

- A co potem? - dociekał Ward.

- To zależy od tego, co zastaniemy na dole - odpowiedział po chwili namysłu Chors. - Niewykluczone, że okoliczności zmuszą nas do cofnięcia się pod mury Suur Erun. Po ostatnich wydarzeniach już niczego nie wykluczam.

Towarzysze słuchali słów królewicza ze spokojem, jakby wręcz ucieszeni perspektywą powrotu do domu. Nawet Samon zbytnio nie oponował.

- Jesteś pewien? Czy aby na pewno dobrze to przemyślałeś? - spytał Borgo.

- Nie musiałem. Patrz - odrzekł Chors, wskazując na ciemne chmury, które kotłowały się nad wyższymi partiami masywu w łunie zachodzącego słońca. - Musimy jak najprędzej opuścić ten wąwóz i te góry.

- A skąd możesz mieć pewność, że chmury miały jakiś związek z powodzią?

- Może miały, może nie. Tamta woda nie wzięła się znikąd.

Wnioskując po niezadowolonej minie Borga, Chors uprzedził brata i rzekł stanowczo, ucinając dalszą dyskusję:

- Takie jest moje zdanie, tak zdecydowała większość. Uszanuj naszą wolę.

Przez resztę wieczoru Borgo siedział na uboczu, nie mając ochoty już z nikim rozmawiać.

Wyruszyli o brzasku. Schodzenie w dół wąwozu zajęło im zdecydowanie mniej czasu niż wspinaczka pod górę - odcinek od Niżnej Bramy, który wcześniej pokonali w jeden

dzień, w tę stronę zajął im kilka godzin. Myśl, że wkrótce opuszczą Siwe Wierchy, wyraźnie dodawała im skrzydeł. Szli, niemal biegle, wąską ścieżynką wzdłuż turni, aż w dali zamajaczyła łagodna trawiasta grań Koziej Kopy, a przed nią fragment mostu przerzuczonego nad przepaścią - dwa kamienne słupy podtrzymujące liny. Na szczęście wciąż stały na swoim miejscu - rwąca woda ich nie tknęła. Jednak w miarę jak grupa zbliżała się do przepaści, stawało się jasne, że nie przejdą.

- Nie, nie, nie... Niech ich wszystkich diabli wezmą! - złorzeczył na głos rozsierdzony Ward. - Gdzie się podział ten zasrany most?

- Pewnie go zmyło - odparł Samon, chowając twarz w dłoniach. - Mocowania puściły pod naporem wody. Tego się obawiałem.

- Los z nas zakpił - oświadczył Gar. - Nie mamy wyjścia, musimy iść naprzód.

Zdruzgotani kamraci rozsiedli się na owalnym płaskowyzu nieopodal mostu. Na nic już dzisiaj nie mieli ochoty. Jeden tylko Chors zadał sobie trud, by zbadać zniszczenia. Podszedł więc do kamiennych słupów i wzięwszy do ręki kikuty powrozów, przysiadł na trawie. Jakiś czas bacznie im się przyglądał.

- To ciekawe - powiedział pod nosem.

Ziemia pogrążona już była w ciemnościach, gdy drużyna rozłożyła leża wokół ogniska palącego się na środku rówieni. Trochę dalej od obozowiska, z boku, siedzieli Borgo i Chors, którzy jako pierwsi pełnili wartę.

Broń trzymali w pogotowiu. Dodatkowo przed wylotem ścieżki ustawili kilka żagwi, by mieć baczenie na to, czy nie zbliżają się jacyś nieproszeni goście.

Dopiero kiedy reszta towarzyszy zasnęła, Chors odważył się porozmawiać z bratem.

- Nie chciałem tego mówić przy wszystkich, ale wydaje mi się - rzekł ukradkiem, spoglądając w stronę kładki - że zerwany most nie był dziełem przypadku.

- Co masz na myśli? - spytał półgłosem Borgo, mocno zaniepokojony.

- Popatrz - rzekł wskazawszy na ścieżkę. - Jesteśmy daleko od wylotu wąwozu i połączeni z nim wąskim, wijącym się skrawkiem ziemi. To niemożliwe, żeby fala dotarła aż tutaj i zerwała mocowania. Liny - powiedział, upewniwszy się dodatkowo, że nikt ich nie podsłuchuje - nie zerwały się same, ktoś im pomógł. Ten, kto to zrobił, działa przeciw nam... Bardzo mnie to niepokoi.

- Bogowie - powiedział, bardziej do siebie, Borgo. - Podejrzewasz, że jest wśród nas zdrajca, podły sabotażysta?

- Tego się obawiam. Ale na razie zachowajmy te podejrzenia dla siebie.

Poranek wstał rześki i, co najważniejsze, wolny od nieproszonych gości. Po zjedzeniu czegoś naprędce, grupa wyruszyła. W trakcie przygotowań obaj bracia czujnie wpatrywali się w oblicza współtowarzyszy, zastanawiając się, który z nich mógłby działać na szkodę drużyny. Chociaż

w przeświadczeniu Chorsa kwestia sprawstwa była oczywista - za wszystko odpowiedzialność ponosił Samon.

Człapali, jakby ktoś im splątał nogi, dlatego pierwszego dnia nie uszli zbyt daleko. Drugiego dnia było niewiele lepiej. Przez cały ten czas rozglądali się dokoła, czy nie są przypadkiem śledzeni przez olbrzymie koty. Jednakże to trzeciego dnia, z chwilą gdy wkroczyli w skalny wąwóz, zaczęła się istna paranoja. Co rusz ktoś zerkał za siebie i na skały powyżej, a przy każdym pluśnięciu lub głośniejszym szmerze potoku w szeregach drużyny wybuchała istna histeria. Dopiero następnego poranka, widząc, że nic złego do tej pory się nie wydarzyło, niektórzy członkowie uspokoili się, ale tylko nieco. Nabrawszy otuchy i tempa, wkrótce minęli Średnią Bramę.

Na czele pochodu szedł Borgo wraz z Samonem, a zamykał go Gar, obok którego kroczył Birsk. Ten, z wyraźną rozterką wymalowaną na twarzy, już wielokrotnie przyglądał się królewiczowi, od kiedy tylko ponownie wyruszyli w górę. Dotychczas za każdym razem spuszczał wzrok i oddalał się w milczeniu. Jednak teraz w końcu zdecydował się zagaic do Gara:

- Słyszałem, o czym przed kilkoma dniami przy ognisku rozmawiali twoi bracia. Zapewne sądzili, że nikt ich nie podsłuchuje. Mylili się. Słyszałem również, co ty niedawno mówiłeś przez sen. Wiem też, gdzie się zakradłeś i po co...

- O czym ty mówisz?

- Nie udawaj. Wiem, co zrobiłeś - powiedział, ścisząc głos. - Ja wiem, że to ty przeciąłeś liny przy kamiennych

filarach. Nie udawaj niewiniątka.

- Jak śmiesz, parweniuszu?! Masz czelność oskarżać... - wyszeptał Gar.

- Wyznaj prawdę swoim braciom - stwierdził krótko Birsk, nie pozwalając dokończyć Garowi - bo jeśli nie, ja to zrobię. Daję ci szansę, byś wyszedł z tego z twarzą.

Wtem w oddali rozbrzmiało znajome wycie, wydobywające się z wielu gardzieli.

- Smędy! - krzyknął Samon. - Niedobrze, wpadły na nasz trop. Musimy biec co sił w nogach! Nie ma czasu do stracenia!

Natychmiast wyrwali do przodu, jakby sam diabeł deptał im po piętach. Wąwóz przed nimi wił się po stromiznach. Jak na złość buty ślizgały im się po gładkich kamiennych nawierzchniach, utrudniając wspinaczkę, a wycie zdawało się coraz bliższe. Po którymś z kolei zakręcie jeden za drugim minęli trzecie i ostatnie przewężenie. Nagle grupie łatwiej się biegło, ponieważ teren przestał się wznosić, a jeszcze dalej, po jakichś kilku wiorstach, zaczął nawet delikatnie opadać. W międzyczasie ciemne chmury przysłoniły przybierające karmazynową barwę słońce, spowijając wąwóz w półmroku. Odgłosy kroków i sapania odbijały się echem od ścian skalnego tunelu. Dla Gara i Birsk, którzy zamykali pochód, smędy były już w zasięgu wzroku.

Gdy zdawało się, że wąwóz będzie ciągnąć się w nieskończoność, Samon, biegnący na czele, dostrzegł na

ściance zakrętu przed sobą czerwony blask - to było wyjście.

- Nareszcie - wysapał do siebie, po czym zakrzyknął do innych. - Już niedaleko!

Zebrawszy w sobie resztkę pozostałych mu sił, Samon przyśpieszył kroku. Przy zakręcie odbił w prawo i wypadł na długi, zwężający się klif, zwieńczony mostem. Wszystko skąpane było w oślepiającym blasku, przedostającym się przez wąską szczelinę w chmurach. Dopadł do kładki.

Jeden za drugim członkowie wyprawy wkraczali na rozdygotany most, który stękał przy każdym, nawet najdrobniejszym zetknięciu ze stopą. Zdawało się, że nie utrzyma ich ciężaru i lada chwila wszyscy skończą w otchłani, która zionęła poniżej. Jako ostatni wszedł na most Gar. Gdy był w połowie drogi, Samon przystąpił do lin z ostrzem w dłoni.

- Tnijcie! - nakazał po chwili Gar, będący już prawie na drugim brzegu. Ryki smędów robiły się coraz donośniejsze.

- Czeka! - nakazał Borgo, wstrzymując rękę Samona. - A gdzie jest Birsk?

- Dopadły go! Tnijcie! - nakazał Gar, dotarwszy na drugą stronę.

Wtedy z za zakrętu wąwozu wyskoczył ten, który miał być już martwy - Birsk. Na jego widok Gar przeklął cicho. Birsk słaniał się na nogach. Smędy deptały mu po piętach, lecz jakimś cudem osiągnął most. Kładka zaskrzypiała, jakby na znak sprzeciwu. Bestie, dotarwszy do mostu, zatrzymały się; nie weszły nań od razu. Wpierw wypuściły

najmniejszego, by sprawdził, czy można przejść. Z początku kroczył niepewnie, lecz ruszył śmieiej, kiedy zauważył, że jest bezpiecznie. Za nim ruszyły pozostałe.

Gar, widząc, że jego plan pozbycia się Biraska zawiodł, cofnął się nieco za towarzyszy, jak mają w zwyczaju to czynić osoby przyłapano na kłamstwie.

Wkrótce smędy znalazły się nie dalej niż o skok od swej ofiary. Ta wciąż parła do przodu. Kiedy uciekinier spojrział do tyłu, z przerażeniem stwierdził, że bestie go doganiają, a nie zdołał przebyć jeszcze nawet połowy mostu. Jeden ze smędów napiął mięśnie i skoczył. Cięciwa łuku błyskawicznie odpowiedziała. Kocur padł martwy z trzema strzałami w gardle, zanim dosięgnął celu. Niewiele to pomogło, gdyż w jego miejsce pojawiły się kolejne. Sukcesywnie skracaly dystans. Niedoszła ofiara w całym tym zgiełku na nic już nie zwracała uwagi, po prostu parła przed siebie. W pewnej chwili Birsk zachwiał się, kiedy deska, na której postawił nogę, pękła. Bestie nadciągały już z rozdziawionymi paszczami.

Wtedy jedna z lin podtrzymujących konstrukcję puściła. Smędy ze skowytom runęły w dół. Wraz z nimi poleciałyby i Birsk, gdyby nie Gar, który w ostatniej chwili chwycił go jedną ręką, drugą trzymając ostały sznur.

Borgo, zrzuciwszy swój ekwipunek, ruszył ku wiszącym.

Gar starał się wytrzymać, ale czuł, że siły powoli go opuszczają. Dłoń towarzysza zaczęła z wolna wyslizgiwać się z uścisku. Niestety nieszczęśnik osunął się w przepaść. Otchłań wypełniło rozpaczliwe wołanie Gara, który wciąż

wyciągał rękę ku spadającemu, nie mogąc mu już jednak w żaden sposób pomóc.

- Zrobiłeś, co było w twojej mocy - rzekł Borgo, chwytając brata za ramię. - Nic tu po nas.

Nim jęli zawracać, Gar po raz ostatni spojrział w przepaść. Na ułamek sekundy diaboliczny uśmiech wykrzywił mu usta.

Gdy bracia zostali wciągnięci, drużyna ruszyła ku północnym zboczom. Długo wędrowali górskim grzbietem, aż późnym wieczorem zeszli ze skalnych rumowisk z powrotem na zarośnięte kosodrzewiną płaskowyże. Z pewnością była to przyjemna odmiana w porównaniu z jałowym i surowym krajobrazem turni.

Blask ognia padał na wyczerpane twarze towarzyszy. Niewiele mieli sobie do powiedzenia. W końcu Borgo, wróciwszy z obchodu okolicy, rzekł:

- Nie rozpaczajcie, przyjaciele! Udało nam się przebyć te góry w jednym kawałku!

- W jednym kawałku?! - rzucił ironicznie Ward. - Puknij się w głowę, synku. Straciliśmy Sambora i Birską, dwóch dobrych ludzi!

- Ale ty żyjesz - odparł spokojnie Borgo. - I powinieneś się z tego cieszyć. A może wolałbyś się z nimi zamienić?

- Ty parszywcu! - warknął Ward i zerwał się na nogi.

- Uspokójcie się obaj - nakazał Chors, wchodząc pomiędzy zwaśnionych. - Co się z wami dzieje?!

Zachowujecie się jak dzieci. Z pewnością Sambor i Birsk nie chcieliby, żebyście kłócili się nad ich grobami.

Wkurzony Ward poprawił grzywkę i zdecydowanym krokiem wrócił na swoje miejsce.

- Chors ma rację - powiedział Gar. - Lepiej uczcijmy pamięć Birska zamiast drzeć koty. Wypijmy za naszego poległego kolegę - dodał, unosząc swój bukłak.

Inni postąpili tak samo.

- Za Birsk - zabrzmiał chór głosów. W tym samym czasie wszyscy pociągnęli łyk tego, co mieli w bukłakach.

- Był dobrym przyjacielem. Będzie mi go brakować - pierwszy rzekł Gar, przerywając milczenie.

- Co ty gadasz?! - zdziwił się Chors. - Przecież ledwo go znałeś!

- Ale ostatnio stał mi się bardzo bliski - odparł Gar. - A co ty o nim powiesz? Co wy wszyscy o nim powiecie?

Pozostali z trudem mogli cokolwiek z siebie wykrztusić na temat zmarłego. Powtarzały się cały czas te same formułki: „Był lojalnym towarzyszem” oraz „Żwawo wywijał mieczem”. Ciekawszej odpowiedzi udzielił Borgo: „Nie był wybredny. Zjadał wszystko, co mu się podsunęło. Idealny facet dla marnego kucharza”. W końcu przyszła pora na Artama.

- No cóż, trudno mi cokolwiek o nim powiedzieć - zaczął. Ostatecznie, zastanowiwszy się, co więcej powiedzieć, wydusił z siebie: - Sam nie wiem... Może to, że miał szybką śmierć i przynajmniej nie cierpiał.

- Nie cierpiał?! - wtrącił zaskoczony Ward. - Spadł ze sporej wysokości i pewnie rozmaślił się na dnie przepaści... Albo jeszcze gorzej. Jak to może nie boleć?

- Ale wkoło było ciemno! - zripostował szybko Artam. - I nie widział, na co i kiedy spadnie! To też się liczy - dodał na koniec, dumny z siebie, że udało mu się wybrnąć z niezręczności.

- Dobrze, skończmy już tę żenadę i chodźmy spać - nakazał Borgo. - Pierwszy pełnię wartę. Wy się wyśpijcie.

O poranku wznowili zejście północnymi zboczami Siwych Wierchów. Poruszali się szybko w dół stromym żlebem. Krajobraz przed nimi uległ zmianie. Nie było już gęsto zalesionych plam zieleni, tylko jeden wąziutki paseczek zmizerniałych iglaków, za którym roztaczała się pożółkła, sięgająca po horyzont równina Skraju. Gdzieś w oddali majaczyły pojedyncze ciemne punkciki - domy pasterzy, jakieś zwierzęta albo jeszcze coś innego. Przed wieczorem zeszli wprost na polany Skraju. Widok łagodnych pagórków wlał nieco otuchy w serca strapionych podróżników.

Teraz rozpoczęła się najprzyjemniejsza część podróży. Brukowany trakt, który bohaterowie wkrótce odnaleźli, wiódł prosto przez step i czynił to w najprostszy możliwy sposób - przecinając go przez sam środek. Jediną nieprzyjemnością, z jaką przyszło im się zmierzyć w trakcie tej części wędrówki, były chłodne wiatry, hulające po bezkresnych równinach i jednocześnie nadające im niezwykle wygląd. Bowiem gdzie tylko okiem sięgnąć,

ciągnęły się pola wysokich i pożółkłych traw, miejscami poprzątkane wciąż zielonymi kępami, które falowały w rytm wiatru. Pomiedzy nimi, w niewielkich zagłębieniach terenu, utworzyły się bajorka po niedawnych opadach. Jeśli wicher na chwile przycichł, można było w nich dostrzec, niczym w wielkich zwierciadłach, błękit nieba wyzierający spomiedzy chmur. Zaś daleko na wschodzie i na południu widniały niewielkie trawiaste wzgórki, skąpane w blasku słońca.

Cztery dni zajęło bohaterom dotarcie do pól uprawnych i pastwisk otaczających Charodunę. Nocą schronili się w starej, opuszczonej chatce. Pozostałości płotu walały się po ziemi. Wielka dziura świeciła w dachu, ale i tak było to lepsze niż sen pod gołym niebem.

Po kolacji Borgo przysiadł na beczce na zewnątrz domu. Chciał побыć trochę sam, z dala od innych. Twarz miał zatroskaną. Noc była spokojna, a niebo bezchmurne. Wszędzie dokoła panowała ciemność – w żadnym z okolicznych domów nie paliło się światło. Tylko daleko na północy jaśniał wysoko blask, niczym światło latarni morskiej. To musiała być Charoduna. Zatem wciąż stała. Borgo długo wyteżał wzrok, próbując dostrzec więcej szczegółów miasta. Towarzyszył mu jakiś dziwny lęk, strach, który mącił spokój jego myśli i nocą nie pozwalał zasnąć. Trwało to już od zeszłego tygodnia. Od tamtego czasu im bliżej celu się znajdowali, tym większy lęk w nim narastał.

- Co cię trapi, maluchu? - zagadał zniecierpliwiony Chors, dołączając do Borga. Ten aż podskoczył zaskoczony. Przynajmniej przestał wpatrywać się w dal nieobecny wzrokiem.

- Wystraszyłeś mnie! Nie słyszałem, jak się zbliżasz! - odparł w pierwszej chwili. - Nic... Musiałem po prostu pobyć trochę sam. To wszystko... - dodał po chwili, nieco się uspokoiwszy. Zasłonił się uśmiechem.

- Przestań, przecież widzę. Myślisz, że nie znam tej miny? Powiedz, co ci leży na wątrobie - powiedział Chors, szturchnąwszy brata.

- Może zabrzmiało to głupio, ale... Jesteśmy już tak blisko, a ja... się boję. - Dało się zauważyć, że ubranie w słowa swoich uczuć nie przyszło mu z łatwością. - A co, jeśli to prawda? Jeżeli ta historia naprawdę się wydarzyła? Boję się zmierzyć z tą bestią, stanąć z nią oko w oko. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że to ja wpadłem na ten pomysł i to ja was nakłoniłem do tej wyprawy. To przede mną oni nie żyją. To ja ponoszę odpowiedzialność za ich śmierć. Rozumiesz?! Nic już tego nie zmieni! Do końca życia będę nosił ten ciężar! - żalił się Borgo, wpatrując się w oczy brata, po czym spuścił głowę i zamilkł. - Choć z drugiej strony - dodał po chwili już spokojniej, nie podnosząc wzroku - gdzieś w środku, bardzo głęboko, chcę, pragnę, żeby ta historia nie była kłamstwem, by pokazać ojcu, że to on, a nie ja, był w błędzie.

- A czy już tego nie udowodniłeś, docierając dalej, niż którykolwiek z niedowiarków mógłby sądzić? Już

zatriumfowałeś, braciszku. Tamtego wieczora przed mostem... Nikt z tutaj obecnych nie miałby ci za złe, gdybyś wtedy zawrócił, tak jak ci proponowaliśmy.

- Ale na szczęście tak się nie stało! - odparł Borgo, zirytowany kierunkiem, w którym toczyła się rozmowa. - Miałbym powrócić bez smoczej głowy? Kpiny! Udowodniłbym tylko ojcu, że miał rację. Nie! Muszę dokończyć, co rozpocząłem! Całe szczęście, że zerwało most - zamruczał Borgo pod nosem. Kiedy wypowiadał te słowa, wydawał się odmieniony, jakby ogarnięty szaleństwem.

- Chcesz mi powiedzieć, że życie moje, twoje, naszych towarzyszy, nas wszystkich, jest dla ciebie mniej warte niż twój własny honor?! Wolisz iść w zaparte, byleby tylko nie przyznać się do porażki? To mi chcesz powiedzieć? Godzić się na śmierć kolejnych towarzyszy, żebyś tylko mógł wykrzyczeć ojcu w twarz, że ten się mylił?! Posłuchaj siebie! Pamiętaj, bracie, prawdziwy mąż nigdy nie przedkłada własnego dobra ponad dobro innych. Nigdy!

W tym momencie Chorsowi zaświtała pewna myśl. Zaczął się zastanawiać, czy to aby nie Borgo stał za wszystkim, czy to nie on przeciął liny. Zmierzył brata przenikliwym spojrzeniem.

- Czy chciałbyś mi coś wyznać? - spytał Chors.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Rozumiesz doskonale. Pamiętasz naszą rozmowę, pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem o linach. Zatem? - naciskał Chors.

- O nie, co to to nie! - zbulwersował się Borgo. -
Poznają to spojrzenie. Chyba mnie nie podejrzewasz?

- A powinienem?

- Nie wierzę! Nie wierzę własnym uszom! - załamał
ręce Borgo.

- Nie podnoś głosu! - wymamrotał Chors.

- Wiesz co, kochany bracie, pieprz się! Nie mam
zamiaru słuchać tych oszczerstw. Znajdź sobie inną ofiarę!

- Nie odchodź! - powiedział Chors. - Jeszcze nie
skończyliśmy!

- A właśnie że skończyliśmy! Tak się nie będziemy
bawić. Jeżeli masz mi coś do zarzucenia, powiedz mi to
prosto w oczy, zrób to przy wszystkich! Jak na prawdziwego
męża przystało!

Chors milczał.

- Cipa! - skwitował Borgo, bezdźwięcznie poruszając
ustami.

O poranku wyruszyli. Droga do celu biegła prosto, bez
zbędnych meandrów, więc na długo przed zmrokiem grupa
osiągnęła podwoje miasta. Trudno było uwierzyć, by
szalone opowieści księcia Gidyra o smoku zawierały
choćby krztę prawdy. Bowiem patrząc na miasto, nie
dostrzegało się żadnych śladów walki lub oblężenia,
niczego, co by wskazywało na to, że do napaści w ogóle
doszło.

Sama Charoduna leżała na półwyspie, wtulona
pomiędzy dwa niezbyt wysokie kopce. Rzeka płynąca na

północ od grodu łagodnym łukiem oblewała wschodnie krańce półwyspu i biegła spokojnie dalej w kierunku południa. Wcześniej jednak musiała przepłynąć przez jezioro, które okalało gród od północy i zachodu. Z roku na rok powiększało ono swe rozmiary i prawdopodobnie w przyszłości pochłonie most lądowy, czyniąc z półwyspu wyspę. Na cypel można się było zatem dostać tylko przez stosunkowo ciasny przesmyk na południowowschodnim krańcu. Sam półwysep był niegdyś skalnym wzniesieniem podobnym do łodzi - długim i smukłym. Obecnie pozostał jedynie kształt oraz zewnętrzna kamienna fasada, tworząca mury, całe zaś wnętrze zostało wydrążone i przekształcone w miasto.

W miejscu, w którym byłby dziób okrętu, ulokowano bramę wjazdową, jedyną szczelinę w białej fasadzie muru. Była położona niżej niż plac, do którego wiodła. Wysokość murów na południowym krańcu nie przekraczała dziesięciu łokci, lecz już na zachodzie liczyła niebagatelne czterdzieści, a to za sprawą wzniesienia, które biegło łukiem wzdłuż brzegu jeziora. Jako że był to najwyższy położony punkt grodu, na jego szczycie wybudowano więżę obserwacyjną. Miasto otaczały liczne gospodarstwa, największe zaś ich skupisko mieściło się wzdłuż północnego brzegu stawu ze względu na jego zasobność w ryby.

- Dziękuję wam, moi drodzy - mówił, niemal krzyczał, rozradowany Samon. - Momentami mieliśmy nie po drodze ze sobą, nie da się ukryć - rzucił spojrzenie w stronę Chorsa - ale prawda jest taka, że gdyby nie wy,

prawdopodobnie już nigdy nie ujrzałbym swojego domu, lecz gniłbym w tamtym zatęchłym lochu lub, co gorsza, już nie żył. Żadne kłótnie nie zmienią tego, że jestem wam dozgonnie wdzięczny. Doprawdy nie wiem, jak mam się wam odwdzięczyć, przyjaciele.

- Nie zadawaj sobie trudu, nie trzeba, naprawdę - powiedział Ward.

- Ależ trzeba! Trzeba! Zawdzięczam wam życie, a takie długi należy spłacać! - Na chwilę zamilkł. - Jutro rano zaprowadzę was do mojego ojca. Sowiec was wynagrodzi, obiecuję. A dzisiaj zapewnię wam dach nad głową, na mój koszt. Proszę - Samon zdjął z palca pierścień i wręczył go Borgowi. - To powinno wystarczyć na królewskie łożo u starego Barwina. Jeżeli jednak nie wystarczy, powołajcie się na mnie, powinien zejść z ceny. Może nawet dorzuci coś ekstra - Samon mrugnął porozumiewawczo do towarzyszy. - Prowadzi zajazd o nazwie Podpalanka. Łatwo tam trafić, to ledwo sto łokci od bramy w tamtą stronę - rzekł, wskazawszy kierunek na prawo od wrót. - A zatem, przyjaciele, czas już na mnie. Do zobaczenia jutro.

- Gdzie mamy cię szukać?

- Nie musicie. Koło południa zajrzę do was. Chyba że wolicie później?

- Koło południa najzupełniej wystarczy - odparł Borgo.

- Jeszcze raz dziękuję wam z całego serca.

Samon ruszył zważnym krokiem, nagle jednak zatrzymał się i wrócił do grupy.

- Na wypadek gdyby Barwin się pytał, to pamiętajcie, że mam zielone oczy.

Pożegnał kompanów skinieniem głowy i ruszył przed siebie. Po chwili zniknął w morzu ludzi.

- Ciekawe, czy rzeczywiście go jutro zobaczymy - skwitował Gar, zerkając na braci.

- Nie liczyłem na to - odburknął Radomir. - Upewnij się chociaż, czy to złoto.

- Wygląda w porządku - odrzekł Borgo, sprawdzając pierścień zębami. - Chodźmy. Nie będziemy tu stać jak kołki.

Wtedy wszyscy zdali sobie sprawę, jak bardzo w ostatnim czasie brakowało im wygód, zwłaszcza ciepłej kąpieli, miękkiego pośłania, a także odrobiny luksusu, jakim było ciepło kobiecego ciała. Garowi brakowało zwłaszcza tego ostatniego.

Jednak zanim udali się do lokalu wskazanego przez Samona, musieli oddać wszelką broń strażnikom stojącym przy bramie wjazdowej. Jedyne, co pozwolono im zachować, to, nie wiedzieć czemu, łuki i strzały.

Przyjaciele, pozbawieni prawie całego oręża, skierowali się w stronę wskazaną wcześniej przez Samona. Rzeczywiście, trudno byłoby nie trafić do wspomnianego przez niego zajazdu. Duży, dwupiętrowy budynek wyróżniał się na tle pozostałych, mniejszych domostw. Charakteru dodawała mu wieżyczka, na szczycie której palił się kaganek. No cóż, trzeba wiedzieć, jak zwabić klientów. Pomimo pory w większości pokoi światła się nie paliły, a te,

w których je zapalono, można było zliczyć na palcach jednej dłoni. Czyżby chwilowy zastój w interesie?

Borgo wraz z pozostałymi już mieli wejść do środka, gdy nagle zza rogu jednego z sąsiednich domów wyszedł nagi mężczyzna. Przeszedł ulicą bez żadnego skrępowania czy zażenowania. Minął naszych towarzyszy i zniknął w alejce z boku gospody. Tym większe było ich zdziwienie, gdy z tej samej alejki wyszło dwóch kolejnych, tym razem nie całkiem rozebranych facetów. Ci przynajmniej mieli ręczniki przewiązane wokół bioder. Jeden z nich nawet ukłonił się nowo przybyłym gościom.

- Co, do pioruna?! - Gar nie mógł nie skomentować niecodziennego widoku, którego byli świadkami. - Co to ma znaczyć? Gdzie on nas skierował?

- Już, do środka! - nakazał Chors.

- Jesteś tego pewien?

Wewnątrz przybytku panował spokój. Prócz paru gości, którzy siedzieli w rogu, lokal świecił pustkami. Trzej bracia przystąpili do szynkwasu, reszta została przy wejściu. Wyraźnie słyhać było, jak Ward szepcze do Artama:

- Stań za mną, nie chcę żadnych niespodzianek.

Nagle jakaś mała, potargana postać wpadła na zebranych przy drzwiach towarzyszy i przepchnęła się bezczelnie między ich nogami.

- Z drogi, albatrosie! - warknęła zachrypniętym głosem na Radomira i szybko czmychnęła do drugiego pomieszczenia. Chwilę później karzeł zawołał: - Barw! Łajzo jedna! Klienci!

Drzwi za ladą otworzyły się z impetem.

- Jadzia! - krzyczał głos zza baru. - Jadźka! Nie no, ja ją zabiję. Ona mnie schab przez „p” pisze na zamówieniu! - Pulchny właściciel głosu wypadł z kuchni z tasakiem w dłoni. - Gdzie ta cholera? - wołał. Po chwili jednak, gdy tylko dostrzegł nowych gości, karczmarz rozpromienił się w szerokim uśmiechu.

Borgo i pozostali popatrzyli na siebie, zaniepokojeni.

- Słucham, czym mogę panom służyć? - odezwał się Barwin. - Piwa? Łóżka? Żona tylko za dodatkową opłatą, ho, ho, ho - ostatnie zdanie dopowiedział półgębkiem.

- Szukamy noclegu dla sześciu osób. Znajdzie się coś dla nas? - spytał Borgo.

- Jednego dla sześciorga nie mam. Mam za to kilka mniejszych, ho, ho, ho - zaśmiał się grubasek. (Pocieszny facet, prawda?) - Bez urazy, waszmościowie. Lubię się pośmiać. W końcu kto nie lubi? Samo zdrowie, ho, ho, ho!

Swoją drogą był to ciekawy typ, ten Barwin. Choć dobrze po pięćdziesiątce, rumiane i okrągłe poliki nadawały mu wygląd pączka. Dosłownie. Był tak samo wysoki, jak szeroki. Z okrągłego ciała wystawała równie okrągła, nieskalana włosem głowa. Z twarzy karczmarza nie schodził szczery uśmiech. Generalnie przypominał wyrośniętego bobasa. W żywych oczkach błyskały figliki. Ponieważ prowadził interes od dawien dawna, znał chyba wszystkie możliwe dowcipy, którymi, jak zdążyliście zauważyć, co chwila raczył swoich gości. Lojalnie więc uprzedzam, przygotujcie się - trochę ich będzie.

- Dobrze panowie trafili - kontynuował, ale już poważniejszym tonem. - W całym mieście nie znajdziecie lepszych kwater. Szczęście wam sprzyja, prawie cała góra jest wolna. Mały ruch w interesie, sami panowie widzicie - rzekł, wskazując ręką na salę.

Nim Borgo zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Gar szturchnął go, zerkając wymownie na złoty pierścień.

- A można wiedzieć, co ma pan do zaoferowania przyjaciołom Samona? - spytał Borgo, celowo machając podarkiem przed oczami gospodarza.

- To zależy - odparł Barwin, zniżając głos i oparł się o ladę.

- Od czego? - spytał Borgo, dołączając do karczmarza.

- No cóż... Niech mi waszmość powie, jakiego koloru ma oczy?

- Zielonego - stwierdził pewnie Borgo.

Karczmarzowi stężała mina, oczy zaś utkwiał w kliencie, jakby czekając na poprawną odpowiedź. Gdy po dłuższej chwili wyraz twarzy nie ulegał zmianie, pewność Borga z wolna pierzchała. Zaczął przetrząsać zakamarki swojej pamięci, starając się upewnić, czy aby na pewno dobrze spał. Przecież mówił zielone - zastanawiał się. Na pewno. Wyraźnie powiedział zielone. Chyba. A Barwin jak milczał, tak milczał.

- Zgadza się - zaśmiał się znieńacka w pewnym momencie gospodarz. - Wszystko się zgadza.

W odpowiedzi Borgo, załamany wygłupami Barwina, skrył twarz w dłoniach. Matko - powtarzał sobie

w skrytości ducha.

- W takim razie proponuję najwygodniejsze łóżka, waszmościowie na pewno są skonani. Każę także nastawić banie. Za dwa kwadransy powinny być gotowe.

- Doskonale! - odparł Gar.

- Mały! Ma-a-a-ły!

- Czego? - odezwał się karzeł, krzątający się gdzieś w głębi lokalu.

- Przygotuj sześć „niedźwiadków”! I tym razem masz zaprowadzić KO-RY-TA-RZEM, nie przez dziedzińczyk jak ostatnio! Zrozumiałeś?! A teraz poproszę za mną - rzekł do podróżnych, zmieniawszy ton na łagodniejszy. - Wskażę panom pokoje.

Prawdziwą wygodę pozna tylko ten, kto przez długi czas jej nie zaznał. Kąpiel, miękkie łóżko z poduszką oraz posiłki, których nie trzeba samemu sobie przyrządzać, wszystko to zdawało się być nadzwyczajną wygodą po tak długim okresie pełnym różnych niedogodności.

Zgodnie z życzeniem właściciel karczmy zbudził podróżnych około dziesiątej. Tylko Borgo nie mógł się zwlec - toczył właśnie najtrudniejszą walkę podczas tej wyprawy. Szybko przygotowano śniadanie. Oczywiście gospodarz nie byłby sobą, gdyby trochę nie podowcipkował, w związku z czym wędrowcy poznali jeden z jego najpopularniejszych żartów. Zapytawszy: „Czy ma pan jajka?”, w odpowiedzi usłyszeli: „Nawet dwa, ho, ho, ho”.

Borgo zszedł na dół chwilę po pozostałych, wciąż zaspany. Zdradzało go nieprzytomne spojrzenie oraz nieład

panujący na jego głowie.

- Aha! - rzekł Artam do Borga, kiedy ten się przysiadł do stolika.

- Co? - spytał Borgo, patrząc na niego jednym okiem, jako że drugie chyba się jeszcze nie obudziło.

- Te włosy dowodzą, że nie nad wszystkim w życiu można zapanować.

Gdy Barwin podszedł po raz kolejny do stołu, by zebrać puste talerze, przystanął, jakby czegoś nasłuchiwał.

- Słyszycie to? - rzucił z zatroskaną miną. Wszyscy zamilkli, nadstawiając uszu.

- Ale co? - spytał po chwili zdziwiony Gar.

- Ja tam nic nie słyszę - wtrącił Ward, dojadając bułkę.

- Coś tu szumi... Broda ci rośnie - rzekł w końcu gospodarz, uśmiechając się do gładkoliciego młodzieńca, jakim był Borgo. Ten w odpowiedzi tylko machnął ręką.

Gdy już wszyscy skończyli się śmiać, Chors przesiadł się na miejsce obok Borga. To miała być ich pierwsza rozmowa od czasu pamiętnej kłótni.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Chors. - Cały poranek zamęcza nas swoimi dowcipami. Niektóre były nawet niezłe. Słuchaj - mówił dalej, lecz już znacznie poważniejszym tonem i ze śmiertelną powagą, malującą się na jego twarzy. - Rozmówiłem się z towarzyszami. Zgadzą się ze mną. Nie ma sensu dłużej zagrzewać tu miejsca. Sam widziałeś, miasto stoi, żaden smok czy inna poczwara mu nie zagraża. Odbierzmy naszą nagrodę i wyjedźmy stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Borgo nie odpowiedział, jakby w ogóle nie zwracał na brata uwagi. Dopiero po jakimś czasie, w przerwie między jednym a drugim kęsem pajdy chleba, stwierdził niechętnie:

- W tej sytuacji chyba nie ma sensu się upierać.

Przed wybiciem południa każdy z członków drużyny był już ubrany i wypucowany, chociaż wszystkich dręczyła wątpliwość, czy Samon się pojawi, czy może wywinie jakiś numer. Ciekawość wzięła górę. Postanowiono nie odpuszczać.

Rozmówiwszy się z Barwinem, opuścili lokal. Ku ich zaskoczeniu na zewnątrz czekał już komitet powitalny złożony z dziesięciu strażników, z których każdy był uzbrojony po zęby. Ustawivszy się w półkole, zablokowali wejście do lokalu. Coś jednak Borgowi nie pasowało. Zauważył, że mężczyźni, którzy stoją przed nimi, wyróżniali się swoimi rysami twarzy na tle innych mieszkańców tego miasta, podobnie było z ich skórą - jej odcień bardziej przypominał orzech włoski aniżeli sosnę, kolor wspólny charoduńczykom.

Najroślejszy z nich wystąpił na przód spokojnym krokiem. Omiótł wędrowców wzrokiem, po czym zbliżył się do Borga i stanął obok niego w odległości zaledwie łokcia.

- Pójdziecie z nami - nakazał stanowczym głosem. Miał dziwny akcent, nietutejszy.

Radomir odruchowo sięgnął ku rękojeści miecza, lecz chwycił tylko powietrze.

- Skierowano przeciwko nam jakieś zarzuty? - spytał Chors.

- Wręcz przeciwnie - odparł dowódca. - Jesteście wśród przyjaciół. Mamy was odeskortować do pałacu.

- Mam złe przeczucia - wyszeptał do Gara Ward.

Szli główną ulicą. Napotkani ludzie z zaciekawieniem przyglądali się ich przemarszowi, w końcu nie codziennie widzi się takie rzeczy. W mgnieniu oka ludzie zbili się w małe grupki, od których po chwili posypały się różnego rodzaju komentarze i hipotezy na temat tego, co mogli przeszkrobać konwojowani i jaka czeka ich za to kara.

- Ci to musieli narozrabiać. Niech pani spojrzy, jak źle im z oczu patrzy. Zwłaszcza temu - oczy jak u wilka - powiedziała jedna ze stojących w tłumie kobiet, patrząc na Gara.

- A co pani wygaduje... Widać, jaka obeznana - odparła druga.

- Na pewno wychłostać idą - dorzuciła swoje pięć groszy kolejna.

Z kolei zdaniem innej babulinki Gar (nie wiedzieć czemu, uczepili się biedaka) na pewno był seryjnym gwałcicielem, ponieważ, jak to ujęła: „Ma oczy pod wierzchem”, co zapewne miało sugerować, że to pies na baby.

Charoduna nie należała do najrozleglejszych osad, dlatego wkrótce grupa znalazła się przy bramie pałacowej. Od reszty miasta kompleks książęcy oddzielony był wysokim, kamiennym murem. Dwie rosłe osoby, stojące jedna na drugiej, miałyby spory kłopot, żeby dosięgnąć jego szczytu.

Wkroczyli na plac w kształcie kwadratu. Odchodziło z niego osiem dróg, po dwie z każdego rogu. Od północy, czyli z przeciwnej strony aniżeli szła kolumna, skwer zamykał solidny, również kamienny trzem. Właśnie tam byli prowadzeni.

Niepokój narastał w Borgu z każdym kolejnym krokiem. Rozglądał się nerwowo, patrzył to w prawo, to w lewo. W końcu wprowadzono ich do Wielkiej Sali (a nazwali ją tak, bo była ogromna), którą wybudowano na planie koła. Kolumny biegły wzdłuż obu ścian i schodziły się w jednym punkcie – na podeście, za tronem.

Gdy wędrowcy zbliżyli się do podium, drzwi za ich plecami zatrzasnęły się z ogromnym hukiem. Większość strażników stanęła z boku, kilka kroków od grupy, trzech natomiast ustawiło się tuż przed wzniesieniem, między tronem a przybyszami. Centralne miejsce na podeście zajmował okazałych rozmiarów, choć raczej skromnie zdobiony, drewniany tron, na którym siedział mężczyzna. Mimo podeszłego wieku i wszelkich przykrych atrybutów z tym związanych, nosił się godnie. Długie, siwe włosy swobodnie opadały na jego ramiona, które wciąż wyglądały na krzepkie, a spojrzenie miał zadziwiająco bystre. Obok niego, na mniejszym tronie, siedziała niewysoka, drobna kobieta. Wiek i przeżycia odcisnęły na jej twarzy wyraźne piętno, choć zapewne znalazłyby się osoby, które określiłyby ją mianem atrakcyjnej. Biły od niej powaga i dostojeństwo, które kontrastowały z jej niewielką posturą.

Mężczyzna na tronie dość długo wpatrywał się w przybyszy, nim zdecydował się zabrać głos.

- Wybaczcie, proszę, nieznajomi, niedogodności, lecz musiałem mieć pewność, że uda nam się spotkać przed waszym odjazdem. Przyjmijcie, proszę, podziękowania za wasze starania jako oznakę zarówno mojej, jak i mojego jedyne go syna dozgonnej wdzięczności.

Drużynnicy wymienili zaskoczone spojrzenia, zupełnie zbici z tropu.

- Bez waszego udziału zapewne nie byłoby go tutaj z nami.

W momencie gdy padały te słowa, do hali wkroczył wychudzony mężczyzna prowadzony pod rękę przez rudoblond dziewczynę. Zdziwienie ogarnęło wszystkich, kiedy okazało się, że był to Samon. Oboje stanęli przy władcy.

- Nie muszę mówić, jak wielką radość mi sprawiliście - kontynuował książę. - Wypada jednak nadmienić, że przywróciliście szczęście również mej ukochanej córce, Imerien. Proszę, podejdź, dziecko. - Dziewczyna odstąpiła od brata, postępując zgodnie z wolą ojca.

Borgo oniemiał na widok księżniczki. Typowy przypadek miłości od pierwszego wejrzenia. Serce młodzieńca przyśpieszyło. Cały świat nagle przestał się liczyć. Nie zauważył nawet momentu, w którym Samon zszedł z podium, by podziękować każdemu towarzyszowi wyprawy z osobna. Oprzytomniał dopiero na koniec

wypowiedzi, przy słowach: „Mówcie, przyjaciele, czego pragniecie, proście o cokolwiek, a będzie wam to dane”.

- Na cóż ta cała maskarada? - spytał skonsternowany Chors.

- Wybaczcie mi, ale była konieczna. Proszę, nie zrozumcie mnie źle, nie znałem was, nie znałem waszych zamiarów. Nie mogłem wam zaufać. Teraz wiem, że to był błąd. Wstydzę się tego i błagam was, przyjaciele, z całego serca, abyście mi wybaczyli.

W pewnym momencie Borgo dostrzegł na sali kogoś jeszcze - stojącego tuż obok tronu, schowanego za kolumnadą. Z wielką uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

- Choć wiele nie mamy - kontynuował książę - to długów tego rodzaju nie pozostawiamy niespłaconych.

- Toteż i my, panie, nie chcemy wiele, ledwie kilka koni i zapasy, które wystarczyłyby na powrót do domu - odrzekł Chors.

- A kiedy, moi przyjaciele, chcielibyście wyruszyć?

- Jak najprędzej, panie - odparł Borgo.

- Zrobię, co w mojej mocy, choć o rumaka będzie trudno, bowiem wszystkie są teraz w rozjazdach.

- Czy o nic więcej nie poprosicie? - spytał Samon. Nie wiedzieć czemu, był lekko poddenerwowany, choć starał się to ukryć.

- Nie. To i tak aż nadto.

- Niech i tak będzie - rzekł książę. - Poślę po was wraz z powrotem pierwszych koni.

Gdy rozmowa dobiegła końca, tajemniczy jegomość zniknął, jakby nagle rozpląnął się w powietrzu.

Kim on był? – głowił się Borgo.

Dzień pomału chylił się ku końcowi, królewicz postanowił więc wykorzystać pozostały czas i udać się na przechadzkę ulicami miasta w towarzystwie swojego brata. Pozostali woleli zostać w oberży i wychylić kilka kufli lokalnego specjału.

Po nieprzychylnych spojrzeniach, które wcześniej wyzierały spod powiek mieszkańców, nie było już śladu. Wieści, że nie są bandytami, najwyraźniej szybko rozeszły się wśród miejscowych.

Wieczór był nadzwyczaj ciepły jak na tę porę roku i chyba dlatego w okolicach rynku wciąż panował gwar. Ludzie krążyli między straganami, zaś kupcy przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Zupełnie jak w trakcie rodzinnego obiadu – pomyślał Borgo.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, wpadła na braci kobieta. Cała zawartość jej koszyka wylądowała na bruku.

- Najmocniej przepraszam, mości panowie - rzekła kobieta, zbierając parafernalia z ziemi.

- Nie szkodzi, panienko - odparł Borgo, który schylił się, by pomóc dziewczynie.

- Mój pan, czcigodny Samon, chciałby się z wami spotkać - wyszeptała nagle kobieta. - Czeka na was w świątyni. Szukajcie samotnika - powiedziała, po czym

oddaliła się jak gdyby nigdy nic, włożywszy wszystkie rzeczy z powrotem do koszyka.

Bracia po szybkiej wymianie spojrzeń bez zbędnej zwłoki udali się w umówione miejsce. Kobieta nie kłamała, Samon czekał na nich w świątyni. Niełatwo było go poznać, gdyż odziany był w płaszcz z obszernym kapturem, który skutecznie zakrywał jego twarz. Siedział samotnie, lecz zerwał się, gdy tylko dostrzegł przybyszy.

- Przyjaciele, jak miło was widzieć. Cóż za przypadek! Wy też tutaj? - spytał z uśmiechem przyklejonym do twarzy, prowadząc braci w dalszą część budynku. - Przyłączycie się? - spytał, po czym przyciszonym głosem dodał. - Idźcie, idźcie, zaraz wam wszystko wyjaśnię.

Zajęli jedną z przednich ław.

- Wybaczcie mi tę farsę, ale była konieczna. Dzisiaj, w trakcie naszej wcześniejszej rozmowy, nie poznaliście całej prawdy. Historia, którą mi opowiadaliście, a której nie dawaliśmy wiary, jest prawdziwa.

- A niech mnie! Zatem to prawda - powiedział Borgo. Właśnie ziściły się jego najgorsze obawy. Bestia istnieje...

Chors łypał oczami w stronę Borga, lecz ten milczał, w końcu sam postanowił zabrać głos:

- Samonie...

- My także, tak jak ty wcześniej, chcemy prosić o wybaczenie, bowiem i my nie byliśmy z tobą do końca szczerzy - wszedł mu w słowo Borgo. Wyglądał na przestraszonego. - Nie jesteśmy zwykłymi wędrowcami...

W taki to sposób Borgo wyjawiał przed Samonem prawdziwy cel podróży i powód, dla którego kompanów było tak niewielu. Nie muszę chyba mówić, że Samon nie był zachwycony. Zapewne spodziewał się odsieczy stokroć liczniejszej. Mimo wszystko poczuł wdzięczność wobec młodego królewicza, który jako jedyny na dworze królewskim był rzecznikiem jego sprawy.

- Skoro to wszystko prawda, to jakim cudem gród przetrwał nietknięty napaść ognistego aždachy? - dociekał Borgo. - Trudno jest mi w to uwierzyć.

- Odpowiedź jest prosta. Wszystkiego się dowiecie, ale nie ode mnie - powiedział półgłosem Samon, jednocześnie przekazując chyłkiem Borgowi zwinięty kawałek papieru.

- No, przyjaciele, czas już na mnie. Miło było, chociaż nie spodziewałem się was spotkać w takim miejscu - rzekł już normalnym tonem, po czym się oddalił.

Borgo dla bezpieczeństwa ukrył list. Obiecał sobie, że otworzy go dopiero po powrocie do zajazdu. Odpowiedź na pytanie, które nurtowało Borga, była rzeczywiście prosta - gród przetrwał tylko dlatego, że księżę Gidym, wysłuchawszy relacji, które przekazywali mu ocaleni ze splądrowanych osad uciekinierzy, podjął jedyną w tamtym momencie słuszną decyzję o poddaniu stolicy. Co więcej, z pisma wynikało, iż kilka dni po otrzymaniu pierwszych wieści o napaści na dwór przybyła kolejna grupa Uchodźców. Byli to nieliczni ocaleni po upadku Orby, osady, która najwcześniej poznała smak smoczego ognia oraz

barbarzyńskiego żelaza. Świadecko, które przedstawiła jedna z osób, było przerażające.

Oto, nim nastąpił atak, niebo wpiery zasnuły chmury czarne niczym całun. Nadpłynęły z zachodu i zmieniły jasny dzień w najciemniejszą noc. Czerwony blask rozpał trzewia obłoków. Te z wolna zaczęły krążyć, wirować, schodząc coraz niżej i niżej, aż uformowały lej. Co chwila biła z nich ognista poświata. Lej opadał ku ziemi z ogromną prędkością, lecz nagle zmienił kierunek - ponownie wzbił się w powietrze. Z jego wnętrza wyłoniła się bestia, chociaż niektórzy twierdzą, że to sam obłok przybrał postać smoka. Aždacha rozpostarł swe skrzydła, tak ogromne, iż zdawało się, że sięgają krańców świata.

Z impetem natarł na miasto. Ogień zalał ulice, nie oszczędzając nikogo i niczego. Obrońcy, spanikowani i bezbronni, miotali się po grodzie. Lecz to nie był koniec. Głos tysiąca rogów oraz stukot dwakroć tylu nóg rozległ się na równinie, która okalała miasto. Rząd setek pochodni zapłonął na zachodnim widnokregu; wyraźnie odcinał się od mroku ponad nim. Gdy barbarzyńcy kroczyli ramie w ramie, obrońcom zdawało się, jakby struga lawy płynęła w ich stronę. Rzeka, która niszczyła wszystko, co stało na jej drodze. Rzeka, która wkrótce miała pochłonać warownie i domy, kamień i drewno. Bębny biły w czeluściach Zachodu. Coraz głośniejsze i coraz bliższe. Dzwon z wieży, niemy świadek, wydał z siebie ostatni dźwięk i legł pod naporem smoczej nawały.

W ciągu następnych dni do grodu przybywały kolejne fale uciekinierów i niedobitków, zaś opowieści przez nich snute były więcej niż podobne. Gidym usłyszawszy ten sam opis wydarzeń z ust wielu osób, utwierdził się w swoim przekonaniu. Nie chcąc sprowadzać dalszej śmierci i zniszczenia na mieszkańców, książę zdecydował o poddaniu grodu najeźdźcy, licząc na jego łaskę. Nie pomylił się.

Zapadał zmierzch, gdy wrogie siły dotarły do Charoduny. Jak tylko okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się wrogie szeregi – okrążyły pierścieniem gród, od wzniesień na północy, po przesmyk na południu. Grozy dodawało niebo zasnuwane czarnymi chmurami. W strugach deszczu i w błyskach piorunów Gidym i jego drużyna przyjęli wrogich posłów. Wśród nich był mężczyzna rostry i silny, dosiadający ogromnego karego ogiera. Pozostawał z tyłu, lecz szacunek, jakim cieszył się wśród pozostałych, oraz strach, jaki wywoływał choćby najmniejszym gestem, zdradzały, że to on był tu najważniejszy. Twarzy tego człowieka Gidym nie dojrzał, gdyż niknęła schowana pod obszernym kapturem. Widział za to kruczoczarne włosy wyłaniające się spod fałd materiału, zaplecione w dwa długie aż do pasa warkocze. Stojący obok niego niższy mężczyzna wyjechał do przodu i przyjął od księcia warunki kapitulacji. Na kolanach, upokorzony, Gidym oraz jego drużyna musieli nadto poprzysiąc wierność barbarzyńcom i ich smoczemu władcy. Zdawało się księciu, że dostrzegał jego ogromnych rozmiarów sylwetkę przyczajoną na

szczybie jednego z okolicznych wzniesień, gdy pioruny raz za razem przecinały niebo.

Nowym panem miasta został Hdanasz, ów niższy mężczyzna. Nakazał on rozbroić straż przyboczną księcia. Wkroczywszy do Charoduny, barbarzyńcy to samo uczynili z resztą wojowników – wszystkim odebrano broń i zbroje. I tak mogli mówić o dużym szczęściu, ponieważ zbrojnych w innych miastach i osadach zwyczajnie mordowano. Nie lepiej potraktowano zwykłych mieszkańców – im także skonfiskowano broń. Następnie zajęto zbrojownię i zamknięto ją na cztery spusty. Jedynymi, którzy od tej pory mieli posiadać do niej prawo wstępu, byli najeźdźcy, którzy także jako jedyni mieli przywilej noszenia jakiegokolwiek broni białej. Hdanasz wymienił również załogę garnizonu na wierną sobie. Część ludności, zarówno żołnierze, jak i cywile, została zabrana z miasta – wzięta w jasyr i wywieziona w kierunku zachodnim, do Orby lub jeszcze dalej. Tam mieli pracować jako niewolnicy lub zasilić szeregi hordy, jeśli byli wystarczająco silni. Razem z ludźmi pojechały tam wozy po brzegi wypełnione zrabowanymi kosztownościami. Rzeźby, biżuteria, puchary i kielichy, złoto i srebro, drogocenne tkaniny, w tym gobeliny oraz przeszywane złotą nicią szaty, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, trafiło na wozy. Właśnie do Orby, drugiego pod względem ważności miasta Skraju, ale znacznie rozleglejszego niż Charoduna, wycofała się horda barbarzyńców, czyniąc z niej swą stolicę. Wkrótce też przewano najeźdźców nowym imieniem: Południowcy, ci,

którzy przybyli z południa. Była to jednak nazwa zupełnie nietrafiona, gdyż ci przybyli ze stepów Zachodu, zza Wielkiej Rzeki. Źródłem tej niefortunnej nazwy był fakt, że barbarzyńców po raz pierwszy wypatrzone na południe od miasta, skąd rozpoczęli oblężenie.

Nowy namiestnik, Hdanasz, oszczędził Gidyoma tylko dlatego, że ten dobrowolnie się poddał. Książę stał się jednak marionetką pozbawioną władzy. Wszystkie decyzje podejmował Hdanasz, namiestnik smoka, sprawujący rządy w jego imieniu. Pozostawił księciu ogołocony pałac, a sam zajął najwyższą basztę grodu, wypełniając ją pozostałymi w mieście kosztownościami. Wszystkie domy wokoło niej kazał opróżnić i uczynił z nich kwatery dla swej przybocznej gwardii. Sam smok osiadł w grocie nieopodal Charoduny, nie powędrowało tam jednak zbyt wiele złota.

W przeciwieństwie do ludzi, bestia otrzymywała trybut w formie ofiar ze zwierząt lub ludzi, najczęściej młodych dziewcząt, choć i młodzieńcami nie gardzono. Smoki bowiem, nie wiedzieć czemu, ponad wszystko inne pożądamy niepohamowanym pragnieniem ludzkiego ciała. Wielokrotnie zasłynęły tu, na zachodnich rubieżach świata, z utrzymywania rozlicznych stosunków seksualnych z potomkami podporządkowanych plemion. Zresztą nie tylko z ludźmi, chociaż z nimi najchętniej. Najczęściej czyniły to, przybrawszy postać nieziemsko pięknych mężczyzn lub kobiet, w zależności od swoich upodobań lub aktualnego nastroju, a w mniejszym zaś stopniu od swojej płci. Bowiem smoki w tych sprawach są bardzo wyzwolone.

Krąży nawet wiele plotek o dzieciach pochodzących z owych związków, choć są one raczej mało prawdopodobne. A czemu, ktoś spyta. Ponieważ bestie te, zwłaszcza ogniste, podobnie jak modliszki, zabijają swoich kochanków, kiedy im się znudzą lub dla zabawy, kierując się podszeptem kaprysu. W każdym razie, zostanie taką ofiarą wiąże się z dość nieprzyjemnymi konsekwencjami, więc, jak można się spodziewać, ochotników oraz ochotniczek wielu się nie znajdzie (chyba że ktoś ma skłonności samobójcze; w takim wypadku – zapraszamy). Dlatego w praktyce na „ofiarowanie” wybierano osoby oskarżone o najgroźniejsze przestępstwa lub takie, z których i tak nie byłoby żadnego pożytku (jak na przykład kiepscy literaci).

- No cóż, przyjaciele – rzekł Borgo, wróciwszy do tawerny. – Wygląda na to, że trochę tu zabawimy...

-Kupujesz czy patrzysz? Nie? To spływaj! – warknęła straganiara, odganiając łachmytę. – Widzisz, złociutka, kolejny tylko się gapi i kombinuje, jak by tu coś zwędzić... Co za ludzie! Jak słowo daję!

- Kochana, ty lepiej nie narzekaj, te twoje śmierdziuchy, które zwiesz rybami, i tak schodzą. Ja mam zastój – uskarżała się kobiecina z sąsiedniego stoiska.

- To wszystko przez tego przekłętą smoka. Poczwarą zżera wszystko. A dla nas ile zostaje? Tyle co nic. I jeszcze ceny poszły w górę! Jak tu żyć?

- Kochana, ty już lepiej niczego nie mów. Głowa boli od tego wszystkiego. Ale co począć, kochana, co począć? Ach,

no właśnie, słyszałaś może, co się wydarzyło wczoraj?

- Nie, a co miałam słyszeć?

- Podobno starego Zossy zabrali.

- Co pani powie? Widzi pani, co się dzieje, jakie czasy nastały... A wiadomo, za co go dziabnęli?

- Bo to ważne? Kochaniutka, ty lepiej uważaj, żeby twojego nie capnęli.

- Oj, jego akurat by mogli... Nicpoń jeden. Żadnego pożytku z tego chłopca nie ma, jak słowo daję... Takie moje szczęście, zabierają nie tych, co trzeba.

Rozmowę przerwało nagle zamieszanie.

- Oddawaj to, złodzieju! - zawołał ktoś z drugiej strony placu. - Pomocy! Złodziej!

Wychudzony, wręcz anemiczny chłopiec biegł ile sił w nogach, próbując uciec przed goniącym go sklepikarzem. Ten dzielnie dotrzymywał mu kroku, ostatecznie jednak, pokonany przez zadyszkę, zmuszony był odpuścić.

Gdy zdawało się, że chłopiec umknął, wpadł na coś, a właściwie na kogoś. Nie trafił dobrze. Była to grupa strażników, którzy znienacka wyrosli spod ziemi. Nie patyczkowali się. Wpierw wyrwali chłopcu z rąk jego zdobycz i wyrzucili w błoto, by następnie sprać go na kwaśne jabłko. Gwardziści walili na oślep. Nikt z zebranych nie śmiał zareagować; każdy tylko biernie przyglądał się całemu zajściu, rozglądając się dokoła w oczekiwaniu, co zrobi osoba stojąca obok. Całe zajście trwało dłuższą chwilę i zapewne strażnicy by złodzieja zatłukli, gdyby nie dobrze wymierzony cios deską, która z wielkim impetem trafiła

w głowę jednego z nich. Padł jak rażony piorunem. Tajemniczy wybawiciel wyprowadził kolejne uderzenie, tym razem jednak chybił. Gwardzista z chęcią mordy w oczach dobył miecza i rzucił się na obrońcę chłopca. Nie zdążył zrobić kroku, gdy dopadli go ludzie, którzy dotychczas tylko się przyglądali. Podobny los spotkał trzeciego siepacza, który skończył uwięziony pod ludzkim kopcem. Zamieszki nie trwały długo, bowiem w krótkim odstępie czasu przybyły posiłki. Ci już się nie powstrzymywali i bez zahamowań zabijali mieszkańców. Tajemniczy wybawiciel, za sprawą którego wynikło całe zamieszanie, został powalony na ziemię, trafiony obuchem miecza. Dopiero po chwili ocknął się i z wielkim wysiłkiem podniósł obolałą głowę. Z góry łypało na niego pięcioro gwardzistów spod znaku smoka.

- Zapłacisz za to głową - warknął jeden z nich.

W czasie gdy na rynku trwały zamieszki, bohaterowie, niczego nieświadomi, rozmyślali, jak zaradzić obecnej sytuacji.

- Choć to tylko plotki, mówi się - rzekł Samon - że smoki się poróżniły. Doszło do zwady między nimi przy podziale łupów. Jeden oszukał drugiego - siłą zmusił go do rezygnacji z części skarbów. W tym możemy upatrywać naszej szansy.

- Smoki? - dziwił się Borgo. - Przecież list oraz relacje wyraźnie wspominały o jednym smoku, nie mówiły o drugim! Skąd on się zatem wziął?!

- Widzisz, od początku były dwa. Tyle że każdy z nich wiódł własne oddziały, jeden z północy, drugi z zachodu. I w pobliżu Charoduny się spotkały.

- Panie - powiedział Borgo, ściszywszy głos. - Pozwól nam zatem napisać list do naszego ojca. Zeznaniom swoich synów musi dać wiarę. Pomoc przybędzie.

- To nie takie proste - stwierdził Gidym. W jego głosie dało się wyczuć politowanie wobec zbyt naiwnych propozycji Borga. - Wrota są zamknięte. Nikt nie opuści grodu bez zgody namiestnika. Jakby tego było mało, wszelka korespondencja, która przychodzi lub opuszcza gród, musi przejść przez jego łapska. Sądysz, że namiestnik wyśle list? Sądysz, że doręczy go swoim przeciwnikom? Aby list w ogóle mógł opuścić te mury, musiałbyś, synu, pierwiej ukryć jego prawdziwe znaczenie. A nawet gdyby się udało, co potem? Masz pewność, że dojdzie? - powiedział, spoglądając na Borga. Ten nie odpowiedział. - Więc pogódź się z tym. W tej batalii jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

- Więc odbijmy miasto siłą, tato! Znienacka! - wtrącił się Samon. Wyglądał na wielce zniecierpliwionego.

- Tylko po co, to nie ocali nikogo przed smoczym oddechem. Doceniam twój zapał, lecz zbyt pochopne działania sprowadzą na nas zgubę.

Dyskusja była zacięta, jednak w końcu udało się wypracować wspólne stanowisko. Konkluzja była następująca - aby działania miały choćby najmniejszą szansę na powodzenie, konieczne było zapewnienie sobie

przychylności zdradzonego aźdachy, a w razie gdyby odmówił - wyeliminowanie go. Niestety nie było możliwości przewidzenia, jak smok się zachowa, toteż pozostawało jedynie zejść w głąb groty nieopodal Charoduny, do leża potwora, i samemu się przekonać. Należało opracować plan zlikwidowania bestii na wypadek, gdyby ta nie była skora do współpracy. Tym miał się zająć Gar, który słynął z nietuzinkowych pomysłów. Do pomocy wyznaczono mu niejakiego Dratwę, miejscowego wynalazcę, po trosze kowala, po trosze alchemika. Do czasu obmyślenia planu wszelkie działania zostały wstrzymane. Kolejny problem stanowił sam dostęp do groty. By móc do niej wejść, trzeba było pozbyć się wrogiego garnizonu lub, co zdawało się bardziej prawdopodobne, przekupić odpowiednie osoby. Dopiero po upewnieniu się, czy smok im sprzyja czy nie, można będzie pomyśleć o innych kwestiach. Niestety życie pisze własne scenariusze i za nic ma sobie nasze plany.

Gdyby ktoś widział niewielkie zamieszki z udziałem chłopca i jego obrońcy sprzed kilku dni, nie mógłby uwierzyć, ile osób wyległo następnie na ulice Charoduny. Tłum zgromadził się, by dać wyraz swojemu niezadowoleniu. Głośne okrzyki sprzeciwu wobec jawnie niesprawiedliwego wyroku śmierci, wydanego przez władzę okupacyjną, dobiegały z każdego zakamarka szczelnie zapełnionego rynku. Od wzniesienia, na którym miała odbyć się kaźń, zgromadzonych przedzielał kordon opancerzonych włóczników, gotowych interweniować w każdym momencie.

Spośród zgiełku i dziesiątków wykrzykiwanych haseł najwyraźniej dało się słyszeć jedno zawołanie: „Uniewinnić”. Tymczasem wóz ze skazańcami zajechał na tyły drewnianego wzniesienia. Po chwili wkroczył nań sędzia, mężczyzna o podłej gębie i chytrym spojrzeniu. Był on typową urzędniczą miernotą, jednym z wielkiego grona sprzedawczyków, którego kariera niebywale rozkwitła po związaniu się z nową władzą. Za nim weszła grupa spętanych zbrodniarzy. Wśród nich znajdował się złapany na kradzieży chłopiec oraz mężczyzna, który próbował go uratować. Co ciekawe, ludzi niezadowolonych z niesłusznego wyroku wciąż przybywało. Pośród zgromadzonych wyczuwalny był niepokój zmieszany z frustracją, wręcz wrogością. Wystarczy tylko jedna iskra, by doprowadzić do eksplozji przysłowiowej beczki prochu. Gdy prowadzący tę farsę urzędniczyzna skończył odczytywać pierwszy wyrok, powiedział:

- Za występki przeciwko władzy, to jest za obrazę czcigodnego Hdanasza, najwyższego namiestnika Charoduny, odmawiam udzielenia Jorze prawa łaski i zarządzam wykonanie kary.

Gwardzista z południa, stojący za rzeczonym skazańcem, wypchnął go do przodu. Mężczyzna cały drżał. Natychmiast pochwycili go asystenci kata i przyprowadzili na przód drewnianego podestu. Mężczyzna siłą został przymuszony do położenia głowy na sporych rozmiarów pieńku. Kat jednym wprawnym ruchem zakończył żywot Jory.

Gdy uprzątnięto stanowisko, urzędniczna ponownie przemówił. Powtórzył formułkę. Tym razem naprzód wypchnięty został cherlawy chłopiec, złodziej ryby. Przerażony, próbował zbiec z podestu, lecz nie udało mu się. Jeden z pomocników kata chwycił cherlaka i rzucił go pod nogi swojego mistrza. Kiedy głowa oddzieliła się od korpusu, wśród tłumu rozległ się jęk niezadowolenia, który z wolna zaczął się nasilać.

Na sam koniec pozostawiono Jaknę, tajemniczego wybawiciela. Urzędniczna ponownie odczytał formułkę, w której zmieniał tylko imiona i zarzuty.

- Za przestępstwo przeciwko władzy, to jest za podniesienie ręki na strażnika Południowca i wywołanie zamieszek, odmawiam udzielenia Jaksie...

W tym momencie w tłumie zawrzało. Ludzie stojący w pierwszych szeregach ruszyli na włóczników, część z własnej woli, część popychana przez osoby napierające z tyłu. Zakotłowało się; broń poszła w ruch.

Cywile z początku padali jak muchy, na ośmiu zabitych przypadał jeden Południowiec. Wkrótce zamieszki ogarnęły cały plac; roztrzaskiwano stragany i łamano puste drewniane skrzynki, walające się w ich pobliżu, żeby tylko dobrać się do desek. Chwymano cokolwiek, co mogło posłużyć za broń. Jakiś śmiałek wykorzystał zamieszanie i wskoczył na wzniesienie, padł jednak po ledwie kilku krokach, zatłuczony przez gwardzistów. Wszakże za jego przykładem poszli kolejni. Najpierw dostało się strażnikom z Południa, którzy otoczyli wianuszką urzędnika, potem

samemu urzędnikowi, choć trzeba przyznać, że nie odeszli bez walki. Zabrali ze sobą co najmniej dziesięciu cywili. Natomiast kat oraz jego dwaj pomocnicy zbiegli wcześniej, przeczuwając rozwój wydarzeń. Trzeba przyznać, że mimo swej tuszy cała trójka żwawo wywijała kulasami.

Po uwolnieniu Jaksy on oraz jego wyzwoliciele nie poprzestali na biernym przypatrywaniu się. Wręcz przeciwnie, bardzo aktywnie uczestniczyli w mordobiciu. Broń zdobyta od przeciwników oddała im w tym nieocenione przysługi.

W przeciągu następnych godzin demonstranci, oczyszczając plac z Południowców, wznieśli tymczasowe barykady. Wykorzystali do tego wszystko, co wpadło im w ręce: wozy, stare beczki, skrzynki, jak i niewykorzystane resztki z roztrzaskanych straganów, czyli grube, drewniane dechy. Część z nich zaostrzono na końcach i wmontowano w barykady, by służyły za piki, mające przebić każdego, ktokolwiek chciałby na nich natrzeć. Jak dotąd spisywały się nadzwyczaj dobrze, gdyż bez trudu powstrzymały kilka pierwszych fal, które miały wedrzeć się na plac i zakończyć powstanie, czego dowodem było kilkanaście martwych ciał sterczących z drewnianych pali. Tyle samo lub jeszcze więcej trupów zaległo przed barykadami, gdzie uciekający Południowcy ginęli dziesiątkami. Na bruku, czerwonym od ilości przelanej krwi, aż trudno było ustać. Z głębi placu dobiegały jęki rannych powstańców zmieszane z okrzykami radości i tryumfu. Na razie te ostatnie dominowały.

Tymczasem po drugiej stronie miasta w trakcie kolejnego tajnego spotkania spiskowcy naradzali się nad następnymi krokami. Ze względów bezpieczeństwa żadne zebranie nigdy nie odbyło się dwukrotnie w tym samym miejscu – każdorazowo wybierano nową lokalizację. Ile to już domów i mieszkań w ten sposób drużyna zwiedziła?

- Jak idą postępy, mości Garze? – dopytywał się Gidym. Jako jedyny siedział przy okrągłym stoliku.

- Obawiam się, że możemy doświadczyć znacznych opóźnień – odparł Gar, który stał wsparty o ścianę izby. – Napotkaliśmy na trudne do przewyciężenia trudności.

- Rozumiem – oświadczył Gidym, powoli się podnosząc.
- Nie śpieszcie się, w końcu od skuteczności waszego pomysłu, tego płonącego pyłu, uzależniam powodzenie całego przedsięwzięcia.

Nagle drzwi do izby otworzyły się z impetem i do wnętrza wbiegł książęcy sługa. Wieści, które przynosił, nie należały do dobrych; tak przynajmniej wnosił Gidym po zatrwożonej minie swego posłańca.

- Panie – zawołał od progu. – Zamieszki, lud się buntuje!

Chyba żadna wiadomość nie mogła sprawić Samonowi większej radości.

- Idioci – przeklął władca, który w przeciwieństwie do syna nie wydawał się być zachwycony rozwojem sytuacji. Osunął się na krzesło. – Idioci, mogą wszystko zniweczyć! Już wcześniej musieliśmy działać ostrożnie i przeciwstawiać się presji czasu, a w tej sytuacji ryzyko niepowodzenia

nieporównywalnie wzrasta. – Gniew wyraźnie w nim kipiał, aż poczerwieniał na twarzy. Po raz pierwszy od swego przybycia Borgo i jego towarzysze widzieli Gidyman w takim stanie. – Czy wiadomo, ilu ich jest? – spytał, nieco się uspokoiwszy.

– Nie więcej niż cztery setki, mój panie, choć powstańców wciąż przybywa.

– Co radzisz, ojcze? – spytał Samon.

Gidyman nie odpowiedział, tylko zmarszczył czoło.

– Wszystko leży w gestii smoka – rzekł w końcu, przerywając nieznośną ciszę. – Jeżeli nie wesprze naszej sprawy, my nie wesprzemy buntowników. Niech radzą sobie sami. Musimy trzymać się wcześniej wytyczonego kursu.

– Co?! Nie wierzę własnym uszom – zagrzmiał Samon.

– Nie narażę tysięcy, by ocalić ledwie garstkę. Wiem, że uważasz mnie za potwora, mój synu, ale niekiedy nie ma wyjścia.

– Ależ, ojcze, wtedy ulica odwróci się od nas... Będziemy walczyć przeciwko dwóm wrogom.

– Tak – odparł Gidyman. – Być może... Lecz nie dziel skóry na niedźwiedziu. Tak jak wspomniałem, wszystko leży w gestii smoka... Mości Garze, macie być w pogotowiu. W odpowiednim czasie pošlę kogoś po tę substancję.

– Panie, nie jesteśmy nawet blisko! – sprzeciwił się królewicz. – Potrzebujemy więcej czasu.

– Niestety tego jednego zaczyna nam już brakować – odparł Gidyman. – Przyspieszcie wasze prace, wiele może od tego zależeć...

Pod wieczór Borgo wraz z Artamem przedarli się w kobiecych przebraniach do smoczej jamy. Dwie umięśnione i zarośnięte kobiety w normalnych warunkach wzbudziłyby nadzwyczaj duże zainteresowanie wśród strażników z południa, jednakże opłacenie odpowiednich osób sprawiło, że nikt nie zwracał na przybyłych uwagi, może z wyjątkiem kilku podpitych gwardzistów, którzy próbowali uwieść naszych przebierańców. Nie zniechęcił ich nawet dwudniowy zarost Artama.

Ciemną jaskinię wypełniał zapach zgnilizny. Z głębin dochodził gardłowy pomruk. Borgo i Artam zapalili pochodnie, lecz mrok nie chciał tak łatwo odsłonić swych tajemnic. Szli powoli. Duchota była nieznośna. Gdyby odwrócili się za siebie dostrzegliby, że światło bijące od pochodni rozstawionych przed wejściem przez najeźdźców z miejsca, w którym się znajdowali, zdawało się bledsze niż blask księżyca. Ziemia była grząska, wręcz bagnista, i zapadała się przy każdym kroku.

- To jak to robimy? - spytał z niepokojem w głosie Borgo.

- Tak jak robiliśmy to w szkole - odparł Artam. - Ja go budzę, ty gadasz.

- Dlaczego to ja mam z nim rozmawiać?! - sprzeciwił się Borgo.

- Bo... jesteś księciem?

- Też mi argument. Ja się o to nie proszę.

- Nie narzekaj. Ciebie przynajmniej spódnica nie uwiera. Bogowie, jakie to niewygodne - powiedział towarzysz, poprawiając ubranie.

W końcu osiągnęli cel - tuż za którymś z kolei skalnym załomem znajdowało się leże potwora. Przyczaili się za ogromnym stalagmitem. Wąski tunel ustąpił miejsca obszernej komorze, na tyle dużej, że połowa miasta spokojnie by się w niej zmieściła. Resztki ofiarowanych ludzi oraz zwierząt wały się po kątach lub sterczały nabite na stalagmity. Zaschnięta krew tworzyła na ścianach dobrze widoczny wzór. Ciarki przeszły przyjaciółom po plecach. W takich przypadkach zwykło się mówić, że to śmierć przeszła obok. Jednakże w tej sytuacji czekała ona przed nimi.

Co zrozumiałe, zwlekali; bali się ruszyć naprzód.

- Wiesz co? - zagaił przerażony Borgo. - Jeżeli zginiemy, zostaniemy pożarci lub spopieleni, przynajmniej nikt się nie dowie, że mieliśmy na sobie damskie fatałaszki.

W końcu opuścili swoją kryjówkę za stalagmitem. Ujrzeni ażdachę w całej okazałości - leżał brzuchem do góry z wywalonym ozorem, a jego dolne nogi poruszały się, jakby za czymś gonił. Od czasu do czasu pochrapywał. Borgo i Artam stali jak zamurowani. Prawdę mówiąc, spodziewali się czegoś zupełnie innego. Ale ma skubaniec prezencję - przeszło przez myśl Borgowi.

Smok w końcu łaskawie uchylił jedno ślepię. Nie zdziwił go widok przybyszy. Przeciągnął się ociężale, po czym przekręcił się na prawy bok i wrócił do spania. Nie był

w najmniejszym stopniu zainteresowany ani zaciekawiony gośćmi. W tym miejscu warto zaznaczyć, iż rozmiar bestii, opisywany w relacjach uciekinierów, był mocno, ale to mocno przesadzony. Jak to zresztą zwykle bywa w takich historiach. Smok przypominał raczej trzydziestołkciową jaszczurkę, do tego wychudzoną, aniżeli legendarnego jaszczura, długiego jak pasma górskie. W obecnych czasach wszystko mizernieje. Nawet smoki – pomyślał królewicz.

- Nie no – palnął zaskoczony – olał nas całkowicie.

- I co teraz? Budzić go czy co?

- Nie mam bladego pojęcia!

- Zróbmy coś, nie mam zamiaru wracać tutaj drugi raz.

Nie w tym wdzianku. Pogrubia mnie. Poza tym strasznie drapie.

- Może lepiej chodźmy stąd? Nie ma sensu go budzić.

A co, jeżeli wstanie nie w humorze?

- Nie bądź baba, Borgo!

Nagle smok drgnął. Poruszył łbem na dźwięk imienia królewicza. Najpierw podniósł głowę, za nią poszło całe cielsko. Zarył czołem w zwisający z góry stalaktyt; głuchemu echu towarzyszył pomruk niezadowolenia. W ten oto sposób prysł cały jego majestat.

Smok wpatrywał się w bohaterów swoimi złotymi i wciąż zaspanymi oczami. Długo tak mierzył gości spojrzeniem. W końcu przemówił, zniżywszy łeb, głosem niskim, może trochę zachrypniętym.

- Który z was to Borgo?

Artam pchnął kolegę do przodu.

- Zatem to ty jesteś Borgo - rzekł smok, zniżając swój łeb - przyszły Strażnik Góry. Rechoł wypełnił komorę. - Wiele wiem o twoim rodzie, Borgo, synu Iwara, wnuku Wałga. O tak, jesteście dobrze znani mojemu gatunkowi, wy, potomkowie Welesobójcy. Aż nazbyt dobrze. - Smok spod przymkniętych powiek zmierzył przybyszy badawczym spojrzeniem. - Co cię... was tu sprowadza? - powiedział z zaciekawieniem, lecz widać było wyraźnie, że pytanie kierował do samego siebie. - Hmm... Niech pomyślę. - Zawiesił głos, pogrążając się w zadumie. - Czyżby kierowała wami niepohamowana ciekawość... - podjął wypowiedź łagodnym tonem. - Chęć ujżenia prawdziwego cudu natury na własne oczy? Ta-a-a-k... jest to możliwe - stwierdził, wydawszy z siebie dodatkowo gardłowy pomruk. Ucichł ponownie. - A może - ryknął z nienacka dramatycznym tonem gad, wypowiadając każde następne słowo coraz bardziej podniesionym głosem - kieruje wami niepowstrzymane pragnienie przelania smoczej krwi?! Pragniecie ubić kolejną z potężnych bestii?!

Potwór zerwał się nagle, jakby trafiony piorunem, i cofnął w głąb komory. Stał wyprostowany z w pełni rozwiniętymi skrzydłami, demonstrując swą potęgę. Jednocześnie zamachnął się długim ogonem. Od uderzenia ziemia zadrżała.

- Szaleńcy! - zagrzemiał smok. Gniew w nim kipiał. - Czy wy w ogóle wiecie, na kogo się porywacie?!

Mimo takiego popisu Borgo oraz Artam nie drgnęli. Mieli świadomość, a przynajmniej taką żywili nadzieję, że

to, co teraz obserwują, jest niczym innym, jak przedstawieniem przygotowanym i odegranym specjalnie dla nich. Wszystko było bowiem zbyt teatralne, zbyt napuszone. I aż nazbyt zauważalnie gad rozkoszował się wsłuchiwaniami w tembr własnego głosu, jak i zabawą nim. Stali więc nieugięci w oczekiwaniu na to, co smok zaraz zrobi.

Ten wytrwał w demonstracyjnej pozie jeszcze przez chwilę. Gdy gniew bestii zelżał, ponownie niski, basowy rechot wydobył się z jej gardła.

- Tylko jak zamierzacie to uczynić, pozbawieni broni? - rzekł opuściwszy łeb ku przybyszom. - Chyba że chcieliście ubić mnie śmiechem... - zadrwił, odnosząc się do przebrań bohaterów. - A może pragniecie skraść moje skarby? Mówcie szybko, po coście przybyli!

- Nie przyszliśmy szukać zwady, jaszczurze - odparł Borgo. Stał przed smokiem dumny i wyprostowany. - Tym bardziej nie jesteśmy tu po to, by skraść twe skarby. Wręcz przeciwnie. Przychodzę z propozycją, która może sprawić, że będziesz jeszcze bogatszy.

- Ciekawe. Doprawdy fascynujące - odparł smok, ścisząc głos. Wyciągnął szyję, tak że jego łeb zatrzymał się niecały sążeń od twarzy księcia. Ciepłe powietrze o nieprzyjemnej woni owiało postać Borga. - Wiem, że twoje słowa podszyte są kłamstwem... - podjął dalej smok. - Jednak... jednak nęci mnie, aby wysłuchać tej, jak to mówicie w waszym parszywym języku - propozycji. Więc mów, dwunożny.

- Pozwól nam pomóc sobie odebrać twe zagrabione łupy. Pozwól nam pomóc odzyskać twój honor oraz godność, której cię pozbawiono.

- Pomóc wam?! - zaryczała nagle wzburzona bestia, jakby spotkała ją niewyobrażalna zniewaga. - Pomóc linii, która nazbyt dobrze zna smak smoczej krwi?! Za taką bezczelność powinienem cię zabić, *aszaraw*^[1]. Miałbym dla zysku zdradzić własny gatunek?! Za mniejsze obelgi niż ta przelewałem krew! - krzyknął, jednocześnie wściekle waląc ogonem o podłogę komory. Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął dalej, zanosząc się złowróżbnym śmiechem. - Za mniejsze niż ta, która spotkała mnie ze strony Targauna, mego pobratymcy. On pierwszy zdradził mnie, zadrwił ze mnie - dodał, mrużąc oczy. - Zemście, rozkoszy bogów, nie odmówię.

- Zatem możemy na ciebie liczyć, demonie?

- Możecie, lecz wkroczę, kiedy uznam to za stosowne. Nie wcześniej, nie później. I zapamiętaj, synu Iwara, mamy wspólne interesy, nie czynią nas one jednak przyjaciółmi. Gdy pył zawieruchy opadnie, odnajdę cię, *arsani*^[2], by wyrównać rachunki. A teraz odejdz! - rzekł smok, odwracając się plecami do przybyszy. - Znużyła mnie ta rozmowa.

- Zaczekaj - zawołał Borgo do oddalającego się smoka.
- Powiedz przynajmniej, jak mamy się do ciebie zwracać.

- Mego prawdziwego imienia i tak byście nie wymówili ani tym bardziej spamiętali - odparł smok, nie oglądając się

za siebie. – Możecie mi jednak mówić Revoran. To chyba zapamiętacie – dodał na koniec, układając się do snu.

Gdy opuścili grotę i napięcie już z nich zeszło, Borgo omal nie zasnął.

– Nigdy więcej – powtarzał. – Nigdy więcej.

Jeszcze tej samej nocy trzech gońców opuściło mury domostwa Gidy, udając się w różnych kierunkach. Od ich sukcesu zależeć będzie, czy Charoduna będzie mieć jakąkolwiek przyszłość.

Liczna grupa mężczyzn odzianych w szare płaszcze przebiegała się przez wąskie ulice. Rozkazy, które otrzymali od Gidy, były jasne: plac i buntownicy mają się utrzymać jak najdłużej. Tam właśnie podążali. Lecz nie było łatwo przebić się przez ludzką ciżbę, która, niczym rzeka, poruszała się w przeciwnym kierunku. Zwykle ludzie uciekali przed prześladowaniami, które miały miejsce w tym rejonie, ogarniętym wojenną pożogą. Pożary oraz bitwy uliczne były powszednimi zjawiskami.

Nie mogąc daleko zejść główną drogą, grupa skręciła w pierwszą lepszą boczną alejkę. Teraz trzeba było tylko dotrzeć do placu i nie zostać przyłapanym przez grasujące w okolicy patrole. Bułka z masłem.

Łuna pożaru wyznaczała kierunek marszu. Blask bijący od płonących stosów rozświetlił gród, zamieniając najgłębszą noc w jasny dzień. W tym świetle Ward widział, jak kolejni ochotnicy przeskakują barykady i dołączają do walczących. Tylko nieliczni dzierżyli oręż i ubrani byli

w zbroje, zdobyte zresztą od poległych wrogów. Większość musiała zadowolić się metalowymi prętami czy deskami, za tarcze zaś służyły im kawałki materiału zawinięte wokół przedramienia i obwiązane rzemykami.

Jak, do licha, mamy tą zbieraniną przewodzić? – pomyślał targany wątpliwościami Ward, widząc scenę rozgrywającą się na placu. Nikt nie dowodził działaniami obronnymi. Powstańcy walczyli na oślep z Południowcami, którzy skupili się na zdobyciu wschodniego wjazdu na rynek, najslabiej obsadzonego. Inne bowiem odgródzone były płonącymi barykadami, wysokimi na cztery łokcie, niezwykle trudnymi do sforsowania. Powstańcom nie można było odmówić jednego – walczyli bardzo zawzięcie. Hartem ducha z pewnością nie ustępowali przeciwnikom. I chociaż ten obrazek nie napawał optymizmem, Ward nie zamierzał łatwo się poddać.

– Za mną!

Wtedy strzelcy wyborowi, przyczajeni na dachach w pobliżu rynku, otworzyli ogień.

Sytuacja wyglądała zgoła inaczej w pozostałych rejonach. Tam wciąż panował spokój, zaś okupanci zachowywali się jak na zdobywców przystało, czyli obnosili się ze swoim tryumfem. Wkraczali do dowolnego lokalu lub domostwa, kiedy tylko mieli na to ochotę. Z tego też powodu następnego dnia w gospodzie Podpalanka zorganizowano huczną zabawę, wiedząc, że Południowcy i tak przyjdą

nieproszeni. A z jakiej okazji była owa uroczystość? To już nie miało dla nich znaczenia.

Barwin, podobnie jak wszyscy domownicy, biegał od stołu do stołu niczym kot z pęcherzem. Biedaczysko z trudem nadążał z przyjmowaniem zamówień, a trzeba powiedzieć, że nikt sobie nie folgował. Dobrą stroną tego był fakt, że tylko garstka okupantów ostała się na swoich posterunkach. Co ważne, tyczyło się to także zbrojowni.

W pewnym momencie Gar wskoczył na stół i zawołał donośnym głosem.

- Szkoda, chamy, takiego trunku na wasze podłe gęby. - Po sali przeszedł pomruk niezadowolenia. Gar nie ustępował. - Szkoda, bo jeden kufel wychyli i już pada. Pijcie szczochoy, a prawdziwe alkohole zostawcie innym. Ja i po osuszeniu do dna dziesięciu kufelków niczego nie czuję. Nie to co wy, chamy jedne!

Jeden z Południowców nie mógł już dłużej znieść obelg. Ruszył nabzdyczony w stronę Gara. Ten, widząc zbliżającego się żołnierza, zmienił ton.

- Pójdę o zakład, że opiję każdego z was!

Nie trzeba było długo czekać na reakcję. Południowcy chwycili nie za rękojeści, lecz za kufle, które opróżnili jednym haustem. Zrobił to nawet ten nabzdyczony. Jeszcze tego nie wie, ale za trzy kolejki on i Gar staną się najlepszymi kumplami.

Niecałą godzinę i pięć rund później na „polu bitwy” pozostały zaledwie dwie osoby - Gar wraz z dowódcą

garnizonu. Trzeba przyznać, że skubaniec, pomimo drobnej budowy, trzymał się zadziwiająco dobrze.

Gdy przyszła jedenasta porcja Gar i Witor (tak miał na imię dowódca) zmierzli się wzrokiem. Podnieśli kufle do ust i zaczęli chłeptać. Jeden nie spuszczał z oczu drugiego. W pewnym momencie Gar poczuł, że odpływa. Upadł, nim zdążył dopić. Dowódca, zostawszy sam, wstał (choć z wstawaniem niewiele to miało wspólnego) i uniósł ręce na znak triumfu. Jednak po chwili dołączył do reszty, osuwając się na podłogę.

Nieprzytomnych od wypitego alkoholu Południowców rozbrojono, a następnie, zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami Gara, dobito. Wielu przypisanych do tego zadania przez Gidymana nie akceptowało takiego rozwiązania, jednakże wiedzieli, czym może grozić pozostawienie jeńców przy życiu. Ryzyko było zbyt wysokie.

Nie minęła godzina, a Samon wraz z kilkoma knechtami przebrali się w zdobyczne zbroje Południowców i udali się w stronę arsenału. Dywersja okazała się skuteczna. Bez większych problemów grupa dowodzona przez Samona poradziła sobie z niewielką obstawą (większość Południowców oblegała plac). Niestety radość ze zdobycia budynku szybko ustąpiła przerażeniu, gdy wkroczywszy do głównego magazynu, zauważyli, że ponad połowa posiadanej broni przepadła. Jedyne, czego nie brakowało, to strzał do łuków. Setki setek strzał.

Smoczy namiestnik, ten sam, który w ukryciu przysłuchiwał się pierwszej rozmowie księcia z drużyną,

zajmował najwyższe piętro zachodniej wieży, skąd rozchodził się najlepszy widok na całą Charodunę. Lubił stawać przy oknie i obserwować toczące się w dole życie. Czuł się wtedy niczym bóg, stąd bowiem krzątający się mieszkańcy przypominali mrówki, małe i nic nieznaczące stworzenia.

Namiestnik stał skupiony, wpatrując się w pogorzeliska, które z wolna dogasały. Czuł, że okiełznanie buntu, który i tak wytrwał zdecydowanie dłużej, aniżeli powinien, to kwestia kilkudziesięciu minut, być może kilku godzin. Próbował wypatrzyć łuczników przyczajonych gdzieś na dachach, gotowych strzelić w każdej chwili. Na korytarzu rozległy się kroki. Strażnik otworzył drzwi.

- Mój Hdanaszu, przybywa delegacja. Chcą prowadzić rokowania.

- Wpuść ich!

Trzech dostojników przekroczyło próg komnaty. Namiestnik, nie podnosząc się z miejsca, gestem nakazał strażnikowi zamknięcie drzwi.

- Witaj, księżę, w moich skromnych progach - zaczął. Gidymowi towarzyszyli Chors oraz Tugarin Gryzipiórek, książe skryba. - W czym ci mogę pomóc? - rzekł namiestnik, zasiadając w wysokim fotelu, który sytuował go powyżej gości. - Siądźcie - dodał. Przybysze zgodnie usłuchali.

- Czcigodny Hdanaszu - zaczął Gidym. - Wiedz, że nie jest mą wola prowadzenie z wami wojny. Pragniemy, abyście puścili w niepamięć ostatnie zajścia, zaś

uczestników potraktowali łagodnie, aczkolwiek sprawiedliwie.

To może być zabawne - pomyślał namiestnik, przyglądając się strapionemu obliczu starca.

Po kilkudziesięciu minutach rozmowy utkwily w martwym punkcie. Stało się jasne, że poselstwo gra na zwłokę.

- Nie mogę na to przystać - wybełkotał namiestnik, rozdrażniony impertynencją władcy, jakby ten miał coś do powiedzenia w ważkich kwestiach związanych z grodem. Jakże on śmiał stawiać mi warunki! - myślał z irytacją Hdanasz. Zaczyna się to już robić nużące.

Wtem księżę dostrzegł w oknie słup dymu. Wydobywał się z budynku, w którym mieścił się magazyn, ale przede wszystkim - zbrojownia.

To był znak, na który czekali.

- Patrzcie! - zawołał Gidym.

Cała trójka nagle zerwała się z krzeseł. Tugarin podbiegł do wejścia i spuściwszy metalową sztabę, zabarykadował drzwi. Tymczasem Gidym oraz Chors złapali namiestnika i zwlekli z siedziska.

Deszcz szklanych okruchów lecących z okna spadł na wartowników stojących na dole, u wejścia do zamku. Wraz z nimi niespodziewanie u ich stóp wylądował namiestnik. Krew wytrysnęła z jego ciała, brudząc cały dziedziniec.

- A teraz módlmy się, ażeby wrota wytrzymały do czasu odsieczy - stwierdził Chors, wyglądając przez wyrwę w oknie pozostawioną przez namiestnika.

Pętla wokół powstańców zaciskała się. Szańce w północnych rejonach placu zostały zdobyte. Niewiele lepiej rysowały się zachodnie krańce ufortyfikowane wzdłuż linii domów rzemieślniczych, których upadek zdawał się być kwestią czasu. Odgłosy walki dogasały tam wraz z płomieniami. Ci, którzy mogli, przegrupowali się za wały obozu na południu. Najgorsze w tym wszystkim nie były włócznie Południowców, lecz pociski, wyłaniające się z ciemności niczym nieme ptaki. Jeden fałszywy ruch mógł sprowadzić na człowieka śmierć.

- Niemordowani skurwiele - powtarzali obrońcy, przeklinając strzelców siedzących na dachach.

Wtem z zachodniego krańca pola bitwy dobiegły jęki.

- Niech to szlag! - rzucił któryś z obrońców do Warda. - Trzecie gniazdo stracone!

Z pięciu setek walczących zostało się mniej niż dwudziestu. Och, przepraszam, dziewiętnastu. Jeden nieszczęśnik właśnie uniósł głowę za wysoko.

- Już po nas! - syknął Ward, choć w zgiełku jego głos był ledwo słyszalny. - Okrążyli nas!

- Masz rację - odparł Jaksza skulony w kącie prowizorycznego bastionu zmontowanego z kilku beczek. Drżał ze strachu. - Chyba czas wywiesić białą flagę. Sądysz, że się zgodzą? Że oszczędzą nas, jeśli się poddamy? - spytał Warda, lecz ten go nie usłyszał. - Gdybym wiedział, jak to się skończy, nigdy bym nie

wszczynał tej awantury. Gdybym tylko mógł cofnąć czas... - mamrotał pod nosem, trzymając się za głowę.

- Ale nie możesz, druhu - stwierdził Artam, siedzący obok Jaksy. - Może cię to pokrzepi, może nie, wiedz jednak, iż wydarzeń, których jesteś świadkiem, nie dało się uniknąć. Swoimi czynami przyspieszyłeś jedynie bieg rzeczy, nic ponadto, więc nie obwiniaj się za całe zło.

- Tylko jak... Tak bardzo żałuję... Gdybym tamtego dnia postąpił inaczej... nie doszłoby do tego wszystkiego...

- Ale doszło! Nic już na to nie poradzisz! Prawda, Ward?

- Do kroćset! Przestańcie mleć ozorami! - huknął na nich. - Mieczami trzeba popracować, a nie pleść głupoty!

Stukot obcasów rozbrzmiał za rogiem i do środka bastioniku wparowali rozsierzdzeni Południowcy. Krótkie miecze chwacko pracowały w ich rękach. Ci powstańcy, którzy mieli wątpliwe szczęście znaleźć się w pierwszym szeregu, rychło polegli, pozostałych przyparto do muru i nie mając wyjścia, poddali się. Ustawieni w szeregu wzdłuż upadających umocnień, rebelianci jeden za drugim składali broń. Gdy żołnierz doszedł do Artama, ten uniósł swój toporek ostrzem w dół. Południowiec chwycił za trzonek, lecz Artam nie miał zamiaru rozstawać się z bronią. Wtedy gdzieś za ich plecami wybuchło dziwne zamieszanie. Usłyszeli odgłosy dziesiątków stóp, które stopniowo przybierały na sile.

- To nasi! - wyszeptał jeden z wojaków, pokrzepiony melodią wygrywaną przez nadchodzących.

- Skąd ta pewność? - dopytywał Ward.
- Poznają po gwizdach...
- Co?! Jakim cudem?
- Tamci inaczej gwizdzą...

Dwaj Południowcy padli nagle martwi na ziemię, trafieni pociskami. Nieład wkradł się w szeregi szturmujących.

- Zewrzeć szyki! - padła komenda w bulgoczącym języku Południa.

Południowiec, który próbował odebrać broń Artamowi, osunął się na ziemię, kiedy topór zagłębił się w jego czaszce. Postąpił nierozważnie, spuszczając przeciwnika z oczu. Chwilę potem plac zaroił się od uzbrojonych mieszkańców. Największy jednak popłoch wśród Południowców siał oddział Samona ubrany w barwy wroga. Wojenna pożoga po raz wtóry ogarnęła rynek. Tym razem Południowcy nie mogli liczyć na wsparcie z góry - oddziały buntowników wdarły się na poddasza i ubiły strzelców, co do jednego.

Podobne akcje odbyły się w innych rejonach miasta; małe grupy złożone z przebranych za Południowców powstańców polowały na najeźdźców. Doszło nawet do kilku pomyłek, zdarzało się bowiem, że rebelianci napadali na inne grupy przebierańców. No cóż, człowiek jest omylny.

W porannym blasku wschodzącego słońca zdawało się, że gród został oczyszczony i żaden Południowiec, który mógłby o tym opowiedzieć, nie przeżył.

[1] W języku smoków: pogardliwie o człowieku.

[\[2\]](#) W języku smoków: człowiek.

ROZDZIAŁ 4



Czas od momentu odbicia Charoduny płynął bardzo szybko; nie wiedzieć kiedy zdążyły upłynąć dwa tygodnie. Zdawało się jednak, że odbicie grodu przebiegło na tyle sprawnie, iż reszta barbarzyńskiej hordy niczego nie podejrzewała.

W tym czasie książę Gidym rozesłał wici w kierunku zachodnim – ku pozostałym wolnym miastom Skraju, oraz południowym – ku Suur Erun, oraz dalej, do Baergastu. O ile liczył się z niepowodzeniem pierwszej misji – wszak miasta te mogły być opanowane przez Południowców lub, co gorsza, zrównane z ziemią, a ludność wyrżnięta w pień – o tyle wierzył w sukces poselstwa wysłanego na południe. Pismo zawierające szczegółowe relacje od chwili poddania Charoduny po jej wyzwolenie, opatrzone podpisami wszystkich królewskich synów musiało przekonać Iwara, że zagrożenie czające się na zachodzie jest realne. Na koniec podróży poselstwo miało odwiedzić Baergast, gdzie swoje siedziby mieli ostatni przedstawiciele rodu olbrzymów. Jedynym powodem, dla którego te istoty miałyby przybyć

z odsieczą, była niechęć, jaką żywiły wobec skrzydlatych jaszczurów.

Odległości, które dzieliły osady, nie były wyzwaniem dla rączego rumaka, ledwie trzy, góra cztery dni galopu. Jednakże gdy dziesiąty dzień od chwili wyruszenia mijał bez jakiegokolwiek odpowiedzi, optymizm z wolna zaczął znikać, ustępując miejsca niepokoju. Dwór przeczuwał, że pomoc może w ogóle nie nadejść. Dlatego na rozkaz Gidyma powzięto odpowiednie kroki - każdy mężczyzna zdolny do dzierżenia broni miał się szkolić w posługiwaniu nią, zwłaszcza w walce włócznią i strzelaniu z łuku. O dziwo nikt się nie opierał. Nawet kobiety, od których nikt tego nie wymagał, pracowały z orężem.

Dnia piętnastego przyszły wiadomości, lecz nie te, których się spodziewano. Agenci donieśli bowiem o wzmożonym ruchu na zachodnich rubieżach.

- Wódz Emeren pragnie odzyskać to, co zostało mu odebrane. Zobaczycie. Nie miną cztery dni, a stanie u progu naszego miasta - przestrzegął Gidym.

Emeren był naczelnym wodzem hordy. Pod jego rządami zjednoczone plemiona opuściły swe siedziby na zachodzie, za Wielką Rzeką, i narzuciły graniczącym z nimi ludom swe panowanie. Również on postanowił poddać się władzy skrzydlatych gadów, kiedy te przybyły, i dołączyć do ich pochodu na wschód. Zdobywał dla swego pana Targauna nowe krainy, jedna za drugą. Gdy opanował Zatrze, zachodnią rubież Skraju, pochód nabrał wręcz szaleńczego tempa. Szybko uległy mu miasta Dali i Bliży,

w tym rozległa i słynąca z bogactw Orba. Nie powstrzymały go nawet zasobne republiki kupieckie na północy Skraju. Pierwsze metropolie, które stawiały opór, spłonęły do cna, a ich mieszkańcy zawisli na drzewach jako przykład dla tych, którzy chcieliby się przeciwstawić. Pozostałe republiki nie walczyły - wołały wykupić swoją wolność niebotycznym haraczem.

Za swą służbę Emeren był hojnie nagradzany przez Targauna złotem oraz ziemią. Wkrótce stał się pierwszym poddanym i zaufanym namiestnikiem. Jako zarządca był niemniej okrutny niż jako zdobywca. Powierzonymi mu zdobycznymi ziemią rządził żelazną ręką, zaś bezwzględność, z jaką rozprawiał się z wrogami lub wszelkimi przejawami sprzeciwu, sprawiła, że jego imię budziło postrach równy temu, który budzili jego smoczy panowie. Grabił miasta i osady, zabierał wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a ludność wyrzynał w pień lub brał w niewolę. Odważnych i silnych wrogów wcielał do hordy, mieli jej służyć za mięso armatnie. Sam mówił o sobie, że jest smoczym bękartem - ażdachorem. Miały to potwierdzać niezwykła siła, ponadprzeciętny wzrost oraz ostre rysy twarzy.

Hdanasz był płotką, ledwie wodzem jednego z wielu plemion, które podlegały władzy Emerena, wielkiego smoczego namiestnika. Teoretycznie pełnił władzę w imieniu Revorana, ale polecenia dla niego płynęły z Orby, gdzie rezydował Emeren. To jego rozkazom podlegał, to dzięki niemu został mianowany namiestnikiem Charoduny

i to za jego nakazem wysłał niemal całe złoto grodu do Orby, pozostawiając Revoranowi marne ochłapy. Miał również czuwać nad rozgoryczonym i zesłanym na wygnanie smokiem. Jak do tego doszło?

Niedługo po zdobyciu Charoduny smoki pokłóciły się. Targaun, większy i silniejszy z dwójki, zagrabił większość łupów, które należne były Revoranowi. Ten sprzeciwił się temu i doszło do potyczki między gadami. Podczas tego starcia Emeren nie tylko poparł swego pana, ale też pozyskał dla niego stronników Revorana, pozostawiając drugiego ze smoków osamotnionego w tej rozgrywce. Za swą lojalność namiestnik został sownie wynagrodzony – uzyskał połowę zdobyczy, które miały przypaść Revoranowi. By jeszcze bardziej upokorzyć swego smoczego pobratymca, Targaun pozostawił mu ochłap w postaci Charoduny, pierwiej jednak ogołacając ją z wszelkich kosztowności.

– Tylko jak Emeren się o tym dowiedział? – pytali siebie uczestnicy narady.

Dyskusja nad tym, kto zdradził oraz przekazał wieści Emerenowi, była długa i zażarta. W niedługim czasie pojawiły się pewne podejrzenia i oskarżenia. Niestety rozmowy raz za razem schodziły na manowce, przekształcając się w słowną przepychankę, a konkluzji jak nie było, tak nie było.

– A co z bestią? – zapytał Borgo w pewnym momencie.

Od tej chwili rozmowa ponownie nabrała tempa. Okazało się, że od kilku dni żaden z żołnierzy

zapuszczających się do smoczey groty nie widział tam Revorana, nie spostrzeżono go także nigdzie w pobliżu miasta - zupełnie, jakby wyparował. Było tylko jedno możliwe wyjaśnienie tej sytuacji.

- Dziad nas zdradził! Wbił nam nóż w plecy! A nie mówiłem? Nie trzeba było wierzyć temu padalcowi! - krzyknął Samon.

Czternastego lutego okazało się, że słowa księcia o tym, że horda powróci, były prorocze. Niestety. Od zachodu nadciągnęły wrogie wojska. Mieszkańcy grodu biegali w panice, chcąc schować się przed cieniem i ogniem, które w ich mniemaniu wkrótce miały zalać gród. Tego dnia jednak nic takiego nie miało miejsca. Przeciwnik wysłał wojska w sile „ledwie” tysiąca ludzi. I to jeszcze słabo uzbrojone, co warto nadmienić.

W przekonaniu Emerena, głównego smoczego namiestnika, taka liczba była wystarczająca, aby poradzić sobie z, jak to określił - chłopską zawieruchą. To zlekceważenie przeciwnika miało go drogo kosztować.

Co ciekawe, na czele grupy pacyfikacyjnej Emeren postawił Witora (tak, niedoszęgo kapitana garnizonu, który cudem uniknął śmierci). Pewnie w tej chwili zastanawiacie się, jak, do cholery, uszedł z życiem? Już tłumaczę.

Po tym, jak osunął się na podłogę tawerny, pijany w sztok, domownicy gospody wynieśli go i resztę jego kompanów na zaplecze. Tam razem z drobną pomocą lokalnych pijaczków zaczęto ubijać najeźdźców. Pech chciał,

że kapitan trafił w ręce żebraków, którzy pomiędzy jednym a drugim trupem dla kurażu obalali po kieliszku okowity. Ci zamiast uderzyć w serce, jak nakazał Gar, zamachnęli się kilofem i trafili Witora w głowę. Ostrze przeszło na wylot. Ba, wbili je tak mocno, że nie mogli potem wyciągnąć. Po wszystkim wrzucono kapitana do masowej mogiły.

Teraz pewnie głowicie się: więc w czym problem? Przecież zrobiono wszystko, jak należy. Otóż nie do końca. Zabrakło osoby odpowiedzialnej za sprawdzanie zabitych. Gdyby ktoś taki przypatrzył się uważnie, zauważyłby, iż jeden z umarłaków wciąż lekko się porusza. Kilof, owszem, przeszedł na wylot, lecz wbił się w taki sposób, że ani nie zostały spowodowane żadne poważne obrażenia, ani uszkodzony żaden narząd! Co więcej, Witor nawet nie czuł obecności kilofa w chwili, gdy odzyskał przytomność. Przy pierwszej okazji, która się nadarzyła, pod osłoną nocy dał drapak. Zatem to on, a nie smok, zawiadomił hordeę. Dodać należy, że do dnia obecnego nosi fragment klina, którego nie udało się odciąć, razem ze styliskiem, żeby ten przypominał mu o jego klęsce.

Z wysokości murów miasta wroga armia wyglądała jak srebrna wstęga przemierzająca pola poniżej. Piechurzy jeden za drugim maszerowali równym krokiem. Ziemia daleko niosła ten wrogi rytm. Powoli zbliżał się on do bram.

Łucznicy pod dowództwem Samona obstawili mury. Stali w napięciu, gotowi w każdej chwili wypuścić nawałnicę strzał. Czekali tylko na rozkaz.

Gdy kolumna wojska nareszcie dotarła do najważniejszego punktu cypla, Samon, nie szczędząc gardła, dał rozkaz do ataku. Za nim poszli pozostali dowódcy. Rozbrzmiał chór głosów. Potem śpiew cięciw zagłuszył wszystko. Na widok chmury pocisków barbarzyńcy unieśli tarcze.

Właśnie na ten moment czekał Artam, przyczajony z drugą grupą strzelców w wysokich trawach nieopodal grodu. Napięli swoje łuki. Cięciwy ponownie zabrzmiały. Wystrzelone poziomo pociski z łatwością pokonywały lekkie zbroje wojów Emerena. Pierwszy szereg szybko padł. Nim napastnicy zdążyli się zorientować, co ich trafiło, łucznicy pod dowództwem Artama zdążyli wypuścić dwie kolejne salwy, by za chwilę wspiąć się po linach, które spuszczone ze szczytu muru.

Przeciwnicy, rozjuszeni takim przebiegiem sprawy, natarli ze zdwojoną siłą. Na przód wrogiego wojska wysforowali się żołdacy dźwigający drabiny oblężnicze oraz haki. Zanim sprzęt podczepiono, parunastu nieco bardziej rozentuzjasmowanych wojowników podbiegło do zwieszonych z muru lin w przekonaniu, że obrońcy je przeoczyli. Bez namysłu zaczęli się po nich wspinać. Gdy mieli już ponad połowę drogi w górę za sobą, wyznaczeni łucznicy natychmiast przecięli więzy.

Tłum pod murami gęstniał z każdą chwilą. Tego momentu wyczekiwał Samon. Strzelcy wystąpili naprzód, by ponowić ostrzał wroga. Stłoczeni wojownicy Emerena padali dziesiątkami. Tłum był na tyle duży, że niemal każdy pocisk sięgał jakiegoś celu. Nawet mniej doświadczeni

łucznicy mogli się pochwalić kilkoma trafieniami. Jednak to nie strzały siały spustoszenie w szeregach wroga. Większa ilość przeciwników zginęła bowiem pod stopami swoich kamratów - zostali zgnieceni i stratowani.

Jęki rannych oraz brzęk żelaza wypełniły przedpole. Morale wroga słabło, mimo to utrzymywali pozycje. Resztki odwagi opuściły najeźdźców całkowicie dopiero z chwilą śmierci kapitana. Południowcy rzucili się do ucieczki. Zostawiali za sobą wszystko, co mogło ich spowolnić: oręż, tarcze, niektórzy nawet pancerze, byleby jak najszybciej wydostać się z tego przeklętego kotła. Zaś ostrzał z góry nie słabł. Ledwie garstka żołdaków uszła z życiem.

Dano znak do ataku księżącym proporcem. Rozwarły się bramy. W pościg za uciekającymi wysłano skromny oddział lekkiej jazdy w sile zaledwie trzydziestu ludzi. Tylko tyle rumaków zdołano naprędce osiodłać, gdyż nie przywidywano udziału kawalerii w dzisiejszym starciu - na niewiele zda się ona w wąskich uliczkach miasta. Nielicznym koniom, które zawczasu wyszykowano, przypadła rola gońców krążących pomiędzy dowódcami a liniami. Resztę zaś zwierząt ukryto w podziemiach pałacu, gdzie miały oczekiwać na moment, kiedy będą mogły się przydać lub, w najgorszym razie, posłużyć jako zapas mięsa na czas oblężenia.

Konnica zwawo pokonywała równinę. Kiedy byli w połowie drogi, znad stromych i oddalonych wzgórz wychynęła ciemna, prędko poruszająca się sylwetka,

wyglądająca niczym wielki, szkaradny ptak. Wzleciała wysoko.

- To smok! - jęknęli łucznicy stojący na murach. Wielu skuliło się i przyparło do muru, chcąc schować się przed wzrokiem aźdachy. - Smok przybył!

Ten, zatoczywszy koło nad miastem, zniżył lot. Wyginał szyję, jakby czegoś wypatrywał. Nagle opadł. Skierował się ku przedpolu Charoduny, ku pogoni, jakby obrał ją sobie za cel. Na ten widok wszyscy wojacy zamarli.

Posępny cień szybko, niczym pocisk, przecinał równinę.

- Bogowie! Zaraz ich dogoni! Co teraz z nimi będzie? - pytali siebie zaniepokojeni woje.

Jeźdźcy, skupieni wyłącznie na swej ofercie, nie zwracali na nic innego uwagi. Parli wciąż do przodu.

Wtedy Revoran minął oddział; przefrunął nisko i szybko tuż ponad głowami jezdnych, wzniecając popłoch w ich szeregach. Jedne konie wpadały na drugie lub pierzchały na boki, inne ze strachu stawały dęba i zrzucały swoich jeźdźców. A bestia gnała dalej. Smok zatrzymał się dopiero przy zwężeniu półwyspu, tuż za uciekającymi Południowcami, zupełnie jakby chciał zablokować do nich dostęp. Ci na widok niespodziewanego gościa zaczęli wiwatować. Znowu zwarli szyki.

Pogoń, opanowawszy zamęt w szeregach, zastygła w miejscu, niezdolna ani ruszyć dalej, ani zawrócić. Błady strach padł na dowódcę.

Smok długo nie reagował, jakby pogrążony w myślach. W końcu wziął głęboki wdech. Lecz zamiast skierować łeb

w stronę kawalerii, obrócił go ku swym dawnym sojusznikom, wypuszczając z paszczy ognistą falę. Siła podmuchu zmiotła wojaków, jakby byli ledwie liśćmi na wietrze.

Po ustaniu walk Samon w towarzystwie Borga dokonał inspekcji przedpola w miejscu, gdzie smok zademonstrował swą prawdziwą siłę. Już z oddali dobrze było widać czarną plamę spopielonego terenu. Rzeczą, która bardziej dawała się we znaki na miejscu pożogi, był swąd spalonego ciała. Był nie do zniesienia. Żołnierze układali trupy, a raczej to, co z nich pozostało, w wielki stos. Mnogie kikuty wciąż dymiły.

- Niebawale! Co za siła, co za spustoszenie! - nie mógł się nadziwić Samon, spoglądając na zniszczenia. - Całe szczęście, że ta gnida jest po naszej stronie, inaczej mielibyśmy nie lada kłopot. I pomyśleć, że to tylko jeden chuch. Naprawdę niezwykle!

Lecz Borgo nie słuchał wyводу swego kompana; jego wzrok błędził po szczytach okolicznych wzniesień. Zdał sobie sprawę, iż nie tylko oni obserwowali sprzątanie po bitwie. Z wysoka wszystkiemu bacznie przyglądały się smocze oczy, czujne i nieruchome.

ROZDZIAŁ 5



Wspaniałe zwycięstwo odniesione nad wrogiem wlało nową nadzieję w serca charoduńczyków. Zaczęto wierzyć, że skoro teraz się udało, to może i później się uda. Niektórzy snuli nawet jeszcze śmielsze plany – być może wojnę uda się wygrać w pojedynkę? Na cóż nam inni? Sami zwyciężymy! – myśleli.

Jako jednemu z nielicznych Gidymowi nie udzielał się huraoptymistyczny nastrój. Nie mógł pozwolić sobie na to, aby jeden, w dodatku słaby triumf przyćmił obiektywny osąd sytuacji. Targały nim wątpliwości i niepokój, ponieważ przewidywał konsekwencje ostatnich wydarzeń – odbicie miasta oraz utrata oddziału na pewno spotkają się z ostrą reakcją Emerena. Ponownie nie zlekceważy przeciwnika, jedyną możliwą odpowiedzią z jego strony będzie napaść na Charodunę przy użyciu wszelkich dostępnych mu środków, włączając w to jego smoczego suzerena, Targauna. Wyzwoliciele miasta nie mogli snuć marzeń o dalszych zwycięstwach, musieli raczej przygotować się na to, by jak najdłużej przetrwać podczas szturmu, którego nadejście

było nieuniknione. Gidym wiedział, że bez pomocy z zewnątrz skazani są na niepowodzenie. Dręczyły go myśli, czy jakiegokolwiek posiłki przybędą. Tym bardziej martwił go układ z drugim ze smoków, Revoranem. Owszem, ostatnio przybył z pomocą, ale nie było powiedziane, że dotrzyma danego słowa i w chwili, gdy szala zwycięstwa przechyli się na korzyść przeciwnika, nie dołączy do niego. W końcu raz już zdradził swoich, mógł to uczynić ponownie z nowymi sprzymierzeńcami. Czy zatem smok w ostatniej chwili nie zdradzi i nie przejdzie na stronę dawnego stronnictwa? Te i wiele innych pytań dręczyło księcia. Mimo to dzielił się swoimi przemyśleniami tylko z nielicznymi. Nie chciał odbierać ludziom nadziei i wiary w zwycięstwo, bo jeśli nie ona, to co doda im sił?

Wkrótce z polecenia Gidyma wykopano wilcze doły u podnóża murów oraz w poprzek przesmyku, pomiędzy jeziorem a rzeką. Próbowano także rozmów ze smokiem, chciano ustalić jakiś schemat działania. Lecz nie wydawał się być tym zainteresowany. Bardziej zajmowały go drzemanie i przekąski.

W natłoku spraw jedynie Borgo zdawał się być szczęśliwy. Żadna praca nie była mu straszna, gdyż wiedział, że pod wieczór zobaczy się z Imerien. Widywali się każdego dnia, w każdej wolnej chwili. Para często udawała się na wspólne spacery, zawsze chadzali pod rękę. Któregoś wieczora zaszli do warsztatu, w którym Gar oraz Dratwa przygotowywali broń, a właściwie bronie mogące powalić smoka. Obaj mężczyźni byli tak pochłonięci pracą,

iż nie zauważyli nawet, że ktoś przyszedł do nich z wizytą. Wszystkich dziwiło, że po tak długim czasie obie bronie nadal nie były w pełni gotowe.

Stół, przy którym pracował Dratwa, ustawiony na prawo od wejścia, był schludny; każda rzecz miała swoje miejsce, narzędzia tu, materiały tam, a plany jeszcze gdzie indziej. Centralne miejsce zajmowała wielka metalowa obręcz. Zdawała się być szeroka na tyle, że mógłby zmieścić się w niej smoczy łeb. Było to założenie czysto teoretyczne, gdyż nikt nie pofatygował się do smoczej jamy, by sprawdzić, czy wymiary rzeczywiście pasują. We wnętrzu koła znajdowały się cztery składane, mocno zakrzywione i zwężające się ku czubkowi ostrza, osadzone na trzpieniach przy szerszym krańcu i z przymocowanymi do nich sprężynami. Według szkiców zamieszczonych na notatkach leżących tuż obok każde z ostrzy po uruchomieniu mechanizmu wysuwało się z ramy do środka okręgu wklęsłą krawędzią tnącą i wykonywało niemal pełen obrót wokół własnej osi, zatrzymując się dopiero na zewnątrz pierścienia. W zamyśle wynalazcy miało to być takie połączenie noża kieszonkowego z nożem sprężynowym.

Część warsztatu, w której pracował Gar, była całkowitym przeciwieństwem ładu panującego u Dratwy. Panował tam bajzel, zupełny rozgardiasz. Wszędzie wałały się sterty papieru z przedziwnymi obliczeniami, zaś na głównym stole fiolki, butelki i menzurki były tak liczne i tworzyły tak wielki bałagan, że brakowało już tam tylko

dziada z babą. Gar chodził pomiędzy trzema biurkami w przyciemnionych okularach z ciężkimi oprawkami. Próbował stworzyć wystarczającą ilość tak zwanego krasnoludzkiego ognia, łatwopalnego proszku, który przylegał do każdej powierzchni. Miał on wytwarzać żar cieplejszy niżli wulkan. Według słów Gara nawet woda nie mogła ugasić tej substancji. Na jednym ze stołów leżało owcze runo, w trzech czwartych wypchane wyżej wspomnianą substancją.

- Może lepiej im nie przeszkadzajmy - zaproponował Borgo ukochanej.

Po opuszczeniu pracowni odbili w lewo, zanurzając się w wiecznie gwarne uliczki. Nieśpiesznym krokiem mijali przechodniów, na których zupełnie nie zwracali uwagi, gdyż byli zbyt pochłonięci sobą. Tulili się, szeptali sobie słodkie słówka i cicho chichotali, zupełnie jakby ogrom niebezpieczeństw ich nie dotyczył. Temu wszystkiemu z wysokości swego gabinetu bacznie przyglądał się Gidym.

Późnym wieczorem władca zaszedł do komnat córki. Delikatnie zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc uchylił drzwi i zajrzał do środka. Imerien akurat siedziała przy sekretarzyku nad książką. Przemierzywszy pokój w milczeniu, Gidym stanął za córką.

- Witaj, dziecko - rzekł ciepłym tonem. - Jeszcze nie w łóżku?

Imerien dopiero teraz zauważyła ojca, unosząc oczy znad lektury.

- Jak widzisz - odpowiedziała rozpromieniona.

Władca spojrział na odbicie córki w lustrze. Także wysilił się na uśmiech. Przytaknął i zamilkł.

- Często widuję was razem - podjął po chwili. - Ciebie, drogie dziecko, i Borga.

Zawstydzona księżniczka nagle się zarumieniła.

- Ojczy, nie gniewaj się... - zaczęła, chcąc się wytłumaczyć.

- Ależ skąd. Nie gniewam się, tylko raduję! - zapewnił córkę Gidym, kładąc rękę na jej ramieniu. - Rozkwitasz przy nim i tylko to się dla mnie liczy, nic innego. Jesteś młoda, moje dziecko, powinnaś czerpać z życia pełnymi garściami. Proszę, zrób to dla mnie; smakuj życie, korzystaj z jego uroków, póki jesteś młoda, póki... - Na chwilę twarz Gidyma, wykrzywił grymas bólu, jakby władcę przeszła strzała. Ręka mu zadrżała, zacisnął palce na ramieniu dziewczyny.

- Tato? - spytała zaniepokojona Imerien.

- Nie przejmuj się mną - odrzekł Gidym, starając się uspokoić córkę. - Dziwaczej na starość.

Widząc zmartwienie ojca, Imerien ujęła jego dłoń.

- Tak bardzo was kocham, moje dziatki - powiedział Gidym, tuląc głowę córki. Resztę przemyśleń wolał jednak zachować dla siebie.

I tak bardzo boję się was stracić. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby stała się wam krzywda - dopowiedział w myślach.

Słowa Gidyma wywarły duży wpływ na Imerien - było już dobrze po północy, a ona wciąż nie mogła zasnąć, ciągle

przewracała się z boku na bok. Wyraźnie zmagala się z własnymi myślami. W końcu zdecydowała. Ubrana tylko w nocną szatę, wyszła na korytarz.

Światło sączyło się ze szpary pod drzwiami komnaty Borga, co oznaczało, że jeszcze nie spał. Zwinnie, bez najmniejszego hałasu Imerien wślizgnęła się do środka.

- Tęskniłam za tobą, mój miły - rzekła przyciszonym głosem, zamykając za sobą drzwi na zasuwkę.

- Co tutaj robisz? - spytał mocno zaskoczony Borgo, zbliżywszy się do dziewczyny. - Jeszcze twój ojciec gotowy nas skarcić...

- Nie mogłam spać - oznajmiła spokojnie Imerien, przytykając palec do ust królewicza. - Wciąż nękają mnie koszmary. Chcę tę noc spędzić z tobą, mój luby, w twoich ramionach, bo nie wiem, ile jeszcze czasu jest nam dane.

Usiedli na brzegu łoża.

- Wiesz, że niczego ci nie odmówię - oznajmił Borgo.

- Zatem... - zaczęła Imerien, przygryzając delikatnie wargę. Koniuszkami palców gładziła policzek Borga, po czym go ucałowała.

- Wybacz mi, najdroższa, nie mogę! - Młodzian znienacka zaprotestował, zrywając się na równe nogi; zdawał się spłoszony. - Na to akurat nie mogę się zgodzić.

- Dlaczego?

- To nie jest takie proste - stwierdził Borgo, odwracając się od dziewczyny. Przyłożył rękę do skroni. - Zrozum, proszę, bardzo bym tego chciał, ale nie mogę.

- Ale dlaczego? - ponowiła pytanie.

- Zapewne uznasz mnie za głupca, ale przyrzekłem przed samym sobą, że zachowam czystość dopóty, dopóki ty, najdroższa, nie będziesz bezpieczna, dopóki obie bestie nie zostaną zgładzone. Owszem - kontynuował, znów odwracając się do wybranki - postępuję samolubnie, lecz pragnę, by myśl o tobie dodała mi sił w bitwie, by pozwoliła mi przetrwać chwile grozy i wrócić w twe objęcia. Wpierw muszę zasłużyć na twoją miłość, na ciebie.

Wypowiedziawszy te słowa, Borgo ukląkł przed Imerien i chwycił jej dłonie. Ona w milczeniu wpatrywała się w oczy Borga.

- Dobrze - oznajmiła w końcu.

Tę noc spędzili razem w łóżu, leżąc naprzeciw siebie. Trwali tak, aż zastał ich świt.

Z niepokojem w sercu Gidym odliczał dzień za dniem, aż w końcu stało się. (Uprzedzam - od tego momentu opis nabierze nieco pretensjonalnego charakteru). Dwudziestego siódmego dnia drugiego miesiąca przybył Emeren. Rozstawił swoje oddziały na szczycie wzgórza, które rozciągało się na południe od miasta.

Dowiedziawszy się o tym, pośpiesznie wkroczył na szczyt wieży. Chciał zobaczyć, co go czeka. Jak okiem sięgnąć, wszędzie stały zastępy nieprzyjaciół. Ciągnęły się daleko, niczym morze, co wyszło z brzegu. Wojska spływały powoli, lecz nieubłaganie, gotowe w końcu pochłonąć osamotniony bastion. Pośród żołnierzy dostrzegł także wodza okutego w srebro i szkarłaty. Dumnie dowodził ze

swego karego wierzchowca. W dłoni dzierzył sztandar – złoty smok na krwawym polu. Właśnie dał nim znak. Zastępy wyrwały do przodu. Na jedno jego skinienie wylała się piechota.

- Zaczęło się – wyszeptał pod nosem Samon. Wspólnie z Artamem zajął pozycję przy zachodnim murze. Pierwsi skosztują południowej krwi.

Pętla wokół grodu zaciskała się coraz mocniej; osamotnione miasto, pozostawione na pastwę żywiołu, niczym statek dryfujący po rozszalałym bezkresie oceanu.

Już obrońcy strzelali, już zastępy były w ich zasięgu. Lecz na nic się to zdało. Napastnicy wdzierali się na równinę przez wąską gardziel. Strzały ich nie gryzły, nie kęsały, jeno skubały.

Zbite szeregi ludzi i elfów – dwóch ludów podbitych i do walk zmuszonych – parły naprzód. Zawczasu wykopane wilcze doły tylko na krótko spowolniły ich pochód. Już trup gęsty wypełniał szanice, całe rzędy zniewolonych umierały z rozkazu wodza. Okrutni barbarzyńcy szybciej wycinali w pień swoich, aniżeli ostrzał wroga krzywdę im czynił, choć strzelcy dwoili się i troili. W tym tempie doły rychło zapełniły się truchłem, wypełniły się nim aż po brzegi.

Na znak dowódcy wyrwali naprzód kolejni wojowie. Tuż za nimi toczyły się wieże oblężnicze, wielkie i ociężałe. Obite skórami były niewrażliwe na ogniste pociski obrońców. Jedna za drugą powoli zajmowały pozycje wzdłuż murów. Gdy już się wszystkie zjednały, na skinienie Emerena natarły.

Fala ku murom ręce swe wyciągała - sunęły maszyny jedna za drugą. Już swój chwyt zacisnął pomost jeden. Już swą ofiarę dopadł i wgryzał w nią swe zębiska żelazne. Wypluwała gęba stłoczoną piechotę. Ta gryzła, szarpała syna księżęcego, lecz była bezzębna i smakiem tym razem musiała się obejść.

Emeren, wódz wodzów, ze szczytu swymi pionami dyrygował. Tysiące na śmierć posyłał za jednym skinieniem. Niechby i dziesiątki tysięcy szczyły, wódz nie zapłacze. Dawał znak proporcem - brała ludzka masa szturmem szanę. Truchło i krew wyściełało rowy. Jeszcze bramy nie zdobyli! Jeszcze. Sypał się im na głowy deszcz kolczasty. Na nic! Wciąż hałastrą napierała. Stukała w odrzwia fala, łomotała drewnem i żelastwem. Waliła nieprzerwanie. Zawiasy już stękały, że dłużej nie wytrwają. Lał się z góry deszcz rozżarzony. Na nic! Wciąż hałastrą napierała!

Nagle stęk, huk!

- Co to?! - zawołał Borgo.

- Zapory puściły, brama zdobyta! - ktoś odpowiedział.

Wdarła się nienawistna fala. Sapał, dyszał, szarpał bałwan. Spychał obrońców w głąb zamku. Niczego sobie nie robił z ich wysiłku. Weselił się na ten widok wódz.

- Mocniej, mocniej! - nakazał.

- Bastion upadł. Zatem to jest nasz kres - dumiał Gidym.

Mężnie stał ramie w ramie ze swoimi. Walił, młócił i prał nie gorzej niż młodszy. Choć się cofał, kolejny padł z jego ręki. Hartem ducha nie urągał swoim przodkom. Z głową wysoko wzniesioną wyczekiwał swego kresu.

Obaj bracia na fasadach powstrzymywali napływ, co sączył się z przepastnej gęby. Gdy jeden żołdak umierał, na jego miejsce kolejnych dwóch się pojawiało. Krew oczy Borgowi zalewała. Nic już prawie nie widział, na ślepo wywijał kordelasem. Nie gorzej Chors poczynął sobie. „Piętnasty, szesnasty” – liczył swe trofea. Kilku przyjaciół nie dostrzegął, porwała ich gdzieś wojenna zawierucha.

Samon i Artam dwoili się i troili. Obaj szyli z wysokości; napinali i wypuszczali, wypuszczali i napinali. Ciężki ni chwili spokoju zaznać nie mogli. Z wysokoku, z przysiadu, z powietrza lub z ziemi Artam nieustannie gnębił przeciwników. Po kilka bełtów naraz trzymał w dłoni i po kilka naraz wystrzeliwał. Choć każda strzała trafiała, celów nie ubywało. Gdy w końcu kołczan się opróżnił, wojak chwycił w locie obce drzewce. Do oka przymierzył, już wziął na cel następnego. Lecz ujrzał wtedy złowróżbną postać na niebie.

Smok wydobył z siebie ryk głośniejszy niżli tętent kopyt setek pędzących koni. Serca wszystkim obrońcom zamarły. Cisza na krótką chwilę zapanowała pomiędzy zwaśnionymi. Każdy, bez wyjątku, uniósł głowę. Także i wódz wodzów, Emeren.

Nareszcie! – pomyślał. Jednakże uśmiech jego nie trwał długo. Bestia bowiem wdarła się w wojska szeregi. Jak dziób potężnej łodzi przecina przestwór oceanu, tak Revoran przecinał ludzkiego morza toń. Palił, gryzł, leciał przed siebie; ludzie, konie, nikt nie umknął. Borgo oczy

przecierał ze zdziwienia i jedna myśl go nachodziła: „Wciąż jest nadzieja”.

Z daleka słyszał, jak smoczysko warczało, gdy sunęło po zboczu, jak rechotało, gdy uśmiercało. Dalej w hufce się wgryzał. Nikt go nie zatrzymał.

- Patrzaj tam, w oddali! - zakrzyknął Samon. - Patrzaj, jak się tam czerwieni! Jak wstęga rozżarzona na dolinę się rozlewa, jak nęka wroga z góry, jak razi go płomieniem lub drapie szponami, a gdy skończy, wlatuje gdzie indziej śać spustoszenie!

Przez gęsty dym płomieni niczego więcej już Samon nie dojrzał, tylko jęki konających w uszach słyszał. Po chwili smok, niczym pocisk, wystrzelił z czarnego całunu i wzleciał wysoko. Z zadowoleniem spoglądał na własne dzieło. Nie odpoczywając ni chwili, zanurzył się po raz wtóry.

Krzyki paniki wybuchły przy murach.

- Przed ogniem i śmiercią musimy się skryć - ktoś zawołał.

Biegli przed siebie, szarpali i przepychali się, byleby dalej stamtąd, byleby dalej od bestii. Nie ma wrogów, nie ma zasad, prócz jednej - każdy odpowiada za siebie. Tłum jak ławica ryb chciał umknąć przed drapieżcą. Daleko nie uszedł. Już zalał ich żar z nieba, już leciały im na łby ogniste kłaki. Krótki błysk i eksplozji huk. Drżała obolała ziemia. Gorąc, niczym tajfun, uderzył w nawałę; miotał ludźmi, szarpał, zrzucał z murów. Ciemny dym spowił pole. Niczego nie słysząc; ucichły jęki. Tam, gdzie wcześniej

stała zwaśniona gromada, teraz tylko leżały spopieliałe ciała.

Revoran znowuż wzleciał. Następny cel obrał sobie. Lecz z oddali doszła go znajoma groźba: to druga z bestii! Ta, niczym młot, spadła na pobratymca z wysoka. Łapała, dusiła zawzięcie; nie chciała puścić. Z wielką mocą wbijała zdrajcę we wzgórze. Skała kruszała pod naporem cielska. Zaraz na oczach tysięcy miały zetrzeć się potęgi.

Dobrze, koniec. Wystarczy tej narracji; wróćmy do normalnego sposobu opowiadania. Na czym to ja skończyłem? („Na smoku” – podpowiada tłum). No właśnie, na smoku.

Emeren, widząc, co się stało z czołem jego armii, pobladł ze strachu. By zachować jakąkolwiek szansę na końcowy triumf, rzucił w wir walki swoją gwardię. Okrzyki wodza oraz jego dziki rajd w szeregi wroga wwały w barbarzyńców nowe siły. W mgnieniu oka dopadł do wciąż dymiących resztek bramy. Parł dalej, aż dotarł do placu, gdzie toczyła się główna batalia. Wkrótce znalazł się w pierwszym rzędzie. Ciął zawzięcie. Wycieńczeni obrońcy nie mogli dać sobie rady z nowym i wypoczętym przeciwnikiem. Pomimo swojej waleczności padali licznie.

Gidym, dostrzegłszy słabnące centrum, wraz ze swoimi wojami ruszył załatać coraz bardziej poszerzającą się wyrwę. Wreszcie obaj dowódcy spotkali się. Walka będzie długa, a oponenti nieustępliwi. Księżę wyjdzie z tego pojedynku pokonany i niestety martwy.

Samon, bezsilny w tej sytuacji, przyglądał się całemu zajściu z wysokości murów. W chwili zadania śmiertelnej rany z ust Samona wyrwał się niemy krzyk rozpacz. Szybkiem ruszył ku zejściu. Wściekłość w nim wrzała. Doświadczyli jej napotkani przeciwnicy, którzy jeśli nie byli zrzucani z muru, to tracili głowy – dosłownie.

W tym czasie oba smoki walczyły zawzięcie. Wymieniały ciosy, próbowały się wzajemnie przechytrzyć, stosując przeróżne podniebne manewry, aby uzyskać przewagę i dogodniejszą pozycję do ataku. Wszystko to rozgrywało się za gęstą zasłoną chmur, a nawet ponad nimi, więc dla osób, które chciałyby obserwować te zmagania z poziomu morza, były one niedostępne. Jedynymi świadectwami potyczki były słupy ognia przebłyskujące gdzieś w obłokach oraz trzepot skrzydeł pomieszany z odgłosami walki. Wnet jeden ze smoków wydobył z siebie przeraźliwy pisk, który mógłby zmrozić krew w żyłach najdzielniejszych. Zaraz po nim nastąpiła seria ognistych rozbłysków, którym towarzyszył bliżej nieokreślony odgłos – można by go przyrównać do pęknięcia kości. Następnie jeden z aźdachów, nieprzytomny lub martwy, runął w dół. Drugi potwór wystrzelił za nim. Dopadł ofiarę, zanim ta dotknęła ziemi. Pochwycił w swe szpony i rzucił w dół z całej siły. Jak meteor olbrzymi gad rozbił się o podłoże, wzbijając tumany kurzu. Zwycięski ze smoków ruszył ku miastu. I nie był to Revoran, lecz Targaun.

W tym samym czasie wydarzenia na głównym placu przybrały nieciekawą obrót. Natarcie Emerena zepchnęło

front w rejony stołpu. Nawet przybycie Samona niewiele wniosło. Co rusz kolejne części miasta wpadały w ręce intruzów. Nie mając innego sensownego rozwiązania, następca tronu zarządził odwrót. Trzydziestu ludzi, którzy tworzyli ariergardę i którym przewodził Chors, powstrzymywało nawałę na tyle długo, na ile było to możliwe, aby zabezpieczyć manewr. Ramiona obrońców słabły, a tarcze ciążyły coraz bardziej. Pomimo że wąskie uliczki im sprzyjały, przestrzeń za ich plecami powoli, acz nieubłaganie malała. Ostrzał z wież pomógł zdobyć trochę czasu.

Smok nadleciał z północy. Z powodu panującego zgiełku i zamętu początkowo zauważyło go tylko niewielu. Zatoczył koło nad placem, wznosząc nad nim tumany kurzu, po czym wylądował na wewnętrznym pierścieniu umocnień. Prawe skrzydło zawinął wokół starej wieży. Następnie, w geście zwycięstwa - zaryczał. Opuściwszy łeb, spojrzął z pogardą na zdziesiątkowanych i zmasakrowanych mieszkańców. Wielką radość musiał sprawić mu ten widok, jego szyderczy śmiech wypełnił okolicę. Bez zbędnej zwłoki rozdziawił paszczę, aby raz na zawsze położyć kres powstańczej zawierusze.

Ni stąd, ni zowąd ogromny zaostrzony pal przeleciał obok smoka. Ten chybił, lecz następny już nie - ugodził bestię prosto w głowę. Niczym ogromne włócznie kolejne pale spadały na miasto. Przygniatały ludzi, miażdżyły budynki.

- Bogowie... Giganci! Giganci przybyli! - zawołał wojak ustawiony na murze.

Rzeczywiście, drużyna w sile siedmiu olbrzymów nadciągnęła z Baergastu. Ich zwaliste, żeby nie powiedzieć - opasłe sylwetki odcinały się na tle okolicznych wzgórków, niczym głazy wprawione w ruch. Błyskawicznie wdarli się na tyły wojsk Emerena. W obozie wybuchła panika. Zaskoczeni barbarzyńcy biegali bezładnie; nie mieli szans. Krew polała się obficie. Niewiele lepszy był los tych, co zbiegli - umarli pożarci albo stratowani przez niedźwiedzie, które olbrzymy wykorzystują jako towarzyszy w trakcie wojny.

Wkrótce nadleciał smok, wiedziony gniewem. W tej chwili nie liczyło się nic prócz chęci uśmiercenia wielkoludów. Olbrzymy, dostrzegłszy gada, pochwyciły swoje pale-włócznie i kolejno ciskały je w jego kierunku. Jednak bystre oczy Targauna nie zawiodły go - z gracją uniknął wszystkich pocisków. Nim giganci zdążyli zareagować, potwór zniżył swój lot. Pewnie ściałby głowę jednemu z nich, gdyby ten w ostatniej chwili nie opadł.

Ażdacha, minawszy wrogów, pochwycił w szpony ciało swego pobratymca. Po zatoczeniu koła ponownie nabrał prędkości i ruszył ku gigantom. W bliskiej odległości od nacierających tytanów jaszczur wypuścił ciało, które przygniotło jednego z nich, zabijając go w jednej chwili. Inny z olbrzymów, prawdopodobnie ktoś mu bliski, wnosząc po reakcji, wybuchł gniewem. Mimo że był mniejszy od

pozostałych, wyruszył samotnie w pogoń za smokiem w dół zbocza. Jaszczur nie pozostał dłużny i natarł na wroga.

Targaun frunął nisko nad ziemią. Żar bijący z jego piersi wzniecał płomienie. Tym razem zarówno gęba smoka, jak i włócznia giganta chybiły. Obaj przeciwnicy zawrócili i ponownie na siebie natarli. Tym razem trafili. Zęby smoka zanurzyły się w lewym barku tytana, ten zaś wbił broń w lewy udziec bestii. Chociaż olbrzymy należą do największych humanoidalnych mieszkańców tego świata, to nawet one muszą uznać wyższość smoczej paszczy. Bestia, miotając swą głową, rozszarpała giganta, zupełnie jakby był szmacianą lalką. Tego było już za wiele.

Siwiec, najstarszy z obecnych olbrzymów, ruszył do ataku. Gdy smok był ledwie kilka kroków od niego, schylił się, uciekając przed szponami i zębami. Jednak nim potwór się oddalił, Siwiec odwrócił się i uczepił boku potwora. Bestia próbowała zgubić pasażera, lecz ten się tak łatwo nie poddawał. Przetrwał nawet kilka akrobacji, w tym beczki oraz salta. W końcu gigant pochwycił włócznię, która wystawała ze smoczego cielska, i rozpruł nią podbrzusze stwora. Pisk bólu wypełnił dolinę. Pomimo usilnych prób Targaun nie mógł pozbyć się natręta. Olbrzym mocno uczepił się smoczyska i przy każdym jego manewrze wbijał włócznię w jego cielsko coraz głębiej i głębiej.

Tymczasem sytuacja w obrębie murów zmieniała się jak w kalejdoskopie. Po początkowych niepowodzeniach Chorsa szala zwycięstwa przychyliła się na stronę powstańców

dzięki nagłej interwencji Gara. Tunelami pod miastem przedarł się na tyły wroga, skąd przeprowadził atak. Jednak efekt natarcia nie okazał się trwały, ponieważ Południowcy ostatecznie i tak odepchnęli zagrożenie. Nie bez znaczenia była ich przewaga liczebna. Jednakże Chors wykorzystał moment zaskoczenia, aby wycofać ludzi. O mały włos, a przypląciłby to życiem, na szczęście zdążył umknąć w ostatnim momencie.

Gdy zdawało się, że poddanie grodu to kwestia zaledwie kilku nadchodzących godzin, ostatnie tchnienie smoka rozbrzmiało wysoko na niebie. Południowcy jak jeden mąż zadrżeli z przerażenia, świadomi tego, co może ich wkrótce spotkać. Wielu uciekło z pola bitwy, nie chcieli bowiem nawiązywać bliższej znajomości z posiadaczami olbrzymich włóczni.

W sumie nie ma co im się dziwić. Koledzy, którzy pozostali, mocno żałowali później swojej lojalności, rozmaśleni po całym dziedzińcu.

Potężny ażdacha wyczuł, że jego koniec jest bliski, lecz nie zamierzał umrzeć w samotności. Nabrał prędkości i zanurkował. Za cel obrał zatłoczone ulice i, niczym meteor, wielki siewca śmierci Targaun runął w dół. Tam wciąż trwały walki i nikt nie zwróciłby uwagi na gadzi pocisk do czasu, kiedy byłoby już za późno. A tak, za sprawą Siwca (który tylko sobie znanym sposobem zmienił tor lotu) wojujący dostrzegł wielki cień, który przysłonił słońce. Lecz cień ten, zamiast spaść na ludzką ciżbę, przeleciał nad nią, muskając ściany wieży. Huk rozbrzmiał,

gdy budowla runęła. Następnie podmuch, niczym huragan, powalił wszystkich.

Wojenna zawierucha dogasała w grodzie – tak się przynajmniej wszystkim zdawało. Ludzie wspólnie z gigantami dobijali pozostałych przy życiu Południowców. Po zmroku ocaleni zebrali się na placu, by podziękować olbrzymom, swoim wybawicielom. Samon jako następca tronu wystąpił naprzód w towarzystwie Imerien. Dopiero teraz miał sposobność, pierwszy raz w życiu, przyjrzeć się dokładnie tym stworzeniom. Każdy z tytanów przerastał człowieka co najmniej o pięć łokci. Ciała tych istot były masywne i zbite, ramiona, dłuższe niż u ludzi, sięgały im niemal do kolan. Spod prostych, skórzanych pancerzy wybijało gęste, przeważnie ciemne owłosienie. Każdy z olbrzymów posiadał szeroko rozstawione oczy, znajdujące się poniżej mocno wystających fałd, tworzących łuk brwiowy, czoło zaś było niskie, wyraźnie cofnięte. Jednak to duży nos podobny do ziemniaka najbardziej przykuł uwagę Samona.

Gdy książę w końcu stanął przed gigantami, miał zupełną pustkę w głowie. Nie wiedział, co powiedzieć ani jak przywitać gości. Nigdy nie błyszczał w tego typu sytuacjach, w przeciwieństwie do swojego ojca. Wtedy wydarzyło się coś, co ocaliło Samona przed publicznym upokorzeniem. Ledwie zdążył otworzyć usta, gdy z mroku nocy wyłoniła się sylwetka Revorana. Porwał dwóch olbrzymów i wyrzucił ich wysoko w powietrze. Obaj zginęli

w smoczym płomieniu. Następnie padł Siwiec - zmarł przebity oszczepem pochwyconym i ciśniętym z powrotem przez ażdachę.

Borgo oraz Chors, widząc, jaki obrót przybrały wydarzenia, wiedzieli, co muszą uczynić. Ruszyli w dół ulicy, do domu alchemika. Wpadli do pracowni i zabrali ze stołu worek, w którym to miała znajdować się substancja wytworzona przez Gara, jak pamiętacie, umieszczona w owczym runie. Na wszelki wypadek zabrali ze sobą także dziwny mechanizm skonstruowany przez Dratwę, ów żelazny owal z wbudowanymi weń ruchomymi ostrzami.

- Tylko do czego służą te sznury? - Głowił się chwilę Borgo. - Wcześniej ich nie było, po co je Dratwa dodał?

Walka przeniosła się z ulic miasta na teren na zewnątrz grodu, w okolice groty smoka, gdzie świeciła ognista łuna. Tam też udali się bracia. Lecz gdy dotarli na miejsce, pojedynek okazał się być już rozstrzygnięty. Pokiereszowane ciała olbrzymów nabite na własne włócznie zdobiły wejście do jaskini. Trwoga zmroziła serca naszych bohaterów.

Skoro nawet olbrzymy nie dały rady smokowi, zatem jak my możemy mu podołać? - zastanawiał się Borgo. Spojrzał na Chorsa, próbując odnaleźć odpowiedź w jego twarzy. Choć widział lęk w oczach swego brata, dostrzegł w nich także iskrę nadziei, iskrę wiary; wiedział już, co należy teraz zrobić. Chors położył Borgowi rękę na

ramieniu i skinął głową. Tymi niemymi znakami jasno dał mu do zrozumienia, że nie wolno teraz zrezygnować.

Wkroczyli do jaskini. Tak jak się spodziewali, ognisty gad już na nich czekał. Jego rozpostarte skrzydła wypełniły grootę od ściany do ściany. Poskromiwszy olbrzymów, teraz zdawał się jeszcze groźniejszy.

- Spotykamy się więc po raz wtóry, synu Welesobójcy - wybulgotał potwór, widząc zbliżających się bohaterów. - Tylko w jakiej roli przychodzi nam się spotkać?

- Nie szukamy zwady - odparł Borgo. Starał się, by głos drżał mu jak najmniej. - Przychodzimy z propozycją pokoju.

- Zatem *arsanisi* chcą pokoju? Te nic nieznaczące pluskwy chcą pokoju? Dobrze. Dostaną pokój, lecz pożałują go, będą przeklinać po wsze czasy i modlić się o szybką śmierć. To im przyrzekam! Czy pluskwy przystaną na te warunki? Czy przystaniecie na głód i cierpienie pod moimi rządami?

- Zdaje się, że nie mamy wyjścia - odpowiedział Borgo, spojrzawszy wcześniej na brata. - Nie odmawia się zwycięzcom.

Smok zamruczał z zaciekawieniem.

- Na znak pokoju przyjmij, proszę, ten oto dar - kontynuował Borgo, dając znak Chorsowi, by ten złożył przed bestią wypchane runo. Obaj z niepokojem przyglądali się ażdasze.

Złożywszy ofiarę, Chors prędko się wycofał. Revoran obwąchał runo i w okamgnieniu je pochłoniął. Lecz zamiast przełknąć zionął ogniem. W połączeniu z połkniętą

substancją ognisty oddech upodobił się do lawy, która rozlała się po jaskini szerokim strumieniem.

Bracia, przewidziawszy zachowanie smoka, rozbiegli się w odleglejsze zakamarki pieczary.

- Myślicie, że dam się nabrać na te wasze sztuczki?! Nawet owcze runo nie zamaskuje zapachu krasnoludzkiego ognia! - Smok darł się wniebogłosy. - Za tę zniewagę czeka was śmierć, wy marne pluskwy!

Czerwone jezioro z wolna ogarniało coraz większy obszar. Jedynym wyjściem wydawała się być ucieczka do góry, wdrapali się więc na wielki kamor. Na razie musiał wystarczyć. Mieli jednak szczęście w nieszczęściu - ognisty potok zatrzymał się, gromadząc się w niewielkiej niecce na środku pieczary.

- Mam pomysł - powiedział Chors, ściągając z pleców brata mechaniczny owal. - Ja spróbuję zwabić potwora, a ty w odpowiedniej chwili wskoczysz mu na grzbiet i pociągniesz za sznur! Zrozumiałeś?

Borgo spojrział na metalową obręcz w ręku brata, potem na smoka w oddali i jednoznacznie stwierdził:

- Obwód jest za mały! Owal nie wejdzie na szyję tej gadziny!

- Nie taki był mój zamysł.

- Co więc planujesz? - spytał mocno zaniepokojony Borgo.

- Spokojnie, zaufaj mi - odrzekł uśmiechnięty Chors.

- Niech ci będzie - powiedział Borgo po chwili namysłu. Nie wydawał się jednak uspokojony odpowiedzią brata. -

Najpierw trzeba go tu zwabić! Jak dokładnie zamierzasz to zrobić?

- Zaraz zobaczysz.

Chors z krzykiem na ustach zeskokczył z głazu. Smok wnet skupił na nim swą uwagę i błyskawicznie nań ruszył. Gdy bestia była już blisko, Chors wziął zamach, by rzucić owalem. Lecz królewicz upadł, niespodziewanie napotkawszy ogon, którym Revoran smagał niczym pejczem.

- Dość tych gierek! - warknął ażdacha. Ogromna paszcza opadła na Chorsa.

Jakimś cudem Chors zdążył wyciągnąć miecz i przyszpilić nim do ziemi jęzor gada. Ryk bólu wydobył się z gardzieli potwora.

- Teraz! - zawołał Chors.

Borgo wystrzelił do przodu.

Metalowa obręcz zadźwięczała, lecz zamiast polecieć w głąb przetyku upadła niecały krok dalej przez sznur, który zaplątał się wokół ręki Chorsa. W tej samej chwili rozdwojony jęzor dał o sobie znać. Jedna z końcówek owinęła się wokół nogi wojownika. Smok szarpnął łbem do góry. Jeden ruch zuchwy i chwila nieuwagi wystarczyły, by biedak skończył w trzewiach. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, owal stanął smokowi w gardle, zaś nagły ruch przymocowanego sznura uruchomił mechanizm. Ostrza poszły w ruch i przebiły smoczą szyję w czterech punktach, przyozdabiając ją z zewnątrz czymś na wzór zakrzywionych ćwieków.

Chwilę wcześniej Borgo, jeszcze nieświadom, jaki los czeka jego brata, chwycił koniec liny walający się po ziemi. Obwiązał go mocno wokół nadgarstka, gotowy w każdej chwili zań pociągnąć. Chwilę później jaszczur potrząsnął łbem, pożerając Chorsa. Szarpnięcie to sprawiło, że Borgo, pociągnięty przez sznur, wzleciał w powietrze. To właśnie za sprawą owego zajścia - nagłego napięcia liny przez frunącego Borga - mechanizm urządzenia został uruchomiony, a ostrza poszły w ruch i przebiły skórę gada. Królewicz wylądował na grzbiecie smoka i, by nie spaść, chwycił się jednego z metalowych brzeszczotów, akurat tego, który wystawał z karku Revorana. Bestia szamotała się i wyła na całe gardło. Borgo z trudem się utrzymywał, tym bardziej że ostrze przy każdym ruchu coraz mocniej kaleczyło mu rękę. Nawet nie poczuł, jak jedna z wystających łusek smoka przebiła mu nogę. Wreszcie jakimś cudem złapał równowagę i zaparł się nogami o ciało smoka. Gdy mocniej pociągnął za wystający brzeszczot, gad zawył i ruszył do tyłu, podobnie do konia, kiedy ściąga mu się lejce. Szybko zbliżali się do ściany jaskini. Zdawało się, że Borgo zaraz zginie, rozgnieciony niczym owad, gdy nagle, dosłownie cale od skalnej powierzchni, ażdacha zatrzymał się, a okolicę przeszył donośny łomot. Konwulsje przebiegły przez ciało Revorana. Borgo, zdziwiony tym, że wciąż żyje, uniósł wzrok. Ogromny zwis skalny sterczał z potylicy potwora. Wbił się w głowę smoka, kiedy ten, rozpędzony, cofał się.

ROZDZIAŁ 6



Po zakończonej potyczce Borgo zszedł z ciała potwora. Stanąwszy na ziemi, przeszedł kilka kroków, zanim przeszywający ból nie zwałił go z nóg. Dopiero teraz, kiedy emocje opadły, dostrzegł ogromną łuskę wystającą z jego prawej łydki. Sięgnął ku niej, lecz wystarczyło ją delikatnie musnąć, by ogromna fala bólu przeszła nogę. Borgo natychmiast zrezygnował z pomysłu wyciągnięcia odłamka. Skoro nie mógł go wyjąć, wołał zabezpieczyć ranę tak, żeby łuska sama nie wypadła i nie spowodowała krwotoku. Doczołgał się więc do najbliższego kamienia i z wielkim trudem na niego wdrapał. Urwał kawałek rękawa i zbliżył do łuski. Chwilę zwlekał, ciężko sapiąc, po czym szybkim ruchem obwiązał łydkę. Ból był nie do zniesienia – królewicz darł się wniebogłosy. Gdy wreszcie zelżał, Borgo rozejrzał się dokoła. Jezioro lawy już nie blokowało wyjścia z pieczary, bowiem całe zgromadziło się w zagłębieniu pośrodku grotu.

Z zabezpieczoną raną wpierw podniósł się z kamienia, potem ruszył, kuśtykając, ku ścianie jaskini. Gdy dotarł do

niej, był niemiłosiernie zmęczony. Mimo to oparł się lewym ramieniem o skałę i powoli posuwał do przodu, tak by nie obciążać zranionej nogi.

Gdy w końcu dotarł do wylotu jaskini, dostrzegł jakąś postać. Był to Gar. Stał przed grotą w nikłym świetle metalowych palenisk. Oczekiwał przybycia przyrodniego brata. Chociaż obaj byli ranni i wycieńczeni, rzucili się sobie w objęcia.

- Borgo, ty żyjesz - mówił przez łzy Gar, ściskając brata.
- Tak się cieszę, że cię widzę.

- Smok nie żyje - słabo wymamrotał Borgo. - Smok nie żyje. - Po chwili i jemu łzy spłynęły po policzkach.

- A co z Chorsem?

- Też nie żyje... - odparł jeszcze słabszym tonem.

Nagle oczy Borga powiększyły się, a usta otworzyły, jakby nie mógł złapać oddechu. Borgo, pogromca smoka, osunął się na ziemię, pozbawiony życia. Rękojeść sztyletu wystawała spod jego lewej łopatki. W tej samej chwili, kiedy z ust Borga wydobył się ostatni dech, niebo przecięła jaskrawa smuga - spadająca gwiazda. W dawnych wierzeniach był to znak, że duszę zmarłego zabrał posłaniec bogów, niejaki Umor-Strasz.

Gar uklęknął obok Borga i wyszeptał do ucha:

- Ona będzie moja.

Z udawanym smutkiem na twarzy oddalił się z miejsca zbrodni. Wcześniej jednak wyciągnął broń spod łopatki brata, a następnie spalił jego ciało w grocie, wykorzystując do tego resztkę palącego proszku, którą sobie zachował.

- Nieborak, zginął spopielony przez gada - wyjaśniał później wszystkim.

Złe wieści szybko się rozeszły. Jednak nikt nie miał serca donieść o tym Imerien, wybrance zmarłego. Ludzie, którzy ją mijali, spuszczaali tylko wzrok. Dopiero nazajutrz Gar w obecności Samona odważył się przekazać Imerien smutną nowinę. Nie chciała uwierzyć, że jej ukochany Borgo już nie powróci. Gar próbował ją obłaskawić, przynieść pocieszenie po utracie wybranka, ukoić ból czułymi słowami oraz zapewnieniami o bezgranicznym wsparciu, które jej oferuje. Rana była jednak zbyt świeża, zbyt głęboka, aby mogły ją zabiżnić jakiekolwiek słowa.

Dni mijaly, ludzie powoli wracali do swoich codziennych zajęc, zaś bohaterowie do zdrowia. Na ich cześć postanowiono wyprawić wieczerzę, aby uczcić męstwo zarówno tych, którzy przeżyli, jak i tych, którzy polegli w boju. W tym celu uprzątnięty główny rynek przyozdobiono, a następnie rozstawiono wokół niego stoły. Każdy z mieszkańców przyniósł coś od siebie.

Najpóźniej do zdrowia powrócił Artam, którego wypuszczono z lazaretu za ledwie na dzień przed ucztą i to tylko dlatego, że potrzebowano krzesel oraz łózek. I tak miał sporo szczęścia - skończyło się tylko na otwartym złamaniu nogi. Z jego towarzyszami było dużo gorzej, albo nie dożyli kresu zmagani, albo potracili kończyny. Przykładem może być Radomir, który do końca życia będzie zmuszony radzić sobie bez lewej ręki.

Obolały Artam przemierzał ulice miasta. Wszędzie krzątali się ludzie, wrzało jak w ulu. Każdy, kto mógł, angażował się w szykowane przedsięwzięcie. Być może dlatego, że była to próba odtworzenia życia sprzed napaści, namiastka normalności, której od tak dawna mieszkańcy nie zaznali. Trzeba przyznać, że entuzjazm był zaraźliwy, nawet Artam, który wciąż miał problemy z chodzeniem, pomagał.

Wieczorem zasiedli do stołów. Pomimo bardzo uszczuplonych zapasów pożywienia jadła nie pożałowano. Artama posadzono blisko rodziny panującej, przeznaczono mu trzecie krzesło na lewo od Samona, nowego księcia. Bezpośrednio obok władcy zasiadły Imerien oraz Karaliene, księżna matka, odpowiednio po jego prawej i lewej stronie. Garowi przypadło miejsce pomiędzy Artamem a matką Samona.

Gdy skończyła się cześć oficjalna, to jest przemowa Samona, która nie należała ani do długich, ani do błyskotliwych, wzniesiono toast za poległych, w tym za Borga oraz Chorsa. Później - za żywych. Słowa Samona o śmierci przyjaciela wstrząsnęły Artamem. Do tej pory nie rozmyślał nad powodem, dla którego Borga nie było razem z nimi, dlaczego nie brał udziału w uczcie. Choć Artam próbował robić dobrą minę do złej gry (rozmawiał, silił się nawet na dowcipy), nie potrafił ukryć smutku po utracie przyjaciela. Imerien zresztą też. Przez całą ucztę nie tknęła żadnej potrawy.

Następnego dnia późnym południem do komnaty zajmowanej przez Gara przybył posłaniec. Młodzieniec z trudem łapał oddech, wyraźnie śpieszył się, by doręczyć list. Minąwszy drzwi, padł na kolano i wysunął rękę. Gar, nie wstając z krzesła, złapał zwitek papieru. Wprawnym ruchem złamał pieczęć. Szybko przeczytał wiadomość. Musiała być pozytywna, skoro z uśmiechem na twarzy zerwał się z siedziska. Dwukrotnie zawołał: „Szykujcie mi konia!”, po czym wybiegł z komnaty. Od razu odnalazł Samona, który przebywał w tymczasowej kwaterze – wielkim namiocie ustawionym na przedpolach Charoduny na czas odbudowy murów miejskich oraz zamku.

– Ubieraj się, druhu! Będziemy mieli gości!

Otoczeni podwiedłym kwiatem rycerstwa wyjechali daleko poza mury. Dopiero z tego miejsca Samon uświadomił sobie rozmiar zniszczeń. Beładna sterta gruzu, która dawniej była murem, kłuła go w oczy, lecz jakoś nie mógł oderwać od niej wzroku. Konie kłusowały przed siebie tak długo, aż gród stał się dla jeźdźców ledwie widoczną plamą na tle błękitu nieba. Gdy w końcu dotarli na wzniesienie, ich oczom ukazała się ciągnąca w ich kierunku kolumna wojsk.

Armia, niczym wąż, którego ogon nikł w leśnych ostępach, przeprowiała się przez bród, zaś kawalerzyści odziani w zbroje podobni byli do gadzich łusek. Ich konie były zwinne i szybkie. Na przedzie jechał rycerz ogromnych rozmiarów. Wyraźnie było widać, że z trudem utrzymuje się w siodle. Gar krótko to skwitował:

- Baryła! Po tylu latach nadal nie potrafi dosiadać konia.

Wojska wkrótce stanęły u podnóża wzniesienia. Nie musieli długo czekać, by komitet powitalny do nich dołączył.

Rycerz słusznych rozmiarów wyjechał znacząco przed resztę.

- Coście za jedni? - spytał, powiódłszy wzrokiem po grupie nieznajomych.

Gar poczuł się urażony tym, że ten spaślak, jak o nim pomyślał, nie rozpoznał w nim dziedzica korony. Czy wyglądał aż tak źle?

- Od kiedy to panuje zwyczaj, by w taki sposób zwracać się do swojego władcy?! - zagrział Gar.

- Do kogo te słowa, kmiocie?!

- Jak śmiesz obrażać dziedzica tronu, chamie! - rzekł potomek Iwara, który od niedawna zaczął sam siebie nazywać Smokobójcą. - Nie poznajesz mnie?! Jestem Gar! Syn króla Iwara, książę Suur Erun! Smokobójca! - W chwili gdy padały te słowa, koń Gara nagle uniósł się na tylnych kopytach. Trzeba przyznać, że efekt był widowiskowy. - Jesteś mi winien posłuszeństwo!

Wszystkich, łącznie z Baryłą, zamurowało. Nie mogli wykrztusić z siebie ani słowa. Po chwili przybysze, zawstydzeni, pojęli swój błąd. Poznali w zarośniętym mężczyźnie swojego księcia. Z ruchu ust co poniektórych można było odczytać sformułowania typu: „Ożeż ty”. Całkiem zrozumiała reakcja.

Dowódca, który teraz kurczył się z sekundy na sekundę, próbował jakoś się uratować i wybrnąć z sytuacji z twarzą, lecz pisk wydobywający się z jego ust tylko ją pogarszał.

- Nie poznałem w tym stanie... Waszej... Waszej...

Gar nie odpowiedział. Świdrował wzrokiem Baryłę, który plątał się coraz bardziej. Przyglądanie się temu upokarzającemu przedstawieniu sprawiało królewiczowi ogromną przyjemność.

Gdy dowódca skończył się wić, pochylił głowę na znak pokory. Trzymał ją tak długo, aż usłyszał: - Pomyłki się zdarzają. Wstań.

Bez dalszej zwłoki kawalkada ruszyła w stronę miasta.

W trakcie pochodu Gar słyszał za swoimi plecami nieustanną słowną przepychankę pomiędzy Baryłą a jego orszakiem. Gdakali jak stare kumoszki. Przez początkowe nieporozumienie kompletnie zapomnieli o ważnej informacji, którą mieli przekazać królewiczowi.

- Ty mu to powiesz, Heniu - przekonywał dostojnik dosiadający konia po prawej stronie Baryły.

- A niby dlaczego ja? - bulwersował się dowódca. - Sam mu to powiedz! Ja już raz podpadłem! Teraz twoja kolej.

- Właśnie dlatego ty to zrobisz - nalegał rycerz, który jechał po drugiej stronie Baryły. - I tak już jesteś spalony. Wkopałeś się raz, możesz i drugi.

- Nie ma mowy! Mam swój honor!

- Ha, ha, ha - obaj wybuchnęli śmiechem. - Dalej! Zrób to! Nie bądź baba!

- A właśnie że będę!

Gdakali tak, aż do momentu osiągnięcia murów Charoduny. Stało na tym, iż to Baryła, który uległ presji, miał powiadomić następcę tronu. Jakim cudem został dowódcą, skoro nie umiał dowodzić nawet swoim doradcami?

Gdy kolumna stanęła, Baryła podjechał bliżej Gara.

- Panie... - zaczął stremowany, głos mu lekko drżał.

- Tak?

- Jest również inna kwestia - rzekł, co rusz głośno przetykając - o której powinniście wiedzieć. Chodzi o króla Iwara, waszego ojca... On... On...

- Innym razem - odparł Gar, zbywając rozmówcę ręką.

- Ależ panie, król...

- Powiedziałem: innym razem, komendancie.

- Jestem wojewodą.

- Nie na długo. Odejdź!

- Jak każesz, panie - rzekł Baryła, kłaniając się. Nie czekając dłużej, oddalił się.

Gdy zostali sami, Samon stanął obok Gara.

- Wspaniale to zrobiłeś, tam na dole - zaczął.

- Niby co?

- Ze spięciem konia. Nie mam pojęcia, czy planowałeś to czy nie, ale muszę przyznać, że efekt był piorunujący - stwierdził Samon, poklepując Gara.

- Dziękuję. Tak to sobie zaplanowałem. - Przemilczał fakt, że koń najzwyczajniej w świecie się spłoszył.

Zapasy szybko się kurczyły. Wiele spichlerzy świeciło pustkami i to pomimo zdobycia racji, które pozostały po

rozgromionej hordzie. Dlatego nie może dziwić radość ludzi, kiedy zobaczyli, jak wozy, wypełnione po brzegi różnego rodzaju jedzeniem, wtaczają się na ulice Charoduny. Przybyły ponad trzy dziesiątki takich wozów, długich na dwadzieścia albo więcej łokci. Drugie tyle furgonów wypełniono materiałami budowlanymi, aby przyspieszyć odbudowę zniszczonego grodu. Wspierać oraz nadzorować przedsięwzięcie miała grupa złożona z wybitnych architektów i najlepszych w swoim rzemiośle budowniczych.

W czasie gdy na placach trwał rozładunek, w owalnej sali pałacu książęcego, z dala od zgiełku, zebrały się najważniejsze osoby, żeby zaradzić problemom, które rzeczywistość stawiała obecnie przed nową władzą. Udział w spotkaniu brał oczywiście Gar wspólnie z Samonem. Nie mogło także zabraknąć wyższych rangą urzędników dworskich oraz wojskowych posiadających ogromne doświadczenie. Przy rozpatrywaniu niektórych kwestii w obradach uczestniczyła także, w zależności od materii, księżna matka bądź siostra Samona, Imerien. Chociaż, prawdę powiedziawszy, jej obecność ograniczy się tylko do jednego posiedzenia, jednakże jego waga będzie na tyle duża, że w przyszłości odmieni bieg wielu spraw. Jednak nie wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość.

Zmierzch zdążył zapaść nad dolinami, a rozmowy, które miały ukształtować przyszłość krain na nadchodzące lata, nie zbliżyły się nawet do półmetka. Główną oś sporu pomiędzy Garem a Samonem stanowiło zagadnienie

podziału łupów. Pierwszy domagał się udziału nie mniejszego niż jedna druga, drugi zaś mógł przystać na wielkość góra jednej czwartej bogactw smoczego skarbcza. Sęk w tym, że ponad połowę jego zawartości stanowiły złoto i kosztowności zrabowane z miast podległych Charodunie, resztę zaś skarby zdobyte wiele mil dalej i wiele lat wcześniej. Na takie rozwiązanie Samon nie mógł przystać. Gdyby ktoś spojrział na całą tą kłótnie z boku, stwierdziłby, że jest ona całkowicie jałowa. Bowiem wszyscy w tej sali dzielili skórę na niedźwiedziu, nawet go jeszcze nie ujrzawszy. Równie dobrze tego złota mogło być o wiele mniej albo nawet nie być w ogóle.

Musiał minąć tydzień, aby ktoś poszedł po rozum do głowy, a była to, o ile dobrze pamiętam, Imerien, która zaproponowała, aby najpierw przejąć skarb, oszacować na miejscu jego wartość i dopiero wówczas ustalać wielkość udziałów. Tak też uczyniono.

W ciągu zaledwie kilku godzin zbrojny oddział liczący dwa tysiące ludzi był już gotowy do drogi, a ponieważ żaden z obu książąt do końca drugiemu nie ufał, postanowili pojechać obaj. Złota, które zastali w grotach nieopodal Orby, było co niemiara. Ustalono, że Gar uzyska łącznie trzecią część skarbu, jednakże pod jednym warunkiem: jedna czwarta przypadnie mu z tytułu nadzwyczajnych zasług, jakie wyświadczył Charodunie, resztę zaś miał otrzymać w postaci posagu należnego Imerien, jeżeli zgodzi się pojąć ją za żonę. Nie zdziwię chyba nikogo, jeśli powiem, że zgodził się bez wahania.

A dzięki szeroko zakrojonym staraniom Gara, które miały na względzie zachęcenie Imerien do zamążpójścia, ta także nie oponowała. Jedyną osobą, która miała obiekcje i była nieprzychylnie nastawiona do pomysłu wyswatania księżniczki z Garem, tym hultajem, była księżna Karaliene, jej matka.

Okazywała to przy każdej możliwej okazji. Nie potrafiła nazwać emocji, które nią targaly, lecz czuła, że Gar nie był w rzeczywistości taki, za jakiego chciałby uchodzić i za jakiego się podawał. Czuła to podskórnie. Jednak jedyny męski krewny, który sprawował pieczę nad Imerien, Samon, pozostawał głuchy na skargi matki. Wierzył głęboko, że zrobił świetny interes, bowiem dzięki małżeństwu siostry zyskiwał potężnego sprzymierzeńca, który w razie potrzeby musiałby udzielić mu wsparcia. Naciskał, ażeby ożenek doszedł do skutku, i to jak najprędzej.

Ślub odbył się w połowie kwietnia, czyli równo dwa miesiące od daty pierwszego starcia. Na prośbę Gara przyjęcie odprawiono na odnowionym placu Charoduny, który, podobnie do reszty odbudowanego grodu, miał być podarkiem ślubnym dla żony. Sama ceremonia przebiegła bez zakłóceń, a jej olśniewający przepych stanie się elementem miejscowej legendy, powtarzanej oraz upiększanej z pokolenia na pokolenie.

Przewidywania majstrów zakładały, że prace przy wznoszeniu nowych fasad zajmą nie mniej niż dwanaście miesięcy, a ponieważ Gar obiecał, że nie opuści miasta dopóty, dopóki przebudowa nie zostanie ukończona,

najbliższy rok przyszło młodej parze spędzić w otoczeniu rodziny Imerien.

Z początku relacje Gara i Samona można było określić jako bardzo dobre, lecz z biegiem czasu uległy one ochłodzeniu. Przyczyn takiego stanu rzeczy było co najmniej kilka, jednak dwie były, jak się zdaje, kluczowe i ściśle ze sobą powiązane. Pierwszą z nich był fakt, że Gar, nie umniejszając jego wcześniejszych zasług, zbyt nachalnie wtrącał się w sprawy wchodzące w zakres do kompetencji Samona. O ile panoszenie się przy odbudowie było podyktowane chęcią przypodobania się Imerien, o tyle natarczywe doradzanie lub kwestionowanie decyzji podjętych przez Samona było już niczym nieusprawiedliwione i wprost niewybaczalne. Drugą sprawą, która mocno podkopała wiarygodność i autentyczność Gara, był sposób, w jaki traktował on Imerien oraz własnego potomka, Bergasta. Kiedy dziecko przyszło na świat, a był to koniec stycznia, roboty budowlane zmierzały ku końcowi. Mimo to przez okres pierwszych trzech miesięcy po narodzeniu syna Gar nie odwiedził go ani razu, o spędzaniu z nim czasu czy pomaganiu przy nim już nie wspomnę. Zamiast tego wolał dyrygować armią rzemieślników albo narzucać się Samonowi lub wytykać mu popełnione błędy. W tym ostatnim lubował się najbardziej. Nawet noce spędzał poza alkową. Na takie postępowanie nie mogła przystać Karaliene. W jej oczach hańbą było, by mąż, głowa rodziny, nie zajmował się najbliższymi, nie troszczył się o nich,

zwłaszcza wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny. By w końcu zaprzestał tych praktyk, Karaliene postanowiła wspólnie z Samonem porozmawiać z Garem.

Efektem dialogu była sprzeczka, podczas której na światło dzienne wywleczone zostały wszelkie skrywane zadry. Życie pod jednym dachem przestało być możliwe. W wyniku utarczki Imerien, zmuszona przez krewnych, musiała wybrać pomiędzy nimi a małżonkiem. Wybrała męża i dziecko. Wybór ten podyktowany był miłością do Gara oraz poczuciem obowiązku wobec dziecka. W rezultacie młodzi zostali wyrzuceni, zaś relacje pomiędzy Imerien i jej krewnymi - na wiele lat zerwane. Imerien, zważywszy na ostatnie zajścia, bez żalu opuściła rodzime strony. Podróż do siedziby Gara, jej nowego domu, zajęła nieco ponad dwa tygodnie.

Czyż można było wyobrazić sobie lepszy początek? Słońce przyjemnie grzało lico Imerien, smagane delikatnym górskim wiatrem. W oddali majaczyły rozległe łąki, ukwiecone barwnymi jaskrami i dzwonkami. Za nimi rozciągały się liczne doliny, po których echem odbijał się stukot kopyt uderzających o kamienny gościniec. Nad nimi górował obleczony w bladą mgłę masyw Suur Erun, w którym mieścił się jej nowy dom. Cóż mogło pójść źle?

Gdy wozy zajeżdżały na zewnętrzny dziedziniec, przy fontannie czekała już królowa Niwena, matka Gara, a wraz z nią skromny komitet powitalny, nie więcej niż dwie dziesiątki osób. Gar nawet nie zaczekał, aż konie staną, tylko pędem pobiegł i rzucił się w objęcia matki.

- Tak się cieszę, że wróciłeś cały, lalczko - rzekła. - Zapewne już słyszałeś o ojcu? Że zmarł, kiedy dowiedział się, że posłał was na pewną śmierć?

Gar przytaknął.

- Pomówimy o tym później - odpowiedział, ponownie przytulając matkę.

Dopiero wyściskawszy ją, pomógł wsiąść małżonce. Niwena, królowa matka, skrzyżowała ręce na piersi i przez dłuższy moment przyglądała się synowej. Wnioskując po jej minie, nie była zachwycona. Już po oficjalnym powitaniu, kiedy Imerien wchodziła do środka, po drodze minęła monarchinię, która burknęła pod nosem: „Mogło być lepiej”. Czy to umyślnie, czy to przez przypadek, zrobiła to jednak na tyle głośno, iż usłyszeli to wszyscy zebrani. Z tego powodu dawno przyłgnęło do królowej matki przezwisko, bardzo pasujące do jej imienia - Niwecząca Marzenia.

Po tym stosunkowo chłodnym przyjęciu Imerien mimo wszystko nadal głęboko wierzyła, że w końcu los się do niej uśmiechnął, a lata, które miały nadejść, przyniosą radość i spokój jej bliskim. Jednakowoż życie w sposób dotkliwy zweryfikowało owe, jak się okazało, płonne nadzieje.

Już od pierwszych tygodni królowa matka jasno dawała do zrozumienia, że nisko ocenia osobę Imerien, zamieniając jej życie w udrękę. Okazywała swoją niechęć poprzez nieprzerwany strumień inwektyw i docinków, który nieustannie wylewał jej się z ust. Najczęściej powtarzała, że dziewczyna wypadła sroce spod ogona, choć równie często

mówiła, swoim zwyczajem nieznacznie przekręcając znane porzekadło, iż Imerien winna być wdzięczna przeznaczeniu, gdyż chwyciła szczęście za nogi, mając mężczyznę pokroju Gara za męża.

Z początku Imerien starała się walczyć - nie chciała podporządkować się Niwennie. Ostatecznie jednak, po długich miesiącach słuchania tych samych frazesów, ugięła się - zwątpiła w samą siebie i mimowolnie zaczęła w nie wierzyć. Wiele lat później pożałowała swej słabości. Nie mogła sobie wybaczyć, że uległa królowej, że dała jej się podporządkować. I po co? - wielokrotnie zadawała sobie w myślach to pytanie. Tylko po to, by zyskać aprobatę starej klempy, tylko po to, by się jej przypodobać i by w końcu spojrzała na mnie przychylniejszym okiem?! Czy było warto dla tych kilku dobrych słów, dla nic nieznaczącego uśmiechu wyrzec się wolności, wyrzec się samej siebie? Czy naprawdę było warto?

Z biegiem lat Niwena coraz to bardziej i bardziej ingerowała w sprawy małżeństwa, pogłębiając niechęć syna do małżonki. Gar często pozwalał na to matce albo, co gorsza, zwracał się do niej z prośbą o interwencję. Lecz najdotkliwiej bolało Imerien to, że Gar niemal zawsze wybierał matkę, kiedy przychodziło do opowiedzenia się po jednej ze stron. W efekcie takiego postępowania niejednokrotnie dochodziło do powstania nowego, jeszcze większego sporu, który wybuchał nie tyle przez matkę, co o nią. Każda zaś próba wykazania bezzasadności pretensji traktowana była przez Niwene w kategoriach osobistej

napaści i najczęściej skutkowało jej obrażeniem się. Jedynym sposobem na naprawienie sytuacji było przeproszenie teściowej przez Imerien. Jednym z przykładów takiego postępowania, które można by mnożyć, były wydarzenia z siódmego roku pobytu. Otóż sytuacja prezentowała się następująco.

Jako że Gar i Imerien szykowali się tego dnia do długiej podróży, musieli wcześniej rano wstać. Niwena, by mieć pewność, że dzieci nie zaśpią, wysłała jednego ze swoich posłańców, żeby ich zbudził. Ten zgodnie z poleceniem zapukał do drzwi. Odgłosy zbudziły Imerien, która wstała, aby otworzyć. Przedzierając się przez komnatę, zaspana, w kompletnej ciemności nie dostrzegła skrzyni, o którą zahaczyła. Nie dość, że za sprawą „pomocy” królowej matki Imerien o mało nie straciła życia, prawie skręcając sobie kark wskutek upadku, to jakby tego było mało, po przybyciu na miejsce Gar zmusił ją do wysłania pisma z przeprosinami za ostre słowa, jakie za pośrednictwem tego samego posłańca, który ją zbudził, skierowała pod adresem Niweny tuż po nieszczęsnym wydarzeniu wraz z wyrazami wdzięczności za troskę.

Wcześniej, gdy przyszły na świat bliźnięta, Janeten i Ameria, a Bergast ukończył piąty rok życia, Gar, by podratować finanse królestwa, wyruszył na wyprawę wojenną, której celem mieli być niewolnicy oraz kosztowności. Misja trwała ponad sześć miesięcy, a jej efekty były, no cóż – mizerne. Władcy pomniejszych ziem potrafili przywieźć wozy po brzegi wyładowane dobrami,

innymi słowy - czerpać ogromne korzyści z takich przedsięwzięć. Gar natomiast, chyba jako jedyny, powrócił z niczym. Jednak pewnego dnia zaczął on przyozdabiać swoje skronie nowym klejnotem koronnym - wspaniałym, bogato zdobionym diademem. W całości wykonany z platyny, prezentował się okazale i z pewnością nie był dziełem rąk ludzkich. Nigdy nie wspominał, w jakich okolicznościach wszedł w jego posiadanie. Powtarzał jedynie do znudzenia: „Nowe rządy wymagają nowych regaliów”.

Wkrótce po powrocie z tej wyprawy Gar zaczął wybywać z pałacu na całe dni. Po prostu znikał, bez wieści, bez żadnych znaków życia. Później stało się to wręcz jego nagminnym nawykiem. Gdy już wracał, często był małomówny. Zdarzało się, że ukrywał się w komnatach, w których przechowywał swoje księgozbiory.

W dalszej perspektywie wyjdzie na jaw, że ów czas spędzał poza górnym miastem, w towarzystwie prostej gospochy, która traktowała go zgoła odmiennie niż Imerien (była wpatrzona w Gara niczym w obrazek), a dla której był nierównorzędnym partnerem. Przy niej czuł swoją wyższość, przy niej także czuł się prawdziwym mężczyzną; mężczyzną podziwianym za wszystko, co czynił. W przeciwieństwie do Imerien nie miała żadnych ambicji (tym bardziej charakteru), żadnych talentów (no, może z wyjątkiem jednego...), żadnych wymagań wobec Gara, i tak samo jak Niwena, kochała go miłością bezwarunkową. Nierzadko jej dzieciom, zresztą wyjątkowo podobnym do

króla, przeznaczając więcej czasu niżli własnym. A co w tym wszystkim najdziwniejsze, stara monarchini wielce ceniła sobie tę kobietę. Znacznie bardziej aniżeli Imerien.

Niedługo minąć miał osiemnasty rok, od kiedy Imerien zamieszkała w grodzie Suur Erun. Jeżeli ktoś myśli, że przez ten czas zajmowała się tylko dziećmi, jest w dużym błędzie.

Jako że Imerien odebrała gruntowne wykształcenie w zakresie działalności administracji jeszcze w Charodunie, miała kompetencje po temu, by aktywnie uczestniczyć w sprawowaniu rządów. W głównej mierze jej rola ograniczała się do sporządzania i redagowania pism królewskiej kancelarii, jednakże podczas częstych nieobecności króla, a z czasem także i królowej matki, właśnie Imerien wspólnie z dworskimi urzędnikami zarządzała sprawami królestwa. To za jej sprawą i dzięki jej staraniom (a także dzięki złotu z posagu oraz prywatnej szkatuły) w dużej mierze udało się zredukować zadłużenie skarbcza. Także za jej sprawą domena Gara powiększyła się o dwie nowe prowincje, bardzo dochodowe, warto nadmienić.

Pierwszą z nich, Ganar, włączyła dzięki mariażowi najstarszego syna, Bergasta, z Sarsą, wnuczką plemiennego wodza. Jednakże samo małżeństwo, zgodnie z tradycją plemienia, z którego dziewczyna się wywodzi, zostanie skonsumowane dopiero wtedy, gdy osiągnie ona dwudziesty rok życia, co nastąpi nie wcześniej niż za jedenaście lat.

Taka sytuacja z kolei, wedle słów Niweny, daje młodym mnóstwo czasu na tak zwane dotarcie się.

Natomiast drugą prowincję, zaraz przypomnę sobie jej nazwę, Imerien wykupiła na mocy starego porozumienia, zawartego trzy pokolenia wstecz, jeszcze przez Borha, które dawało władcom Suun Erun prawo pierwszeństwa wykupu tych ziem w przypadku bezpotomnej śmierci ich władcy. W przeliczeniu na dzisiejszą walutę korona nie zapłaciła więcej niż piętnaście tysięcy. Za całość! Cóż za opłacalny interes!

Dni październikowe nigdy nie napawają optymizmem, słońce wschodzi coraz niżej, zaczynają hulać zimne wiatry. Nic przyjemnego. Aż nie chce się wyściubiać nosa poza próg domu. Są jednak tacy, którzy muszą. Na przykład taki posłaniec. Był w drodze od kilku dni, niewiele jadł, spał tylko tyle co w siodle. Wszystko po to, by dostarczyć ważną wiadomość, którą nadano w Charodunie.

Poranki w ostatnim czasie nie były łatwe dla królowej Imerien. To już któraś noc z kolei, kiedy późno kładła się spać, po wielogodzinnej, jakże nużącej lekturze rejestru przychodów. Jeszcze cyferki, podobne do małych robaczków, pląsały jej przed oczami. Mimo zmęczenia znowu wierciła się tej nocy. Coś nie dawało jej spokoju, ale nie wiedziała co. Taka sytuacja utrzymywała się już od ponad tygodnia, z powodu czego królowa nie mogła się porządnie wyspać. Serce waliło w piersi oszalałe, głowę zaś wypełniał niepokój, kiedy tylko kładła ją na poduszce.

Gar, w przeciwieństwie do Imerien, zapadał w sen momentalnie, gdy tylko kładł się na łóżku. Strasznie mu zazdrościła tej umiejętności, zwłaszcza teraz, kiedy cierpiała na bezsenność. Gorsze było tylko chrapanie męża, które, niczym zegar, odmierzało upływ czasu.

Przed południem Imerien wróciła do sprawdzania rejestru, chociaż wcale nie miała na to ochoty. Zanim zasiadła, wynajdywała sobie inne zajęcia, byleby ten moment odwlec.

Duży drewniany stół, stojący na środku gabinetu, wypełniał prawie całą jego przestrzeń, resztę zajmowały regały wypełnione manuskryptami i książkami.

Po kilku godzinach pracy dotarła wreszcie do litery „T”. Już miała przewrócić stronę, gdy usłyszała kroki na korytarzu. Wkrótce zjawił się w progu, jakby ponaglany przez niewidoczny bicz, wspomniany wcześniej goniec. Wnioskując po jego wyrazie twarzy, nie przynosił dobrych wieści.

Gdy jakiś czas później Gar zaszedł do komnaty, zastał Imerien zalaną łzami.

- Kochanie, czemu płaczesz? - spytał, podbiegając do żony. - Co się stało?

Królowa wtuliła się w Gara.

- Moja matka, ona... - cicho wyłkała. - Ona umiera.

Dwa dni później Imerien była już w drodze do rodzinnego miasta. Jechała sama, bez męża, bez dzieci. Tak wołała. Czarne myśli kłębiły się jej w głowie, dotyczyły głównie matki. Martwiła się o nią, o jej stan, lecz bała się

także tego, co może zastać po przyjeździe. Czy urazy wciąż były żywe, czy może poszły już w zapomnienie? Trudno powiedzieć. Jedno Imerien wiedziała na pewno – listu, który trzymała w dłoniach, zdecydowanie nie napisał ani jej brat, Samon, ani jej matka. Autor miał zgoła odmienny od nich charakter pisma. Tylko czy te wszystkie dociekania, kto ów list napisał, miały tak naprawdę jakiegokolwiek znaczenie? Nie, nie miały. Był to ze strony królowej po prostu sposób na zabicie czasu, sposób, by na chwilę zająć czymś myśli, mechanizm obronny, mający odgonić obawy związane ze stanem zdrowia matki. Właśnie dlatego doszukiwała się głębszego sensu w każdej błaźnawości.

Teraz przynajmniej знаła przyczynę swojej wcześniejszej bezsenności: za wszystkim stała choroba jej matki. Jakimś cudem, podświadomie musiała to przeczuwać. Nie było innego wytłumaczenia.

Wóz zajechał do bram Charoduny dwudziestego października, czyli tydzień po otrzymaniu wiadomości. Ołowiane chmury tylko pogłębiały ponurą aurę. Nawet odgłosy końskich kopyt i drewnianych kół karocy na ulicznym bruku w ocenie Imerien zdawały się jakby pozbawione życia.

Gdy tak jechali, królowa rozglądała się naokoło z wnętrza powozu. Ulice, domy, nawet sami ludzie niewiele się zmienili, zupełnie jakby za tymi murami czas stanął w miejscu.

W końcu koła karocy zatrzymały się na dziedzińcu przed zamkiem. Ktoś już oczekiwał na zewnątrz przyjazdu Imerien.

- Witaj, łaskawa pani - przywitał królową mężczyzna, gdy tylko stanęła na ziemi. - Jesteśmy wdzięczni za twoje szybkie przybycie.

- Jak się czuje? - spytała od razu.

- Niestety, pani, słabnie.

- Zaprowadź mnie do niej. Już!

- Oczywiście. Proszę za mną, łaskawa pani.

Wkrótce znaleźli się w zachodnim skrzydle pałacu. W pokoju cierpiącej panował półmrok, gęste zasłony w oknach blokowały dostęp światła. Ciężkie, lekko zatęchłe powietrze wypełniało komnatę. Z jednego z zakamarków dochodził przerywany oddech matki. Imerien skierowała się w jej stronę. Usiadła przy łożu. Wyczuwszy w pościeli dłoń matki, delikatnie ją ujęła. Chora ledwo słyszalnym głosem wycedziła kilka niezrozumiałych słów, po czym zasnęła. Córka nie odstępowała od łoża matki, doglądała jej przez ponad dwie godziny.

Przyczyna dolegliwości księżnej Karaliene nie była znana. Zanim przybyła Imerien, lepsze momenty przeplatały się z gorszymi, w trakcie których świadomość niemal całkowicie opuszczała władczynię, natomiast teraz, od kiedy córka nie opuszczała boku matki, dolegliwości ustały, a przynajmniej zmniejszyła się ich częstotliwość i nagłość, co należało uznać za sprzyjający znak. Towarzystwo Imerien wyraźnie służyło jej matce. W okresie

poprawy, gdy razem chodziły po ogrodach Charoduny, trzymając się pod ramię, trudno by było uwierzyć komuś, kto przyglądałby im się z boku, iż te dwie kobiety mogły dawno temu być skłócone. Lecz nawet troskliwa opieka, którą została otoczona księżna, nie mogła zapobiec najgorszemu.

Jedenastego grudnia nastąpił nawrót nieznanej choroby, z której księżna już się nie wydźwignęła. Do dnia trzynastego Karaliene, trawiona gorączką i majakami, walczyła o każdy oddech. Rodzina i najbliżsi zgromadzili się przy niej, jakby wyczuwali, że nieuniknione wkrótce nastąpi. Mieli rację. Późnym wieczorem najstarszy dzwon Charoduny zabrzmiał na znak żałoby. Pani Karaliene odeszła do Siedmiu Dolin Werri, do kraju zaświatów.

Przed upływem tygodnia, zgodnie ze zwyczajem, odbył się pogrzeb. Wnuki Karaliene przybyły ją pożegnać.

Ludzie z najbliższego otoczenia, odziani w żałobne stroje, zebrali się w katakumbach pałacu, by uczestniczyć w ostatniej podróży władczyni. Jej popioły przesypano do kamiennych urn, a te umieszczono w grobowcu, który znajdował się pod kamienną posadzką. Oprócz nich włożono doń przedmioty użytku codziennego oraz biżuterię, a także wazony wypełnione sproszkowaną ochrą, która podług wierzeń elfickich symbolizować miała życie po śmierci. (No tak, zapomniałem wspomnieć - Karaliene była elfką).

Gdy duchowny skończył odprawiać modły, grób przykryto płytą, na której widniała płaskorzeźba

z podobizną księżnej. W czasie uroczystości pogrzebowych Imerien oraz trójka jej dzieci, choć babkę znały tylko z opowiadań matki, z trudem powstrzymywały łzy. Gar nie uczestniczył w pogrzebie, uznał bowiem, że jego obecność może zostać odebrana jako niestosowna. Choć Imerien niemal przez całą uroczystość wzrok miała spuszczonej, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Samon, który przed dwoma dniami wrócił do stolicy z wyprawy, cały czas miał ją na oku. Nie myliła się. Brat od chwili ponownego spotkania bardzo uważnie przyglądał się Imerien.

Wraz z zakończeniem ceremonii Samon skierował się ku siostrze. Imerien obawiała się najgorszego, dlatego zdziwiło ją serdeczne przywitanie ze strony krewniaka. Zrozumcie ją - zamiast buziaków spodziewała się niekończącej się litanii obelg i wyrzutów.

- Siostrzyczko! Dobrze cię widzieć po tylu latach...

Imerien wróciła do Suur Erun bogatsza o dziesięć tysięcy sztuk złota - za to królowa oraz jej następcy wyzbyli się wszelkich praw do tronu Charoduny, wynikających z więzów krwi. Rodzina rodziną, ale interesy przede wszystkim.

ROZDZIAŁ 7



Niezbadane są wyroki bogów. Jednego dnia jesteście zdrowi, a następnego leżymy i czekamy na nadejście końca. Wielu tego doświadczyło i wielu jeszcze to spotka. To samo przytrafiło się również i Garowi.

Na początku roku Gar zachorzał - odczuwał nieprzyjemne klucie w prawym boku. Przyczyną owego bólu była lekka niewydolność wątroby, spowodowana spożywaniem nadmiernej ilości smażeniny. Obiektywnie rzecz biorąc, nie była to poważna, ani tym bardziej śmiertelna dolegliwość. Wystarczyłaby zwykła zmiana diety oraz kilka tygodni wstrzemięźliwości od tłustego jedzenia, żeby wszystko wróciło do normy. Gar jednak uważał inaczej. Przekonany o swej rychłej i nieuniknionej śmierci, wycofał się z życia publicznego, cedując obowiązki władcy na Imerien. I trzeba przyznać, że wykonywała je bardzo sumiennie.

Mijały tygodnie, a zgon Gara, który miał być nieunikniony, jakoś nie chciał nadejść. Co więcej, zdawało się, że król powracał do zdrowia. Lecz nie przeszkadzało to,

by małżonka dalej pełniła królewskie obowiązki. Do najcięższych należały posiedzenia rady, która składała się z notabli piastujących wysokie urzędy. Pedantyczny i roztrzęsający każdy, nawet najdrobniejszy aspekt podejmowanych czynności sposób działania Imerien wielu zniechęcał, wiązał się on bowiem z długimi i nużącymi obradami. Osób, które popierały konsekwentność królowej, było na razie więcej. Najważniejszym był Esgir Sarw, członek jednego z bardziej zasłużonych rodów. Jego przychylność i zaangażowanie pomogło przepchnąć kilkanaście pomysłów, które bez jego poparcia na pewno by upadły. Pomiedzy nim a Imerien nawiązała się nic porozumienia, niemy sojusz, który umacniał się z każdym odbytym spotkaniem. W przeciwieństwie do więzi małżeńskiej Imerien i Gara.

Aby lepiej przybliżyć sytuację, jaka panowała w owym czasie na dworze, postanowiłem w niniejszym rozdziale w dużej mierze oprzeć się na relacjach bezpośredniego świadka tamtych wydarzeń - Janetena - i przytoczyć najciekawsze z jego wspomnień.

„Pamiętam tamte dni aż nazbyt dobrze. Wciąż noszę w pamięci, jak moja matka wracała z obrad. Pamiętam dźwięk, cichy dźwięk kroków, który rozbrzmiewał po pustych korytarzach w środku nocy. Dzień za dniem, dzień za dniem. Cichy, choć nie dla mnie, odgłos odbijał się echem od ścian. Czasami przez uchylone drzwi widziałem, jak wracała zmęczona; plecy uginały się jej pod ciężarem

obowiązków i trosk, zupełnie jakby dźwigała na swych barkach trudy całego świata.

Rzadko mogła liczyć na słowa wsparcia czy otuchy ze strony ojca. Częściej były to wyrzuty, niemające końca narzekania, uzupełniane coraz to nowszymi, częstokroć niemożliwymi do spełnienia żądaniem. Tylko na to mogła liczyć moja matka. Chyba dlatego unikała Gara i poświęcała tyle czasu swej pracy, która niejako stała się jej azylem, miejscem, gdzie w zaciszu gabinetu mogła odpocząć, w samotności i spokoju. Zresztą ja sam podobnież czyniłem. Wszystko zdawało się lepsze, naprawdę wszystko, nawet wałęsanie się po dzielnicach biedoty, by choć na chwilę uciec z domu, w którym czekały na mnie tylko niechęć i podejrzliwość ze strony ojca, pogłębiane dodatkowo podżeganiem babki, Niweny. Był to bardzo trudny okres.

Takie postępowanie musiało mieć swoje skutki. Wcześniejsze, raczej sporadyczne kłótnie stały się z czasem niemal codziennym rytuałem, zaś ich intensywność z tygodnia na tydzień wzmagala się, podobnie jak czyni to rzeka przed wylaniem. Przyznam się, z początku niewiele słyszałem (bo też niewiele chciałem słyszeć) z tych rozmów, tylko tyle, ile pozwalają usłyszeć żelazne odrzwia. Zawsze to jakaś wymówka. Wspominam jednak, że pewnego razu, po jednej z takich awantur, Gar przyszedł do mnie. Twarz miał wielce zatroskaną. Pamiętam, że rzekł, kładąc mi dłoń na ramieniu:

- Obawiam się, że twoja matka już mnie nie kocha... -
Ciężko westchnął, wypowiedziawszy te słowa, po czym

dodał: - I że preferuje towarzystwo kogoś innego... (Gar miał na myśli zapewne Esgira, obawiał się bowiem, iż ten za bardzo zbliżył się do Imerien, zresztą wielokrotnie wypominał jej to w trakcie kłótni).

Długo przyglądałem się jego twarzy. Ból zdawał się być szczery. Słowo daję, przez krótką chwilę byłem gotów uwierzyć, że mówił prawdę, że cierpi katusze. Tak przekonująco odgrywał swą rolę. Jednakże słowa, które wypowiedziałem, nie były tymi, które spodziewał się usłyszeć Gar. Delikatnie bowiem zakwestionowałem jego podejrzenia.

- Matka wciąż cię kocha... Zrozum, proszę, że trudno jej to okazać, kiedy na jej barkach spoczywa wszystko. Po prostu jest przemęczona. Z pewnością przychylniej by na ciebie spojrzała, gdybyś choć trochę jej ulżył.

Gar wstrzymał się z odpowiedzią. Przez krótki moment przyglądał mi się, po czym odrzekł:

- Sądzisz, że to takie proste?

Odniosłem wrażenie, że kpi, naigrywa się ze mnie.

- Trochę pomóc i już?! I wszystko wróci do normy jak gdyby nigdy nic?! Uwierz mi, dziecko, gdyby to było takie proste...

Zabolały mnie te słowa. Bez namysłu odpowiedziałem:

- Tak! To jest takie proste! To żadna alchemia.

- A ty myślisz, dziecko, że czemu tyle czasu tam spędza?! - warknął i wskazał w kierunku hali. - Nie co, ale kto jest problemem? Moja ukochana... zmieniła się, od kiedy go poznała... A ja... a ja tak ją kocham...

- Skoro tak kochasz matkę, udowodnij jej to - powiedziałem, starając się zachować spokój, choć złość we mnie buzowała. - Cóż ci szkodzi spróbować?

- To nie ja się zmieniłem i to nie ja jestem przyczyną zamieszania - odpowiedział wzburzony Gar. Pamiętam także, że odchodząc, mruczał pod nosem głośniej, niż mu się zdawało:

- Gdyby to było takie proste... Może modły do Morany pomogą, bo nie wiem, co jeszcze mógłbym uczynić.

Gdy Gar się oddalał, miałem ochotę spytać go, czy rzeczywiście jest taki tępy, czy tylko takiego udaje. Na szczęście w porę ugryzłem się w język i zachowałem tę myśl dla siebie.

W tamtym okresie nader często zdarzały się niezapowiedziane wizyty królowej matki. Zaglądała na kilka dni lub, w najlepszym wypadku, godzin, po czym odjeżdżała w siną dal. Oczywiście Gar dokładnie opisywał jej przebieg kłótni i użalał się nad swoją niedolą. Jedną z takich rozmów pomiędzy babką a moim ojcem udało mi się podsłuchać i nadal ją wspominam. Nie wiedzieć czemu, ale akurat te słowa mocno wryły mi się w pamięć. Proszę, posłuchajcie.

- Nikt mnie nie szanuje! Dzieci, żona, ludzie! Nikt! Wszyscy się ode mnie oddalają, nikt mnie nie docenia... A przecież, na bogów, jestem władcą! Jestem królem! Już za to powinni mnie szanować, kochać bezgranicznie, a nie jeszcze nieustannie czegoś ode mnie żądać, wymagać... jak od jakiegoś kmiota! To nie do pomyślenia! Do kroćset, przecież ubiłem smoka! Czy to mało?!

- Uspokój się, laleczko - odparła Niwena. - Zgadzam się z tobą. Jesteś królem, ojcem kraju, a każdemu ojcu, niezależnie o tego, kim by nie był, należy się szacunek. Za ciężko pracujesz, za bardzo się starasz. Jesteś, laleczko, za dobry dla nich, to wszystko. Nie doceniają cię. Mogę się założyć, że za wszystkim stoi twoja małżonka. Nastawia wszystkich przeciwko tobie. To wichrzycielka, wielokrotnie ci to powtarzałam.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Ponieważ to wariatka, jest niezrównoważona! Pokłóciła się z własną matką! Zostaw ją, od dawna ci to powtarzam i dzisiaj zrobię to samo... Dobrze ci radzę, rozwiedź się. Zostaw ją, i to jak najprędzej. Powinieneś związać się z kobietą, która doceni twoje zalety... Szkoda, laleczko, że nie ożeniłeś się z tą miłą dziewczyną... Jak jej było na imię?"

Nie było jeszcze południa, a Imerien jak zwykle ślęczała już nad stertą akt potrzebnych na kolejne posiedzenie rady. Drugie tyle opracowywała mała armia kancelistów, rezydujących w osobnym pomieszczeniu. Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść - padła komenda.

Był to Esgir.

- Dostałem wiadomość, jaśnie pani. Szukałaś mnie?

- Owszem - odparła królowa, podnosząc oczy znad ksiąg. Ceniła sobie wysoce te krótkie chwile spędzane wspólnie z Esgirem. Był zupełnie inny niż Gar. Nawet nie

chodziło o to, że był od niego smuklejszy, lecz o to, jak się prezentował. Zawsze był bowiem wyprostowany, nienagannie ubrany i, co najważniejsze, nie miał nóg prostowanych na becze; nie wiedzieć czemu, ale zawsze raziło to Imerien u innych (może dlatego, iż sama słynęła ze wspaniałych nóg?). Kruczoczarne włosy miał zawsze krótko obcięte, na żołnierską modłę, a gęsty zarost golił codziennie. Nie zwracała już uwagi na jego dość spory i zagięty nos, który w połączeniu z silnie uwydatnionymi kośćmi policzkowymi nadawał jego twarzy nietuzinkowy, ciekawy wygląd. W tym przypadku potwierdzała się zasada, której Imerien hołdowała, że mężczyzna nie musi być piękny, by był przystojny.

- Coś pilnego? - rzucił Esgir, zerkając na rozłożone papiery.

- Nic takiego. Zwyczajne sprawy rady. A cóżby innego? - odrzekła królowa, zamykając opasy wolumin. Wstała od stołu i przeciągając się, podeszła do okna. - Poświadczenia, o które prosiłeś i na których tak bardzo ci zależało, są już gotowe.

- Ależ naprawdę, zbytek łaski, jaśnie pani. Nie musiałaś się aż tak trudzić, by mi je tak prędko wręczyć, mogłem jeszcze poczekać. Naprawdę, zbytek łaski.

Esgir popatrzył na Imerien. Jej smukła postać wyraźnie odcinała się na tle zasłon skąpanych w białym świetle poranka. Ciemna, lekko opięta suknia dodatkowo podkreślała figurę i sugerowała, że kryje się pod nią wciąż jędrne ciało, którego wiele młodszych panien mogłoby

królowej pozazdrościć. Co więcej, pomimo zmęczenia wymalowanego na licu nie można było odmówić Imerien powabu; każdy jej ruch miał w sobie tyle wdzięku, tyle gracji. Zaś największa siła płynęła ze skromności i wyważenia, bowiem królowa nigdy nie obnosiła się ze swą urodą, nigdy nie czyniła z niej karty przetargowej, a wręcz można było odnieść wrażenie, jakoby chwilami się jej wstydziała.

- Jednakże chciałabym ci szczególnie podziękować - powiedziała Imerien, pochodząc do okna - we własnym imieniu, jak i w imieniu króla za okazaną wcześniej pomoc. Twoja sugestia okazała się nadzwyczaj pomocna, wręcz bezcenna. Gdyby nie ona, któż wie, jak długo trwalibyśmy w sporze ze wschodnimi lordami. Dlatego w ramach podziękowania ponagliłam bieg twojej sprawy. A oto efekt interwencji - rzekła i podniosła książkę, która leżała na brzegu stołu. - Księga Wieków. Udokumentowany spis wszystkich ziem przynależnych koronie. Wiem, jak bardzo ci zależy na pozytywnym rozstrzygnięciu tej kwestii, spory dziedziczne nigdy nie należą do łatwych. Jednakże z jej pomocą nie powinieneś mieć trudności z udowodnieniem swoich racji. Oby ci pomogła, zacny Esgirze.

Mogłaby mieć każdego - powtarzał sobie w głowie Esgir za każdym razem, kiedy tylko spoglądał na Imerien. Podeszła wręczyć mu książkę. Ujął jej drugi koniec. Ich spojrzenia nagle się spotkały. Oboje długo patrzyli sobie w oczy. Lecz Imerien odstąpiła, jakby lekko spłoszona, zaniepokojona.

- Zdaję mi się, że od pewnego czasu mam dwa cienie - zmienił temat Esgir, podchodząc do królowej. - Chyba mnie śledzą. Sądzisz, iż to sprawka króla? - spytał, ściszej głoś.

- Wątpię - odrzekła Imerien. - Król... król za bardzo jest pochłonięty własnymi sprawami. Bądźmy szczerzy, to może być każdy. W końcu w ostatnim czasie przysporzyliśmy sobie wielu wrogów naszymi poczynaniami. Co nie zmienia faktu, że Gar jest o ciebie, Esgirze, zazdrosny. I to wielce.

Esgir obrócił Imerien oraz ujął jej dłoń. Księga z głośnym łoskotem runęła na podłogę. Nagle królowa poczuła przemożną chęć oddania się żądzy, którą od tak dawna ze wszystkich sił starała się trzymać na uwieczni. Nie zaprotestowała, kiedy Esgir drugą ręką objął jej kibić i zbliżył do siebie.

- Moja pani, płonę z pożądania od dnia, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem.

- Powinieneś już iść.

- A co, jeżeli obawy króla są słuszne? - wyszeptał. Ich usta zbliżały się coraz bardziej.

- Tym bardziej powinieneś wyjść - w końcu resztką sił odparła Imerien. Jej wola słabła z każdym uderzeniem serca.

- Skoro ciągle mnie, nas posądza, to czemu by nie dać królowi powodu do podejrzeń...

Ich usta wreszcie się zwały. Esgir chwycił obiema dłońmi uda Imerien i posadził ją na blacie stołu, zrzucając przy tym masę papierów. Chciała mu się oddać, całkowicie zatracić się w wezbranej fali pożądania. Ile to już czasu

upłynęło, od kiedy zaznała rozkoszy po raz ostatni? Nawet nie była sobie w stanie przypomnieć.

Jego usta powędrowały na szyję, zaś dłonie próbowały rozsypać więzy pętające gorset. W końcu obie piersi zostały oswobodzone. Pieścił je i całował. Usta Esgira zmierzały coraz niżej. Wiedział, jak zadowolić kobietę.

Jednak żądza powoli słabła, kiedy umysł Imerien zalała kolejna fala, tym razem poczucia winy.

- Nie mogę! - wypowiedziała zdecydowanym głosem, odpychając kochanka. - Nie mogę - powtórzyła po chwili już spokojniej, zakrywając przedramieniem biust. - Wybacz.

- Jak sobie życzysz, jaśnie pani - odrzekł rozczarowany Esgir, wciąż leżąc okrakiem na podłodze.

Nie wiedzieli, że po drugiej stronie drzwi całemu zajściu przysłuchiwał się tajemniczy cień.

„Na przestrzeni następnych tygodni sytuacja uległa zmianie, jakby nieco zelżała. Na pewno umilkły sprzeczki. Wtedy jednak nie mogliśmy przeczuwać, że to cisza przed burzą, która już wkrótce miała nadejść.

Był bodajże marzec, ale który marca dokładnie, nie pamiętam. Zdawałoby się, dzień jak każdy inny. Lecz coś się zmieniło, można to było dostrzec w zachowaniu innych - niby tacy sami, a jednakowoż inni. Za każdym razem, gdy kogoś mijalem, czułem na sobie jego ciekawskie spojrzenie, rzucane ukradkiem w moją stronę. Słyszałem za plecami, jak gawiedź rozpowiadała między sobą wieść, jak z zachłannością doszukiwała się nowych strzępków

informacji. Podejrzewałem, że niektórzy wręcz ze sobą rywalizowali o to, kto przekaże nowe, jeszcze podlegsze doniesienia, nawet gdyby mieli je zmyślić. Dla mnie wszyscy oni, ta cała hołota, podobni byli do sępów, które z niepokohamowaną żarłocznością wyszarpują sobie z dziobów padlinę taniej sensacji. Gardziłem nimi. Zaprzańcy jedni!

Na ustach wszystkich pojawiały się te same słowa i chociaż ludzie milkli, kiedy tylko się do nich zbliżałem, to zaraz po moim odejściu powracali do przerwanej dyskusji, kontynuując z jeszcze większym ożywieniem. Na twarzach napotkanych osób wyraźnie widać było obrzydzenie zmieszane z oburzeniem. Nie poznawszy prawdy, w swoich umysłach motłoch już osądził oraz wydał wyrok – winni. Dopiero wiele dni później dowiedziałem się, o czym ludzie tak ochoczo rozprawiali między sobą, nawet ci żyjący w najbardziej oślizgłych zakamarkach grodu.

Ktoś, prawdopodobnie ze środowiska dworskiego, rozsiewał plotki, iż Imerien, najszlachetniejsza królowa, miała jakoby dopuścić się cudzołóstwa. Nie jednej zdrady małżeńskiej, a kilkunastu. Ponoć ze wszystkimi członkami rady. Długie nocne rozmowy miały być tylko pretekstem do wyuzdanych spotkań. Ludzie w swej głupocie i złośliwości nie poprzestawali na tym. Och, nie. Plotka przekazywana z ust do ust rozrosła się do wręcz niebotycznych rozmiarów. Ja podobno miałem godzić się na takie postępowanie. Ba, według niektórych wersji miałem nawet zachęcać do tego Imerien. Inna plotka zaś głosiła, iż ja oraz moja siostra,

moja kochana Ameria, musimy być owocami jednej z takich przygód, bo przecież jesteśmy tak dalece niepodobni do wspaniałego i dobrego króla, że musimy być «bękarcimi pomiotami», jak to ujmowała ulica. Nie powiem, wtedy sama myśl, że nie mam nic wspólnego z tym warchołem, sprawiała mi wielką radość. Niestety gawieź (po części także bliscy nam znajomi) nie chciała słuchać jakichkolwiek wyjaśnień. Każde rzekome słowo króla, nawet jeśli wygrzebane z kloaki, w oczach jego ludu urastało do rangi dogmatu.

Plotki ostatecznie ucichły, jak to zwykle bywa, aczkolwiek przyznać trzeba, że niesmak utrzymywał się jeszcze długo. Gdyby się postarać, to także i dzisiaj można by je jeszcze w wielu miejscach usłyszeć.

Tak, wspomnień z tych dni zbyt wiele zgromadziłem w pamięci. Chciałbym się od nich uwolnić, lecz wryte są zbyt głęboko, bym mógł to uczynić. Zwłaszcza jedno nie daje mi spokoju. Powraca i drąży mój umysł. Musiało być już późno, gdy blada, ze strachem w oczach niemal wbiegła do komnaty. Z ciężkim oddechem, próbując powstrzymać się przed płaczem, Imerien stała oparta o metalowe drzwi przez długi czas. Niczego nie mówiła. Dopiero zauważywszy Gara, uspokoiła się. Wpadła w jego ramiona, cała roztrzęsiona. Okazało się, że w ciągu dnia wielokrotnie dostawała tajemnicze listy. Jedne z nich były puste, natomiast pozostałe zawierały groźby oraz obelżywe wyzwiska pod adresem królowej. Gdyby ktoś spojrzał na

Gara, zobaczyłby najbardziej zatroskanego i współczującego mężczyznę na świecie.

Pomimo usilnych starań ze strony dowódcy straży nie udało się powstrzymać procederu, który powtórzył się wielokrotnie w ciągu ostatnich kilku dni. Zdawało się, że sprawca nie zostanie wykryty. Za sprawą przypadku stało się jednak inaczej.

Będąc w pobliżu komnaty rady, natknąłem się na mężczyznę. Trudno to określić, lecz było w nim coś, co wzbudzało mój niepokój. Na pewno jego nerwowe rozglądanie się naokoło wyglądało podejrzanie. Przyłgnałem do ściany, by ukryć się przed jego wzrokiem. Gdy wychynałem, tajemniczy jegomość zniknął za drzwiami. Dosłownie jedno uderzenie serca później wyszedł. Postanowiłem ruszyć jego tropem.

Muszę przyznać, że poruszał się bardzo swobodnie, dobrze opanował przeróżne skróty. Klucząc za nim, dotarłem do wrót, które prowadziły do niższych partii grodu. Co mnie zdziwiło, wybierał drogi mniej uczęszczane zamiast tych, w których mógłby rozpułnąć się w tłumie. Przy bazarze przytrafił się wypadek, przez który o mało nie straciłem go z oczu. Dwóch klientów pobiło się o ten sam produkt i zagroziło mi drogę, na szczęście jednak tajemniczy jegomość mi nie umknął. Chód miał szybki, w mgnieniu oka znaleźliśmy się w północnej dzielnicy. Tutaj obrał nieco bardziej pokrętną trasę. Kilkukrotnie w ostatniej chwili skręcał w inne alejki, obchodził domy dokoła, by mieć pewność, że nikt go nie śledzi, oraz

dwukrotnie wchodził do sklepów tylko po to, by chyłkiem wymknąć się przez zaplecze. Ostatnia metoda okazała się szczególnie skuteczna, gdyż poszukiwany mi się urwał. Pewnie byłbym pozostał z niczym, gdyby nie znajomy głos, który usłyszałem w uliczce za gospodą. Przycupnąłem koło beczek. To, co ujrzałem, miało mną głęboko wstrząsnąć.

Tajemniczy nieznajomy rozmawiał z kimś odzianym w czerń. Kaptur opończy mocno nachodził na twarz, uniemożliwiając zidentyfikowanie tego, kto się pod nim krył. Jednak głos, ten głos wydawał mi się aż nadto znajomy, choć trochę inny, jakby bardziej ochryply. Na koniec zakapturzony wręczył uciekinierowi wypchaną sakiewkę. Nawet z tej odległości, około ośmiu łokci, dobrze słyszałem, jak złoto w niej brzęczało. Chwilę później uciekinier oddalił się. Zakapturzony ruszył w przeciwną stronę, przedtem jednak rozejrzał się. Właśnie w tym momencie spod fałd czarnego materiału wyłoniła się twarz Gara. Serce mi zadrzało, a krew odpłynęła z kończyn. Dreszcz przeszył mnie na wskroś. Nie mogłem uwierzyć, że ten sam człowiek, który przed kilkoma godzinami zdawał się okazywać bezgraniczne wsparcie, bojący się o bezpieczeństwo rodziny i roniący łzy nad nieszczęściem żony, może być przyczyną trwogi. Ten, który o wszystkim wiedział, a przed matką strugał niewiniątko.

Krążyłem po dolnym mieście przez dłuższy czas. Nie mogłem uwierzyć w to, co chwilę wcześniej ujrzałem. Dziwiło mnie, jak Gar mógł wpaść na taki pomysł,

ewentualnie kto doradził królowi tak haniebne postępowanie.

Gdy trafiłem przed bramę, było już późno. Korytarze świeciły pustkami, domownicy pewnie już dawno leżeli w łóżkach. Tylko tańczące płomienie pochodni dotrzymywały mi towarzystwa. Wkrótce znalazłem się w pobliżu komnat królewskich. Imerien wciąż nie spała, blask świec, które paliły się na jej biurku, padał na podłogę holu. Ślęczała nad księgami i dokumentami. Chciałem do niej pójść i powiedzieć, czego dzisiaj stałem się świadkiem. Chwyciłem za klamkę, lecz się zawahałem. Obawiałem się, że prawda może zabość królową, że może być zbyt ciężka, by mogła ją znieść. Czy nie lepiej byłoby pozwolić, żeby, choćby przez ten krótki okres, żyła spokojnie, w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa? Czy prawda rzeczywiście ją wyzwoli, czy może wręcz przeciwnie? Podobne myśli kołatały mi w głowie, nie dawały spokoju. Nie wiedziałem, jak postąpić.

Już miałem odejść, gdy drzwi nagle się przede mną rozwarły. Niejako los zdecydował za mnie. Długo zwlekałem z powiedzeniem tego, co mnie tam sprowadziło. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem od czego zacząć, nie chciałem zranić matki. W końcu wypowiedziałem te słowa. Zapadło milczenie. Królowa, jakby rażona piorunem, siedziała na krześle. Podobnie jak ja, z początku niedowierzała. Zaprzeczała, twierdząc, że muszę być w błędzie. Lecz jakaś część matki podejrzewała to, intuicyjnie przeczuwała, kto był sprawcą.

Starła się być silna, chociaż wiem, że moje oskarżenia zabolą ją bardziej niż wszystko inne, co do tej pory przeżyła. Wstała. Wolnym krokiem, ze spuszczoną głową podeszła do ściany. Trzymała się za pierś, w której krwawiło serce. Niedowierzenie mieszało się z wyparciem w smutnych, błękitnych oczach królowej. Po chwili jednak pozbyła się wszelkich wątpliwości. Widać było, że z jednej strony czuła ulgę, ponieważ nikt nie dybał na jej życie, z drugiej zaś niepokojem napawała ją myśl, iż Gar jest zdolny do tak podstępного występku – kłamać w żywe oczy, gdy ona cierpi katusze. Nasuwało jej się tylko jedno pytanie: jak daleko Gar był w stanie się posunąć, aby zmusić małżonkę do pozostania u jego boku?

Na razie postanowiliśmy zachować tę wiedzę dla siebie. Lecz życie pisze własne scenariusze.

Nazajutrz, w trakcie kolejnej sprzeczki, Imerien nie mogła znieść nedorzeczności, które wylewały się z ust Gara. Wprost zarzuciła mu wymyślenie pokracznej intrygi. Usłyszawszy te oskarżenia, przybrał oburzoną minę. Oczywiście wyparł się wszystkiego. Jedynym pozytywnym skutkiem tej awantury był fakt, że anonimowe listy i głucho kroki, podążające w ślad za królową, ustały.

Sądziłem z matką, że po wyżej wspomnianych wydarzeniach sytuacja zelżeje i Gar nareszcie się opamięta. Cóż, nie mogliśmy być w większym błędzie. W niecałe jedenaście dni później rozegrał się finałny akt.

W drugiej połowie kwietnia w grodzie zjawiał się nieoczekiwany gość, jakim niewątpliwie był Lyontall.

Właśnie na cześć tego znanego podróżnika z plemienia Jarów, zwanych także w tych stronach elfami, wyprawiono ucztę. W wielkiej hali zebrali się wszyscy najważniejsi dostojnicy. Pito, jedzono i gadano. Ja wytrzymałem ledwie godzinę. Już nawet nie pamiętam czemu. Wszystko zdawało się być w porządku - żadnych przykrości, żadnych sprzeczek. Król i królowa zdawali się znów być szczęśliwi. Tylko Gar co jakiś czas zerkał w stronę Esgira lub odpływał gdzieś myślami.

Lud Suur Erun jest rozmiłowany w hulankach i dlatego wznoszono toasty do późnych godzin. Nikt się nie oszczędzał, sądząc po odgłosach, które dobiegały z wyższych kondygnacji królewskiego pałacu.

- Może nareszcie jakaś spokojna noc - dumałem, wędrując wzdłuż blanek.

Żadna z chmur nie przysłała mozaiki iskier skrzących się wysoko na niebie. Powietrze było rześkie i nader ciepłe, w sam raz na wojaże. Z dala od zgiełku miasta jedynym hałasem, który przebijał się przez ciszę nocy, był szum strumienia. Łagodny i monotony. Aż nie miałem ochoty wracać. Dopiero świtanie mnie stamtąd przegnało. Wracałem nieśpiesznym krokiem. Szybciej nie mogłem, zupełnie jakby jakaś siła mi to uniemożliwiała. Pomimo to, wróciwszy do rodzinnych komnat, nadal nikogo nie zastałem. Długo ten stan się nie utrzymał. Kwadrans nie zdążył upłynąć, gdy drzwi rozwarły się z impetem. Pierwsza przekroczyła próg Imerien. Szła rozgniewana. Tuż za nią podążał Gar. Grzmiał i rzucał oskarżeniami. Ręce miał

niesforne – latały jak oszalałe. Oboje wpadli do głównej sali niczym burza. Nawet nie zwrócili na mnie uwagi.

- Chociaż się przyznaj! – darł się Gar. – Miej chociaż tyle przyzwoitości i się przyznaj!

- Do czego?!

- Ty już dobrze wiesz, do czego!

- Nie! Nie wiem!

- Proszę cię – odparł zirytowany Gar. – Nie kłam. – Przyciskał Imerien swoim ciałem do ściany. – Przyznaj się, że to zrobiłaś!

- Nie zrobiłam!

- Czy ty sądzisz, że ja nie mam oczu, że nie mam uszu?

- Ojciec wręcz warczał, wypowiadając te słowa. – Widziałem, i to nie tylko dzisiaj, jak na siebie patrzycie. Jak sobie szepczecie, gdy myślicie, że nikt nie patrzy. To wszystko za sprawą twoich koleżanek! – wznowił atak po krótkiej pauzie. – To one nabiły ci tych głupot do głowy!

- Posłuchaj sam siebie, jakie bzdury wygadujesz – zripostowała Imerien.

- A kiedyś byłaś taka kochana – ciągnął Gar, nie zwracając uwagi na to, co powiedziała. – One cię tak zmieniły! To one, na pewno, namówiły cię, żebyś poszukała sobie kogoś innego, prawda?! Kogoś młodszego!

- Zrozum! Wszystko dzieje się tylko w twojej głowie.

- Głowie – rzekł lekceważąco, oddalając się jednocześnie od małżonki. – Zatem tak uważasz... Tylko w mojej głowie. Chcesz mi powiedzieć, że wyobraziłem sobie to wszystko, tak? – mówił, ściszej głośnie. Podszedłszy

do paleniska, spuścił głowę. Stał w tej pozycji przez dłuższą chwilę. – Nie kłam! – Ponownie wybuchł. – Wiem doskonale, co we dwoje wyprawialiście... i gdzie... Na stołach, na balkonach! Nawet tu! – dodał na koniec, wskazując palcem na podłogę. – Tak się chwalił kolegom z rady twój kochaś, o tak. Ale na szczęście mój serdeczny przyjaciel z tego otoczenia o wszystkim mi doniósł. Więc nie mów mi, co jest prawdą, a co kłamstwem, kochanie! Przyznaj się!

– Nie mam zamiaru przyznawać się do rzeczy, które nie miały miejsca! – wykrzyczała Imerien i pobiegła w drugi koniec sali.

– Chciałbym, żeby było jak dawniej – rzekł Gar, zbliżywszy się do matki. Jego głos przepęłniała czułość. – Ja wciąż cię kocham...

– To się zmień – odparła Imerien.

– Ja?!

– Tak, ty! Masz tylko wymagania, a palcem nawet nie kiwniesz, żeby mi pomóc. Wykonuję wszystkie obowiązki, w tym twoje! I co dostaję w zamian?! Żądania i nieustające kłótnie!

– Nie dość, że to ty nabroiłaś, to jeszcze ja mam się zmieniać?! Po prostu przyznaj, że się z nim pieprzyłaś... Powiedz prawdę, a wybaczę ci wszystko, co uczyniłaś.

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

– Powiedz, jak było – ciągnął Gar – a o wszystkim zapomnimy. Kocham cię, chcę być z tobą... Tylko się przyznaj.

– Nie!

- Powiedz prawdę.
 - Nie, bo nie ma co opowiadać.
 - To może chcesz to zrobić we troje? - zaproponował zniechęcony. - Czy poprawiłoby ci to humor?
 - Odejdź! - wrzasnęła królowa.
 - Napawam cię takim obrzydzeniem, że aż nie chcesz mnie dotknąć? - Zbliżył się do Imerien. - Aż tak mnie nienawidzisz? Co ja ci takiego zrobiłem, by zasłużyć sobie na takie traktowanie?
 - Właśnie to - odrzekła królowa i ruszyła w stronę drzwi.
 - Albo przyznasz się, co zrobiłaś, i napiszesz list do dzieci, w którym opowiesz im całe zajście...
 - Chyba postradałaś zmysły - stwierdziła Imerien.
 - Albo - mówił Gar, wpatrzony w Imerien pustym, beznamietnym spojrzeniem - zmuszę cię i tego chuja, byście wyznali prawdę. Odbiorę ci wszystko, aż będziesz mnie błagała na kolanach. - Nagle ruszył ku małżonce. Uniósł prawą dłoń, gotów ją uderzyć.
- Widząc to, zerwałem się. Jego ręka już niemal dosięgła Imerien, gdy zablokowałem uderzenie.
- Dość! - warknąłem przez zaciśnięte zęby.
 - Odsuń się, bachorze!
 - Powiedziałem: dość.
- Wciąż napierał. Szczepiliśmy się rękami. Cały drżałem, każdy mój mięsień przepełniał gniew, a przede wszystkim nienawiść do tej bestii, którą dawniej zwałem ojcem. Miałem ochotę chwycić za nóż ukryty za pasem i zanurzyć

go w gardle Gara. Przerażona Imerien podbiegła do nas i usiłowała rozdzielić. Na nic. Gar próbował wyzwolić się z uścisku. Zamachnął się głową w moją stronę. W odpowiedzi, kierowany bezwiednym odruchem, uderzyłem kolanem. Trafiło prosto w mosznę. Gar skulił się z bólu. Mnie tylko krew z nosa pociekła.

- Widzisz? - jęczał Gar, wijąc się na podłodze. - Tak oto dzieci szanują swego ojca. To twoja wina. Nastawiasz je przeciwko mnie!

Imerien, zrozpaczona, opuściła pomieszczenie.

- Nic nie musi mówić - odrzekłem. - Sam sobie jesteś winien. Tylko ty. Wystarczy na ciebie spojrzeć.

- Już nigdy więcej niczego ode mnie nie dostaniesz!

- Szantażuj innych, może na nich to działa. Obyś się udławił tym złotem. - Po tych słowach odwróciłem się od niego i skierowałem ku drzwiom.

- Jak śmiesz?! - Słyszałem, jak wył za mną. - Nie odwracaj się do mnie plecami! Jestem twoim ojcem! Jestem królem! Jak śmiesz, gówniarzu?!

- Ja już nie mam ojca - odparłem, nie odwracając się. Na sam koniec, nim zamknąłem drzwi, dodałem: - Może i masz koronę, lecz nie czyni cię ona królem.

Po ostatnich wydarzeniach stało się zrozumiałe, że nasze dalsze życie w tych murach jest niemożliwe. Nie mogliśmy już czuć się bezpieczni. Co gorsza, nazajutrz jeden ze strażników dokonał przerażającego odkrycia. Otóż nad ranem w alejce na tyłach jednego z mnogich w dolnym mieście zamtuzów odnalazł on ciała dwóch mężczyzn.

Normalnie nikogo by to nie zainteresowało – napady, mordy i porachunki były na porządku dziennym – jednak okazało się, że jedne ze zwłok należały do Esgira.

Według zeznań strażnika, który dokonał odkrycia, leżały one na ziemi w ogromnej kałuży krwi. Ponoć oba ciała były pólnagie i zmasakrowane, a możnowładcę pozbawiono trzech palców u prawej dłoni, czyli tych, które były przyozdobione przez okazałych rozmiarów sygnety. To przekonało strażników, iż była to typowa napaść na tle rabunkowym. Rany natomiast sugerowały, że przyczyną zgonu w obu przypadkach było wykrwawienie się wskutek poderżnięcia gardła.

Co więcej, jak na zawołanie znalazł się świadek, pracownik domu publicznego, który miał potwierdzić ustalenia straży. Zeznał następująco:

- Tak, panie władzo, wszystko się zgadza. Często się tu kręcił, prawie dzień w dzień. Wynajmował pokój na kilka godzin, może krócej. Ściągał najróżniejszych ludzi. Najczęściej facetów. Zwłaszcza jeden często mu towarzyszył. Co z nimi wyprawiał? Panie, wczoraj się pan urodziłeś czy co? Fruwało mi koło ogona, kogo i po co sprowadzał. Dopóki płacił, było mi wszystko jedno. Prosta zasada: jest zapłacone – róbta, co chceta. Po wszystkim poszli do alejki. Potem dopadły ich jakieś łebki. Zaciukali, zgarnęli, co było do zgarnięcia, i uciekli. Czemu nie powiadomiłem straży? Panie, nie mój cyrk, nie moje mały! Co mam się wtrącać w nie swoje sprawy! Jakbym mało miał swoich kłopotów! Poza tym chcę jeszcze trochę

pooddychać. Mówię panu, czasami pewnych rzeczy lepiej nie widzieć. Wyjdzie to panu na zdrowie.

W niedługim czasie odnaleziono i stracono rzekomych rzezimieszków. Gdy tylko ta nowina dotarła do naszych uszu, wiedzieliśmy, że musimy reagować szybko”.

ROZDZIAŁ 8



Późną nocą trzy postacie wykradły się z mieszkalnego skrzydła pałacu. Janeten nie wiedział, jak trzymały się Imerien oraz Ameria, lecz jego serce waliło w piersi. Każdy złapany oddech zdawał mu się głośniejszy aniżeli łomot młota kowalskiego. Pokonywali puste korytarze, jednakże przy każdym kroku odnosili wrażenie, iż zaraz ktoś się pojawi. Na ich szczęście nikt się nie zjawił. Grody takie jak Suur Erun skrywają w swoich trzewiach tajemne przejścia, wiele z nich zostało zapomnianych. Jeden z takich tuneli miał zapewnić uciekinierom wolność.

Korytarz, niski i szeroki na tyle, by pomieścić zaledwie jedną osobę, wił się w nieskończoność. W miarę pokonywanej odległości sufit opadał jeszcze bardziej. W krytycznym momencie tylko małe dziecko albo karzeł mogliby przejść swobodnie (skoro mowa o karle, to akurat takowego spotkali, lekko podchmielonego, przy rozwidleniu tunelu, kiedy ten prowadził ze sobą dziwkę do zamku). Długo parli naprzód, czołgając się pośród pajęczyn oraz kurzu. W końcu jednak wyszli.

Wylot znajdował się w grocie znajdującej się na wschód od Suur Erun. Tam już czekały trzy osiodłane konie, a wraz z nimi ubrania oraz prowiant. Imerien i Ameria na czas podróży przywdziały dla swego bezpieczeństwa męskie stroje.

Powietrze było zimne, wciąż przepełnione oddechem nocy, a w galopie zdawało się jeszcze chłodniejsze. Ból oraz zmęczenie dawały się we znaki nie tylko Janetenowi. Mimo to nie zwalniali tempa. Żadne z nich nie oglądało się za siebie, pragnęli jak najprędzej opuścić przekłete miejsce, które dawniej zwali domem. Konie nie szczędziły sił i nim zdążyli się zorientować, przekroczyli górną granicę lasu. Surowe kosodrzewiny ustąpiły miejsca przyjemniejszym dla oka połaciom świerków, które, niczym zielona plama, rozlewały się wokoło. Droga wiła się serpentyną przez wzgórki. Wspinała się, by za chwilę znowu opaść. Wtedy zdawało się Janetenowi, że nawet słońce, które opuściło swoje chmurne leże, im sprzyja.

Koło południa troje uciekinierów zatrzymało się na popas, by konie wypoczęły. Na chwilę przed dalszą drogą chłopak wstąpił na skałę i zwrócił oczy w kierunku zachodnim. Stąd masyw Gór Czarnych był ledwie dostrzegalny, rozmazany, mającący gdzieś w oddali niczym odległe, niemal zapomniane widmo. Ciemne burzowe chmury kłębiły się nad jego turniami.

Ruszyli w dół stoku. Słońce przyświecało i po raz pierwszy od dłuższego czasu wierzyli, że zima nareszcie ma się ku końcowi, pomimo iż wszędzie wokoło nich

przemarznięta ziemia wciąż była pogrążona we śnie i tylko gdzieniegdzie prześwitywały na niej ciemnozielone kępki traw. Dopiero w tej chwili Imerien uświadomiła sobie, jak okrutnie los z niej zadrwił, jakie złośliwe i przewrotne bywają jego koleje. Oto bowiem pozbawionym współczucia niewdzięcznikiem okazał się Bergast, chłopiec zrodzony z miłości, a wiernymi, bez względu na okoliczności, te dzieci, które poczęte zostały z bólu gwałtu, czyli Janetan i Ameria. Czy to nie zaprzecza przekonaniu, jakiemuś silnemu wewnętrznemu przeświadczeniu, że dobro może się narodzić tylko z dobra?

Wieczorem dnia trzeciego zgodnie z planem osiągnęli swój cel. Ogniska osady wyróżniały ją na tle czarnej ściany lasu. Niskie, sięgające do pasa opłotki oddzielały mieszkańców od świata zewnętrznego. Sioło nie należało do rozległych. W obrębie ogrodzenia mieściło się ledwie kilka domostw, w większości były to skromne ziemianki, rozlokowane wokół większej centralnej konstrukcji. W niej znajdowały się skromna izba gościnna oraz stajnia mogąca pomieścić maksymalnie cztery konie (sześć, jeżeli były to kuce). Była to jedyna gospoda w promieniu wielu dni drogi.

Zostawiwszy konie w stajni, weszli do środka. Ich przewodnik zgodnie z umową już czekał przy jednym ze stołów. A był to nie kto inny, jak Lyontall – elfi podróżnik. Bo któż inny lepiej nadawałby się do przeprowadzenia ich przez nieznaną terytorię swego plemienia? Pewnie teraz wielu z was głowi się, czemu właśnie ten kierunek obrali nasi uciekinierzy, a nie jakieś bliższe położone miejsce, na

przykład rodzinny gród Imerien, gdzie władał jej brat? Otóż odpowiedź była banalnie prosta - gdyż w Charodunie stacjonowały wojska królewskie posłuszne Garowi. Gdyby wybrali się w tamte rejony, ich obecność niechybnie została by zauważona i w ten sposób mieliby oni mniejsze szanse na ucieczkę. Proste, prawda?

Z rana cała czwórka wyruszyła w dalszą podróż, kierując się na północny wschód. Następne dni nie różniły się niczym od siebie, była to bowiem nieustająca wędrówka, przeplatana przerwami na popas i sen. Ten niekończący się ciąg powtarzalnych zdarzeń zaburzył w końcu poczucie czasu u wędrowców. Nie miało znaczenia, czy to był siódmy, czy może dwudziesty siódmy dzień pochodu, skoro i tak jutro, pojutrze i popojutrze będzie wyglądało tak samo jak dzień dzisiejszy, wczorajszy lub ten jeszcze wcześniejszy. Przez cały ten czas warunki pogodowe im nie sprzyjały, były raczej uciążliwe - bo jak inaczej określić niekończącą się słotę - jednakże i tak były lepsze niż te, które zostawiali za sobą. Gdyby teraz mieli ponownie dokonać wyboru, bez cienia wątpliwości postąpiliby podobnie. Najważniejsze było to, że z każdym pokonanym łokciem ulga w ich sercach narastała.

Któregoś południa, bodajże ósmego czy dziewiątego od chwili ucieczki, dotarli do brodu na rzece Kern. W dali rysował się, zdawałoby się, nieprzenikniony gąszcz drzew. Pnie wzbijały się wysoko w powietrze, tworząc jakby palisadę, bastion lasu. Niezwykły widok. Ktoś kiedyś rzekł, iż niebezpiecznie jest zapuszczać się w knieje, nawet jeśli

za przewodnika ma się kogoś z elfiego plemienia. Wszak las jest domem dla wielu stworzeń, także dla tych, nad którymi synowie kniei nie rozciągają opieki lub władzy. Wkrótce podróżnicy mieli przekonać się o tym na własnej skórze.

Droga wiodąca w serce puszczy była kręta. Gdy tak jechali, w pewnym momencie usłyszeli tętent końskich kopyt, rozbrzmiewający za ich plecami. Dochodził z daleka, lecz szybko robił się coraz głośniejszy. Ktokolwiek to był, strasznie się śpieszył. Czyżby z Suur Erun wyruszyła za nimi pogoń? Spięli konie i pomknęli, żeby czym prędzej zjechać z traktu. Pomimo wysiłków hałas nie słabł. Droga przed nimi rozwidlała się. Lewa odnoga biegła prosto przed siebie, w głąb puszczy, prawa z kolei po kilku krokach opadała stromo w dół. Tam też się udali w nadziei, że za grzbietem wzniesienia uda im się skryć przed wścibskimi spojrzeniami. Zjechali z gościńca, przyczaili się i nasłuchiwali odgłosów. Tym razem się udało - nieznajomi wybrali drogę wiodącą prosto.

Nikt z obecnych, nie tylko Imerien, nie chciał nikogo spotkać. I tak odnosili wrażenie, chociażby w tamtej gospodzie, gdzie spotkali się z Lyontallem, że wszyscy dookoła wiedzieli, co robią, oraz że w głębi serca ich potępiali. Działo się tak, gdyż w sercu każdej ofiary jakiegokolwiek przemocy wykształca się poczucie wstydu oraz winy, przekonanie, że to ona sama swoim postępowaniem spowodowała sprawcę. Z tego też powodu lepiej było unikać ludzkich spojrzeń. Przynajmniej na razie.

Gdy galop ucichł, wędrowcy wrócili na wcześniej obraną ścieżkę. Ostępy w miarę posuwania się w głąb lasu gęstniały, co znacząco utrudniało jazdę. Na domiar złego, przestrzeń pomiędzy drzewami malała, nie zostawiając zbyt wiele miejsca dla traktu. Była już na tyle mała, że jeźdźcy stopami zahaczali o korę drzew. Zmuszeni przez sytuację, zsiadli z koni, aby poprowadzić je za lejce. Duchota panująca w lesie była nie do zniesienia. Nawet ich przewodnik, przyzwyczajony do podobnych warunków, narzekał z jej powodu. Gdy weszli na wzniesienie terenu, przed ich oczami zamajaczyło jezioro, którego ciemnozielone wody prześwitywały pomiędzy gałęziami.

Zbliżało się popołudnie, kiedy grupa przycupnęła przy polanie tuż obok zalewu. Podmokłe łąki usiane licznymi krzewami, w tym wrzosem, ciągnęły się aż po horyzont, rozdzielając szerokim pasem puszcę na dwa odrębne bory. Chłodny wiatr z północy owiał umęczonych wędrowców, przynosząc im ukojenie. Lecz poza nim nie było słychać niczego - ani żadnej zwierzyny, ani żadnego ptactwa. Martwa cisza. Ten fakt napawał Lyontalla niepokojem. Przed zejściem w dół, na brzeg, wolał się upewnić, czy aby na pewno nic nie zagraża pozostałym. Janeten na jego prośbę stanął na czatach u wylotu polany, zaś on sam poszedł w prawo, wzdłuż jeziora. Mętne wody leniwie oblewały ląd, jakby nie robiły sobie nic z wiatru, który hulał ponad nimi. Wyglądało to tak, jakby staw zamarł w bezruchu. Żadnych zmarszczek nie można było dostrzec na tej zielonej, idealnie gładkiej tafli.

Lyontall szedł stopa za stopą po grząskim piasku. Stał nagle, usłyszawszy niewielki hałas, dobiegający z przeciwnego, błotnistego krańca jeziora. Krótka chwila nieuwagi miała drogo kosztować elfa. Gdy ten bowiem wypatrywał źródła hałasu, wilgotna dłoń wyłoniła się z wody. Szybkim ruchem pochwyciła nogę mężczyzny, by chwilę później powrócić ze zdobyczą na dno stawu. Lyontall nie zdążył nawet zareagować. Jedyne śladem po zajściu były bąbelki wypływające z głębin jeziora. Janeten wołał, lecz nie uzyskał odpowiedzi.

Gdy królewicz sądził, że Lyontall przepadł, ten wyłonił się razem z wodnikiem, panem stawu. Obaj byli nieustępliwi. Elf walił pięściami, gryzł, szarpał, innymi słowy – opierał się w każdy dostępny mu sposób. Potwór raz za razem znikał pod wodą i wypływał, by osłabić swą ofiarę. Gdy ta metoda nie odniosła zamierzonego skutku, wodnik zaczął zataczać na wodzie coraz szersze kręgi, zahaczając po drodze o każdy możliwy obiekt, a trzeba przyznać, że kamieni oraz zwisających gałęzi było tam pod dostatkiem. Kiedy mijał jeden z nisko osadzonych konarów, drzewo nagle zadrżało, lecz nie wskutek zderzenia. Tajemnicza postać, opuściwszy swoją kryjówkę, wskoczyła wprost na grzbiet wodnika. Ostrze błysnęło w jej dłoni. Chwilę później wylądowało w ramieniu potwora. Celny cios poskutkowało tym, że jego uścisk wokół tułowia Lyontalla zelżał. Nie myśląc długo, elf wskoczył do mętnej toni.

Wodnikowi wyraźnie nie podobała się obecność pasażera. Wymachiwał rękoma, próbując go schwytać. Gdy

to nie przyniosło efektu, ponownie zanurkował w głąbiny swojej krainy. Po dłuższej chwili wypłynął na wierzch. Niczym ryba wciągnięta w wir wodnik zataczał okręgi. Pokonywał kolejne okrążenia, jedno za drugim, a każde kolejne szybciej od poprzedniego. Na pasażerze nie robiło to jednak wrażenia. Wprost przeciwnie. Z miejsca, w którym stał Janeten, wyraźnie było słychać okrzyki radości, takie jak: „Łi-i-i-i-i, ale frajda”, kiedy wodnik ostro wchodził w zakręty. Zabawa musiała być przednia, skoro podobne oznaki zachwytu słyszalne były jeszcze przez kilkanaście minut.

W pewnym momencie wodnik zwolnił, jego oddech zastąpiło charczenie. Przy ostatniej rundzie potwór niemal stanął w miejscu, gdy ból przeszył jego klatkę piersiową. Ostatecznie wodnik, pan jeziora, padł. Nie nastąpiło to na skutek odniesionych ran, lecz dlatego, że dostał zawału serca z nadmiaru wysiłku. Widocznie ten osobnik nie mógł się pochwalić zbytnią tężyzną fizyczną.

Gdy członkowie wyprawy wciąż przecierali oczy ze zdumienia, zastanawiając się, co się właściwie przed chwilą wydarzyło, tajemniczy wybawiciel wyszedł na brzeg. Zmoczone włosy częściowo zakrywały pociągłą twarz, z której trudno było odczytać wiek mężczyzny, z kolei dość solidna budowa wskazywała, że walka nie była mu obca. Od momentu gdy spojrzał na grupę, nie mógł spuścić oczu z córki Imerien, choć ta ukryła się pod męskim przebraniem. Niesforne, długie pukle, które nie chciały usiedzieć pod kapturem, otulały lico dziewczyny. Uwagę

nieznajomego przykuwał zwłaszcza prosty i wąski, a zarazem delikatnie zadarty nosek oraz duże oczy o opadających kącikach.

Ameria również była pod wrażeniem tajemniczego wybawiciela, bowiem długo zerkąła w bladoniebieskie, wręcz lodowe źrenice. Twarz miał smukłą, o zaokrąglonych rysach, ale wciąż bardziej chłopięcą niż męską. Dopiero matczyna ręka położona na ramieniu sprawiła, że dziewczyna opamiętała się i spuściła głowę, zawstydzona.

- Kim jest ten, komu zawdzięczamy ocalenie naszego druha? - spytał Janeten, kiedy upewnił się, że Lyontallowi nic nie dolega.

- Zwą mnie Boruta - odpowiedział dziarsko mężczyzna.

- Dziękujemy ci, zacny panie. Nie wiem, jak możemy ci się odwdziaczyć.

- Jest coś, co możecie zrobić. Pozwólcie mi do was dołączyć. Znam tę okolicę lepiej niż własną kieszeń.

Oczy Amerii powiększyły się z zachwytem, kiedy to usłyszała. Lecz Imerien, która miała wątpliwości co do tajemniczego wybawiciela, nie sądziła, aby była to rozważna decyzja. W końcu nie wiedzieli niczego o tym mężczyźnie, znali jedynie jego imię, które i tak mogło być nieprawdziwe.

Wtedy pewna ulotna myśl przebiegła przez głowę Janetenowi: „Przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej”. Chyba lepiej mieć nieznajomego na oku, trzymając go przy sobie, aniżeli pozwolić, by grasował gdzieś w ostępach za ich plecami. Decyzja wydała się prosta.

- Witaj, Boruto - rzekł królewicz przy sprzeciwie matki malującym się w jej spojrzeniu.

Huba to nazwa grzyba rosnącego... Zaraz, zaraz... Coś jest nie w porządku? To nie ta kartka... Gdzie zapodziałem tę właściwą? (W tle słychać przerzucanie kartek). Mam tutaj za duży bałagan, słowo daję... Gdzieś ją odłożyłem... Zaraz, chyba... chyba jest... Tak, mam ją...

Hubb była najdalej wysuniętym na wschód punktem osadnictwa elfów, które mieściło się w granicach prowincji o nazwie Tarma. Sąsiadowała ona z dwoma innymi krainami: z Nurią od zachodu oraz z Vassarą leżącą po północnej stronie Isiry, wielkiej rzeki elfów.

Podobnie jak wiele innych wiosek w rejonie, Hubb liczyła nie więcej niż tysiąc par szpiczastych uszu, choć i tak należała do zaszczytnego grona osad, które mogły tytułować się mianem miasta. Podobny przywilej spotkał zaledwie pięć innych grodów, w tym Geil Galar oraz Argaed, z którym Hubb toczyła spór o palmę pierwszeństwa w regionie. Niestety ostatnimi czasy stale przegrywała ten wyścig. Historia owej rywalizacji rozpoczęła się jeszcze w dawnych czasach, niemal pięć wieków wcześniej, na długo przed przybyciem smoczyc wędrowców.

Mocą swego testamentu Nantil, ostatni wielki władca elfów, podzielił kraj Jarów pomiędzy swoich trzech synów. Wtedy pod ich władzą znajdowały się ogromne obszary, sięgające daleko poza granice lasów, aż ku mroźnym szczytom Południa i bezkresnym stepom Skraju. Owi

Pierwsi Panowie utrzymywali tak bliskie relacje pomiędzy swoimi domenami, że aż trudno byłoby współczesnym uwierzyć, iż mogły one stanowić odrębne organizmy. Czas jednak płynął nieubłaganie. Wielkie kraje synów Nantila karłały wraz z narodzinami kolejnych pokoleń. Stare państwa dzieliły się na mniejsze, te zaś na jeszcze drobniejsze. Dlatego niegdyś wielkie dziedzictwo Nantila składało się w czasie podróży naszych bohaterów z mozaiki plemion, grodów oraz samotnych domostw. By lepiej to zobrazować, powiem, że na samym obszarze Wielkich Kniei (czyli centralnej części Tarmy) istniało skupisko ponad pięćdziesięciu osad. Co ciekawe, pomimo dużej gęstości zaludnienia mieszkańcy Hubb (zresztą inne kolonie czyniły podobnie) niemal z nikim, z wyjątkiem dwóch miast, nie utrzymywali stałych relacji. Argaed, niejako z przymusu, było pierwszym z tych grodów, drugim zaś był Nimirn – gród brata Lyontalla. Prawdę mówiąc, wymiana handlowa w tym regionie doszczętnie wymarła, a dawne trakty opustoszały, przejęła je natura. Mieszkańcy ograniczyli się do dóbr, które sami, własnymi rękoma, mogli wytworzyć, upolować albo wyhodować.

Liczba gospodarstw w Hubb nie przekraczała setki, a większość z nich mieściła się w obrębie polany leśnej, poprzecinanej na wskroś kanałami. Tylko nieliczne domy (a było ich dokładnie dziewięć) znajdowały się po drugiej stronie ogrodzenia, wykonanego z grubych, stwardniałych pnączy. Biegło ono wzdłuż linii drzew, wyznaczając tym samym granicę przecinki. By nie ograniczać przestrzeni,

która nadawała się pod uprawę, a której i tak było niewiele, Jarowie wznosili swoje domy bądź ponad ziemią, lokując je w gałęziach drzew, bądź przeciwnie – schodzili pod nią. Wiele mieszkań kryło się pośród korzeni pozostałych po wielkich dębach, które ścięto dawno temu. Z ich pni wyrzeźbiono podobizny władców, wojowników oraz bogów, które miały strzec osiedla oraz rozdroża. Niestety wszystkie zostały spalone lub skradzione. Co się zaś tyczy bramy wjazdowej, zbudowano ją w ten sposób, iż złączono pomostem dwa pnie ogromnych rozmiarów.

Zbliżała się późna pora, gdy pięcioro wędrowców dotarło do podwoi Hubb.

Droga przed nimi prowadziła łagodnymi zakosami przez całą polanę, kończąc się dopiero u wrót dworku Lyontalla. Zajmował on prawie jedną piątą powierzchni całej osady. Stał wtulony w północno-zachodni róg polany, odgradzony od reszty wioski bielonym kamiennym murem. Z daleka dom wydawał się okazały, solidny, a przede wszystkim wygodny. Lecz gdy Janeten stanął przed bramą, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zaniedbane gmaszysko straszło swoim wyglądem: z pożółkłych ścian, koloru spróchniałego zęba, zwisały pędy dzikiego bluszczu, zaś jedno ze skrzydeł drzwi przeżarły na wylot korniki. Na dziedzińcu było niewiele lepiej: wszędzie widać było powybijane okna oraz urwane okiennice, które walały się po ziemi. Zapach stęchlizny, który u wejścia był ledwo wyczuwalny, dalej nasilił się. Zdziwienie urosło jeszcze bardziej, gdy Imerien ze swoimi dziećmi dostrzegła na dachu stojącej nieopodal

szopy młodą sosnę. Innymi słowy, domostwo rodziny, która jako pierwsza zasiedliła te tereny ponad czterysta lat temu, było w opłakanym stanie, najgorsze w całej okolicy.

- Dom ten widział lepsze czasy, nie da się ukryć - rzekł Lyontall, stojący z rękoma skrzyżowanymi na piersi. - Ale zapewniam was, że jest zdatny do mieszkania. Na pewno.

Po tych słowach złapał za klamkę od drzwi wejściowych do dworku. Rozlatujące się drewno ledwo wytrzymało pociągnięcie. Zawiasy w drzwiach zaskrzypiały i drgnęły, acz niewiele.

- Może nie powinieneś napierać tak mocno - zaniepokoił się Janeten, stojący tuż za Lyontallem.

- Gdzież tam! To solidna robota! Zrobiona jeszcze przez mojego dziadka! - Gospodarz spróbował ponownie, tym razem mocniej. Zawiasy nie drgnęły, w przeciwieństwie do drewna.

- Co to? - rzuciła Ameria, usłyszawszy trzask belki.

- Hmm... Jak zamierzasz teraz otworzyć drzwi?

- Nie denerwuj mnie... - odparł Lyontall z wyłamaną klamką w dłoni.

Grupa stanęła z boku; przyglądali się z ciężkim sercem i w milczeniu tragikomedii, która rozgrywała się przed ich oczami. Czy tak miało wyglądać ich schronienie przez najbliższe miesiące? No cóż, nie mieli innego wyjścia.

Gdy w końcu udało się Lyontallowi sforsować drzwi wejściowe, grupa zastała w izbie stado bezpańskich kotów. Jak poparzone zerwały się na widok przybyszy i rozpierzchły we wszystkie strony, przy okazji zrzucając

kilka drobiazgów ze stołu oraz regałów. Oprócz bałaganu pozostał po sierściuchach także zapaszek, choć trudno w ten sposób określić wszechobecny smród moczu, który wgryzł się głęboko w ściany dwupiętrowego domu.

- Mogło być gorzej - powtarzała cicho Imerien, bardziej sama do siebie. - Mogło być gorzej...

Jednak z czasem zarówno Imerien, jak i jej dzieci przestali zwracać uwagę na wygląd domu, na panujące w nim zapachy i niewygodę. Brakowało wielu, zdawałoby się, podstawowych rzeczy. Ileż dni i nocy zajmie im przywrócenie domu do stanu używalności, usunięcie brudu z zakątków czy wyzbycie się obrzydzenia na widok brązowych zacieków, które zdobiły wszelkie dostępne powierzchnie? To wszystko przestanie jednak mieć dla Imerien, Janetena oraz Amerii jakiegokolwiek znaczenie, gdyż miejsce to, nieważne jak obskurne, zagwarantuje im spokój, którego tak bardzo pragnęli. Tu będzie ich samotnia, twierdza, dzięki której uda im się uciec od przeszłości, która wydawać się będzie jedynie odległym i nierealnym snem. Jeśli chodzi o samego gospodarza, Lyontalla, niedługo po przybyciu z rodziną Imerien do Hubb ponownie wyruszył w siną dal, ponaglany swoimi interesami.

Zima dobiegła końca, wiosna mijała i wkrótce miało nadejść lato. Wiele się zmieniło w tym czasie, między innymi dwór Lyontalla. Odżył niesłychanie. Nie był już tą samą starą, zapyziałą rudera, która mogła robić za lokalną atrakcję turystyczną, tylko pałacykiem z prawdziwego zdarzenia. Wyraźnie służyło mu, że ponownie ktoś w nim

zamieszkał. Podobne korzyści czerpali z tego i sami domownicy.

Jeśli o Imerien oraz o Janetenie można powiedzieć, że odżyli, tak Ameria wręcz tutaj rozkwitła. Uśmiech nie schodził z twarzy młodej królowny, która w towarzystwie Boruty przeobraziła się w najpiękniejszy kwiat. To za jego sprawą wiosna, która nadeszła po zimowej zawierusze, przemieniła się w jeden z najwspanialszych okresów w życiu dziewczyny.

Zachwycaly ją białe oraz jasnoróżowe kwiaty zdobiące drzewa, które jednak ostatnio coraz liczniej można było znaleźć niżej, pośród zielonych traw. Tam tworzyły przepiękne kobierce, które podziwiała podczas długich wędrówek w towarzystwie młodego Boruty. Nigdy nie widywano jej samej. Zdawało się wręcz, że są nierozłączni, bowiem gdzie była królowna, tam był i on. Przez ten okres oboje stali się sobie bliscy. Aż za bardzo.

Lecz cóż złego w zwykłej rozmowie, wygłupach czy śmianiu się, ktoś by spytał? Może i miałby on rację, twierdząc, że nie ma w tym niczego zdrożnego, gdyby nie jedno małe „ale”, jeden drobny szczegół, który wszystko niweczył. Ową łyżeczką dziegciu była umowa zawarta pomiędzy Imerien a Lyontallem, której termin wykonania, to jest dzień pierwszego lipca, zbliżał się nieubłaganie. Na mocy tego porozumienia w zamian za schronienie udzielone rodzinie przez Lyontalla Imerien wyraziła zgodę, by bratanek Lyontalla pojął jej córkę za żonę. Dlatego

poufałość między królowną a Borutą nie wszystkim była w smak.

Do końca czerwca pozostało niewiele ponad tydzień, co oznaczało, że zbliża się letnie przesilenie i związane z tą datą święto, które obchodzą niemalże wszystkie ludy, a które my, współcześni, znamy jako Noc Kupały.

Słońce chyliło się ku zachodowi, malując chmury wszystkimi odcieniami czerwieni, zaś ciepłe czerwcowe powietrze zachęcało do długich spacerów wzdłuż ogrodów, które okalały osadę. W takich okolicznościach natury grzechem byłoby siedzenie w czterech ścianach.

Ameria w towarzystwie Boruty korzystała z ostatnich promieni zachodzącego słońca, bawiąc się w najlepsze. Biegała pomiędzy drzewami, roześmiana, niczym małe dziecko, którym przecież od dawna już nie była. Kierowała się w dół alejki, ku wielkiej jabłoni znajdującej się w zachodniej części ogrodu. Co kilka kroków zatrzymywała się i wypatrywała, czy jej ulubieniec wciąż za nią podąża. Gdy tak stała wsparta o drzewa, docierała do niej orzeźwiająca jaśminowa woń, którą roznosił wiatr, muskający delikatnie jej białą suknię. Ten sam wiatr rozwiewał włosy Borucie, który przechadzając się między drzewami, wolnym krokiem podążał za Amerią.

Lekko zdyszana królowna przycupnęła przy wystającym korzeniu wielkiej jabłoni, by ujrzeć ostatnie promienie zachodzącego słońca. Niedługo później dosiadł się do niej młody elf. Położywszy rękę na ziemi, dziewczyna zaczęła nieświadomie przesuwać ją w bok, w stronę Boruty. Gdy

w końcu ich palce się zetknęły, spleli je w uścisku. Siedzieli tak, nie wypowiadając jednego słowa. Nie musieli, zbyt dobrze się już znali. Wystarczyło im wsłuchać się w rytm własnych oddechów.

- Chciałbym ci coś pokazać - powiedział Boruta, przerywając ciszę.

- Co takiego?

- Nie mogę powiedzieć - odparł. - Dowiesz się, kiedy zobaczysz.

- Musimy? Nie możemy zostać tutaj? Jest tak przyjemnie.

- Wstawaj, wstawaj. Dobrze ci to zrobi... Trochę brzuszka zgubisz - zaśmiał się, zrywając się na równe nogi.

Pomógł Amerii wstać i oboje ruszyli w głąb lasu. Boruta szedł pierwszy, torując drogę dziewczynie, której ręki nie puszczał. Trasa obrana przez młodzieńca wiodła przez gęste chaszczki, wypełnione chmarami owadów.

- Już prawie jesteśmy - stwierdził Boruta.

- A po czym poznajesz w tych ciemnościach?

- Po komarach. Jest ich coraz więcej.

Rzeczywiście, moskitów jakby przybywało w miarę stawiania kolejnych kroków. W końcu drzewa ustąpiły i wyszli na otwartą przestrzeń. Pośrodku polanki płynął szemrzący strumień, przedzielający ją na dwie, niemal równe połowy. Nie należał do okazałych, mógł mieć ze cztery, góra pięć łokci szerokości, lecz nurt miał nader wartki. Był na tyle głośny, że zagłuszał nawet hordy komarów, które latały im koło uszu. Jako że słońce dawno

zaszło, polana skąpana była w mroku, jakby przykryta zasłoną ciemności, z której ukradkiem wyzierały ponure kontury drzew.

- Widzisz ten potok? - spytał Boruta, zbliżywszy się do brzegu rzeczki.

- Co w nim niby takiego niezwykłego?

- Kąpiel w nim jest zakazana - odparł. - Nie wolno do niego wchodzić. Przynajmniej nie przed jutrzejszą ceremonią, zanim druid go nie oczyści. - Wypowiedziawszy te słowa, stanął jedną nogą w wodzie.

- Może nie powinienes... - denerwowała się Ameria.

- Spokojnie - przerwał dziewczynie - nic się nie...

Nim Boruta dokończył, wpadł do strumienia, jakby ktoś lub coś go pociągnęło. Wystraszona nagłym zajściem Ameria odskoczyła, gotowa przedrzeć się przez dzicz, by wezwać mieszkańców i brata na pomoc. Wstrzymała się, gdy usłyszała śmiech elfa. Szarpanina ustała równie szybko, jak się rozpoczęła.

Rozbawiony, z uśmiechem od ucha do ucha, Boruta wyszedł z wody.

- Pożartować już nie można? - rzucił w stronę królowny.

- Ty błaznie! Wystraszyłeś mnie! - wykrzyknęła Ameria. Podbiegłszy do niedoszłego topielca, zaczęła okładać go pięściami. Gniew jednak szybko z niej uleciał; zalana łzami, tuliła się do jego piersi. Młodzieniec ujął twarz królowny w swoje dłonie. Nie opierała się. Zamknęła oczy, jednocześnie lekko rozchylając wargi. W końcu ich usta

zwarły się w pocałunku. Na tę krótką chwilę cały świat zamarł.

Gdy rozłączyli usta, zapadła cisza, zresztą nieco krępująca. Królowna stała wpatrzona w ziemię, jakby lekko zażenowana całą sytuacją, nie mogąc spojrzeć Borucie w oczy.

- Możemy wracać? - spytała Ameria, przerywając w końcu nieznośne milczenie. - Trochę zmarzłam...

Młodzian przytaknął, nakrywając dziewczynę jedynym suchym skrawkiem materiału, jaki mu pozostał. Wrócili inną, krótszą drogą. Niewiele się do siebie odzywali.

Księżyc oraz gwiazdy były już wysoko, kiedy Ameria stanęła u drzwi domu. Nim weszła, upewniła się, czy domownicy już śpią. Wszystkie światła, z wyjątkiem jednego pomieszczenia na piętrze - jej pokoju, były pogaszone.

Doskonale, jest tak, jak zostawiłam - pomyślała.

Delikatnie otworzyła zamek, drzwi nawet nie zaskrzypiały. Na szczęście nie zastała nikogo na dole. Udała się więc na piętro, prosto do swojego pokoju. Sądziła, że udało jej się przemknąć niezauważoną, lecz otworzywszy drzwi, przekonała się, że jest inaczej.

- Dziecko... Co ty sobie myślisz? Wiesz, która jest godzina? - powiedziała, o dziwo, spokojnym głosem Imerien, wstając z posłania córki. Nie była zła, nawet nie zirytowana, tylko rozczarowana. - Martwiłam się.

- Przepraszam... Ja, ja... - Trudno było wykrztusić Amerii jakiegokolwiek słowo.

- Skończ z tym, proszę cię.

- To się już nie powtórzy, przysięgam.

- Z TYM musisz skończyć - powiedziała królowa, podchodząc do córki. - Musisz przestać się z NIM widywać. Musisz. Wiesz doskonale, że zbliża się data zaślubin. Wkrótce przybędzie Lyontall, by przedstawić cię bratankowi. Dlatego zaklinam cię, kochanie, przestań widywać się z tym chłopcem. Ponad wszystko pragnę waszego dobra, twojego i twojego brata. Dlatego, proszę, przestań.

- Skoro pragniesz mojego szczęścia, matko, to czemu nie mogę zostać z nim? Ja go... Kocham!

- Ależ, dziecko!

- Tak, nie przesłyszałaś się! - odparła Ameria.

- Chyba nie wiesz, co mówisz!

- Wiem doskonale. Tylko tej jednej rzeczy jestem pewna. A poza tym, jeżeli naprawdę pragniesz mojego, naszego szczęścia, to czemu zgodziłaś się wydać mnie za bratanka Lyontalla? Nawet niczego o nim nie wiesz - sprzeciwiła się dziewczyna.

- Widać, że pałasz do Boruty silnym uczuciem - rzekła Imerien, uśmiechając się do córki - i być może on ciebie także darzy podobnym... Lecz szczęściem nie zagwarantujesz sobie bezpieczeństwa. Szczęście nie utrzyma cię przy życiu, kochanie. Nawet jeśli ten młodzieniec otoczy cię opieką, czy ma dość siły, by w nagłej sytuacji przeciwstawić się twojemu ojcu? Zrozum, proszę... Zrobiłam to, co było konieczne, by chociaż tobie zapewnić

bezpieczeństwo. Wiedz, że nie jestem z tego dumna – stwierdziła zasmuconym głosem Imerien. – Jednakże gdybym musiała ponownie dokonać wyboru, postąpiłabym podobnie. Twoje szczęście... wasze szczęście, jest dla mnie ważne, ale wasze życie jest najważniejsze.

– Jak mogę być szczęśliwa, a tym bardziej bezpieczna z kimś, kogo w ogóle nie znam? Nie chcę nigdzie jechać i tym bardziej nie chcę, by ktokolwiek tutaj przyjeżdżał! Wolę zostać tutaj z wami, z tobą, Janetenem i Borutą!

– Wybacz, to jest niemożliwe – odparła Imerien. – Jesteś córką królów, dałaś słowo. Ja także je dałam. A raz danego przyrzeczenia nie można nie dotrzymać; taka jest kolej rzeczy. Na tobie jako na następczyni tronu spoczywają obowiązki, które musisz wypełnić, czy tego chcesz, czy nie. Niestety na tym polega niedola władcy – trzeba dotrzymywać obietnic, które się złożyło.

– Zatem ucieknijmy jak kiedyś... we czworo.

– Nie! – ucięła stanowczo dawna pani na Suur Erun. – Wystarczy, że ja nie mam swego miejsca na ziemi. Nie pozwolę, by podobny los spotkał ciebie.

– Proszę, po prostu ucieknijmy... Rzućmy to wszystko i wyjedźmy...

– Ucieczka nie jest wyjściem, tylko ostatecznością. Proszę cię, kochanie, nie skazuj się na niekończącą się tułaczkę. I tak wystarczy, że przeze mnie musieliście porzucić wszystko, całe wasze życie, wasz dom. Jesteście dla mnie wszystkim i dlatego chcę zapewnić wam lepszy

był. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby z mojego powodu coś miało się wam przydarzyć.

- Czy sama nie pragnęłaś nigdy uciec od obowiązków, od przyrzeczeń?

- Wierz mi, dziecko, nieraz tego chciałam - stwierdziła Imerien, siadając na krawędzi łóżka. - Pragnęłam odejść, odejść raz na zawsze... Porzucić wszystko, bo wiedziałam, że każdy kolejny dzień pełen będzie bólu, cierpienia i goryczy z powodu zdrady ze strony osób, które kiedyś uważałam za bliskie. Jediną rzeczą, jaka mnie powstrzymywała, była myśl, co się z wami stanie. Tylko troska o was pozwoliła mi przetrwać najtrudniejsze chwile. Dlatego nie chcę i nie pozwolę, by stała się wam krzywda. Żyję jedynie dla was oraz dzięki wam, dzięki waszemu wsparciu, za które będę wam do zgonnie wdzięczna. Powiem jeszcze raz - jesteście wszystkim, co mam, dlatego nie mogę pozwolić, byście zmarnowali sobie życie!

Rzekłszy to, królowa wstała i skierowała się w stronę drzwi. Nim opuściła pokój, przystanęła jeszcze w progu, zamyślona.

- Proszę cię, po jutrzejszej ceremonii - powiedziała Imerien, patrząc na córkę - przestań spotykać się z Borutą. Wierzę - dodała po chwili - że dokonasz słusznego wyboru.

Wieczorem, tuż po tym, jak zapadł zmierzch, a na wschodnim widnokrzęgu ukazała się pierwsza gwiazda, elfia gromada pod wodzą starszyny osady opuściła mury osady. Mieszkańcy odziani w długie, białe szaty szli dwuosobowymi rzędami w głąb lasu. Podążali tą samą

drogą, którą dzień wcześniej wracali Boruta oraz Ameria. Każdy z wędrowców niósł w dłoniach zapaloną świecę, ukrytą w srebrnej latarni, natomiast na twarze przywdziali maski zwierząt. Pochód zamykała Imerien, która szła obok syna. Tuż przed nią kroczyła jej córka wraz z, tak, zgadliście, nieodłącznym kompanem – Borutą.

Niema, biała kolumna maszerowała równym krokiem, ciągnąc ku polanie. Płomyki latarenek rozświetlały ponure leśne korytarze, które wiły się pośród pagórków oraz licznych mokradeł. Droga w końcu opadła w kotlinkę, w której mieściła się polana.

Dopiero teraz królowna dostrzegła, co wczorajszej nocy przed jej wzrokiem skrywała ciemność. Trójkątną przestrzeń wyznaczały trzy punkty – drzewa o zamierzchłym rodowodzie. Każde z nich było większe od przeciętnego drzewa, rosnącego w lesie. Ich rozłożyste gałęzie niemal w całości przykrywały polanę niczym ogromny dach.

Każde z tych drzew reprezentowało jedno z trojga najważniejszych bóstw Jarów: dąb, największy i najpotężniejszy, symbol niebiańskiego ojca, Enlila, zajmował wschodnią część polany, jabłoń, symbol płodności, reprezentowała Wielką Matkę, tutaj zwaną także Viltrą, zaś lipa była charakterystyczna dla Taljana, boskiego wojownika. Na korze każdego z tych drzew wyryto podobiznę bóstwa, dla którego dane drzewo było schronieniem. Postać Enlila posiadała cztery oblicza, które skierowane były w cztery strony świata. Portret wielkiej

bogini, Viltri, miał zaledwie dwie twarze. Pierwsza, o gładkim i młodym licu, symbolizowała siłę witalną, druga zaś, o wychudzonym obliczu staruchy, siłę przeciwną do niej – śmierć. Natomiast biedny Taljan mógł pochwalić się zaledwie jedną głową, za to jako jedyny posiadał wyrzeźbiony oręż – kamienną włócznię.

Jeżeli nie interesuje Was charakterystyka bóstw, zwyczajnie pomińcie ten oraz następny akapit. Mogłoby się zdawać, że naczelnym bóstwem w tradycji Jarów jest Enlil, bóstwo niebieskie. Nic bardziej mylnego. Przyjęcie go w poczet bogów nastąpiło wyłącznie wskutek napływu barbarzyńców z zachodu, natomiast zgodnie z pradawnymi wierzeniami najwyższą instancją była Viltri, którą czczono na tych obszarach od tysiącleci. Chociaż mówi się o niej jako o bogini ziemi, czy też płodności, zgodnie z dawną tradycją jest ona ucieleśnieniem wszelkiego bytu, nawet tego niewidzialnego, niebiańskiego. Skoro Viltri jest wszelką substancją, zatem niejako z niej składa się wszystko, co istnieje, od skał i ziemi począwszy, a na bożkach skończywszy.

Enlil prezentuje majestat władzy monarszej, władzę świecką, tak to nazwijmy. Patronuje on władcom, zaś pod groźbą kary z jego ręki zawierane są traktaty oraz ważniejsze umowy, w tym pokojowe. Viltri, Bogini Matka, reprezentuje władzę duchową, niematerialną, stojącą ponad regułami wyznaczanymi przez lordów, a której prawa zostały spisane w chwili powstania świata (jak prawa fizyki zostały skonkretyzowane w chwili wielkiego wybuchu).

Dlatego w społeczeństwie elfów pełni funkcję Najwyższego Trybunału, który orzeka o zgodności ziemskiego prawa z ładem boskim. Trzecie i ostatnie naczelne bóstwo, Taljan, upodobało sobie hart ducha i siłę wojowników, którym to przewodzi. Licznych wyznawców Pana Łowów należy się doszukiwać u plemion Nurii, czyli elfów czczących wilki.

Trzej najstarsi mieszkańcy prowadzący pochód, z czego tylko jeden był wołchwem (pozostali dwaj byli jego pomocnikami), pierwaj rozpalili stosy ofiarne, które ustawiono przy każdym drzewie z osobna, a następnie złożyli na nich dary. Gęsty dym buchał z ognisk jak szalony. Gdy stosy wreszcie dogasły, pozostałe po ofiarach popioły druidzi zebrali do kamiennych naczyń, by później rozrzucić je nad rwącym potokiem. Kiedy ostatnie z naczyń zostało opróżnione, rytuał oczyszczenia dobiegł końca.

Po części oficjalnej rozpoczęła się znacznie przyjemniejsza część druga, na czas której zdejmowano niewygodne maski. Obfitowała ona w jedzenie oraz tańce przy blasku księżyca, jak również inne zabawy. Pomędzy chatami, które przyozdobiono barwionymi lampionami, rozstawiono stoły, wszystkie suto zastawiono. Przygotowanych było „zaledwie” sześć dań. Jak tłumaczono, owa skromność wynikała z zeszłorocznego nieurodzaju. Podobno zdarzało się bowiem, że w latach tłustych kolacja liczyła sobie nawet do dwunastu dań.

Przy każdym stole pozostawiono jedno lub dwa miejsca wolne, które także nakryto. Zgodnie z tradycją

przeznaczone były dla duchów przodków, by mogli się oni radować razem z żyjącymi krewnymi.

Nie żałowano niczego. Potrawy wysypywały się z półmisków, zaś piwo i miód lały się szerokim strumieniem. Przy czwartej zmianie dań, gdy któryś z mieszkańców (był to bodajże stary Gabran) spróbował ustać na oparciu krzesła, zalany w sztok, chwilę później lądując z hukiem na ziemi, uznano, że najwyższa pora ruszyć w tan.

Tańcowali głównie młodzi oraz ci, którzy wciąż byli młodzi duchem. Starsi natomiast woleli posiedzieć przy stołach, dopić resztki likieru oraz ponarzekać, jak to mieli w zwyczaju. Głównie marudzili, że młodzież nie jest już taka, jaka była za ich czasów, choć znaleźli też trochę czasu, aby porzędzić na guślarza oraz na wzrost cen za usługi, które świadczył.

- Żeby liczyć pięć sztuk srebra za zwykłą maść... - utyskiwał jeden. - Toż to rozbój w biały dzień!

- Zgadzam się - przytakiwał inny. - A uwierzycie, że za porcję kory białej wierzby ten łachmyta bierze pięć sztuk?

- Ile? - oburzył się następny.

- Co on powiedział? - pytał kolejny.

- Powiedział, że bierze pięć sztuk - odpowiedział ten, który pierwszy zabrał głos.

- A po co ci pięć suk? - zapytał znowu głuchawy. - Nie wystarczy ci Burek?

I tym sposobem rozmowa zesła na bardziej przyziemne tematy.

Tymczasem na chybotliwym parkiecie, przy akompaniamencie kiepsko zgranej orkiestry szalała Ameria. Tańczyła głównie z Borutą, choć chętnych nie brakowało.

Gdy muzycy się zmęczyli, wszyscy ponownie zasiedli do stołów, gdzie akurat serwowano kołacz. Potem zaś nastąpić miała główna, no dobrze, dwie główne atrakcje. Pierwszą z nich było puszczanie wianków na wodzie, drugą zaś szukanie kwiatu rośliny, której elfiej nazwy nie dosłyszałem, lecz my znamy ją jako paproć. Puszczanie wianków możemy sobie darować, ponieważ w jego trakcie i tak nic interesującego się nie wydarzyło. Dużo ciekawiej natomiast wyglądało poszukiwanie kwiatu.

Młodzi, którzy chcieli się wybrać na poszukiwania, zgromadzili się na polanie. Oczywiście nie mogło zabraknąć Amerii. Co ciekawe, na udział w zabawie nie zdecydował się Boruta, gdyż, jak twierdził, jest to zabawa dla dzieciaków. Na środku polanki na zainteresowanych czekał już wołchw, czyli najstarszy.

- W głębi lasu - rozpoczął - rośnie kwiat... Ten, kto go odnajdzie, odnajdzie także szczęście w życiu. Bądźcie jednak ostrożne, moje dziatki - w lesie czyha wiele niebezpieczeństw...

Nikt z zebranych nie zwracał jednak uwagi na ostrzeżenia dawane przez miejscowego wołchwa, wszyscy chcieli już wyruszyć, a nie słuchać paplaniny starego ramola. Usłyszawszy: „Powodzenia”, biała fala wystrzeliła w las.

Królewna biegła, trzymając przed sobą kaganek. Z początku gromada przemieszczała się razem, w jednej linii, lecz z upływem czasu tłum rzedł, rozplywając się pomiędzy krzewiny. Samotnej Amerii las zdawał się strasznym miejscem. Kaganek w ręku na niewiele się zdał, bowiem spoza nikłego świetlistego kręgu wзираły mroczne, nieznane kształty, które ciągnęły się, jak tylko okiem sięgnąć. Lecz mimo to parła naprzód. Głosy pozostałych uczestników milkły, a światła kaganków znikwały w ciemnościach i zdawały się być robaczkami świętojańskimi migoczącymi gdzieś w oddali.

W pewnym momencie dziewczyna kompletnie straciła rozeznanie w terenie. Wołania ucichły. Słyszała jedynie odgłosy lasu i szum strumienia. Zgubiłam się – przeszło przez myśl królowi. Wpadła w panikę. Nerwowo rozglądała się wokoło, lecz niewiele mogła dostrzec przez gęstwinę lasu. Nawet blask księżyca nie docierał w to miejsce, blokowany przez liście. Sytuacja stała się jeszcze straszniejsza, gdy usłyszała za sobą trzask pękającej gałązki. Strach sparaliżował Amerię. Szelest liści robił się coraz głośniejszy. Coś się zbliżało.

Warczenie. Dobiegało gdzieś z ciemności. Niby cień, sylwetka umykała przed światłem kaganka, to tu, to tam. Wtem rozbłysły przed nią żółte ślepie, błyszczące w ciemności – para wilczych oczu. Zwierzę utkwilo w dziewczynie wzrok, a po chwili zerwało się do ataku.

Nagle druga szara sylwetka przemknęła w słabym blasku kaganka, który wypadł Amerii z ręki i zgasł.

Z ciemności dobiegały dźwięki potyczki - odgłosy szarpaniny oraz brzęk żelaza. Wilk zaskowyczał. Czyjeś ciało upadło na ziemię.

- Za mną! - Znienacka pochwyciła ją ręką.

Poznała ten głos. Należał do Boruty. Prowadził dziewczynę przez ciemności, zupełnie jakby to czynił za dnia. W końcu znaleźli schronienie na małej platformie, służącej myśliwym w trakcie polowań.

- Tutaj nic nam nie grozi - rzekł elf, obejmując Amerię, która wtulała się w róg ambony. - Jesteś cała?

W odpowiedzi wydała z siebie stłumione: „Tak”.

Boruta wstał i ocenił sytuację.

- Może być ich więcej - bąknął. Inna sprawa, że niewiele widział przez zarośla. - Dla bezpieczeństwa zostańmy tutaj, póki świtanie ich nie rozpędzi.

Ukucnął przy Amerii. Była silna; szok szybko ustępował i nim Boruta się zorientował, wróciła do normy. Jeżeli rozmawiali, to tylko szeptem, jakby w obawie, że mogą sięgnąć tam więcej bestii. Po jakimś czasie rozmowy przeszły w śmiech, a śmiech w coś więcej. Przed obliczem bogów oraz leśnych zwierząt para młodych dała się porwać przybierającej na sile fali namiętności.

Nad ranem chrobotanie pazurków zaciekawionej wiewiórki zbudziło kochanków. Ponieważ po wilkach nie było już śladu, niebawem powrócili do osady. Przynajmniej jeden problem mieli z głowy. Z drugim poszło niewiele gorzej; hałasując nieco, udało się Amerii zakraść do własnego pokoju niezauważoną. Później, kiedy Imerien

przyszła zawołać córkę na śniadanie, nawet nie podejrzewała, gdzie jej kruszyna spędziła ostatnią noc.

Nazajutrz, późnym południem, dojdzie do jednej z najtrudniejszych rozmów, jaką odbędzie w swoim życiu dziedziczka tronu...

- Byłeś dla mnie jedynie chwilową ciekawostką, zwykłą zabawką, niczym więcej - rzekła dziewczyna. Starła się być twarda, lecz jej serce krwawiło. - Wszystko, co mówiłam, było kłamstwem. Nigdy cię nie kochałam i nigdy nie pokocham.

- Wiem, że nie mówisz prawdy - powiedział Boruta.

- Taka jest prawda! Brzydzę się twoim widokiem, samą myślą o tobie... Znudziłam się tobą! A teraz odejdz!

- Dobrze - odparł zrezygnowany. - Niech tak będzie. Odejdę. Odsunę się w cień, dla ciebie. - Z oczu młodzieńca popłynęły łzy. Podeszedł do Amerii, następnie klękając przed nią, ucałował wierzch jej dłoni. - Wiedz, że zawsze będę u twego boku w potrzebie - dodał, odchodząc.

Nie chciał robić scen, domyślał się bowiem, co było powodem wypowiedzenia słów, które usłyszał, dlatego pozwolił odejść Amerii, chociaż czynił to z wielkim bólem. Wierzył, albo raczej chciał wierzyć, że i dla jego ukochanej ta sytuacja również nie należała do prostych. Trudno jest wyrzec się osobistego szczęścia dla dobra innych i tylko najwięksi są zdolni do takiego czynu.

W ciągu tygodnia królowna w towarzystwie przyszłego małżonka oraz rodziny opuści Hubb. Boruta ów wieczór postanowił spędzić w domu piwnym. Wsparty nad kuflem,

siedział i rozmyślał. Goście wchodzili, przysiadali się, a później odchodzili, nie zwracając uwagi na strapionego młodzieńca. Do północy nie wypił nawet połowy.

- To przez dziewczynę, prawda? - spytał w końcu któryś z gości, siedzący przy drugim krańcu szynkwasu. W tym czasie w domu piwnym było ledwie kilka osób, można było je zliczyć na palcach jednej ręki.

Boruta nie pofatygował się, by odpowiedzieć, za to spokojnie przechylił kufelek.

- Bardziej dosadnej odpowiedzi nie mógłbym usłyszeć - powiedział tamten, przysiadając się. Długa, szara broda nieznanego zaląła blat. - Więc kim była ta panienska, hm? Dawno temu wyjechała?

- Niedawno.

- Oj! To cię jeszcze trochę potrzyma - odpowiedział brodacz, lekko uderzając ręką w blat. - Spokojnie, chandra minie... Jak wszystko. Powiedz mi, synu, masz nadzieję, że jeszcze wróci?

Boruta przecząco pokiwał głową.

- Może nawet lepiej, że odeszła... - stwierdził po chwili, wyprostowując się. - Zaczynała być męcząca i, jak by to powiedzieć, trochę uciążliwa.

- I to jest postawa, synu. I to jest postawa - zaśmiał się starszy mężczyzna, poklepując młodziana po ramieniu. - Dużo jest kwiatków na tej polanie, dużo jest rybek w tym stawie... Jeśli wiesz, co mam na myśli - dodał, unosząc brwi.

- To prawda.

- Powiedz mi, synu, czy była wyjątkowa? Albo nie, lepiej nie mów. Gdy jesteśmy zakochani, wszystkie, co do joty, wydają się wyjątkowe. Chociaż... - Nieznajomy przerwał nagle i machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętne owady.
- A, nie ma sensu ciągnąć.

- Co chciałeś powiedzieć? Dokończ.

- Aj-j... Czasami trafiamy na kobiety wyjątkowe, które zostawiają po sobie pustkę, której nie potrafimy zapełnić. Kobiety, na które warto czekać. Ale taka kobieta to rzadkość, to postać wręcz mityczna... Prawie jak jednorożec
- stwierdził z uśmiechem, podnosząc kufel do ust.

- Ciebie to spotkało? - spytał zaciekawiony Boruta.

- Brońcie bogowie - odpowiedział starszy pan, śmiejąc się, z białą pianą na wąsach. - Mnie na szczęście nie, ale jednego z moich znajomych już tak. Biedaczysko.

- I co? Długo czekał?

- Wystarczająco długo. Jak będzie z tobą, synu? Długo masz zamiar na nią czekać?

- Nie-e-e - odparł Boruta, przelżykając piwo. Lecz w skrytości ducha pomyślał: - Choćby i całe życie.

ROZDZIAŁ 9



Wkrótce minie trzynasty rok, od kiedy troje uciekinierów zbiegło z Suur Erun. Czas ten upłynął spokojnie, zupełnie jakby świat o nich zapomniał, za co byli losowi niezwykle wdzięczni.

Wiele zdążyło się wydarzyć. Ameria, teraz nazywana czcigodną panią Amerią, została matką chłopca o imieniu Jerema, który niedługo świętować będzie swoje dwunaste urodziny. Co ciekawe, więcej czasu spędzał z Imerien, swoją babką, aniżeli z matką, która zawsze była w biegu.

Ameria kilkakrotnie zapraszała brata, by ten wraz z matką dołączył do niej i zamieszkał razem z nią w książęcym dworze Perendira, jej teścia, lecz on za każdym razem odmawiał. Wolał bowiem pozostać przy matce, w skromnych dobrach, które nabyła wkrótce po przyjeździe, a które leżały nie więcej niż pół dnia drogi od pałacu, aby się nią opiekować, czując, że jest jej to niejako winny. Obawiał się także, iż bez kogoś bliskiego przy swym boku Imerien podupadnie na duchu.

I tak ten czas im upływał - na podróżach między jednym a drugim domostwem.

Natomiast zatroskany mąż i ojciec Gar milczał. Nie przypominał o sobie ani po trzech, ani po kolejnych dziesięciu latach. Urwał się z nim wszelki kontakt, jakby zaniechał starań zmierzających do odnalezienia zbiegłej rodziny, zapomniał o niej lub, czego wykluczyć nie można, w ogóle nie wszczął poszukiwań. Sugerowałyby to, że obecny układ najzupełniej mu odpowiadał lub, co gorsza, że nigdy mu na rodzinie nie zależało. Dlatego po tych kilkunastu latach Imerien zaczęła snuć nadzieje, iż Gar stracił zainteresowanie jej osobą. Pytała siebie od czasu do czasu, czy aby nadzieje te nie są jednak płonne.

Tego lata, kiedy to po raz kolejny Imerien wraz z Janetenem postanowiła odwiedzić córkę, z nieznanых przyczyn nasiliła się liczba przyjezdnych z za brodu Isiry, podróżujących zachodnimi gościńcami, które, dotąd zazwyczaj puste, zapełniły się.

Słońce przyjemnie grzało w ten sierpniowy poranek. Trasa, którą właśnie pokonywała kawalkada, była Imerien dobrze znana. W końcu który to już raz ją pokonywała? Dwudziesty, trzydziesty? Któż by to zliczył. Imerien spokojnie rozpoznawała każdy krzew oraz każde drzewo, rosnące wzdłuż gościńca. Właśnie mijali starą wierzbę, której długie gałęzie rozciągały się nad drogą, co oznaczało, że do celu pozostało około trzydziestu minut.

Las wkrótce ustąpił miejsca rozległym, złotym plamom pól, na których praca wrzała. Trwały żniwa. Kosy unosiły

się w nieustannym tańcu - góra, dół, dół, góra.

W oddali w przedpołudniowym blasku majaczyły mlecznobiałe mury Nimirnu. Kolumna musiała jednak przystanąć przed bramą wjazdową z powodu licznej grupy elfów, którzy ją zablokowali. Rozpychali się strasznie. Jeden z elfów wyklócał się o coś ze strażnikami, zaś inni wtórowali mu podniesionymi głosami. Wnosząc po ich świergocie, nie pochodzili z tych stron.

- Co ci wszyscy ludzie tutaj robią? - królowa spytała na głos samą siebie.

- Znowu coś podejrzewasz, matko? - skwitował Janeten, który jechał u boku Imerien. - Coś niecnego, jak zwykle?

- Uwierz mi, czasami warto zachować ostrożność.

Tłum był zbity i niezbyt skory do współpracy, nie chciał przepuścić kolumny, dlatego gwardziści musieli użyć siły. Gdy przebijali się przez zebranych, zdało się Imerien, że dwóch mężczyzn bardziej niż pozostali interesuje się jej osobą. Zwłaszcza jeden z nich, brunet o gęstym zaroście, wybijający się wzrostem na tle pozostałych, intensywnie wpatrywał się w królową. Na ramieniu miał ptaka - pięknego czarnego kruka, który nie przestawał krakać. Obaj mężczyźni nie spuszczaali wzroku z królowej, nawet gdy ta minęła bramę. Lecz Imerien ostatecznie zbagatelizuje sprawę i zapomni o niej wraz z upływem kolejnych dni.

Grunt stawał się coraz bardziej bagnisty i rozmokły. Żłociste pola zbóż ustąpiły miejsca licznym bajorkom, które rozlewały się po obu stronach kamiennej drogi.

W końcu w oddali zamajaczył zamek, a właściwie warowny pałac, przyozdobiony sześcioma wieżami i schowany za murem, który okalał kamienne wzniesienie. Jednak jedna z baszt wyraźnie różniła się od pozostałych. W przeciwieństwie do tamtych nie była wąska i strzelista, tylko masywna i kanciasta. Nawet kopuła, która wieńczyła jej szczyt zamiast spadzistego dachu, nie nadawała budowli lekkości. Druga bliźniacza baszta, wzniesiona w północno-wschodnim krańcu wzgórka, górowała nad stromym urwiskiem rozpościerającym się u jej podnóża. Obie budowle były jedynymi ocalałymi fragmentami starożytnego grodu, który niegdyś zajmował to wzniesienie i strzegł kotliny.

Przed zachodem słońca grupa nareszcie dotarła do pałacu. Gdy wszyscy się rozgościli, Janeten wykorzystał chwilę zamieszania i wymknął się do starej strażnicy. Lubił spoglądać na miasto z wysokości, podziwiać jego panoramę.

Cztery potoki przemykały pomiędzy pięcioma wzgórkami, które niczym wały otaczały Nimirn i spletały się w jeden nurt, zasilający muliste rozlewisko Cervaros. Samo miasto, gęsto zaludnione i obszerne, z szerokimi i tętniącymi życiem bulwarami, rozproszone było na niezliczonej liczbie mniejszych lub większych wysepek rozsianych wzdłuż i wszerz delty. Wszystkie łączyła iście pajęcza sieć mostów. Większe z ostrowów były zamieszkane, natomiast te najmniejsze przekształcono w parki z brukowanymi uliczkami, z kolumnadami

obwieszonymi winoroślą, a nawet z misternie zdobionymi fontannami. Wszak wody było tu pod dostatkiem.

Niewiele gorzej prezentowała się południowa część miasta, zamieszкана w głównej mierze przez uboższą społeczność. Ci, by mieć własny skrawek suchej ziemi, musieli stawiać domy na wysokich palach wbitych w grzęzawisko. Takie osiedla budowane były ciasno i zwarcie, lecz żadnych wygod w nich nie brakowało. Ba, po zdobieniach fasad można by odnieść wrażenie, że mieszkali tam sami artyści. Drewniane ulice, umożliwiające przeprawę, szerokie, że i dwa wozy spokojnie by się zmieściły, łączyły osiedla z centrum. Co ciekawe, zdarzało się, że niektóre zamożniejsze elfy celowo przenosiły się z całym swoim dobytkiem do takich dzielnic tylko po to, by płacić mniejsze podatki. Ponoć był nawet jeden ekscentryk, który wykupił osiedle, by mieć je w całości dla siebie. Można i tak.

Cztery tygodnie bez mała upłynęły pod znakiem nieustannych zabaw i uciech. Za każdym razem, kiedy Imerien chciała ruszać w podróż powrotną, ciągle słyszała z ust córki: „Doprawdy? Już chcecie nas opuścić?! Przecież dopiero co się zjawiliście! Zostańcie jeszcze na trochę, tylko ten tydzień”. Minęły dwie kolejne niedziele. Ameria nieustannie powtarzała: „Jak to? Już? Chyba nie odjedziecie teraz? Naprawdę aż tak wam u nas źle?”. I tym sposobem nie wiadomo kiedy zrobiła się druga połowa października. „Chyba nie wyjedziecie teraz, moi kochani? Przecież niedługo urodziny tatka! Jeśli zostanieie, sprawicie mu

wielką radość! A potem spokojnie wyruszyście. Nie macie przebrań i podarków? Nie szkodzi, zaraz coś znajdziemy. W końcu od czegoś są tutaj ci kramarze”.

Nazajutrz wczesnym przedpołudniem czteroosobowa grupka udała się do przypałacowej galerii. Tam delikatna woń pachnideł unosiła się w rześkim powietrzu, przyjemnie łechcąc powonienie wolno przesuwającej się klienteli. Lecz wśród perfum i jedwabi grupa nie znalazła tego, czego szukała.

- Może szczęście gdzie indziej nam dopisze - powiedziała Ameria.

Ruszyli Wielkim Traktem, który miał ich doprowadzić bezpośrednio do Wyspy Kramarzy. Wpierw jednak musieli przebyć wyspę-dzielnicę willową, zamieszkałą przez zamożne rody i patrycjat. Janeten, choć widział tę okolicę już wiele razy, za każdym razem gdy tędy przechodził, nie mógł wyjść z podziwu dla tego miejsca. Po prawej stronie wyspy długim szeregiem ciągnęły się pałacyki najróżniejszych kształtów. Ich fantazyjne, bogato zdobione fasady o płynnych liniach zdawały się być niemal niewyraźne, jakby miały się zaraz rozmyć, a jednak wciąż pozostawały na swoim miejscu. Zupełnie jakby śnić sen na jawie. Natomiast budynki po lewej stronie, pomimo nie mniej fantazyjnej linii, cechowały się nieco większą skromnością. Przede wszystkim wolne były od przytłaczających zdobień, których nadmiar sprawiał, że wzrok się plątał. Przeplatające się motywy roślinne - jak

choćby kolumny podcieni odwzorowane na podobieństwo kwitnących drzew – nadawały całości lekkości.

Zostawiwszy za sobą Bramę Rajców, grupa wkroczyła na kamienny most, największy i najdłuższy w całym mieście; jego ciężar spoczywał na piętnastu ogromnych przęsłach, leniwie oblewanych przez wody Samealary. Z obu stron kroki przechodniów śledziły z wysoka zastygłe w kamieniu twarze bohaterów z elfich podań. Galerię zdobiło łącznie osiemnastu takich wojów. Na końcu mostu wznosiła się kolejna, nieco mniejsza brama, za którą roztaczała się Wyspa Kramarzy. W jej sercu znajdował się obszerny targ o owalnym kształcie. Jeśli tutaj nie mogłeś czegoś znaleźć, to coś najprawdopodobniej w ogóle nie istniało.

Na wyspie panował nieustający gwar niczym w ulu. Wszystkim było wiecznie dokądś śpieszno, a nawoływania kupców zlewały się w jeden, zresztą bardzo przyjemny dla ucha, szum. Można było tu znaleźć prawie wszystko, od łakoci po prawdziwe rarytasy, jak egzotyczna broń czy inne niezbyt legalne towary, czasem wyciągane spod lady lub przekazywane na zapleczu. Nieco dalej, ponad głowami tłumu, słychać było skwir wygłodniałych mew, które ciągnęły całymi stadami do przystani rybackiej w nadziei na dobry posiłek.

Wzdłuż nabrzeża, w kanałach, cumowały łodzie wyładowane po brzegi najprzedniejszymi dobrami i tak obciążone, że burty ledwo wystawały ponad wodę. Na niektórych handlowano skórą i futrami, na innych można

było po prostu przysiąc, wypić coś i zjeść, a na jeszcze innych pobaraszkować. Te ostatnie – wielkie barki, przekształcone w pływające domy publiczne – cieszyły się największym powodzeniem, nie tylko wśród miejscowych. Jednostki te były łatwe do rozpoznania dzięki rozwieszonym wzdłuż kadłuba czerwonym baldachimom.

Lekko zatęchły zapach kanałów mieszał się z aromatami wonnych przypraw, kadzideł oraz ściąganych z dalekich stron cytrusów. Niewiele dalej, w głębi alejki, aromat czekolady i cynamonu zachęcał przechodniów do spróbowania świeżo upieczonego kołacza. Sprzedawca właśnie polewał rożen nową warstwą ciasta. Biedak cały był spocony od żaru paleniska. Małżonka ledwo nadążała z wydawaniem porcji i kasowaniem, ale ukłoniła się, gdy tylko dostrzegła następcę tronu przechadzającego się między straganami w towarzystwie żony. Inni mieszkańcy również kłaniali się dostojnej parze.

Wielu elfów, zwłaszcza młodszych, nosiło długie włosy z wygolonymi bokami. Zapewne przejęli tę modę od licznych tam krasnoludów, którzy w ten sposób chcieli optycznie zwęzić swoje masywne kwadratowe głowy. Niestety w przypadku elfów wyglądało to raczej groteskowo, gdyż uczesanie to dodatkowo zwężyło i tak już niezbyt szerokie elfie oblicza. Z kolei starsi mieszkańcy upodobali sobie wąsy (tak, nie przesłyszeliście się, wąsy). Gusta były różne, wąsy bywały gęste i nieokrzesane, jak również wyrafinowane i bardzo zadbane, bo codziennie modelowane. Co się zaś tyczy odzienia, elfy lubowały się

w noszeniu długich, dopasowanych szat do połowy łydki. Na to zakładali rozpinane tuniki, zazwyczaj krótsze i podbite gronostajem. Niektórzy, dzięki rozcięciom pod pachami, odrzucali rękawy owych szat wierzchnich na plecy.

Ameria w towarzystwie matki dostojnym krokiem przemierzała uliczki pełne straganów, aż w końcu zaszła w podcienie pewnej kamienicy.

- Nareszcie jesteśmy - z zadowoleniem oznajmiła królowna.

Kilka kroków za nimi dyskretnie podążali Janeten oraz jego szwagier, Riangał, całkiem niezainteresowani. Lecz ten ostatni pozostawił swego towarzysza samego, gdy tylko Ameria zaczęła przeglądać wystawiony towar. To może trochę potrwać - pomyślał Janeten i postanowił się oddalić. Kiedy spacerował, jego uwagę przykuła nowa konstrukcja, stojąca po przeciwległej stronie placu, dom, który wyglądał, jakby zbudowano go z wielkiej beczki po piwie. Jego ciemne, dębowe oblicze zdominowało okolicę. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, Janeten zbliżył się do niezwykłego domostwa.

Od razu poczuł silną woń drożdży i piwa. Dalej, w głębi krasnoludzkiego osiedla, rozciągała się przedzielona wąską alejką dwustronna, gęsta zabudowa. Zabudowa nie była jaka, bo ceglana. Utkane pomiędzy dachami stalowe przęsło utrzymywało przerzucony nad uliczką szklany dach, który nie zasłaniał słońca w ciepłe dni, a do tego chronił przed deszczem w niepogodę. Może w tym wszystkim nie

byłoby nic niezwykłego, gdyby nie to, że cała dzielnica została ulokowana na moście. Dziesiątki domów, warsztatów i zajazdów mieściły się na przestrzeni nie większej niż prostokąt o wymiarach stu łokci szerokości na sto dwadzieścia łokci długości. Inna sprawa, która może trochę dziwić, to fakt, że takie kolonie na terenie elfich miast nie były niecodziennym widokiem, bowiem wielu krasnoludów szukało w nich schronienia przed prześladowaniami ze strony ludzkich władców. Co się zaś tyczy samych mieszkańców, tutejsi brodacze wyspecjalizowali się w produkcji i obróbce biżuterii, tkaniu wyszukanych arrasów oraz, co stanowiło lwią część ich zysków, w obrocie gotówką. Pożyczki, zastawy oraz czeki podróżne, wszystko to można było tutaj bez problemu załatwić, tym bardziej że krasnoludy nigdy nie zadawały zbędnych pytań; ceniły dyskrecję. Tak więc gdybyście kiedyś byli w tej okolicy i przypadkiem potrzebowali pożyczki lub chcieli coś zastawić, niekoniecznie swojego, już wiecie, dokąd powinniście się udać.

Przed beczkowatym domem stał stragan, a za nim, zgadliście, krasnolud. Właśnie wyklócał się o coś z klientem. Gdy tamten odszedł, Janeten postąpił dwa kroki w przód. Nad wejściem wisiała tablica z napisem: „Skład towarów różnych”.

- Podejź śmiało, synu - powiedział krasnolud. - Mam przeróżne cudeńka, wśród których na pewno taki wyrafinowany panicz jak pan znajdzie coś dla siebie!

Rozmowa potoczyła się szybko i nim się Janeten zorientował, skończył z sakiewką lżejszą o cztery sztuki złota, za to ze wspaniałym czymś, co robiło „klik” przy każdym dotknięciu (bogowie raczą wiedzieć, co to takiego było).

- Mogę o coś spytać?

- Ależ oczywiście - odrzekł krasnolud ze swoim ciężkim akcentem, przeliczając jednocześnie dotychczasowy utarg.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale sądziłem, że wy... krasnoludy... budujecie swoje domy pod ziemią, nie...

- Tylko dlatego, że jestem niski - zbulgotał nagle sprzedawca, wchodząc w pół słowa klientowi - i brodaty, oznacza to, że muszę żyć w norze jak jakiś kret?! Toż to rasizm!

- Przepraszam, ja... ja nie chciałem - odpowiedział Janeten mocno zakłopotany.

- Wypraszam sobie takie traktowanie! - grzmiał dalej krasnolud. - Z panem rozmawiać już nie będę. Żegnam! - wykrzyknął i ostentacyjnie odwrócił się na pięcie, by za chwilę trzasnąć drzwiami swego domu.

Co to, u licha, było?! - pomyślał Janeten zaskoczony nieoczekiwanym przebiegiem rozmowy i odszedł od stoiska. Gdy zbliżył się do podcieni, siarczyście przeklął, ponieważ bibelot właśnie popsuł mu się w rękach.

- Typowe! - palnął. Odrzuciwszy chłam, zainteresował się zamieszaniem, które pod jego nieobecność powstało przy podcieniach, skąd dobiegł go znajomy głos.

- Dobrze cię widzieć, mój drogi! - powiedział Lyontall.

- Ciebie także, stryjkę! Co tutaj robisz? - Janeten usłyszał głos Riangała.

- Wiesz doskonale, że za nic w świecie nie opuszczę urodzin twojego ojca.

- A gdzieś ty się podziewał, nicponiu - po cichu zganiła brata Ameria, doskoczywszy do niego, kiedy ten z powrotem dołączył do ich grupy.

- Długo u nas zabawisz? - pytał Riangał.

- Nie krócej niż tydzień. Muszę uzupełnić zapasy przed kolejną wyprawą. I wyprzedzając twoje kolejne pytanie, nie przyjechałem sam. Gdzieś tutaj powinien być... - rzekł Lyontall, wypatrując towarzysza w tłumie. - O! Już idzie!

Mina zrzęda Amerii, gdy okazało się, że owym kompanem był nie kto inny niż Boruta.

- Zapewne - ciągnął dalej Lyontall - pamiętacie tego młodzieńca. Otóż okazał się wspaniałym towarzyszem podróży. Podejź no, kolego - przywołał kompana ręką.

- Panie, panowie - powiedział Boruta, kłaniając się w pas. Po jego wyrazie twarzy trudno było orzec, czy rozpoznał Amerię. Nawet jeśli tak się stało, nie dał tego po sobie poznać - lico miał jakby z kamienia.

- Ty stary łotrze! - zakrzyknął Janeten. - Nie spodziewałem się ciebie tutaj! - Uściskał przyjaciela. - Zmężniałeś - stwierdził królewicz.

Zmienił się, trzeba przyznać. Nie był już tym młokosem, którego Janeten pamiętał z Hubb. Rysy znacząco mu się wyostrzyły, a gęsty i ciemny zarost pokrył całą dolną część

twarży. Zniknęły także długie kłaki czupryny, zastąpiła je krótka, schludnie przystrzyżona fryzura.

- Mówiąc o mężach - rzekł Lyontall, zwracając się ponownie do bratanka. - Gdzie się podział nasz skarb? Nie ma go z wami?

- Niestety, stryjku - odparł Riangal. - Jerema został w pałacu. Nauka przede wszystkim.

- Wybornie! Następca tronu musi wiedzieć to i owo - stwierdził Lyontall i klasnął. - Później mi opowie, czego się nauczył, szkrab jeden. Widzę - dodał po chwili - że mój brat wciąż nie zarzucił tej durnej tradycji. - Spoglądał właśnie, jak mieszkańcy przyzdabiali ulice sznurami z podczepionymi do nich kolorowymi lampionami. - Jeszcze mu się nie znudziła ta maskarada?

- To już tradycja. I to głęboko zakorzeniona. Całe miasto się szykuje, jak już zdążyłeś zauważyć, stryjku.

- Ano. Bym zapomniał. Powiedz mi, drogi chłopcze, co u twojego brata? Są jakieś wieści? Nie pisał przypadkiem, że się zjawi?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Riangal.

- Niebywałe! - zagrzmiał wzburzony Lyontall. - Taki szmat czasu upłynął, a ten gówniarz, proszę, wybaczone określenie, nawet nie raczył napisać. Mimo to mój brat, a twój ojciec, wciąż go faworyzuje. Niebywałe... Świat chyba stanął na głowie. Nie przejmuj się, mój drogi. Twój ojciec nie wie, jakie ma szczęście, że ma takiego syna jak ty - pocieszył bratanka Lyontall.

- To jeszcze raz, drogi wujku - wtrąciła się Ameria, chcąc zmienić temat. - Na jak długo zostajesz?

- Jak już powiedziałem, nie krócej niż tydzień, kruszyno.

- A czy twój towarzysz zechce do nas dołączyć? - spytał Riangal.

- Proszę się nie kłopotać, mój panie. Znajdę coś dla siebie w mieście, za pozwoleniem.

- Wykluczone! Złoto zachowaj na wojaże. Przyjaciele mojego stryja zawsze są mile widziani na dworze. Proszę do nas dołączyć. Nalegam!

- Ależ, mój kochany - wtrąciła się ponownie Ameria, ujmując mężowską rękę. - Jeśli nie chce, po co go zmuszać...

- Moja droga! Gdzie się podziała twoja gościnność? - zdziwił się Riangal. - Taki przykład chcesz dawać mojemu kochanemu stryjkowi? Wykluczone - powtórzył i pokręcił głową. - Proszę do nas dołączyć - rzekł ponownie, zwracając się do Boruty. - Ostrzegam, odmowy nie przyjmę.

- Zatem, mój panie, będę zaszczycony - odpowiedział Boruta.

Niedługo potem cała grupa skierowała się w stronę pałacu.

Wreszcie nastął z dawna wyczekiwany dzień, dwudziesty czwarty października. Przystrojone ulice i rozstawione namioty czekały w gotowości, aż zapadnie zmrok i rozpocznie się huczna zabawa. Lecz zanim to miało nastąpić, musiała się odbyć część oficjalna uroczystości, czyli uczta, na którą zostali zaproszeni wyłącznie krewni,

spowinowaceni oraz wybrani dostojnicy. Innymi słowy – nudy. Jediną rzeczą wartą nadmienienia była zakorzeniona od dawien dawna tradycja, wedle której książę w swe urodziny mógł ułaskawić dowolną osobę, niezależnie od wagi jej przewinienia. Niestety ku rozpaczy skazańców Perendir od wielu lat ani razu nie skorzystał z tej możliwości. Wszystkie nadsyłane prośby kwitował w ten sam sposób: „Niech gniją w więzieniu, szumowiny”.

Przed wybiciem godziny szóstej jubilat był gotowy, by wmieszać się w gęstniejący na ulicach tłum. W najstarszej przypałacowej wieży rozpalono ogień na znak, że władca dołącza do festynu.

Otworły się bramy pałacu. Z dworu szerokim strumieniem wylał się ludzki potok. Maszerowały kolumny i rzędy przebierańców, minstreli oraz akrobatów, istny gabinet osobliwości. Każdy z muzykantów miał przytroczoną do pleców pochodnię, osadzoną na długim trzonku. Przez to orszak wędrujący w dół zbocza serpentynami wyglądał niczym ogromnych rozmiarów ognisty wąż. Na dole czekała już ludzka ciżba pragnąca ujrzeć i powitać władcę. Ten złoto-karmazynowy pochod kuglarzy, trefnisiów i połykaczy ognia miał obejść całe miasto.

Tymczasem pozostali członkowie rodziny woleli wymknąć się chyłkiem, by móc spokojnie, nie będąc przez nikogo niepokojonymi, napawać się atmosferą festynu. Boruta natomiast zdecydował się pozostać w swoich

komnatach, gdyż, jak twierdził, nie bawiły go tego typu jarmarczne rozrywki.

Sześciuosobowa grupa, no może pięćipółosobowa, wszak trudno wliczyć małego Jeremę jako pełną osobę, wkroczyła w tłum. W tym morzu masek trudno było odgadnąć, kto był kim; czy mijana osoba była biedakiem, czy też jakimś wielmożą. Dlatego wszystkim należało złożyć ukłon. Tej nocy nie było podziałów na bogatych i biednych, tej nocy wszyscy byli sobie równi. Za rodziną dyskretnie podążało pięciu gwardzistów. Oni też byli przebrani. Zrezygnowali ze zwyczajowych podwójnych mieczy na rzecz łatwiejszych do ukrycia szabli.

Nawet mnogość atrakcji i wspaniała atmosfera festynu nie mogły wynagrodzić braku ciepłego płaszcza w ten coraz chłodniejszy wieczór. Niektórzy odczuli to boleśnie na własnej skórze.

- Na pewno nie jest ci zimno, stryjku? - dopytywał Riangał.

- Spokojnie, nawykłem do większych mrozów. W trakcie swoich wojaży już nie takich rzeczy doświadczyłem - zapewniał Lyontall, choć bardzo żałował, że nie włożył swojego ocieplanego płaszcza.

- Skoro tak twierdzisz.

Brnęli dalej przez tłum. Wystawiono dziesiątki straganów i roznów, z których dochodziły zapachy mięs, wzniesiono tyleż samo scen, gdzie ponad głowami zgromadzonych sztukmistrze połykali miecze, a akrobaci wyginali się w taki sposób, jakby nie mieli kości. Pomędzy

stoiskami przewijały się setki, jeśli nie tysiące elfów. Ich okazałe kostiumy, mieniące się złotem w blasku lampionów, nęciły oko. Tyle było wspaniałości, że nawet ktoś obyty nie mógł się nadziwić, a co dopiero chłopiec, któremu po raz pierwszy w życiu dane było ujrzeć te dziwy na własne oczy, nie tylko z okien pałacu. Jerema chciał zobaczyć je wszystkie jednocześnie. Biegał między stoiskami. Zaciekawiony, w jednej chwili patrzył na łakocie, by za moment zachwycać się czymś występem.

- Kochanie! Nie oddalaj się zbyt daleko - Ameria musiała ciągle upominać synka.

Lecz Jerema był wszędzie, nienasycony w swojej ciekawości. Najpierw chciał spróbować kołacza, by za chwilę mieć ochotę na coś innego. Trwało to jakiś czas, jednak nareszcie się zdecydował. Podbiegł do kramu, z którego rozchodził się aromat karmelu. Ledwo sięgając do lady, wskazał na jedno jabłko w polewie na patyku. Przekazał sprzedawcy srebrną monetę w ramach zapłaty za przysmak. Uradowany Jerema pobiegł przed siebie.

Już chciał ugryźć owoc, kiedy ktoś go szturchnął. Brązowe jabłko spadło z patyczka i potoczyło się po bruku. Gdy mały książę schylił się po nie, niespodziewanie ktoś go uprzedził i chwycił smakołyk. Jerema, zaskoczony przez nieznanego, odskoczył. Podniósł wzrok. Kucała przed nim tajemnicza postać, odziana w czarny płaszcz, z czarną, szeroką maską zasłaniającą górną połowę twarzy. Mężczyzna podał Jeremie jabłko. Ten przyjął je niepewnie.

Następnie nieznajomy uśmiechnął się i przytknął palec do ust, po czym się oddalił. Tyle go było widać.

- Jejku, strytku! Trzęsiesz się jak osika!

- Jednak trochę się przeliczyłem - rzekł Lyontall, dygocząc z zimna.

- A nie mówiłem...

- Proszę, weź moje okrycie - zaproponował Janeten. - Ja i tak za grubo się ubrałem.

- Dziękuję, synu. - Szybko nałożył na siebie ciemnozielony płaszcz podbity gronostajem. - Znacznie lepiej.

- Skoro kryzys jest już zażegnany, sprawdźmy, co się dzieje na placu - zaproponowała Ameria. Co chwila przykładała dłoń do skroni.

W końcu przemówił zaniepokojony Janeten.

- Od początku jesteś strasznie milcząca, siostrzyczko. Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. Po prostu trochę boli mnie głowa - odparła, przywdziewając na twarz uśmiech, który mimo bólu nie schodził z jej ust prawie przez cały wieczór.

Przepchnąwszy się przez barwny tłum, grupa wkroczyła na owalną płytę targu, przekształconą na tę noc w wielką salę balową. Na środku tańczyło w jednym rytmie ze czterdzieści, jeśli nie więcej, par. Radośnie przygrywali im muzykanci. Wtedy ktoś z tłumu zawołał:

- Już się zbliżają!

Jak na rozkaz wszyscy zebrani na rynku w tym samym momencie odwrócili głowy. Już z daleka świeciła

czerwonawa łuna, bijąca od orszaku. Coraz wyraźniejsze stawały się także melodie wygrywane na fletniach, flecikach i bębnach. Stopniowo tłum się rozstępował.

- Nie chcę patrzeć - stwierdził Lyontall - jak mój brat się wydurnia.

- Już idziesz? Zabawa dopiero się zaczyna...

- Spokojnie, zaraz będę z powrotem. Tylko zobaczę, jak się miewa mój towarzysz, i wracam. Przyrzekam.

- Trzymam cię za słowo - rzucił na odchodne Riangal, patrząc, jak strzyjek rozpływa się w ludzkiej masie. By zaoszczędzić sobie trochę czasu, Lyontall od razu skierował się w jedną z bocznych uliczek, gdzie panował mniejszy zgiełk.

- Kochanie, uczynisz mi ten zaszczyt i zatańczysz ze mną? - spytał Riangal Amerię. - Zanim tatko skupi na sobie całą uwagę.

Para prędkim krokiem wstąpiła na środek i dała się porwać muzyce. Z boku rodzicom przyglądał się Jerema, który grzecznie pilnował się babci Imerien. Podziwiał lekkość, z jaką tata prowadził mamę. Byli niezrównani. Raz tańczyli na środku, raz na obrzeżu. I wtedy to zdało się Jeremie, że wśród gapiów ponownie dostrzegł czarną postać. Stała nieruchomo, wpatrzona w parę książęcą; śledziła każdy ich ruch. Lecz zanim Jerema zdążył cokolwiek powiedzieć babci, mężczyzna zniknął.

Muzyka umilkła. Gapie zebrani wokoło parkietu zaczęli bić gromkie brawa tancerzom, którzy ukłoniwszy się, zeszli

ze środka. Lekko zdyszana Ameria powróciła do rodziny. Była bardzo blada.

- Mamo, co ci jest? - spytał synek. - Źle wyglądasz...

- Nic takiego, skarbie. Po prostu trochę się zmęczyłam.

- Może wolałabyś wrócić? - spytał Riangał, obejmując małżonkę.

Przytaknęła.

- Chyba tak.

- Zatem wracajmy.

- Nie! - sprzeciwiła się. - Wy jeszcze zostańcie. Nie chcę wam psuć zabawy.

Riangał chwilę wpatrywał się w żonę, po czym rzekł:

- Jak chcesz. A ty, smyku? Wolisz zostać czy wrócić z mamą?

- Spokojnie wracaj, córeczko - włączyła się nagle Imerien. - Ja się zaopiekuję naszym skarbem. Nie martw się.

- Zostaniesz z babcią? - spytała Ameria synka. - Nie będziesz sprawiał kłopotów?

Jerema przecząco pokręcił głową. Ucałowawszy malca, księżna oddaliła się, a wespół z nią dwóch gwardzistów.

W tym samym czasie, kiedy Ameria i Riangał tańczyli, Lyontall sadył długie kroki po opustoszałych ulicach. Echo butów ze zdwojoną siłą odbijało się w nocnej ciszy od ścian budynków. Od pewnego czasu zdawało mu się, że słyszy za sobą stąpanie. Ten ktoś podążał za nim krok w krok jak niechciany cień. Cały czas coś mruczał. Czy to było do niego? Czyżby ktoś go śledził? Skręcił w najbliższy zaułek.

Prędko przywarł do muru. Na szczęście postać przeszła obok uliczki, idąc prosto przed siebie chwiejnym krokiem. Podśpiewywała sobie pod nosem:

„I tak za te ładne butki
Sprawię sobie flaszkę wódki,
A jak z tego co zostanie,
Wezmę jeszcze ze dwie młódki,
Smakowite jak jagódki”...

Po słowach „smakowite jak jagódki” piosenka zmieniła się w niezrozumiały bełkot. Mężczyzna nie zauważył Lyontalla.

Księżę postął chwilę w tej pozycji. Kroki oddaliły się. Znów był sam. Nałożył kaptur i wrócił na wcześniej obrany szlak. Po chwili usłyszał za sobą wołanie, dochodzące z głębi alejki.

- Janeten, to ty?

Lyontall nie zwalniał tempa. Lecz osoba za nim była nieubłagana.

- No co ty! Nie przywitasz starego druha?

W końcu podróżnik przystanął. Zdążył tylko wziąć oddech, by wyjaśnić, że zaszła pomyłka, kiedy ktoś zniemacka pochwycił go od tyłu. Nie zdołał nikogo zaalarmować, ponieważ wołający, który po chwili dołączył, wychudzoną dłonią zasłonił mu usta.

- Słuchaj, brateńku, albo będziesz grzeczny... - syknął oprych, a w jego ręce zabłysła klinga sztyletu, której płaską stroną przejechał po szyi Lyontalla - albo zaraz użyję tego cacuszka! Zrozumiałeś?!

Lyontall przytaknął. Lecz zanim bandyta zdążył cokolwiek dodać, zatoczył się, otrzymawszy cios kolanem w krocze. W okamgnieniu Lyontall wyprowadził kolejne uderzenie, tym razem głową; z nosa drugiego bandyty strzeliła krew. Żelazny chwyt osłabł. Wyswobodzony książę rzucił się na oprycha, który dzierżył nóż. Kopniakiem wybił mu go z ręki, po czym zasypał gradem ciosów. Ostatni zwał napastnika z nóg. Lyontall natarł na drugiego bandytę. Ten był wyższy i grubszy, za to wolniejszy; prał go równo. Elf wziął zamach, kiedy nagle mała maczuga zdzieliła go w tył głowy. Uderzenie było zbyt słabe. Lekko zamoczony Lyontall dalej walczył. W końcu zirytowany chudzielec wbił księciu nóż między żebra. Zimny dreszcz przeszył ciało elfa. Wychudzona ręka szarpnęła za rękojeść broni. Zbir wbił ostrze ponownie, potem znowu, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Wywijał nim jak oszalały.

Gdy morderczy szal uleciał, grubszy ze zbójów dołączył do mniejszego. Obaj łypali z góry na zwłoki z tępymi minami.

- Najpierw mieliśmy go wypytać, potem zarznąć - zaczął grubas swoim basowym głosem. - Nie na odwrót, tępą pało...

- To jego wina! Niepotrzebnie się stawiał, ćwok jeden! - tłumaczył się coraz cieńszym głosem kamrat.

- Teraz to wszystko jedno. Pomóż mi, trzeba uprzątnąć ten bałagan.

- Psst! Psst! - wyszeptał ktoś zza rogu. - Słuchajta, głąby, zmiana planu.

Wróćmy na plac. Właśnie wkroczyła nań istna parada dziwactw. Cyrkowcy wszelakiej maści przedstawiali swoje talenty szerokiej publiczności. Żonglerzy zadziwiali nie tylko zdolnościami, ale i maskami: srebrne twarze z wywieszonymi wielgaśnymi jęzorami oraz plamami pod oczami, jakby byli umazani czarnymi łzami. Niektórzy schowali twarze pod maskami, które składały się z czterech oblicz, a każde było wykrzywione w coraz to większym grymasie. Jednak bodaj najdziwniejsze maski ze wszystkich nosili połykacze ognia – wyglądały one jak złocone czaszki z przyprawionymi diabelskimi rogami. Sam Perendir skrył twarz za maską pół ptaka i pół człowieka. Pochód zamykały dwie dziewięcioosobowe grupy. Po prawej stronie kroczyły dziewczęta, po lewej kawalerowie. W końcu orszak uformował owal.

Na jego środek wystąpił książę. W ślad za nim podążyły dziewczęta, które stanęły po jego prawej stronie. Wszystkie ubrane były w czerwone suknie i dziecięce maski. Następnie do przodu wystąpił kuglarz przebrany za węża, z doprawionym ogonem. Kolejno podchodził do każdej z dziewcząt i zdejmował im maski.

Gdy skończył, Perendir dopadł i przegonił wężowego ducha. Następnie chór dziewięciu żeńskich głosów po trzykroć wypowiedział formułę, w której domagał się zamążpójścia.

Książę, wysłuchawszy żądań, przystąpił do panien i wybrał trzy jego zdaniem najdorodniejsze, które z tą chwilą stały się jego ceremonialnymi córkami.

Po wytypowaniu trójki władca spytał, również trzykrotnie:

- Kto jest godzien moich córek?

W odpowiedzi zalotnicy, czyli dziewięciu młodzieńców, którzy stanęli po lewej stronie władcy, zawołali jednym głosem:

- Jam jest godzien!

Oni także musieli wypowiedzieć swoją kwestię trzy razy.

By móc dostąpić zaszczytu poślubienia jednej z córek, kawalerowie musieli wpierw udowodnić swoją wartość. Czynili to, przechodząc przez próbę włóczni. Księżę wręczał każdemu po kolei żelazną lancę, którą zalotnik musiał utrzymać w wyprostowanym ręku. Jakby tego było mało, tradycja wymagała, ażeby była to słabsza ręka. Ci, którzy zdołali najdłużej utrzymać broń, uznawani byli za godnych. Z każdym niepowodzeniem jęk zawodu przeszywał tłum, tak samo jak gromkie brawa eksplodowały za każdym razem, gdy zalotnik okazywał się siłaczem. Wybrani kandydaci byli następnie pojedynczo prowadzeni przez Perendira do jego przyszywanych córek. Utworzone w ten sposób pary miały otrzymać od władcy posag - pierwsza otrzymywała go w złocie, jako należny najstarszej córce, druga w srebrze, a trzecia w brązie.

Gdy ceremonia dobiegła końca, Imerien powiedziała:

- Czas nam wracać. Nasz kochany skarb jest zmęczony. Za dużo atrakcji jak na jeden raz.

- Wcale nie jestem zmęczony, babciu - zaprotestował Jerema, ale za chwilę ziewnął. I to tak zaraźliwie, że inni też zaczęli to robić.

Znajdowali się mniej więcej w połowie mostu, kiedy z przeciwnej strony nadbiegł przerażony człek.

- Nie żyje! - darł się w niebogłosy. - Księżę Lyontall nie żyje! Ludzie, książęcy brat nie żyje! Znaleziono go martwego w kanałach!

Zapadła martwa cisza. Ledwo słyszalny szept przetoczył się przez tłum.

- Co? Czy to możliwe? - pytali siebie zgromadzeni.

Wtedy Janeten dostrzegł coś, zdawałoby się drobnostkę, co przykuło jego uwagę: pewien gwardzista co rusz nerwowo zerkał w jedną stronę.

Nie upłynęło pięć sekund, gdy z tłumy wypadła szajka bandytów. Chyba nie więcej niż sześciu, trudno było ich zliczyć w tym zamieszaniu. Na pewno trzech oprychów zaatakowało gwardzistów. Pozostali za cel obrali członków rodziny. Jakby tego było mało, tajemnicza postać, która wciąż podążała śladem pary książęcej, także rzuciła się do ataku. W rękę dźwżyła miecz. Mężczyzna włączył się do walki. Broń poszła w ruch. Stal zadźwięczała. Dwie klingi skrzyżowały się o niecałą długość pięści przed twarzą Jeremy - mężczyzna w czerni sparował cios, który niechybnie dosięgnąłby malca. Odepchnąwszy zamachowca, wybawiciel błyskawicznym ruchem nadgarstka wyprowadził kontrę, po czym zasypał

napastnika gradem pchnięć. Przeciwnik wywijał mieczem niedbale. Szybko padł.

Na widok jatki tłuszcza się rozpierzchła. Nikt nie raczył pomóc, nikt nie chciał narażać własnego życia.

Janeten uchylił się przed nacierającym wrogiem i wykorzystawszy jego pęd, przerzucił go przez balustradę. Teraz musiał pomóc innym.

Dwaj zaskoczeni strażnicy nie mieli szans, zginęli na miejscu, natomiast ostatni z trójki wciąż stawiał opór. Walczył z dwoma zbrojami naraz. Unik, pchnięcie, garda, garda i kontra. Został już tylko jeden przeciwnik.

Riangal dobył miecza, lecz szybko go stracił. Wpadł mu do wody, kiedy zawadził nim o pomnik. Było to na rękę zamachowcowi, który uniósł broń nad głowę. Szkaradny uśmiech wykrzywił jego gębę. Nagle zachwiał się, a krew strzeliła z jego ust. Tajemny wybawca okazał się szybszy.

Janeten ruszył na pomoc ostatniemu wartownikowi. Silnym kopniakiem odepchnął napastnika, lecz ten, upadając, podciął królewicza. Obaj szarpali się, leżąc na ziemi, jeden drugiego okładał, ale to Janeten wyszedł z tego pojedynku zwycięsko.

Gdy zdawało się, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ocalały gwardzista pojmał Imerien i ruszył w kierunku balustrady. Uprowadziłby ją, gdyby nie błyskawiczna reakcja mężczyzny odzianego w czerń. Ukradkiem zdołał chwycić rąbek sukni królowej. Oprócz zdrajcy do wody wpadła także czarna maska tajemniczego wybawcy. Imerien spojrzała do góry. Nad nią dyndał Boruta,

przewieszony przez kamienną galerię. To on był mężczyzną w czerni, czemu nie mogła dać wiary. Oboje wisieli tak dopóty, dopóki nie pojawiła się straż Perendira.

Wyjrzawszy poza krawędź balustrady, gwardziści dostrzegli łódkę przycumowaną pomiędzy przęsłami. Na niej oprócz zdrajcy był również stary przewoźnik, który wolał nie czekać na ich reakcję i przeciął cumy.

- Za nimi! - padła komenda.

Bardziej porywczy z wartowników bez namysłu przeskoczyli balustradę i puścili się w pław za łódką. Reszta rzuciła się biegiem wzdłuż nabrzeża.

Tymczasem po drugiej stronie mostu nikt nie zwrócił uwagi na dwie sylwetki cichcem wymykające się z innej, ukrytej pod przęsłami łodzi. Śpiesznym krokiem oddalały się w przeciwnym kierunku.

- O nie! Ameria! - zawołał nagle Boruta, gdy już wciągnięto go na most. Pobiegnął w stronę pałacu.

Ameria leżała w swojej komnacie. Panował tam półmrok. Przed drzwiami dwóch strażników pełniło wartę. Nagle dobiegł ich dźwięk czyichś kroków. Komuś było śpieszno. Zacisnęli chwyt na swoich podwójnych mieczach. Poluzowali go, gdy tylko zza załomu korytarza wychynął kolejny czerwony płaszcz straży.

- Dokąd tak pędzisz? - dworował półgębkiem strażnik stojący bliżej nadchodzącego. - Dawnoś nie zaglądał do kantyny? Może chcesz czegoś ciepłego? - Rzekłszy to, wypiął miednicę do przodu.

- Uspokój się, Tilen! Co z tobą? - wyszeptał drugi gwardzista.

- No co? Przecież nas nie usłyszysz... - ciągnął dalej Tilen.

Dowcipy obróciły się chyba przeciwko żartownisiowi, bo nadchodzący mężczyzna zatrzymał się na wprost niego. Sądząc po minie, nie było mu do śmiechu.

- Nie jadam korniszonków - zripostował. - Ale żarty na bok. - Ton miał poważny. - Czy któryś z was to Galenor, albo przynajmniej znacie go lub wiecie, gdzie mogę go znaleźć?

- To ja - odezwał się kolega dowcipnisia. - Czemu pytasz?

- Zatem całe szczęście, że cię odnalazłem. Pół miasta przetrząsałem.

- Lepiej powiedz, co się stało.

- Oczywiście. Mam wieści od twojego chłopaka, Izera - zaczął mężczyzna. - Chodzi o twoją żonę...

- Co z nią? Czy coś nie tak? Proszę, mów... - zaniepokoił się Galenor.

Posłaniec zbliżył się do niego i wyszeptał nowiny na ucho. Twarz Galenora zrazu spochmurniała. Skończywszy, przybyły mężczyzna spojrzał na niego ze zrozumieniem, po czym powiedział:

- Tak mi przykro. Jakoś to będzie... Musi się ułożyć.

- Powiedz, co się stało? - dopytywał się Tilen, przeczuwając najgorsze.

Galenor nie odpowiedział; spuścił głowę. Wyraźnie cierpiał.

- Musisz być silny, dla niej. Pamiętaj - dodał nieznajomy i poklepał kolegę po ramieniu. - Bywaj zdrow. - Z tymi słowy mężczyzna zniknął za rogiem.

- Co ci powiedział? - nie odpuszczał Tilen.

- Wolę cię nie zasmuć.

- Jest bardzo źle?

- Moja żona... - powiedział, ale zanim dokończył, wziął głęboki wdech - Ona... miała kolejny atak, ledwo wytrzymała.

Tilen pożałował swojego wścibstwa, bowiem w takich sytuacjach nigdy nie wiedział, co odpowiedzieć. Dlatego długo milczał, szukając właściwych słów.

- Współczuję ci. Gdybyś czegoś...

- Wiem - przerwał mu Galenor. - Dziękuję.

- Może wolałbyś, żeby ktoś cię zmienił?

- Naprawdę, nie trzeba.

Chwila zadumy nie trwała długo, bowiem została zmacona dźwiękiem kroków, które rozbrzmiały w głębi korytarza. Tym razem przybyszów było dwóch. Także mieli na sobie czerwone płaszcze straży. Jeden był szczupły, drugi nieco grubszy i wyższy. Obie twarze ukryte były pod hełmami. Stanęli twarzą w twarz z gwardzistami.

- Mamy was zmienić! - zaskowyczał niższy.

- Gdzie są wasze rozkazy? - spytał Tilen.

- Tutaj - odrzekł wyższy.

W tej samej chwili sieknął mieczem. Strumień krwi trysnął na ścianę. Drugi zmiennik natomiast zdzielił Galenora w łeb złączonymi pięściami. Ten opadł na

posadzkę jak kłoda. Byli to ci sami napastnicy, którzy zaatakowali Lyontalla.

Przebierańcy wzięli się następnie za drewniane drzwi. Załomotali raz, drugi i trzeci. Dopiero przy czwartym uderzeniu zawiasy puściły. Wparowali do środka. Ameria, zbudzona tym rejuwachem, przyłgnęła do ściany niczym osaczony zwierz. W rękę trzymała kordzik. Nie chciała poddać się bez walki. Zbóje okrążyli Amerię, drażnili się z nią. Już mieli pochwycić księżnę, gdy chuderlak nagle zaskowyczał, przedziurawiony ostrzem.

- Co do... - warknął kompan.

W odpowiedzi do niedawna ogłuszony wartownik sieknął podwójnym mieczem raz i drugi. Grubym ramionom natychmiast ulżyło bez pękatej głowy.

- Pani, nie jesteś tutaj bezpieczna! - rzekł Galenor, trzymając się za lewe ramię. - Musimy uciekać!

- Tylko dokąd?

- Do garnizonu. Tam powinien ktoś być.

Ameria nie miała zamiaru się sprzeciwić.

- A twoja ręka?

- Nic mi nie będzie, pani. To tylko draśnięcie.

- Jesteś pewien?

- Proszę, nie marnujmy czasu! - nalegał. - Intruzów może być więcej!

Posuwali się z wolna długim korytarzem przeznaczonym dla służby. Wąska klatka schodowa kluczyła w półmroku. Droga zdała się Amerii długa, nazbyt długa, jakby przewodnik zabłądził. Lecz w końcu schody się skończyły,

a na końcu tunelu błysnęły pochodnie. Oświetlały one drzwi, do których prowadził długi korytarz z licznymi wnękami po prawej stronie.

- Proszę zaczekać - nakazał Galenor. - Wpierw się upewnię, czy nie zastaniemy tu jakichś niespodzianek.

Gwardzista stąpał powoli z przyszykowanym w rękę orężem - krótkim mieczem. Nieporęczne podwójne ostrze zostawił na górze. Zajrzał do każdego wgłębienia, lecz najwidoczniej niczego nie znalazł, bowiem przywołał księżną dłońią.

Ameria ruszyła przed siebie. Gdy była mniej więcej w połowie drogi, Galenor uchylił ciężkie, żelazne wrota. Za nimi zamiast garnizonu, widniał kanał oraz przycumowana łódka. W tej samej chwili z jednej z wnęk wyskoczyło dwóch mężczyzn. Jeden pochwycił Amerię za nadgarstki i przyparł ją do muru.

- Puszczaj, chamie, ty łachudro jedna! I to zaraz! - rozkazała. Szarpała się i wołała o pomoc co sił w płucach. Na nic się to zdało.

Drugi oprych, herszt, oraz Galenor zmierzyli się wzrokiem. Jednak zamiast natrzeć na przeciwnika wartownik schował miecz do pochwy.

- Jesteś - rzekł herszt. - Dobrze. Czyli Condroy się z tobą widział.

- Owszem - odparł Galenor. - Dotarł i po kryjomu przekazał mi zmieniony plan. Tylko skąd wiedział o chorobie mojej...

- Zawsze dogłądały swoich inwestycji - przerwał mu herszt, szczerząc poźółkłe zęby.

- Nieważne - skwitował Galenor machnięciem dłoni. - Wykonałem swoją część umowy. Teraz ty wykonaj swoją.

- Oczywiście oczywistość. Tu jest twoja zapłata, szcurze. - Rzucił gwardziście miszek wypchany monetami. - Przysłużyłeś się naszej sprawie.

- Zatem o wszystkim wiedziałeś - krzyknęła ku wartownikowi Ameria. - I jeszcze maczałeś w tym swoje oślizgłe palce, kmiecie! Jak mogłeś?! Obyś szczeł, kundlu! - krzyczała.

- Złość piękności szkodzi, ptaszyno - rzekł herszt i łakomym wzrokiem omiótł figurę Amerii. Oblizwał wargi, jakby spoglądał na apetyczny kąsek.

- Nie zrobicie jej krzywdy... Taka była umowa. Obiecaliście, że włos jej z głowy nie spadnie...

- Ależ ma się rozumieć - zarzekał się herszt. - Jestem człowiekiem słownym. Obiecałem, więc słowa dotrzymam. Za kogo ty mnie masz, szcurku?

Dopiero teraz dotarła do Amerii powaga sytuacji. Zrozumiała, w jak marnym położeniu się znalazła. Nie mogła powstrzymać łez napływających jej do oczu.

- Powiedz tylko, dlaczego... - wyłkała zrozpaczona. - Powiedz, dlaczego to zrobiłeś?

- Nie miałem wyboru - odparł Galenor. - Musiałem to zrobić dla mojej ukochanej; bez tych pieniędzy na pewno by umarła. Musisz zrozumieć, pani, nie miałem wyjścia.

Zaciągnięte długi, koszt lekarstw... Jest tego zbyt wiele, a mój żołąd ledwie pokrywa połowę...

- Dobra, dobra - wtrącił się herszt. - Już się nie rozckliwiał, bo zaraz rzygnę. A teraz spływasz!

Galenor, mijając Amerię, nawet nie zerknął w jej kierunku. Ona zaś, zanim zniknął jej z oczu, wydarła się w jego stronę z całych sił.

- Niech cię piekło pochłonie!

- Aha! - rzucił na odchodne herszt. - Jeszcze jedno, szczurku...

- Co takiego? - spytał wartownik, zatrzymawszy się.

W mgnieniu oka herszt doskoczył do niego - Galenor nagle zgiął się wpół, a oczy wyszły mu na wierzch. Osunął się na podłogę martwy, z kindżalem utkwionym w bebechach.

- Ja to zatrzymam - rzekł bandyta, sięgając po sakiewkę. - Zaraz, zaraz, na czym to skończyliśmy... No tak, już pamiętam. - Znowu lubieżnie spojrzał na Amerię. Wykrzywił usta w obleśnym uśmiechu, po czym przejechał po nich językiem.

- W życiu wychędożyłem wiele pańienek, ale szlachetnej pizdy jeszcze nie próbowałem...

- To nie czas i miejsce na takie... - wtrącił się podkomendny trzymający Amerię.

- Morda w kubeł, pętaku! - zbeształ go herszt. - Ja tu dowodzę, rozumiałeś? Czy może ciebie też mam smyrnąć tym maleństwem? - zagroził, wymachując zakrzywionym

ostrzem. - To jak będzie, słodziutka? - zwrócił się do Amerii. - Dasz tatusiowi posmakować tych słodkości...

Ameria próbowała się wyrwać, szarpać i kopać.

- Ognista. Lubię takie...

- Posmakuj tego - zabrzmiał nagle głos za plecami herszta.

Za słowami poszedł cios: ostrze sieknęło na wysokości głowy. Siła uderzenia była na tyle duża, że przyszpiliła herszta do ściany. Ciało, lżejsze o głowę, osunęło się na posadzkę. Czerep pozostał przez chwilę na ostrzu, po czym dołączył do reszty.

- Ożeż ty! - zawołał podkomendny, który przez cały czas trzymał Amerię. Zawrzało.

Księżna zamknęła oczy i skuliła się pod ścianą. Odgłosy walki szybko ucichły. Gdy otworzyła oczy, obaj bandyci leżeli martwi. Nad nią stał Boruta z wyciągniętą dłonią.

- Uciekajmy! Może być ich tutaj więcej!

W sumie dwanaście martwych ciał leżało na stołach porozstawianych w małej komnacie w podziemiach dworu księżęcego: czterech łotrów, siedmiu gwardzistów przykrytych czerwonymi płachtami, ostatnie zaś należało do Lyontalla. Właśnie przy nim stanął Janeten. Znachor uwijał się przy pozostałych, przeszukując zawartość kieszeni.

- Ten coś ma - powiedział nagle medyk. Sięgnął głębiej za pazuchę i wyciągnął zwitek papieru.

W tym momencie Imerien opuściła kąt, w którym stała, i podeszła do stołu. Długo wpatrywała się w odciętą głowę,

próbując sobie przypomnieć, gdzie ją wcześniej widziała. Nagle nogi ugięły się pod królową – poznała oprycha. To był ten sam mężczyzna, który wtedy przy bramie tak uważnie się jej przyglądał. Tyle że teraz nie miał kruka na ramieniu. To wstrętne ptaszysko pewnie jest już daleko i doniosło komu trzeba, gdzie jesteśmy – pomyślała Imerien.

- „Słuchaj – zaczął czytać Janeten, chwyciwszy list. – Mam wiadomość, która może cię zainteresować. Jakaś gruba ryba, prawdziwa szycha z Południa, szuka pewnej kobitki. Podobno gość sownie wynagrodzi osobę, która ją odnajdzie, a jeszcze lepiej, jeżeli mu ją dostarczy. Chyba nie musi być żywa, bo facet niczego o tym nie wspominał. Aha, jeszcze jedno... Chodzą słuchy, że ta kobitka przewozi jakiś skarb, złoto czy coś. Zachowaj czujność! Na drugiej stronie masz jej podobiznę. I pamiętaj, nie spieprz tego”. Janeten przyjrzał się rysunkowi kobiety. – Obawiam się – ozwał się po chwili milczenia – że nie jesteśmy już tutaj bezpieczni.

Wtedy usłyszeli głośne kroki. Ktoś w wielkim pośpiechu szedł korytarzem. Drzwi rozwarły się z hukiem i do środka wparował książę Perendir.

- Gdzie on jest?! – rzucił od progu. – Gdzie jest mój brat?!

Obłąkane spojrzenie władcy zatrzymało się przy stole, na którym leżały zwłoki Lyontalla. Z niedowierzaniem wypisanym na twarzy zbliżył się do niego.

- Tak mi przykro z powodu twego brata – rzekła Imerien. – Proszę, mości panie, przyjmijcie nasze najszczęśliwsze kondolencje.

Księżę tylko gniewnie zerknął w stronę królowej.

- Lepiej będzie, jeśli zostawimy was samego - stwierdziła Ameria. Wszyscy oprócz Perendira ruszyli ku wyjściu.

- Nie, chłopcze! Ty zostań! - rzekł księżę, wsparty o blat stołu.

Riangal posłusznie został. Reszta wyszła. Gdy drzwi się zatrzasnęły, Perendir rzekł, wpatrując się w chłodne oblicze brata:

- Ona musi odejść. Nie może tutaj zostać. Królowa - kontynuował, odwracając się do syna - stanowi dla nas zbyt duże zagrożenie. Przy niej ani ty, ani ja nie jesteśmy bezpieczni.

- Ale...

- Przynajmniej na chwilę obecną. Dopóki krew nie zaschnie, dopóty musi omijać te mury. O mały włos, a i ciebie bym stracił. Oni muszą stąd zniknąć.

W niecały tydzień rodzina była już w drodze. Ponownie.

Powóz posuwał się powoli wzdłuż nierównego i zarośniętego gościńca. Dziesięciu jeźdźców dotrzymywało mu kroku. Wyruszyli z samego rana. W podróży byli nieprzerwanie już od kilku godzin, zbliżało się południe.

Orszak jechał w zwartym szyku. Lecz dojechawszy do rozdroża, grupa rozdzieliła się. Powóz w asyście dwóch konnych wybrał drogę prowadzącą na północ, zaś pozostała ósemka odbiła w lewo, skręcając na zachód.

Dopiero teraz Ameria odważyła się zdjąć kapelusz. Wiatr rozwał jej włosy.

- Powiesz wreszcie, dokąd nas prowadzisz? - spytała Borutę.

- W moje rodzime strony. Tam ty i twoi bliscy powinniście być bezpieczni - powiedział. - Przynajmniej taką mam nadzieję - bąknął pod nosem.

Poranne słońce przeciskało się przez korony drzew, gdy konie stępem wchodziły na wzniesienie.

- Jesteśmy blisko - oznajmił Boruta po kilkunastogodzinnej podróży.

Zza szczytu wyłoniła się samotna wieża zamku Baltornis, wyrastająca z okazałych rozmiarów budynku głównego. Za nią majaczyła modra tafla jeziora, w której odbijały się świetlne refleksy.

- Baltornis? Czy to coś oznacza? - dociekała Ameria.

- Owszem - stwierdził dumny Boruta. - Można to tłumaczyć jako Bładowieża.

- Zatem niezbyt się wysilili przy doborze nazwy.

Z bliska posiadłość wydała się jeszcze większa. Zamek wzniesiony był na kamiennym podłożu, zaś z trzech stron otaczały go strome, zadrzewione skarpy, które schodziły wprost do zalewu. Brukowany trakt prowadził do okazałych murów, które zwężały się ku górze. Nad nimi górowała wieża, pokryta białym wapnem, od której zapewne wzięto nazwę, choć w niektórych miejscach zaprawa już zdążyła odpaść. W tych szczerbach świeciły gołe cegły. Ogólnie siedziba nie była w złym stanie, lecz widać było, że pamiętała świetniejsze czasy.

Nim jednak grupa dotarła do bramy, musiała przejść przez rozległą wioskę. Końskie kopyta mąciły mgłę, którą spowita była cała okolica. Wszystko w zasięgu wzroku, od jeziora, poprzez zbocza, aż po kurne chaty przysłonięte było przez mlecznobiałe opary. Wiły się nisko niczym kłacza.

Gdy dojechali do podwoi, dużych i czarnych metalowych drzwi, ku zdumieniu wszystkich drobna furtka w prawym skrzydle otworzyła się. Stał w niej krępy elf o gęstym wąsie i przerzedzonych włosach. Ozwał się zachrypniętym głosem.

- Kim jesteście i czego szukacie w tych stronach?

- Ja się nim zajmę - powiedział Boruta, po czym zsiadł z rumaka. Stanął w takiej odległości od mężczyzny, by pozostali uczestnicy nie mogli go usłyszeć. - Jestem Boruta. Chciałbym się spotkać z panią Elial, władczynią tego zamku. Mam do niej ważną sprawę. Chciałbym prosić ją także o gościnę dla mnie i dla moich towarzyszy.

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby starał się coś dostrzec w rozmówcy.

- Ach! - rzekł w końcu. - Nie poznałem pana w pierwszej chwili. Źle trafiliście, pani nie jest w nastroju do rozmowy.

- Mimo to chciałbym z nią pomówić - upierał się Boruta.

- Jak chcecie - stwierdził odzwierny beznamiętnie, wzruszając ramionami. - Ja was ostrzegałem. Tylko pamiętajcie - odpalił w stronę reszty. - Trzymać łapska przy sobie!

Wąsacz poprowadził grupę przez dziedziniec do jednej z komnat. Wnętrze było schludne, dobrze wyposażone. Solidne drewniane meble wywoływały poczucie dostatku, lecz ogólne wrażenie psuły wysłużone tkaniny, zarówno te naścienne, jak i te zakrywające podłogę. To właśnie one, te nieszczęsne dywany, jako pierwsze rzuciły się Imerien w oczy, gdy tylko przekroczyła próg pokoju.

- Pójdę po panią, a pan, panie Boruto, będzie łaskaw poczekać w tej sali.

- Wolałbym pomówić z nią na osobności, jeżeli to nie będzie problemem.

- Niestety będzie - uciał dozorca i zniknął w holu.

- Cóż za niemiła osoba - rzekła Ameria, kiedy podeszła do Boruty. - Kto to taki?

- To Otys. Był taki, odkąd pamiętam. Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy pomimo upływu czasu pozostają niezmiennie. Jest coś, o czym musisz wiedzieć - zaczął elf. - Nie jest tak, jak ci to opowiadałem w trakcie podróży. Widzisz... ja nie jestem...

W tej samej chwili do komnaty zdecydowanym krokiem weszła pani Elial, niska i wysuszona kobiecina o zadziwiająco gładkiej cerze. Minę miała niezadowoloną, wręcz rozgniewaną. Gdyby wyżej zadarła nos, z pewnością zahaczyłaby o belki w stropie.

- Ty znowu tutaj?! Mówiłam ci po tysiącokroć, byś nie zaglądał w te strony, nie bez pieniędzy! - grzmiała pani Elial z ostatniego stopnia schodków głosem tak dźwięcznym

i donośnym, że wielu młodszych ludzi mogłoby jej go pozazdrościć.

- Ja właśnie w tej sprawie - rzekł Boruta, ścisząc głos. Przystąpił do kobiety. - Mam pieniądze, by spłacić długi za ten dom. Całą sumę plus odsetki. Tyle że nie przy sobie. Przyjadą transportem w przyszłą niedzielę. A tutaj - oznajmił, wyciągając pękata sakiewkę zza pazuchy - jest zadatek na poczet wykupu. Tysiąc złotych groszy. - Jak przyjemnie brzęczały te monety, kiedy miętolił mieszek.

Pani zdała się zadowolona, bowiem grymas prędko zniknął z jej wąskich ust.

- Dobrze. Podobno masz jeszcze drugą sprawę do mnie...

- Zgadza się - odparł Boruta. - Do czasu, aż nie przybędzie powóz, chciałbym prosić, aby łaskawa pani nas ugościła, mnie i moich towarzyszy niedoli.

- Tylko do niedzieli? Czemu tak krótko?

- Ponieważ wtedy to już będą moi goście w moim domu - odrzekł nazbyt pyszałkowato Boruta.

Pani Elial nie udzieliła odpowiedzi, tylko twarz jej jakby stężała. Powiodła wzrokiem po zebranych.

- Niech stracę - powiedziała. - Ty tam, dziewczyno! - rzekła tonem nieznoszącym sprzeciwu i kiwnęła palcem w stronę Amerii. - Podejdź!

Imerien, która stała z boku i przysłuchiwała się całemu zajściu, już od dłuższego czasu przestępowała z nogi na nogę. Miała tak w zwyczaju zawsze wtedy, kiedy chciała coś powiedzieć lub kiedy coś jej było nie w smak. W tym

przypadku nie odpowiadała jej postawa gospodyni - była władcza i naburmuszona. Zaś gdy usłyszała, jak to babsko mówi do jej dziecka, miarka się przebrała.

- Jak śmiesz w ten sposób przemawiać do mojej córki?!
Czy wiesz, do kogo mówisz?!

- Mamo, proszę, przestań. - Ameria próbowała załagodzić sytuację, lecz Imerien jej nie słuchała.

- Och, przepraszam - zakpiła pani Elial. - A niby czemu miałabym tak nie mówić?

- Jestem Imerien, córka księcia Gidy i księżnej Karaliene, królowa Suur Erun!

Tym, co stali w pobliżu pani Elial, zdało się, że dreszcz przeszył jej ciało na dźwięk imienia matki królowej.

- Córka Karaliene - powtórzyła cicho gospodyni. - Niemożliwe! - Podeszła do Imerien i długo jej się przyglądała. - A niech mnie! Nos nigdy nie kłamie - oznajmiła już jakby spokojniej. - Rzeczywiście jesteś córką Karaliene! Widzę podobieństwo między wami.

- Skąd znasz moją matkę? - spytała Imerien lekko zbita z tropu.

- Widzisz, była moją siostrą.

Zdziwienie ogarnęło wszystkich. Imerien i Janeten wymienili spojrzenia. Wtedy niespodziewanie z głębi domu ich uszu dobiegła dramatyczna muzyka.

- Co to jest? - zdziwił się Janeten.

- Otys! - zawołała pani Elial. - Zostaw te organy!

- Pani wybaczy, ale ja muszę, bo inaczej się popsują! - odparł sługa. Muzyka wciąż grała.

- Otys! - zawołała ponownie pani Elial, tym razem groźniej.

- Dobrze, już dobrze - odburknął tamten. Organy ucichły, a zaraz potem trzasnęły drzwi. Co za krnąbrny sługa - pomyślała gospodyni, z dezaprobatą kiwając głową.

- Zatem - podjęła przerwany wątek, ponownie zwróciwszy się do Amerii - przyjmij, kochanie, moje najszczerze przeprosiny. Nie było moim zamiarem cię urazić. W tych okolicznościach - ciągnęła swój wywód, spoglądając teraz na Borutę - oczywiście przyjmę was pod swój dach. Z pewnością jesteście głodni. Każę przygotować strawę. Och! Gdzie są moje maniery! Przez to całe zamieszanie nawet nie zapytałam, co was sprowadza w te strony?

- Długo by opowiadać - odparła rozsierdzona Imerien, ucinając temat.

Wszyscy przeszli do jadalni i zasiedli przy dużym owalnym stole. Niewiele rozmawiano. Boruta, który zajął miejsce naprzeciw gospodyni, miał głowę zajętą pewną kwestią: nieustannie, czujnym wzrokiem badał zastawę. Gdzie, do jasnej cholery, podziały się dawne platery? - zastanawiał się.

- O ile mnie pamięć nie myli - ozwał się Boruta - dawniej jadało się tutaj srebrnymi, a nie posrebrzanymi sztuccami...

- Cóż, po śmierci małżonka wiele się zmieniło. Nastwały gorsze czasy - odparła pani Elial. - Mimo moich usilnych starań dom nieznacznie podupadł. Podatki płacić trzeba,

a pieniądze jeszcze na drzewach nie rosną. Byłam zmuszona sprzedać komplet sztućców, dlatego te są tylko posrebrzane, a nie srebrne, jak sam zauważyłeś. Staram się żyć skromnie, lecz w miarę możliwości godnie.

- Ale jak może się wam nie wieść, pani? - dziwiła się Ameria. - Przecież rozliczne domy rozsiane są wzdłuż i wszerz przedmurza. Chaty, gdzie tylko okiem sięgnąć...

- Niestety, dziecko, w wielu z nich jeno wiatr hula, a jeżeli nie, to tylko stare kości je zamieszkują - stwierdziła gospodyni. Lecz dociekania trzeba było przerwać, bo właśnie wkroczyli słudzy z półmiskami.

W trakcie posiłku atmosfera była napięta. Obie panie, Imerien oraz Elial, unikały swych spojrzeń, jakby rozdrażnione wcześniejszym zajściem. Jedynie odgłos sztućców wypełniał pomieszczenie.

W końcu głos zabrała Ameria, która chciała rozładować sytuację.

- Jeszcze raz chciałabym podziękować za gościnność, łaskawa pani.

- To obowiązek przyjąć krewniaka w potrzebie. I proszę, mów mi „ciociu”.

- Dobrze, ciociu - odparła Ameria. - Mogę o coś spytać?

- Ależ oczywiście, kochanie, pytaj śmiało.

- Zastanawia mnie jedno. Czemu matka - spytała dziewczyna, ukradkiem obrzucając Imerien nieprzychylnym spojrzeniem - nigdy o tobie, ciociu, nie wspominała? Prawdę powiedziawszy, rzadko kiedy wspominała o rodzinie

babci, o jej bliskich. Do tego stopnia, że sądziłam, iż dorastała w samotności.

- To prawda - rzekła Imerien. - Nigdy o tobie, pani, nie wspominałam dziatkom. Wszak trudno było to uczynić, skoro dopiero dzisiaj dowiedziałam się o waszym istnieniu - dodała, odwzajemniając się córce.

- Nie wiń matki za taki stan rzeczy. - Gospodyni wzięła haust wina, po czym kontynuowała. - Wydaje mi się, że znam przyczynę, dla której moja siostra milczała na ten temat. To było tak dawno temu, tak dawno... Tak wiele rzeczy uleciało mi z pamięci - mówiła, jakby do siebie, pani Elial. - Być może nie wspominała o mnie i o innych, gdyż odwróciliśmy się od niej. Tak - oświadczyła, kiwając głową na znak potwierdzenia swoich słów. - Odwróciliśmy się od Karaliene, gdy ta popełniła megalians. Zakochała się w człowieku, w twoim ojcu, droga Imerien, chociaż wiedziała, że mój, że nasz ojciec sprzeciwia się temu związkowi. Karaliene była przeznaczona innemu mężowi, imieniem Celdric, lecz zerwała zaręczyny, zarzekając się, iż ucieknie ze swym kochankiem. Ojciec nie miał wyboru. Musiał ją wygnać. Mogłam postąpić inaczej. Może trzeba było spróbować obłaskawić ojca, lecz bałam się mu sprzeciwić, bałam się bardzo. Nadal żałuję swojej decyzji... Tylko przykro słyszeć po tylu latach, że moja siostrzyczka spuściła zasłonę milczenia, skrzętnie ukrywając mnie i rodziców przed własnymi dziećmi i, co gorsza, przed wnukami. Lecz bądźmy szczerzy, niejako zasłużyliśmy sobie na to. Teraz widzę, jak bardzo musieliśmy ją skrzywdzić, jak

bardzo musiało ją zboleć rozstanie i przez ile musiała przejść... Toteż powtórzę, nie winić własnej matki za taki stan rzeczy, bo jest ofiarą Karaliene w równym stopniu co wy. - W tym momencie gospodyni już ledwo powstrzymywała płacz.

Ameria delikatnie ujęła dłoń ciotki.

- Dziękuję.

To samo uczyniła Imerien.

- A jacy byli dziadkowie? - spytał Janeten.

- Wybacz, dziecko - odparła pani Elial. - Czuję się zmęczona. To opowieść na inną okazję. A teraz, proszę, wybaczcie mi.

Kobieta wstała od stołu i oddaliła się. Z dala od gości wytarła uronioną łzę, tak by nikt tego nie dostrzegł.

Może jednak ten babsztyl nie jest taki bezduszny, za jakiego chce uchodzić - pomyślał sobie Boruta.

ROZDZIAŁ 10



W komnacie panował półmrok, przez parne powietrze trudno się oddychało. Jedynym źródłem światła były powoli dogasające już świece, które ustawiono na stoliku przy łóżku. Ich słaby blask padał na zroszoną potem twarz Niwenty, królowej matki, bladą i zmęczoną. Pierś z trudem unosiła się przy płytkim oddechu, który przerywany był coraz częstszymi i coraz mocniejszymi napadami kaszlu. Chwilami brzmiało to tak, jakby miała wypluć własne płuca. Po lewej stronie łoża, z dala od płomienia, warował Gar. Ostatnio rzadko opuszczał pokój cierpiącej. Nieczęsto także sypiał, raczej siedział wsparty o oparcie fotela, nieustannie czujny.

Mijała jedenasta doba, od kiedy królowa matka zachorowała. Nic nie było w stanie jej pomóc lub choćby złagodzić bólu. Żadne znane zioła, napary czy maści nie skutkowały. Nic. Zawiodły nawet zioła otrzymane z charoduńskiej domeny księcia Samona, wysłane do Suur Erun na prośbę jego małżonki. Do czasu ich zastosowania stan królowej matki nie był najlepszy, ale przynajmniej

stabilny. Po użyciu esencji nastąpiła prawdziwa katastrofa. Niemal z dnia na dzień jej stan zdrowia uległ pogorszeniu. Właśnie w nich, w owych tajemniczych liściach, Gar upatrywał się przyczyny tak nagłej zmiany. Choć i tak ten dzień należał do najspokojniejszych, przynajmniej spała.

Zmęczenie dawało się Garowi we znaki, powieki same opadały. Mimo usilnych starań nie mógł przezwyciężyć senności. Zbudziło go dopiero delikatne muśnięcie dłoni. Gdy tylko ujrzał otwarte oczy matki, nachylił się bliżej i chwycił ją za rękę.

- Jak się czujesz? - spytał.

Wargi królowej matki poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nachyliwszy się jeszcze niżej, Gar usłyszał cichy szept.

- Nie wierz nikomu, laleczko. Nie wierz nikomu. Zrzucą cię z tronu - mruzczała. - Nie wierz nikomu z nich. - Wymamrotała te słowa jeszcze kilkakrotnie, zamykając z wolna oczy.

- Mamo, nie! - mówił Gar, coraz mocniej zaciskając dłoń matki. - Mamo - powtarzał coraz głośniejszym głosem. - Mamo?!

Mechanizm zegara wygrywał kurant, dochodziła północ. Gar w samotności przemierzał puste korytarze dworu, które teraz zdawały się jeszcze bardziej opustoszałe, jeszcze bardziej nieprzyjemne. Teraz - gdy zabrakło matki. W nikłym świetle gwiazd, wpadającym przez okna, które ciągnęły się długim szeregiem wzdłuż korytarza, można było dostrzec na twarzy króla smutek

zmieszany z grymasem gniewu, czy może niedowierzeniem. Oczy wbił w podłogę. Powolne tempo kroków odbijało się echem od ścian. Chodził bez celu, nawet nie wiedział, dokąd podąża. Wszystko, byleby nie stać w miejscu. W końcu stopy przywiodły go przed wrota głównej hali.

Chłodne, wyblakłe światło młodego księżyca padało na środek sali przez owalny witraż usytuowany w przeciwległej ścianie u jej szczytu. Srebrna poświata odbijała się od gładkiego kamienia i zatrzymywała na sześciu kolumnach biegnących wzdłuż alejki. Minąwszy pierwszą parę słupów w drodze ku podestowi i stojącemu na nim tronowi, Gar rozejrzał się. Z obu jego stron wзираły ze ścian ludzkie sylwetki skąpane w błękitnym blasku. Nieme oblicza dawnych władców przyglądały się krokom obecnego pana stolicy. Światło wieczornej gwiazdy nadało im trupio bladego odcienia. Przed nim zaś, na podwyższeniu, wznosił się tron.

Wielki i opustoszały kamienny stolec zajmował centralną pozycję, zaś z jego oparcia wyrastały dwa skrzydła, na których mieściło się osiem siedzisk, po cztery z każdej strony. Miejsca te przypadły kamiennym postaciom wyrzeźbionym z tego samego materiału co tron. W ten sposób upamiętniono ośmiu największych królów. Każdy z nich przybrał inną pozę. Jeden był zamyślony, wsparty na ręce, inny zdawał się szeptać monarsze do ucha. Wszyscy jednak skierowani byli w stronę królewskiego siedziska, chyląc się ku niemu. Całość przypominała zaokrągloną literę M, gdzie stolec królewski

był środkowym przęsłem. Tuż za tronem stał pomnik ukazujący boską trójcę. Ponad sześciolokciowe posągi dominowały nad salą. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że twarz Boskiej Matki była również twarzą matki Gara, królowej Niweny. Miał być to prezent dla niej z okazji siedemdziesiątych urodzin, lecz zrzędzeniem losu nie było dane jej go zobaczyć. Ponad posągami mieścił się wspomniany uprzednio witraż.

Gar zajął swoje miejsce na podeście. W niedługim czasie dopadł go sen, a ciemności ogarnęły jego umysł. Król czuł, że spada w przepaść. Czy to na dnie, czy wciąż lecąc w dół pośród mroku z niewiadomego kierunku dosłyszał znajomy, choć odległy głos, który zdawał się być tylko szeptem. Nagle zapadła cisza. Król miał wrażenie, iż ciemny całun wokół niego faluje, by po chwili dostrzec jaśniejące postacie, które wyłaniały się z jego odmętów. Wszystkie zwróciły ku niemu swe oblicza, swe pozbawione życia spojrzenia. Owe postacie wyglądały jak posągi wyryte w ścianach hali. Tłum prześwitujących mar kroczył ku Garowi. On zaś nie mógł drgnąć. Próbował się szarpać, wyrywać, lecz na nic się to zdało. Gdy szeregi widm zwały się, znajomy głos rozbrzmiał ponownie. Tym razem był głośniejszy i wyraźniejszy.

- Nie jesteś godzien - ozwał się. - Nie jesteś godzien.

Tuż po nim przemówił chór, powtarzając słowa pierwszego mówcy. Na ich dźwięk zimny dreszcz przeszył ciało króla. Wtedy to tłum rozstał się, a spomiędzy zjaw

wystąpiła kobieca postać. Gar dostrzegł w niej swoją matkę.

- Nie jesteś godzien - powtórzyła. - Nie jesteś godzien być moim synem... nie jesteś godzien korony królów. Upokorzyła cię... zdradziła cię... pokazała, że jesteś słaby... ta, którą, zwiesz Imerien. Upokorzyła cię, nastawiając przeciwko tobie twoje własne potomstwo, krew z twojej krwi. Pragnie pozbawić cię władzy, odebrać ci koronę, a przede wszystkim życie, tak jak mnie to uczyniła... a ty, niegodny, pobłazasz jej. Każdym swoim oddechem hańbi ona twoje imię, kała twój ród... Dopóki ona żyje, dopóki nie zmażesz hańby, dopóty nie będziesz godzien.

Gdy duch Niweny zniknął, chór zaczął powtarzać wypowiedziane słowa.

Pukanie do drzwi wyrwało Gara ze snu. Cały zlany był zimnym potem. Mimo że na podwórzu już świtało, król wciąż czuł na sobie spojrzenia kamiennych figur.

- Ojczy? - spytał zaniepokojony Bergast, zbliżywszy się do tronu. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Przez dłuższą chwilę Gar wpatrywał się w twarz syna, zanim w ogóle wydobył z siebie głos.

- Chłopcze - zaczął, chwytając syna za ramię - wiele pracy przed nami...

Wystarczyły zaledwie dwa dni od śmierci Niweny, by całe królestwo Eruna pogrążyło się w żałobie. Sytuacja w Bładowieży lub, jak kto woli, Baltornis, rysowała się zgoła odmiennie; radość zagościła w sercach mieszkańców na

wieść o przybyciu trupy wędrownych kuglarzy, których poprzedziło przybycie złotonośnego wozu. Czyżby zatem szczęście w końcu po latach niedoli miało powrócić w te strony? Na to wyglądało.

Śpiewy, tańce oraz swawolne żarty wypełniły ulice i wielu elfów, pomimo dość sędziwego wieku, chciało przyłączyć się do zabawy. Tłumy przewalały się z jednej części sioła do drugiej. Lokalni kupcy oraz sprzedawcy od razu wyczuli nadchodzącą okazję i wystawili swoje najprzedniejsze wiktuały, będące jednocześnie najdroższymi. Pomimo to towary schodziły jak ciepłe bułeczki, bo, jak wiadomo od niepamiętnych czasów, grupowa euforia zmniejsza racjonalność wydatków. W tyle nie mogli pozostać piwowarzy, którzy wyszli na ulice i oferowali przechodniom napitki oraz różnego rodzaju przekąski. W tym ogólnym rozgardiaszu nikt nie zwracał uwagi na pewnego mężczyznę, przechadzającego się przez morze roześmianych twarzy. Mało brakowało, a biedak przez swą nieuwagę skończyłby stratowany przez trzech konnych posłańców.

Imerien obserwowała całe to zamieszanie z okna swej komnaty. Zaledwie cząstka zgiełku, który panował na dole, docierała do jej uszu, choć i tak niezbyt zwracała na to uwagę. Myśli królowej zaprzętały bowiem inne kwestie, wiele zmartwień wciąż nosiła w sercu. Jednym z nich była obawa, co się stanie, jeżeli królowa matka umrze. (Tak, snuła takie myśli, gdyż wieści o chorobie królowej matki już jakiś czas temu dotarły do jej uszu, nie wiedziała jednak

jeszcze o śmierci swojej teściowej). Czy Gar zaprzestanie złowrogich działań i się uspokoi, czy może wręcz przeciwnie? Następnie spojrzała na córkę, która siedziała obok niej. Wnet ktoś zapukał do drzwi.

- Cóż... - powiedział Janeten, stając w progu. Minę miał smętną. - Dosłownie przed sekundą przybył posłaniec z Nimirnu. Babcia, ona... - podjął po chwili. - Babcia zmarła.

- Jak to? - spytała zdziwiona Ameria.

Chociaż twarz Imerien wyrażała żal, w środku na dźwięk tych słów odczuła ulgę, jakby ciężki kamień spadł jej z serca. Wieloletni prowodyr awantur, osoba współwinna jej cierpieniu odeszła nareszcie na tamten świat. Lecz niemal natychmiast ulgę zastąpiły wyrzuty sumienia, że pomyślała w taki sposób o zmarłej.

- Riangał najpóźniej pojutrze zjawi się tutaj z Jeremą - ciągnął dalej Janeten. - Chcą być przy tobie, siostrzyczko, w tej trudnej chwili.

Imerien ze zrozumieniem pokiwała głową, następnie zbliżyła się do córki, która skryła twarz w rękach.

- Tak mi przykro, skarbie - rzekła, objąwszy Amerię, spoglądając jednocześnie na syna. - Musi być wam smutno z tego powodu. Wiem, że babcia była wam bardzo bliska.

- Prawdę mówiąc, niezbyt - odparł syn, zamykając za sobą drzwi. - Gdyby to miało miejsce kilka lat temu, zapewne cierpiałbym i płakał, że odeszła. Lecz dzisiaj, po tym wszystkim, co zaszło, jest mi to kompletnie obojętne. Zupełnie jakby stała się inną, nieznaną mi osobą. Pod

koniec było w niej tyle... - wstrzymał się, szukając właściwego słowa - jadu, tyle zajadłości. Strasznie mnie to dziwiło.

Ameria wciąż łkała skryta za dłońmi, nie przysłuchując się rozmowie.

- Nie powinieneś się dziwić. W końcu poparliście mnie, wroga rodziny, a nie ojca. Dla Niwenty było to równoznaczne ze zdradą. Staliście się zagrożeniem. Tak sądzę.

- Być może. Lecz to nie wszystko - powiedział Janeten i spojrzał na kawałek papieru, który miętolił w dłoni. - Ojciec pisze również, iż pragnie się spotkać z nami, ze mną i Amerią. Napisał: „Pragnę się z wami, moje dzieci, spotkać i pogodzić, zakończyć spór wszczęty przed laty przez waszą matkę. Tego w swoich ostatnich słowach życzyła sobie królowa Niwenta, wasza babka, i przyrzekam wam, że uczynię wszystko, aby wypełnić jej wolę, by nasza rodzina znów była razem. Zawsze byliście i zawsze będziecie dla mnie najwyższym dobrem”.

A to drań - pomyślała Imerien. - Nie przepuści żadnej okazji, żeby mnie oszkalować.

- Co o tym sądzisz? Mówi szczerze? - zapytała Ameria, nagle włączając się do dyskusji. Po tylu latach wciąż wykazywała się naiwnością w stosunku do ojca, zupełnie jakby go w ogóle nie znała.

- Chciałabym w to wierzyć. Brzmi pięknie - stwierdziła królowa. - Nawet zbyt pięknie, jak dla mnie.

- Czyli co nam radzisz, nie jechać? - spytał Janeten.

- Nie chcę wam czegokolwiek narzucać, ale nie ufałabym słowom waszego ojca. Czy nie sądzicie, iż to podejrzane, że wysłała list do Nimirnu, czyli do miejsca, w którym nastąpiła próba zamachu na nas, do miejsca, gdzie urywa się po nas wszelki trop? Czy możemy mieć pewność, że wasz ojciec z nami nie pogrywa, że nie chce nas tylko wypłoszyć z kryjóWKi? I czy zatem powinniśmy czuć się bezpieczni? - powiedziała Imerien i zamilkła na chwilę. Otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, Janeten uprzedził ją, mówiąc:

- Wedle słów posła ojciec rozesłał gońców do wszystkich większych miast regionu. Rzekomo widziano konnych z barwami Suur Erun i w Argaed, i w Geil Galar. Więc niewykluczone, że...

- Jak możecie tak mówić?! - przerwała bratu Ameria.

- Jeszcze nie skończyłam! - rzekła zdecydowanym głosem Imerien, przerywając pyskówkę. Zmierzyła wzrokiem córkę i syna. - Lecz z drugiej strony - wznowiła wypowiedź, nie dając się wyprowadzić z równowagi nagłymi wtrętami ze strony dzieci - nie jestem obiektywna i w moim przekonaniu wszelkie jego działania są podszyte fałszem. Być może wasz ojciec rzeczywiście pragnie się pogodzić... nie wiem. Najlepiej będzie, jeśli sami wspólnie ustalicie, co będzie dla was najlepsze. Jednakże podejmując decyzję, dla własnego dobra powinniście zachować daleko idącą ostrożność.

- Prawdę mówiąc - zabrał głos Janeten, wciąż stojący przy drzwiach - nie mam najmniejszej ochoty tam jechać,

najmniejszej ochoty, żeby widzieć się z ojcem lub kimkolwiek innym stamtąd. Już dawno temu wyrzuciłem ich wszystkich z pamięci. Zresztą, podejrzewam, że oni uczynili podobnie. Czy zatem jest sens tam jechać? Wydaję mi się, iż nasza obecność jest najzupełniej zbędna. Obejdą się bez nas, mówię wam. Im mniej nas tam będzie, tym lepiej. Poza tym – kontynuował – wszyscy oni, cała ta rodzina, byli pod silnym wpływem starowinki. Bez choćby najmniejszego zajknięcia przyjmowali za pewnik to, co mówiła. Nieważne, co to było, liczyło się dla nich tylko to, kto mówił, a wiem, co rozpowiadała. Nie były to pochlebstwa. Zresztą same dobrze wiecie... – powiedział królewicz mocno zrezygnowany. – Na pewno już są nastawieni przeciwko nam, a gdy tylko przekroczymy próg, zaleje nas fala nieprzychylnych spojrzeń, jakbyśmy byli jakimiś zwyrodnialcami! Będą wytykać nas palcami, mówię wam. A dlaczego? Bo mieliśmy z Amerią odwagę – rzekł i wskazał siostrę dłonią – poprzeć ciebie, poprzeć tę, po stronie której leżała słuszność. W ich mniemaniu, tak samo jak w mniemaniu królowej matki, mogę się założyć, jesteśmy wszystkiemu winni; jesteśmy wrogami. – Krew aż się w nim gotowała. Zdarzało się, że Janeten zbyt ekscytował się pod wpływem własnych słów; tak było i tym razem. Krążył po komnacie, nie mogąc ustać w miejscu. – Te ich parszywe, zakłamate gęby – rzucił półgłosem, jakby bardziej do siebie.

– Wydaję mi się jednak, że postępujesz nazbyt pochopnie – odezwała się Ameria, już się opamiętawszy. –

Jesteśmy dziedzicami tronu. Wypada - podkreśliła - abyśmy się tam zjawili.

- Wybacz, siostrzyczko, ale nie wiem, czy to słuszna decyzja.

- Zjawiając się - zripostowała - odbierzemy ojcu jeden z argumentów. Nie będzie mógł powołać się na to, iż pozostawiliśmy go samego, zwłaszcza teraz, po śmierci babci. Tym bardziej że wyciągnął do nas dłoń. Nie przyjeżdżając, tylko wzmocnimy jego oskarżenia. Zrozum, kochany bracie, jeżeli przyjmujemy zaproszenie, chociaż w części podważymy słowa zmarłej, wykażemy, że nie miała racji.

Zapadła cisza. Zgiełk panujący na dole stał się aż nazbyt dobrze słyszalny.

- Chodzi po prostu o to, że... nie mam ochoty się z nimi spotykać...

- Przypominam ci, mój bracie, że to ja - wypowiadając te słowa, Ameria wstała i zdecydowanym krokiem podeszła do Janetena, niemal przypierając go do ściany - jestem małżonką następcy tronu, naszego dobrodzieja, nie ty! I to JA mam decydujący głos! Pojedziemy!

Orszak wyruszył, nim poranny szkarłat rozlał się na niebie. Korowód liczył znacznie ponad stu jeźdźców, z czego ponad połowę stanowili zbrojni drużynnicy Riangała. W szeregach nie mogło zabraknąć kilku dygnitarzy. Ba, znalazło się także miejsce dla przedstawicieli zamożniejszych rodzin kupieckich, którzy liczyli na

zawarcie kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu, intratnych umów w krainach ludzi.

Całej sytuacji z wysokości murów przyglądał się Boruta. Po raz wtóry musiał przypatrywać się, jak jego miłość go opuszcza. Tym boleśniesz było to rozstanie, gdy przez okno karocy ujrzał twarz Amerii. Ich oczy spotkały się po raz ostatni. Wspomniał rozmowę, którą odbyli wieczorem dnia poprzedniego i słowa, które usłyszał. Wciąż odbijały się one echem w jego głowie. „Proszę, zaopiekuj się moim, naszym dzieckiem, twoim synem, w razie gdyby coś mi przydarzyło, na wypadek gdybym... nie wróciła. Przynajmniej. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby stała mu się jakaś krzywda”.

Mężczyzna zamierzał dotrzymać złożonej obietnicy.

Jako że była połowa lipca, pogoda była jak marzenie. Sprzyjające warunki umilały podróż, która przebiegła bez większych zakłóceń, i w niedługim czasie osiągnięto cel.

Rodzeństwo, dotychczas jadące w środku kolumny, wysunęło się na czoło orszaku. Widok murów starego domu zmącił spokój Janetena, niemal zachwiał się on w siodle. Odżyły na nowo wszystkie złe wspomnienia, które z trudem udało się zatrzeć. Gdyby mógł, syn Gara najchętniej odwróciłby konia i pognał w przeciwną stronę, choćby na koniec świata, byleby stamtąd uciec lub przynajmniej odwlec chwilę spotkania. Lecz nie mógł.

Brukowany gościniec dźwięczał rytmicznie przy każdym zetknięciu z końskim kopytem, lecz w uszach Janetena brzmiał niczym zegar, który odmierzał czas do

nieuchronnego finiszu. Zgoła odmiennie zachowywała się Ameria, jej chłodne oblicze zdradzało zdecydowanie mniejszy niepokój. Księżna jechała obok swego męża, trzymając go za rękę, zaś na ramieniu posadziła pstrokatą papugę, którą otrzymała jako podarek od Boruty w wigilię wyjazdu. Ptak siedział spokojnie, od czasu do czasu powtarzając niedawno wyuczone zwroty: „Bardzo mi miło” oraz „Oto moja pani, Ameria”. Niedługo potem grzecznie wrócił do klatki schowanej w powozie. Szkoda tylko, że Boruta nie przestrzegł, do kogo zwierzę uprzednio należało.

Gdyby tego przedpołudnia, to jest osiemnastego dnia miesiąca, ktoś spojrzał na drogę prowadzącą ku wrotom grodu Eruna, ujrzałby wspaniałą pochód mieniący się srebrem uzbrojenia oraz błękitem proporców. Przypominał on lodowiec, który schodzi w dół zbocza. Mimo całego splendoru i wielkości orszaku, na przybyszy nieopodal wejścia oczekiwał skromny, bo zaledwie trzyosobowy komitet powitalny. Brat i siostra nie mogli rozpoznać żadnej z twarzy.

Samo powitanie, którego dokonali emisariusze, było zwięzłe, żeby nie powiedzieć – prostackie. Na koniec, skończywszy wypowiadać obowiązującą formułkę, jeden z nich, o fizjonomii patyczaka i gębie warchoła, podobny do nikogo, rzucił rodzeństwu pogardliwe spojrzenie, któremu towarzyszyło zniekształcone:

– Kłól was oczekuje, kłólewno i księżę. – Przy ostatnich słowach wymownie przewrócił oczami. – Ułoczystości pogrzebowe niebawem się łozpoczną. P... p... płoszę udać

się za mną do głównej sali. – Najwyraźniej uprzejmość nie leżała w jego naturze. Wszelkie zwroty grzecznościowe wypowiadał bowiem, jakby miał się za chwilę udławić. Na dźwięk dzwonu, który rozszedł się donośnie po okolicy, prostaczek zdążył jeszcze dorzucić: – Łuchy! Bo łozpoczną bez was!

W tym samej chwili sługa opiekujący się ptasią klatką, zaskoczony nagłym hałasem, upuścił ją, uwalniając ptaka. Ten, spłoszony, uleciał.

Główna część ceremonii odbywała się w, znanej nam już, wielkiej hali, zwanej Salą Przodków. Na ogół wstęp do niej mieli tylko rodzina, i to jedynie ta najbliższa, oraz wybrani goście.

Kiedy Janeten w towarzystwie Amerii oraz Riangała przekroczył próg komnaty, śpiewy żałobne już trwały. Musiała zebrać się cała rodzina, sądząc po morzu głów, które wypełniało salę. Ciotki, stryjowie, bratankowie i inni, dalsi lub bliżsi krewni, wszyscy oni tutaj byli. Wszyscy także, niemal jednocześnie, omietli wzrokiem nowo przybyłych, którzy wciąż stali u wejścia.

Chłód oraz pogarda wyzierały spod ich powiek. Jakby ta mała grupka była winna śmierci królowej matki (co, podejrzewam, w przeświadczeniu zebranych było niedalekie od prawdy przedstawionej im przez Gara).

– A nie mówiłem, że tak będzie? – wyszeptał Janeten do ucha swojej siostry, spoglądając jednocześnie na salę.

Niespodziewanie, ni stąd, ni zowąd, zjawilo się zbiegłe pstrokate ptaszysko i przysiadło na ramieniu Amerii.

Śpiewy akurat się zakończyły i zapadła grobowa cisza. Chwilę potem gardłowy głos wypełnił salę.

- Bardzo mi miło, oto moja pani, Ameria! Kha! Gdzie ta burdelmama? Kha! Jestem seksowna! - krzyknęła papuga.

Ameria zamarła.

Kurwa, zaraz nas ukamienują! - pomyślał spłoszony królewicz i rzucił się, by uciszyć niesforną gadułę. Rodzeństwo, czerwone ze wstydu, wybiegło z pomieszczenia.

Gdy wrócili, już bez skrzydlatej papli, cała sala złowrogo im się przyglądała. No, niemal cała, może z jednym, małym wyjątkiem. Tylko jedna jedyna osoba, niejaki Terens, uśmiechnął się na widok zamieszania wywołanego przez Janetena i Amerię.

Przemowa kapłana niosła się echem po sali. Niestety monotony ton sprawiał, że była ona dla słuchaczy nie do zniesienia. Wszystkich zaczęła ogarniać senność. Dla Janetena w tym momencie wszystko byłoby ciekawsze, nawet widok pełzającego ślimaka. Skierował więc swoje zainteresowanie w stronę surowych kamiennych ścian i zdał sobie sprawę, iż coś się w nich zmieniło. Chociaż nie był w stanie powiedzieć co. Długo błędził po nich wzrokiem. Dopiero kuksaniec przywrócił go do rzeczywistości.

- Hej! - poruszył ustami, spoglądając na siostrę. Ona wskazała lewe skrzydło sali, gdzie na drewnianej ławie siedział Gar.

Cała trójka wykorzystała drobne zamieszanie związane z tym, iż grupki osób wychodziły pomału z pomieszczenia,

jako że przemowa zbliżała się ku końcowi, i podeszli do podestu, na którym siedział Gar. Gdy tak mu się przyglądała, Ameria stwierdziła, że ojciec nie zmienił się nic a nic, jakby wciąż był tym samym człowiekiem, którego ostatni raz widziała niemal czternaście lat temu. Ma szczęście – pomyślała.

Jednak to nie było jedyne zaskoczenie. Zbliżywszy się, dostrzegła bowiem, iż u jego boku, w miejscu przeznaczonym dla małżonki siedziała obca jej kobieta. Dopiero po chwili rozpoznała, do kogo należy ta stercząca w nieładzie grzywa. Była to ta sama kobieta, z którą niemal dwie dekady temu Gar zdradził Imerien. Nie miała za grosz wycucia, czemu dała wyraz, ubierając zbyt strojną suknię i zakładając do niej zbyt wiele świecidełek. Wyglądała jak połączenie pajaca i świątecznej choinki. Słowo daję, brakowało jej tylko czerwonego nosa. Na swoich zaś miejscach zastali młodą parę, dziewczynę i chłopaka. Podobieństwo do flamy sugerowało, iż były to jej dzieci (były także zadziwiająco podobne do Gara).

- Co to za baba? - spytał zdziwiony Riangal małżonkę. - Czemu ściska waszego ojca?

- To ta, o której ci mówiłam - skwitowała.

W tym samym czasie duchowny zakończył „płomienną” przemowę. Gdy dzwon zabił po raz pierwszy, wszyscy zebrani powstali z miejsc. Gdy dzwon zabił po raz wtóry, uniesiono ciało zmarłej. Kondukt żałobny skierował się

w stronę północnej wieży, gdzie dokonać miał się ostatni akt – spalenie.

Janeten oraz Ameria ustawili się za Garem, który otwierał pochód. Maszerując tuż za ojcem, w niedługim czasie dotarli na szczyt. Wieża była na tyle duża, że spokojnie mogła pomieścić stos pogrzebowy oraz cztery dziesiątki markotnych osób. Nie starczyło jednak miejsca dla wszystkich. Wielu gości musiało zadowolić się pozostaniem w korytarzu lub na klatce schodowej.

Gdy Gar patrzył, jak ciało matki układane jest na drewnianym podeście przez pomocników kapłana, Janeten, Ameria oraz jej małżonek podeszli do niego. Na widok dzieci Gara flama, zawstydzona ich obecnością, rychło oddaliła się ze swoimi pociechami. Janeten objął ojca, w ślad za nim poszli pozostali. Chociaż syn ciągle czuł do ojca gniew, wiedział, że nie mógł przejść obojętnie wobec cierpienia, którego on teraz doznawał. Tam, na szczycie wieży, szczerze mu współczuł.

Nim podpalono stos, żałobnicy złożyli podarki zależne od stopnia zażyłości i statusu danej osoby. Pośród różnych waz, naczyń czy wieńców nie zabrakło fantu, który został przywieziony z Nimirnu – były to misternie wykonane bransolety uformowane z jednolitego kawałka srebra na kształt wijącego się węża. Janeten i Ameria wspólnie z ojcem położyli podarek na wierzchu stosu.

Płomień z wolna zaczął pięć się w górę drewnianej konstrukcji, zajmując kolejne warstwy. Gdy sięgnął ciała, w tej najgorszej chwili, dzieci były przy Garze. Syn objął

ojca ramieniem, Ameria zaś, jak za dawnych lat, wtuliła się w jego bok. I jak ogień topi śnieg, tak ta chwila stopiła lód w sercach zebranych krewnych.

Po zakończonej uroczystości Gar zwrócił się do dzieci tymi oto słowy:

- Dziękuję wam za przybycie. Naprawdę, wiele to dla mnie znaczy. Mam nadzieję, że zostanieie z nami na dłużej. Co najmniej do końca uczty pożegnalnej.

W tych okolicznościach trudno było odmówić. Na krótką chwilę uśmiech zagościł na zboląłej twarzy Gara.

- Jeszcze raz, dobrze was widzieć - powiedział król, po czym oddalił się, by pomówić z innymi.

Cała trójka zeszła na dół, ponownie do Sali Przodków. Tam usłyszeli nagle nawoływania Terensa, który stał w przeciwległym krańcu komnaty, wymachując uniesioną ręką. Jako że był słusznych rozmiarów, przepchnięcie się przez morze ludzi nie sprawiło mu najmniejszych trudności. Wkrótce szlachcic znalazł się przy kuzynostwie, przy okazji tratując jedną czy dwie osoby. Jedna z nich nie omieszkała warknąć w stronę olbrzyma: „Co się pchasz na chama?”. Ten odpowiedział: „Oj, przepraszam. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia”.

- Fajno, że jesteście - zaczął Terens, skończywszy wyściskować rodzeństwo. - Ale wyrosliście... Zwłaszcza ty, droga kuzynko - dodał, wpatrując się beczelnie w dekolt Amerii. - Aż miło popatrzeć!

Swoją drogą, był to ciekawy typ. Wysoki i postawny, wyższy o głowę od przeciętnego człowieka. Uśmiech nigdy

nie schodził z jego twarzy i zawsze miał przygotowanych kilka dowcipów, tak jak broń trzyma się w pogotowiu. Uwielbiał również płatać figle. Pewnego razu przebrany za woźnicę (jak to miał w zwyczaju czynić od czasu do czasu) zajechał pod dom klienta, udając ślepcę. Innym razem zdarzyło mu się zabrać ze sobą stare, przetarte lejce. Gdy wóz zjeżdżał z dosyć stromej góry, zaczął wymachiwać wcześniej przygotowanymi rzemieniami przed klientami, jednocześnie rycząc, że lejce się zerwały. Podobno wyraz przerażenia na twarzach pasażerów był bezcenny. Bywało również tak, że będąc w pobliżu domostwa krewnego bądź znajomego, zjeżdżał z wyznaczonej trasy, zdziwionych pasażerów zostawiał w furmance, a sam, na zaproszenie gospodarza, zasiadał do stołu. Lecz pomimo jego dziwactw ludzie przepadali za tym wesołkiem, za jego otwartością i gotowością do pomocy.

- I ciebie miło widzieć, drogi kuzynie - odparł Janeten.

- Szkoda tylko, że waszej mamy nie ma z wami.

- Owszem, szkoda - odrzekła Ameria. - Nie mogła przyjechać. - Przemilczała fakt, że Imerien nie była w ogóle zaproszona, bo przecież list jej nie wymieniał. Tym bardziej nie było wiadomo, w jakim charakterze miałyby się zjawić, skoro jej miejsce u boku króla było już zajęte. Gdyby przyjechała, z pewnością pojawiłyby się głosy, że przybyła tylko po to, by mieć pewność, że królowa Niwena kopnęła w kalendarz.

- Trudno. Podczas uczyty siądziecie obok mnie. Mogę się założyć, że przywieźliście ze sobą dużo ciekawych

opowieści. – Na jego twarzy malował się uśmiech od ucha do ucha. – Mamy wiele do nadrobienia. A ten to musi być twój Rumcajs – rzekł, zwróciwszy się do Riangała.

– Wybacz, proszę – wpadła mu w słowo Ameria – ale zauważyłam, że twojemu bratu ubyło zębów. Czyżby go napadli?

– Żadne takie – zaśmiał się Terens. – Żadne takie. Do wczoraj miał jeszcze wszystkie; świeczka zgasła mu na schodach. Ot co.

Rozmowa ciągnęłaby się w nieskończoność, gdyby nie pewna starsza pani, która zadała Terensowi źle sformułowane pytanie:

– Przepraszam, jak dostanę się do chóru? – rzekła. Zapewne miała na myśli salę, w której odbywały się próby.

– Musisz dużo ćwiczyć, kochana, dużo ćwiczyć – odparł Terens. Pozbywszy się w ten sposób kobiety, on oraz cała trójka udali się do jadalni.

Stoły ustawiono na kształt litery C. Rodzeństwo usadowiono koło szczytu prawego skrzydła. Gdy Janeten zasiadł, zauważył po przeciwnej stronie stołu flamę ojca. Siedziała idealnie na wprost niego. Wierciła się nerwowo, jakby gryzły ją owsiki. Jej obecność najwyraźniej jednak nie przeszkadzała siedzącemu obok niej wujowi Choromanowi, który prowadził z kobietą swobodną konwersację, zupełnie jakby znali się od wielu lat. Dociekania Janetena na jej temat musiały jednak zejść na dalszy plan, bowiem w tej sekundzie wjechały na stół pierwsze potrawy. Nagle urwały się wszelkie rozmowy, a jadalnię wypełnił brzęk sztućców

i odgłosy przełykania. Nie mogło zabraknąć także tradycyjnego już w tej rodzinie (a jest to nawyk o długiej i udokumentowanej tradycji) rzucania się jedzeniem. Kawalki mięs oraz warzyw fruwały w tę i we w tę, lądując nie zawsze na talerzu.

- Co tu robi ta kobieta, która siedziała obok ojca w czasie ceremonii? - zapytał Janeten, uporawszy się z przystawką.

- Masz na myśli, no, jak jej tam... Zaraz sobie przypomnę. Opiekowała się królową matką, gdy ta jeszcze żyła - odparł Terens.

- Chyba nie tylko nią się opiekowała - powiedział Janeten. - Mogę zrozumieć wdzięczność, ale czy to jest powód, żeby ją tu zapraszać?! Tam, na górze, jej obecność można jeszcze jakoś wytłumaczyć, ale tutaj?! Tym bardziej że, jak widzę, nie przyszła sama! Nie wydaje ci się, kuzynie, że coś jest nie w porządku w całej tej sytuacji?

- Nie, dlaczego? - dziwił się Terens. - W ostatnich miesiącach wielce się przysłużyła waszemu ojcu. Mówię wam, aż do samego końca czuwała przy cioci Niwienie. Poza tym - kontynuował swoją przemowę pomimo nietęgiej miny Janetena - to przemiła osoba. Miałem przyjemność zamienić z nią parę słów. Mojemu ojcu i bratu także przypadła do gustu.

- Takie postępowanie nie przystoi - wzburzył się królewicz.

- Uspokój się - nalegał rozmówca. - Gar, wasz ojciec, ma wobec niej ogromny dług wdzięczności. Przysłużyła się

Niwienie, gdy ta chorowała, oraz jemu samemu - była dla niego prawdziwym oparciem. Zapraszając ją, wasz ojciec chce się, choć w części, odpłacić. Nic więcej. Nie doszukuj się zdrożności. Przecież niczego złego nie czynią, poza tym to prosta zielarka, po co się nią przejmujesz? - Zaśmiał się, poklepując Janetena. - Nie przesadzaj, drogi kuzynie. Wasz ojciec to równy facet. Chyba cię nie przekonałem, co? Może o tym nie wiesz - dodał Terens, pociągając haust wina - ale wasz ojciec zawsze, odkąd go znam, był dobry dla dzieci i bardzo przejmował się ich losem. Dlatego co roku łoży na sieroty i samotne matki w mieście, i czyni to z własnej kiesy. Przeznacza na ten cel niemało, bo aż dwudziestą część zysku z dóbr królewskich. Co jak co, ale hojności królowi nie można odmówić. Nieprawdaż?

Janeten nie drążył tematu. Zamiast tego zajął się następnym daniem, które właśnie wjechało na stół. Dworzanin, który mu usługiwał, zanim się oddalił, przekazał w imieniu króla młodemu księciu, aby on oraz Ameria zostali dłużej po wieczerzy, bowiem król chciałby się z nimi rozmówić, bez pośpiechu i na osobności.

Zgodnie z ojcowskim życzeniem rodzeństwo pozostało w jadalni. Pośród wychodzącego tłumu nie mogli dopatrzeć się postaci Gara. Zatem czekali. Czas umiłał im widok dworzan, którzy krzatali się podobnie, jak czynią to pszczoły w ulu. Ledwie kilka minut wystarczyło służbie, by uprzątnąć pozostawiony bałagan.

Janeten krążył po komnacie, zataczając pętle między stołami, w przeciwieństwie do siostry, która zajęła siedzisko

przy kominku i nie miała zamiaru z niego wstawać. Królewicza nachodziły różne myśli, zastanawiał się, cóż za nową sztuczkę tym razem przygotował jego ojciec. Wiedział jedno - po Garze wszystkiego można się spodziewać. Dziwnym zdał mu się wybór miejsca na odbycie rozmowy, bo przecież kto rozmawia o ważkich sprawach w jadalni? W końcu od tego są gabinety, czyż nie?

Oczekiwanie przedłużało się. Ogień w paleniskach niemal zgasł, z początkowych pięciu ćmił się już tylko w dwóch. I to właśnie przy nich usiadło rodzeństwo. Oboje byli tego wieczoru małomówni i nic nie wskazywało na to, by miało to ulec zmianie. Wkrótce zgasło czwarte palenisko. Półmrok ogarnął salę z wyjątkiem skrawka, gdzie wciąż tlił się ostatni, dogasający płomień. Gdy zgasł, wrota sali otwarły się.

- Wybaczcie spóźnienie - rzekł Gar, przekroczywszy próg jadalni - ale zatrzymały mnie nieoczekiwane sprawy. Pełno ich ostatnimi czasy. Proszę, przejdźmy do głównej sali, nie będziemy przecież tutaj rozmawiać.

W tym samym czasie Riangel wspólnie z Terensem przechadzali się po niższych piętrach, dokąd rzekomo miała się przenieść dalsza uroczystość.

- Kogo właściwie szukamy, drogi panie?

- Grupki przybyłej ze wschodu, z rejonu Wysoczyzny - odparł Terens. - Pewnie nic ci nie mówi ta nazwa, co?

- Niestety.

- Nie szkodzi - rzekł, poklepując młodego elfa po ramieniu. - Powinni gdzieś tutaj być - dodał po chwili,

zamykając drzwi od kolejnej salki.

- Czemu akurat oni?

- Uwierz mi, jeżeli lubisz się bawić, przypadną ci do gustu. Jeżeli nie lubisz się bawić, to cię nauczą... ha, ha, ha. Nie bój żaby. To przeuroczy mężczyźni, znam ich dobrze. W końcu to moi sąsiedzi. Ba, wielu z nich to moi serdeczni przyjaciele, mówię ci! - zagrział Terens. - Z początku woleli nie przyjeżdżać, bo mieli ostatnio nie po drodze z wujem Garem, jakieś zatargi czy coś takiego, podobno przyczyną było drewno czy ceny sprzedaży. Można by rzec, że mieli na pieńku z królem. - Odzew nie był taki, jakiego się spodziewał. - Ale na szczęście cała sprawa rozeszła się po kościach; nikt nie czuł się urażony.

Poszukiwania zawiodły ich aż na sam koniec południowego korytarza, który zwieńczony był owalnym holem. Było tam pięćdziesiąt drzwi.

- Hmm... Jak sądzisz, znajdziemy ich tutaj?

Terens chciał odpowiedzieć, lecz nagle głośny krzyk dobiegł z pokoju po ich prawej, czemu po chwili zawtórował rechot. Z rozdziawioną, acz uśmiechniętą miną wytyczył palcami wskazującymi kierunek, w którym najprawdopodobniej powinni się udać.

Kiedy olbrzym zajrzał do sali, stwierdził z uśmiechem:

- To tutaj!

W środku zastali grupę ponad dwudziestu panów, roześmianych i w sztok zalanych. Wszyscy zajmowali leżanki rozstawione wokoło wielkiego paleniska umiejscowionego w centralnej części. Kilku nieco bardziej

trzeźwych wciąż siedziało, obejmując panny, które służyły im za towarzystwo, zaś pozostali leżeli albo na materacach, albo pod nimi, pijani do nieprzytomności. Na twarzach tych ostatnich malowała się błogość. Widok przybyszy zmusił do powstania jednego z żałobników, czcigodnego Mariosa, siedzącego na wprost wejścia i czerwonego na twarzy od wypitego alkoholu. Z trudem wysławiając się, zawołał:

- Tsego tu?

- Mości panowie, oto jestem - rzekł uradowany Terens.

Zebrani musieli poznać, kto przemówił, gdyż w odpowiedzi zabrzmiał chór głosów:

- Te-e-e-e-e-rens!!!

Któryś z gości próbował się zwlec, lecz kiepsko się to dla niego skończyło. Stanąwszy, od razu legł jak kłoda. Wybuch śmiechu wypełnił komnatę.

- A kogo my tu mamy? - zapytał ktoś inny, jeszcze w miarę trzeźwy.

- Panowie, to jest Riangał, gość z daleka i mój serdeczny druh. Riangał, to są panowie.

- O kułwa - wybełkotał lord Arsyn, który akurat wygramolił się spod leżanki. - Ale on ma uszyska.

- Jak twoja stara, ha, ha, ha, ha... - skwitował jeszcze inny „wielki” lord.

- Tak, sam masz większe, ale rogi! - ozwał się kolejny.

Nastąpiła kolejna salwa śmiechu, po której padło hasło: „Do dna, bo szkłem przejdzie”.

Riangał z przerażeniem oglądał całą scenkę, po czym wymownie spojrział w stronę Terensa.

- Spokojnie, nie są tacy źli. Zobaczysz, polubisz ich - uspokajał towarzysza. - To beczka śmiechu, zobaczysz. - Wchodzili do komnaty, gdy nagle Terens stanął i klepnął się w czoło (plask był soczysty). - Bogowie! Kompletnie zapomniałem. Poczekaj tutaj, zaraz przyjdę - rzekłszy to, obrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

- A ty dokąd? - spytał Riangał, chwytając w ostatniej chwili połę płaszcza olbrzyma.

- Zaraz wracam, bez obaw - zapewnił z błyskiem w oku królewski krewniak. - Nie pozwolę, żeby ominęła mnie taka zabawa. - Wyszedł, zostawiając u wejścia samego jak palec Riangała.

- Nie bój się, chłopie, my nie gryziemy! - krzyknął spod leżanki lord Arsyn, zwalczając odruch wymiotny.

- Jeszcze!!! - Cała sala zagrzmiała.

Tymczasem Ameria, Janeten oraz Gar przeszli do Sali Przodków. Przez okno widoczny był w ścianie w pełnej swej okazałości srebrny glob. Król chyba oszczędzał, bo paliło się zaledwie sześć pochodni, przez co pomieszczenie wypełniał tajemniczy półmrok. Większość nowo wykonanych ozdób była zatem skryta przed wzrokiem gości. Wyraźnie za to widoczna była sylwetka trójdzielnego posągu, który, skąpany w blasku świec, wyłaniał się z ciemności. Nim doszli do podwyższenia, Janeten doliczył się aż czterdziestu i czterech mniejszych bądź większych latarenek. Dopiero teraz, przyznał to ze wstydem, rozpoznał, kto był pierwowzorem dla podobizny bóstwa.

Ten sam nos, to samo czoło i te same oczy. Bez cienia wątpliwości była to twarz zmarłej. Zdecydowanie odmłodzona, ale była to twarz zmarłej. Cóż za dalece posunięta miłość i oddanie - przeszło przez myśl młodzieńcowi. - Wręcz do granic fanatyzmu. Gdy wzrok przywykł mu już trochę do ciemności, stanął przed tronem i powiódł oczami po dziewięciu wykutych siedziskach, ośmiu zapełnionych i jednym pustym.

- Jestem rad, moje dzieci, że zechcieliście przybyć. Dziękuję wam - rozpoczął Gar. - Wiele niesnasek było dawniej między nami, niektóre były słuszne, niektóre nie. Jak wiecie - kontynuował, oprowadzając rodzeństwo po komnacie - ostatnim życzeniem, wolą mojej matki było, abym zażegnał spory i waśnie, które nas poróżniły; abym przywrócił ład do zbolącej rodziny. I jak zapewniałem was w liście, złożonych przyrzeczeń pragnę dotrzymać. Z tego miejsca - rzekł, stając przy wzniesieniu - biorę bogów na świadków szczerości mych intencji.

Ani Janeten, ani Ameria nie zwrócili uwagi na uchylające się drzwi, które po chwili z powrotem się zamknęły.

W tym samym czasie zabawa w salach na dole trwała w najlepsze. Śmiech był słyszalny aż w drugim krańcu korytarza, czyli ponad dwieście łokci dalej.

Pierwszy niepokój Riangała związany z towarzystwem szybko minął. Usadowił się na jednej z wolnych leżanek, tuż obok swego nowego kolegi, lorda Arsyna. Równie szybko

ustąpiły jego obiekcje dotyczące obcowania z innymi niż Ameria kobietami. Bowiem jednemu i drugiemu dotrzymywały towarzystwa dwie urocze dzierlatki. Oj, działa się, działa.

Gdy na dole baronowie hulali, na górze, na balkonie okalającym komnatę, niepostrzeżenie niczym cienie, przemieszczały się tajemnicze postacie. Ledwie minutę zajęło im, by ustawiając się jeden obok drugiego zapełnić piętro.

Terens dziarskim krokiem zmierzał w stronę komnaty, żeby dołączyć do zabawy. Ogarnęło go wielkie zaskoczenie, gdy dostrzegł dworzanina stojącego przy drzwiach z pękiem kluczy w dłoni. Właśnie przekręcał jeden z nich, blokując zamek.

- Co się dzieje? - spytał zaskoczony Terens.

Tymczasem wewnątrz pomieszczenia ciała dziewczyny oraz Riangała wiły się w rozkoszy. Alkohol, który płynął w jego żyłach, zniósł wszelkie ograniczenia. Co rusz zmieniali pozycje. Raz on był na dole, raz ona. Teraz przypadła jego kolej. Z zachwytem patrzył na młode i jędrne ciało, które unosiło się rytmicznie nad jego miednicą. Gdy zdawało się, że finał jest bliski, jeszcze przed chwilą rozgrzane ciało młodej kobiety legło na elfie, niespodziewanie pozbawione życia. Zdziwienie szybko przerodziło się w strach, kiedy znikąd zaczęły padać strzały. Istny grad drewna i żelaza runął w dół, przekłuwając wszystko, co spotkał na swej drodze. Wybuchła panika. Nie było dokąd uciec, wszelkie próby zdawały się daremne.

W pewnym momencie wołania konających zagłuszył świst cięciw.

- Fszyscy już wybyli, zamykam sale - burknął klucznik.
- Proszem odejść, pókim grzeczny.

- Jak to wyszli? Wiesz chociaż dokąd? - zapytał Terens.

Rozmowę przerwały przeraźliwe krzyki, które dobiegały zza zamkniętych drzwi, jakby żywcem ludzi skórowano. Klamka nagle podskoczyła, a zawiasy zadźwięczały. Klucznik spojrzał groźnie swymi kaprawymi ślepiami na Terensa, jakby chciał przegonić nieproszonego gościa. Lecz więcej nie mógł działać; zdzielony prawym sierpowym osunął się na podłogę, wyciągnąwszy klucz z zamka.

Fale pocisków nadlatywały jedna za drugą, bez wytchnienia. Ci, co nie zginęli w pierwszych sekundach, próbowali uciec. Ciągnęli, walili i pchali, mimo to drzwi nie chciały ani drgnąć. Z licznymi, acz płytkimi ranami na ciele elf rzucił się stronę wrót, gdzie leżały martwe ciała współbiesiadników. Ostatkiem sił chwycił lorda Arsyna, który chyba jako jedyny jeszcze oddychał. Nim jednak zdołał dotrzeć do drzwi, czerwony na twarzy lord został trafiony strzałą prosto w gardło. Siła wystrzału była na tyle duża, że pocisk przeleciał na wylot i odbiwszy się od posadzki, utkwiał w łydce elfa. Fala bólu zalała jego ciało. Niezdolny ustać, upadł na podłogę i w pozycji pólężącej przeczołgał się pod ścianę. Gdy został sam, strzały na krótką chwilę, nie dłuższą niż oddech, ustały. Łucznicy zgromadzeni na balkonie wymierzili swoje groty w ostatni,

wciąż żyjący cel. Riangał słyszał, jak ktoś majstruje przy zamku.

- Na psią juchę! Który to?! - irytował się po drugiej stronie Terens.

-Naprawdę pragnę przebaczyć wam wasze przewinienia, jednakże... - Gar na krótki moment zawiesił głos. - Jednakże by tak się stało, musicie przyznać, iż jedyną osobą, która ponosi pełną odpowiedzialność za całe to zamieszanie, jest tylko i wyłącznie wasza matka, Imerien. Nikt inny. Co więcej, ma zrzec się wszelkich roszczeń do korony oraz ziem. Ponadto - Gar przemawiał jednostajnym tempem, widać było, że mowę tę przygotował lub przygotowano mu ją zawczasu i że nauczył się jej na pamięć - sporządzi pisma zaadresowane do każdego z was. Opiszcie w nich dokładnie wszelkie swe bezeceństwa: jak mnie zdradziła, jak spiskowała przeciwko mnie i nastawiła dzieci przeciwko własnemu ojcu. Takie są moje warunki. Jeżeli je spełnicie i przekonacie własną matkę, by w końcu poszła po rozum do głowy oraz by wreszcie przestała się wygłupiać, przyrzekam wybaczyć wam wasze grzechy, a sprawy między mną a Imerien rozstrzygnąć bezboleśnie, a przede wszystkim tak szybko, jak tylko się da. Niczego oprócz tego od was nie oczekuję. Zatem, moje dziatki, jakie będą wasze słowa?

Zdziwienie rodzeństwa żądaniami postawionymi przez Gara było ogromne.

- Niczego ponad to?! - powtórzył Janeten, zabierając głos. - Mamy wyrzec się matki, która tyle dla nas wycierpiała, i to jeszcze z twojego powodu? Tak po prostu? Dla własnej korzyści? Łaskawa jest twoja propozycja, ojciec - kontynuował syn po chwili namysłu - lecz nie możemy przystać na te warunki. Nie za taką cenę!

Gar przybrał minę, jakby wyrządzono mu wielką krzywdę. Osunął się na tron. Wziął głęboki wdech, na tyle głośny, by był słyszany przez obydwójce dzieci, po czym jeszcze głośniejszym wydechem wypuścił z płuc powietrze, dając wyraz swemu rozczarowaniu. Oparł czoło na dłoni.

- Też mi wycierpiała - bąknął pod nosem. Długo siedział, pocierając skroń, aż wstał i rzekł: - Zasmuca mnie wasza decyzja... Liczyłem, że będziecie mądrzejsi. Chociaż... - znowu zawiesił głos, przechadzając się wzdłuż podwyższenia - przeczuwałem, że tak się stanie. Nie dość, że spiskujecie przeciwko mnie, chcąc zrzucić mnie z tronu z pomocą elfich sługusów, to jeszcze sądzicie, że me oczy należą do ślepego, a uszy do głuchej?! Sądzą, że nie wiem, co zamierzacie?! - Nagłym ruchem sięgnął ręką do sztyletu, który zwisał u jego pasa. Janeten zauważywszy poczynania ojca, wystąpił naprzód, by osłonić siostrę przed ewentualną napaścią. Oczy królowi wyszły na wierzch, jakby chciały wyskoczyć z czaszki.

- W tej sytuacji mogę uczynić tylko jedno... Dlatego wy, moje dzieci, wspólnie z tą kłamliwą kobietą odpowiecie za zdradę, za próbę zamachu na życie króla! - krzyknął Gar i niespodziewanie wbił sztylet we własne ramię.

Zaskoczeni obrotem sprawy, Janeten i Ameria cofnęli się o kilka kroków. Chcieli wybiec z sali, lecz za plecami poczuli czyjąś obecność, czyjeś lodowate oddechy. Jeden szybki ruch wystarczył, by sznur oplótł szyję królewny, i tyle samo wystarczyło, aby masywne ręce objęły głowę królewicza. Nim z czegokolwiek zdał sobie sprawę, nim zdążył cokolwiek zrobić, kości w karku chrupnęły.

Drugi z napastników nie był na tyle wprawiony w zabijaniu, co jego towarzysz. Ameria wierzgała i stawiała opór, nie była łatwą ofiarą, pomimo że zabójca był niemal o dwa łokcie od niej wyższy. Sznur na szyi zaciskał się coraz mocniej, dziewczynie zdawało się, że płonie. Gdy mordercy udało się unieść kobietę ponad podłogę, poczuła, jak ogarnia ją zimna pustka, w której ginęły ostatnie przytłumione jęki.

Gdy zabawa w Suur Erun nabierała rumieńców, w Baltornis dworzanie właśnie szykowali się do snu. We wszystkich pokojach pogasły już światła; we wszystkich z wyjątkiem jednego - pokoju Imerien. Sen nie chciał spłynąć na królową, która przewracała się z boku na bok. Serce w jej piersi waliło niczym młot, zaś głowę przepełniał niepokój, który również nie pozwalał jej zasnąć. Taka samonapędzająca się spirala. Wszystko to było spowodowane myślami o dzieciach. Podświadomie czuła, nie - wiedziała, że coś jest nie w porządku.

Nie mogąc znaleźć ukojenia we śnie, Imerien wstała i podeszła do okna, które uchyliła. Kroczyła delikatnie, nie

chciała bowiem zbudzić Jeremy, który spał w komnacie obok. Usiadła w fotelu. W końcu dopadło ją znużenie. Zapewne usnęłaby, gdyby nie szmery dobiegające z pokoju obok. Chciała je zignorować, lecz tknęło ją jakieś dziwne przeczucie.

Łatwo uchyliła drzwi do komnaty wnuka, ledwie zaskrzypiały pod naciskiem jej dłoni. Wtedy, ku swemu przerażeniu, dostrzegła czarną postać, podobną do cienia, która stała u wezłowia łóżka. Długie i krzywe ostrze zastygło w powietrzu gotowe lada moment opaść w dół na bezbroną głowę śpiącego dziecka. Imerien, kierowana instynktem, nie bacząc na własne życie, podbiegła do zabójcy, by go powstrzymać. W dłoni trzymała niewielki kordzik, z którym od pewnego czasu się nie rozstawała. Zanurzyła małe ostrze w brzuchu czarnej postaci, nim ta zdążyła zareagować; oczy wyszły jej na wierzch. Doszło do szarpaniny między zamachowcem a królową. Związani w morderczym uścisku, miotali się to w lewo, to w prawo, wyrządzając przy tym mnóstwo hałasu, który zbudził Jeremę. Ten zaś, widząc babkę w opałach, zerwał się na równe nogi.

Zabójca przyparł Imerien do ściany, zaciskając chwyt na królewskim gardle. Był zdecydowanie silniejszy od niej. Jedną ręką unieruchomił kobietę, drugą natomiast zasłonił jej usta. Byłaby zginęła, gdyby nie grot włóczni, który zagłębił się w prawy bok zamachowca. Ten próbował pochwycić drzewce, lecz niedoszła ofiara, Jerema, mocno trzymała broń. Jeszcze większa fala bólu wymalowała się na

twarży oprycha, gdy malec, zgodnie z naukami Boruty, obrócił włócznię i wbił ją głębiej. Łoskot padającego ciała w odczuciu wnuka i babci słyszalny był chyba w całym domostwie.

Do podobnych zjść dochodziło tej nocy także w innych krainach, które były mniej lub bardziej zwaśnione z domem Gara. Przelano krew ponad dziesięciu panów lub wodzów, nie licząc tych, którzy stracili życie w dworze Eruna.

ROZDZIAŁ 11



Najważniejsi oficjele zebrali się w Nimirnie, aby omówić wydarzenia przedostatniej nocy. Oczywiście nie mogło tam zabraknąć Imerien.

- Sprawa jest jasna i bezsporna - mówiła królowa przed gremium. - Któż inny mógłby chcieć przeprowadzić próbę zamachu? Wyłącznie Gar! Tylko on ma w tym interes! - niemal krzyczała. Jej frustracja była jak najbardziej zrozumiała, zważywszy na okoliczności.

Inni członkowie narady siedzący przy podłużnym stole pozostawali jednak bardziej wyważeni. Przynajmniej starali się zachować takie pozory.

- Nie mamy dowodów na poparcie tej tezy. To tylko domysły - rzucił Laskyn Skrzętny, przezywany również Dusigroszem, elf odpowiedzialny za kwestie finansowe domeny.

- Domysły, domysły - wykpiła rozmówcę Imerien, spoglądając podskarbiemu prosto w oczy. - Chyba sami, panie, nie wierzycie we własne słowa! Musimy szybko

działać, póki wciąż mamy przewagę, póki wciąż mamy szansę.

- A niby jakaż to szansa, o której mówicie, moja pani? - odrzekł podskarbi.

- Zaskoczenie jest nam sprzymierzeńcem. Gar nie wie, iż jego skrytobójca zawiódł. Musimy to wykorzystać.

- A nawet jeśli, to czego oczekujesz? Że księżę zwoła hufce i wyruszy na południe? Nie możemy działać nazbyt pochopnie - rzekł podskarbi, wstając od stołu. - Wpierw należy rozeznaczyć się, jak się sprawy mają...

- Wpierw należy zadziałać - weszła mu w słowo Imerien. - Widzę, że nie chcecie zrozumieć, że mamy niewiele czasu na podjęcie decyzji, lecz... lecz łatwo jest wam tak mówić, to nie życie waszych dzieci jest zagrożone!

Księżę Perendir przez dłuższy czas tylko przysłuchiwał się przekomarzaniom pozostałych uczestników narady.

- Zrozumcie, każda chwila zwłoki oddala mnie od moich dzieci...

- Od mojego syna także - w końcu odezwał się grobowym głosem władca, choć bardziej chyba do siebie. Niemal przez cały ten czas stał z boku, cichy i zamyślony. - O ile jeszcze żyje...

Tytularna królowa Suur Erun zastygła na brzmienie tych słów, bowiem oto zostały wypowiedziane jej największe obawy.

- Przypominam wam, panie - rzekł Perendir - że mój syn również jest w niebezpieczeństwie. Dla waszego dobra radziłbym, byście zamilkli, panie. - Spojrzenie, które rzucił

podskarbiemu, mogłoby zmrozić krew w żyłach nawet najdzielniejszemu z mężów.

Laskyn za radą władcy zamilkł i nie odezwał się już do końca narady.

- Co wy radzicie, kuzynie? - spytał ksiązę.

- Trudno orzec, mój panie. Rozsądek doradza cierpliwość, dopóki nie poznamy więcej faktów na ten temat.

- Taka jest twoja rada dla mnie?

- Tak - odparł spokojnie kuzyn.

- Powiem tylko tyle: pieprzcie się, kuzynie. Nie mam zamiaru czekać! Roześlijcie wici do wojów i do wszystkich mend w mieście, które chcą zarobić! Oddziały mają być gotowe do czasu mego powrotu!

- To znaczy kiedy, panie?

- To znaczy już! - zagrział Perendir, waląc pięścią w stół.

W południe tłumy gapiów zebrały się na zewnętrznym placu Suur Erun. W końcu nie codziennie zdarzały się tak liczne jak tego dnia publiczne egzekucje.

Zniecierpliwieni ludzie, pragnący krwawej rozprawy, tłoczyli się przy drewnianym podeście zbudowanym specjalnie na tę okazję, by być jak najbliżej kaźni. W zamieszaniu, jakie panowało, trudno było cokolwiek usłyszeć, nie mówiąc już o zrozumieniu usłyszanych słów. Jedynymi przebijającymi się pośród harmidru wyrazami

były wyzwiska i obelgi kierowane w stronę zgromadzonych na podeście skazańców.

Stali ustawieni jeden obok drugiego, pozbawieni ubrań, by ich wstyd był jeszcze większy. Tłuszczy nie zastanawiało, czy któryś z tych sześciu mężczyzn był słusznie skazany, czy też nie. W jej odczuciu – skoro tam stali, musieli być winni. A że prawda była zupełnie inna, pal to lichy.

Przedpołudnie nie należało do ciepłych. Zwłaszcza chłodny wiatr, który ciągnął z zachodu, dawał się we znaki gospodarzowi ceremonii, kiedy ten właśnie kończył oprawiać dopiero co pozbawione życia ciało pierwszego skazańca, ledwie przystawkę przed daniem głównym. Zwłoki należały do drobnego rzezimieszka, który, złapany na gorącym uczynku, próbował zbiec, lecz, jak widzicie, nie udało mu się.

Kat zwlekał z wykonaniem następnej egzekucji zgodnie z zarządzeniem przełożonego. Dlatego dopiero po upływie ponad trzydziestu minut na podwyższeniu zjawił się kasztelan w towarzystwie swej eskorty. Gdy uniósł dłoń, tłum, niczym zaklęty, w jednej sekundzie zamilkł.

Urzędnik, stary i zgarbiony mężczyzna, którego twarz można by pomylić z krecim pyskiem, wystąpił naprzód z rozwiniętym pergaminem. Nim jednak zaczął odczytywać wyrok, powiódł przymkniętymi oczami po ludziach zgromadzonych na placu.

- Ci oto mężowie - rzekł, wskazując dłonią skazańców - dopuścili się największej zdrady wobec swego władcy, jakiej lennik może się dopuścić. Ośmielili się bowiem podnieść

rękę na naszego miłosiernego króla, by następnie tą samą ręką spróbować pozbawić go życia. - Buczenie wydobywające się dziesiątek gardeł wypełniło powietrze przedzamcza. - Pomimo udzielonej im gościnności - kontynuował kret przemowę swym donośnym głosem, niewspółmiernym do jego fizjonomii - zapragnęli wykorzystać niemoc i nieuwagę naszego władcy, spowodowane cierpieniem po utracie ukochanej matki, dla własnych, niecznych korzyści.

Szopka ciągnęła się jeszcze przez kilka minut. Co rusz kasztelan dawał wyraz swoim zdolnościom oratorskim, raz podgrzewając, raz studząc nastroje.

- Dlatego w imieniu naszego władcy, króla Gara - urzędnik zawiesił na chwilę głos, by tłum mógł ponownie wyrazić swój zachwyt wobec monarchy, po czym podjął: - Arsynie z Kedetu, Mariosie Dalmacie, Ullinie Duryo Starszy oraz Dervenie Bylisie skazuję was na karę śmierci, lecz nie przez ścięcie, przynależne zgodnie ze starym i szanowanym zwyczajem wysoko urodzonym, jeno przez powieszenie jak pozbawionych krzty honoru pospolitych bandytów, którymi jesteście!

To dosyć zabawne, ponieważ tak naprawdę osoby, które tam stały, nie były osobami, które przedstawiono. Cała czteroosobowa grupa była podstawiona, gdyż, jak pamiętacie, wszyscy wymienieni zginęli wcześniej w trakcie strzelaniny. Byli to w większości pojmani w trakcie zawieruchy pomniejsi rycerze, którzy tylko towarzyszyli swoim panom, zaś jedynym występkiem, jakiego się

dopuszcili, był fakt, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. To się nazywa mieć pecha.

Przy owacji publiczności w pierwszej kolejności na szafot trafił Arsyn z Kedetu. Kat z pietyzmem przyszykował węzeł, który następnie owinął wokół szyi skazańca. Chcąc wykorzystać ostatnie sekundy, które mu pozostały, rzekomy Arsyn otworzył usta, gotowy wypuścić wartki strumień przekleństw i obelg. Niestety nim jakiegokolwiek słowo wydostało się z jego gardła, sznur gwałtownie się napiął. Ogromna była radość tłumu, gdy zatrzaszkujące się szczęki, powodowane siłą pociągnięcia, ucięły „lordowi” język. Na tym jednak nie skończyły się katusze skazańca, gdyż pętla nie mogła poradzić sobie z jego masywnym karkiem. Biedak dyndał na linie, dusząc się, z poczerwieniałą twarzą, wybałuszonymi oczami i wystającymi na czole żyłami. Widząc, co się dzieje, kat podbiegł do skazańca. Ramionami oplótł jego nogi i mocno pociągnął. Trzask kości zadowolił gawiedź.

Z pozostałą trójką poszło zdecydowanie łatwiej.

Gdy na podeście pozostał już tylko jeden skazaniec, naprzód ponownie wystąpił kasztelan, którego oblicze szczelnie zakrywał teraz kaptur opończy.

- Co się tyczy ciebie, Terensie z Karany, ty, jako bliski krewny dzierżyciela korony, zasługujesz na szczególne potępienie za współudział w zaplanowaniu i wykonaniu zamachu na życie naszego miłościwego króla i późniejszą pomoc w ucieczce zamachowcowi, zgniłemu nasieniu jarowego rodu. Niniejszym skazuje cię na...

- Stać! - przerwał nagle głos z wysokości murów.

Zdziwienie ogarnęło zebranych. Któż śmiał przerwać kasztelanowi? Setki par oczu skierowały się w stronę, z której dobiegło wołanie.

- To król! - wydarł się ktoś z tłumu.

- Tak! - wtórował mu inny głos. - To król wołał.

Faktycznie, był to król. Gar stanął u szczytu schodów prowadzących na zewnętrzny mur. Jego postać, odziana w czerń, wyróżniała się na tle jasnej, wyłożonej marmurem ściany. Całości dopełniała szarfa tego samego koloru co ubranie, którą przepasane było lewe ramię króla. Tuż za nim, po jego prawicy, kroczyła flama. Na znak żałoby także i ona przybrała ciemny strój. Król schodził powoli, stawiając stopę za stopą, tak jakby wyniósł z pola bitwy ciężką ranę. Trzeba przyznać, że zawsze wiedział, jak wzbudzić w innych litość.

Stanąwszy niemal u podnóża schodów, rzekł:

- Pragnę okazać łaskę memu drogiemu krewnemu. - Gdy zrobił kolejny krok, tłum rozstał się, robiąc miejsce monarsze. Ci, których Gar mijał, padali na kolana. - Jestem gotów przebaczyć mu wyrządzone krzywdy, gdyż wierzę, że zbłądził. Zbłądził pod wpływem intryg i kłamstw snutych przez mych wrogów.

Dotarłszy na platformę, Gar przystanął przy spętanym krewniakowi.

- Wyznaj swoje winy, przyznaj się, że zbłądziłeś, a dostąpisz przebaczenia. - Po wypowiedzeniu tych słów wyciągnął dłoń ku Terensowi.

Ten długo przyglądał się Garowi. Był na tyle zmaltretowany, iż ledwo dostrzegał zarys postaci, która przed nim stała.

- Miłościwy królu, wybacz mi. Nie chciałem - odpowiedział w końcu, rzucając się do stóp Gara.

Ten pochylił się i w ojcowskim geście ucałował głowę Terensa.

- Król mu przebaczył - powiedział cicho kasztelan. - Król mu przebaczył! - powtórzył już głośno.

- Niech żyje Gar miłościwy - zawyła publika.

Następnego ranka słudzy w jednej z komnat odnajdą Terensa, hrabiego Karany, martwego. Biedak nie nacieszył się długo odzyskaną wolnością. Według słów naocznych świadków hrabia miał się jakoby powiesić. Ludzie jednak lubią zmyślać lub dopowiadać od siebie, kiedy czegoś niedosłyszą, dlatego oprócz wersji oficjalnej krążyć będą pośród gminu przynajmniej dwie inne teorie. Według pierwszej wersji Terens miał się jakoby otruć (co poniektórzy będą wręcz twierdzić, że został otruty). Zwolennicy drugiej twierdzić natomiast będą, że biedaka odnaleziono leżącego w kałuży krwi z podciętymi żyłami. Co istotne, wszystkie te opowieści łączył ze sobą jeden wątek, a był nim pozostawiony przez Terensa list pożegnalny. Owo pismo, rzekomo napisane ręką zmarłego, sugerowało, iż to rozterki wewnętrzne, a przede wszystkim poczucie winy za wyrządzone królowi krzywdy, były przyczyną targnięcia się olbrzyma na własne życie. No cóż, ile w tych słowach jest prawdy, możemy się tylko domyślać...

Gar krążył nerwowo po czerwonym dywaniku, który wyściełał podłogę jego komnaty.

- Czemu ciągle nie ma wieści ze wschodu? - mamrotał pod nosem. - Przecież powinien już wrócić, a przynajmniej dać znać.

- Musisz wziąć pod wagę, mój oblubieńcu, iż twoje niebotyczne rozmiary mogły zgoła nie wypaść par excellence z twoją premedytacją - mówiła, czy raczej bełkotała, spokojnym tonem flama, która zajęła fotel w rogu. Lubiła pozować na światłą i odcytaną kobietę, dlatego starała się na siłę „ubukiecać” swoją „wysłowę”, cokolwiek to miało znaczyć.

- A nawet jeśli, to co? - warknął rozsierdzony Gar. Na krótką chwilę przysiadł w fotelu obok kochanicy, lecz nie mógł usiedzieć spokojnie w miejscu i wstał. - Ta zdradziecka szmata pewnie nadal oddycha - mówił do siebie. - Nic nie idzie tak, jak zaplanowałem - rzekł tym razem już do flamy. - Nie dość, że ten kłapouchy wyskrobek mi umknął, to jeszcze ta... moja małżonka nadal oddycha... Nadal! Czy ty to rozumiesz?!

Flama rzuciła Garowi spokojne spojrzenie, jakby nie przejmowała się niekorzystnym przebiegiem zdarzeń.

- Zaraz wyruszy z całą armią tych... tych kłapouchych - dramatyzował Gar, wymachując rękoma.

Sytuacji przyglądał się wsparty o ścianę Bergast. Cały czas milczał. Odbiło mu - pomyślał, kręcąc głową z dezaprobatą. Zupełnie stracił rozum.

- Dlatego, przynajmniej i w całej rozciągłości, nie jesteś zdatny do tegoż, aby puścić im to gadem - wyrzekła flama ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy, gdy Gar trochę ochłonął. - Wyrusz na rajców. Bynajmniej, azaliż, nie umiłowalam wszem i wobec płaksy-lali.

Gar szybkim krokiem ruszył w stronę kochanki.

- Łatwo ci... - zaczął mówić, siadając w fotelu obok.

- Owszem, łatfo - przerwała flama, gładząc... kładąc (do jasnej cholery, to jest zaraźliwe!) królowi palec na wargach.

- Elfami czerepu sobie nie zdejmuj, mój precjozo. Masz żeś przecież, nie inaczej, w garści dowód, któregoż twoi nienawistni adwersarze zważyć nawet nie śmia, syna regalnego.

- Co ty pleciesz, kobieto?! - odparł Gar. - Przecież dobrze wiesz, że on zbiegł.

- Zgadza się, mój ci on oblubieńcu, wszak oni przynajmniej o tymże nie mogą uświadczyć. Takowoż pewnikiem, być albo nie być, on był wyzionął ducha.

Oczy króla rozbłysły. Nagle pojął, co należy robić.

- Książę nie będzie stawiać sprawy na ostrzu noża, kiedy w rachubę wchodzi życie jego syna. Chętnie wymienię Imerien na niego. Nie będą mieli wyjścia! Za to cię kocham - powiedział, po czym chwycił i ucałował dłonie kochanki.

W niedługim czasie dwa tysiące zbrojnych wyruszyło spod murów Suur Erun.

W mniej niż trzy niedziele sprawa zostanie załatwiona - wyobrażał sobie Gar, który jechał w szykowej zbroi na

czele pochodu. - Zapłacisz za wszystkie krzywdy, które mi uczyniłaś, droga żono.

Już miał w umyśle rozrysowane plany wiodące go ku zwycięstwu, wielkie i śmiałe posunięcia godne największych wodzów. „Tym razem nie może się nie udać” - powtarzał. W jego mniemaniu wszystkie okoliczności mu sprzyjały. Był tak przekonany o rychłym powrocie w glorii, iż nawet nie głowił się, by pozostawić w grodzie jakikolwiek garnizon. W razie czego z pomocą dla Suur Erun miał przybyć stacjonujący nieopodal miasta oddział dwustu łuczników oraz setka jezdnych, nad którymi dowództwo miał sprawować jego jedyny prawdziwy dziedzic, Bergast.

Przed dwudziestym dniem sierpnia armia opuściła pola Cirty i dotarła do Melnisiry, prawego dopływu Isiry, który stanowił granicę między domeną Gara a krajem elfów. Stąd miał zacząć się tryumfalny pochód wojsk. Choć król był gotów do walki, marzyło mu się zwycięstwo bez oddania jednego strzału, podobne do tego, które odniósł jego słynny przodek Erden (ten sam, który został wyrzeźbiony na prawym skrzydle tronu) nad dzikimi plemionami osiadłymi na Przedgórzu Korładzkim.

Nazajutrz, nim słońce wzbiło się nad widnokrąg trzech posłańców wyruszyło z obozu. Zadanie mieli proste - przekazać Perendirowi wieść takiej mniej więcej treści:

„Bądźcie pozdrowieni, Jaśnie Oświecony Królu. Jako że pragnę utrzymać pokojowe stosunki, panujące pomiędzy naszymi wielkimi plemionami, niniejszym zwracam się do Was o wydanie pozostającej zadrą w obopólnych relacjach

mej zniesławionej małżonki Imerien. W zamian zapewnię bezpieczny powrót księciu Riangelowi, jednemu dziedzicowi Waszej Królewskiej Mości, wraz z jego małżonką i jej bratem. Aby zapewnić o swej prawomyślności, ślę Wam, Mości Królu, ten oto podarek. (Był to złoty pierścień Riangala, klejnot przekazywany w rodzie z pokolenia na pokolenie). W razie sprzeciwu lub braku odpowiedzi pragnę Was uprzedzić, że nie mogę zagwarantować Waszemu czcigodnemu synowi bezpieczeństwa”.

Gdy emisariusze zjawili się w pałacu Perendira, od razu zabrano ich przed oblicze władcy, by powiedzieli to, co mieli do przekazania. Skończywszy czytać list, jeden z posłańców przekazał królowi pierścień, rodzinny klejnot. Błady strach padł na władcę. W tej sytuacji niewiele miał do powiedzenia. Przystał na żądania wilka w owczej skórze, nie mógł bowiem ryzykować przyszłości swego rodu. Sama Imerien także przystała na zaproponowane warunki, nie chciała bowiem, by elfy, które tak wiele dla niej i dla jej dzieci zrobiły, musiały teraz przelewać swoją krew. Mało tego, czuła, że wina za wszystko, co do tej pory spotkało elfy ze strony Gara, obciąża tylko ją. Nie mogła się pogodzić z tym, iż pozwoliła swoim dzieciom wyruszyć. Wyrzucała sobie, że nie nalegała mocniej, by zostali.

Dwa dni po zaakceptowaniu warunków postawionych przez Gara Imerien w eskorcie księcia Perendira oraz jego pięciuset zbrojnych towarzyszy wyruszyli we wskazane w liście miejsce spotkania. Gdy zjeżdżali z pól Czerwonej

Pręgi nad bród Melnisiry, komitet powitalny już na nich czekał. W pierwszym szeregu stało dziesięciu konnych, pośrodku nich znajdował się Gar. Za nimi formowała się druga linia – długi rząd włóczników.

– Witaj, kochanie. Tęskniłem za tobą – ozwał się król. Nie był w stanie ukryć szyderczego uśmiechu, który wkradał się na jego twarz.

Następnie zwrócił się do Perendira:

– Bądźcie pozdrowieni, mości królu.

Ten jednak z całych sił starał się utrzymać swoje nerwy na wodzy i nie rozkwasić Garowi gęby, tej roześmianej, podłej gęby, dlatego nic nie odpowiedział.

– Proszę, uśmiechnijcie się, mości królu. Muszę powiedzieć, że twój syn jest wspaniałym kompanem w podróży – powiedział Gar.

Elf ścisnął wodze tak mocno, że jego kłykcie przybrały białą barwę.

– Gdzie oni są? – spytał, zaciskając zęby.

– Po co ten pośpiech, mości królu? Tak dobrze nam się rozmawia...

– Gdzie oni są? – powtórzył pytanie Perendir groźniejszym tonem.

– Spokojnie – odparł Gar, zanosząc się śmiechem. – Nie ma potrzeby unosić się gniewem. Są tutaj, razem z nami.

Gar dał znak ręką, a szereg za jego plecami rozstąpił się. Wyjechał jeździec, do którego siodła przytroczono trzy sznury. Na ich końcu, tuż za koniem, podążały trzy osoby,

kobieta i dwóch mężczyzn. Cała trójka miała spętane ręce, a na głowy założone mieli lniane worki.

Książę, widząc swego syna, nieświadomie ruszył do przodu.

- Nie-e-e-e - rzekł Gar, kiwając palcem. - Pozostaną moimi gośćmi do czasu aż... - zamilkł, uśmiechając się w stronę Imerien - aż rozmówię się z moją żoną. Proszę się nie obawiać, mości królu, twój syn jest w dobrych rękach.

Tymczasem koń wraz z trójką więźniów wycofał się w głąb obozu.

- A teraz, jeżeli pozwolicie, chciałbym zostać na osobności z małżonką. Mamy wiele do omówienia, prawda, kochanie?

Perendir, gdyby tylko mógł, gdyby tylko życie jego syna nie było zagrożone, ruszyłby do przodu i zmiotł wojska Gara. Gniew, który w nim kipiał, nie mógł znaleźć ujścia. Władca musiał pogodzić się z tym, że w tej sytuacji był na straconej pozycji. Nim jednak zawrócił i zagłuszający tętent końskich kopyt wypełnił okolicę, raz jeszcze omiół wzrokiem bród.

- Bez obaw - zapewnił Gar małżonkę. - Wkrótce zobaczysz się ze swoimi dziećmi.

Dzień chylił się ku końcowi, granat i czerń z wolna zalewały niebo. Droga, którą obrała kawalkada, wiła się niczym spirala, zataczając coraz to mniejsze kręgi, zanim dotarła do centralnego punktu obozu, którym był królewski namiot.

Po pokonaniu zakrętu konie minęły prowizoryczny posterunek - stertę beczek ustawioną w poprzek drogi i trzech śpiących ludzi, którzy je nadzorowali. Takich punktów kontrolnych było w sumie trzy.

W pierwszej części obozu stacjonowali wyłącznie piechurzy. Ci prości ludzie niewiele wiedzieli o dyscyplinie czy porządku, wносиła Imerien, spoglądając na byle jak porozbijane namioty, które ustawiono bez ładu i składu po obu stronach wydeptanej ścieżki. Niektóre z nich, jak zauważyła, już zdążyły się zapaść bądź pod wpływem wiatru, bądź pod wpływem głupoty jego mieszkańców, zaś kolejne miał niedługo spotkać podobny los. W powietrzu unosiła się silna woń alkoholu, przy ogniskach śpiewy mieszały się z groźbami. Widok niemal nagich mężczyzn tańczących w świetle płomieni napawał Imerien odrazą. W jej odczuciu bił z tego jakiś dziwny prymitywizm, niegodny ludzi, którzy chcą nazywać się cywilizowanymi.

Nagły krzyk wyrwał królową z zamyślenia. Spojrzała przez prawe ramię, chcąc zobaczyć, skąd pochodził hałas. Z ciemności wyłoniła się postać nagiej kobiety. Krzyczała i uciekała, lecz żaden z mijanych wojaków nie zwracał na nią uwagi. Wkrótce z ciemności wyłoniła się druga, męska sylwetka. Pościg znalazł swoje zakończenie w namiocie, do którego dziewczka została zapędzona. Przerażenie zagościło na twarzy Imerien, gdy sukno namiotu stanęło w płomieniach. Zgoła inaczej zachowali się koledzy nieszczęśnika, którzy śmieli się do rozpuku. Oddalając się

od pożaru, królowa usłyszała jeszcze: „Ale się facet na nią napalił”.

W drugiej części obozowiska rozsiedli się łucznicy. Byli spokojniejsi w obyciu, ale tylko niewiele. Oni zamiast korzystać z uciech cielesnych woleli podnosić swoje zdolności. Dlatego strzelali do wszystkiego, co się rusza. Wpierw celowali do wiewiórek i do ptactwa, które licznie występowało w otaczających lasach. Lecz gdy skończyła się zwierzyna, upatrzyli sobie pachołków. Na jednej z polan, w miejscu, gdzie uprawiano ten krwawy sport, piętrzyły się ciała zabitych, a z każdego, niczym u jeża, wystawały igły – strzały.

Ostatnią część zamieszkiwali kawalerzyści, teoretycznie ludzie wysoko urodzeni. Oni, w przeciwieństwie do pozostałych, nie toczyli walk między sobą. O nie, zmuszali do tego chłopców stajennych i paziów. Bez jakiegokolwiek osłony nacierali jedni na drugich, jak czynią to rycerze, czyli jadąc na grzbiecie, lecz nie konia, a drugiego pachołka. Potem możni panowie dziwili się, czemu nikt nie uzupełnia ich kielichów...

Gdy jeźdźcy w końcu dotarli do ostatniej części obozu, roztoczył się przed nimi krajobraz pełen ciszy i spokoju. Wysoki, obleczony szkarłatnym materiałem namiot prezentował się okazale w ognistej łunie, której źródłem było schronienie piechurów płonące w pierwszej części obozu. U wejścia do namiotu czuwali dwaj opancerzeni strażnicy, członkowie drużyny królewskiej. Ogromną przestrzeń wewnątrz podzielono kotarami na kilka

mniejszych pomieszczeń. Pośrodku sieni stał stół, zachwycający swoim wykonaniem. Po obwodzie rozstawiono kilka mniejszych blatów, na których poustawiano liczne, acz zbędne przedmioty, takie jak figurki czy półmiski. Podobnie jak mnogość ornamentów zdobiących zewnętrzną część namiotu, tak i te bibeloty zdradzały upodobanie Gara (i być może także jego partnerki) do przepychu, choć w nienajlepszym guście.

- Proszę, rozgość się - rzekł Gar, rozsiadając się przy stole.

W czasie kiedy pomiędzy zwaśnionymi małżonkami rozpoczynały się rozmowy, gdzie indziej trwał wyścig z czasem. Koń gnał przed siebie na złamanie karku, łapczywie wciągając chrapami powietrze. Gęsta biała piana ściekała z jego boków i karku. Serce waliło jeźdźcowi nie wolniej niż wierzchowcowi. Zmęczony, z trudem utrzymywał się w siodle. Przed sobą trzymał pasażera, którego twarz skrywał kaptur opończy - nieprzytomny, chybotał się pomiędzy jego ramionami w rytm biegu konia. Drzewa wokół uciekinierów zlewały się w jedną, niewyraźną plamę. Mimo to odgłosy pościgu nie cichły. Wręcz przeciwnie, stawały się coraz wyraźniejsze. Tym większy był strach uciekiniera, gdy ujrzał słońce chylące się ku zachodowi. Jeszcze mocniej spiął konia.

Rumak w pełnym cwale mijał kolejne zakręty. Pędzili na oślep, byleby jak najbardziej oddalić się od prześladowców. Mnóstwo drobnych ścieżek odbijało od głównego traktu.

Dróżki te ciągnęły się w nieskończoność niczym w labiryncie. Zdawało się, że nie ma wyjścia z tej pułapki.

Przed uciekinierami ukazało się nagle przewężenie drogi – wielki głaz wystawał z poszycia leśnego. Jeździec skurczył się na tyle, na ile mógł, zamknął oczy i ruszył na przeszkodę. Koń z trudem przemknął przez nikłą, trzyłokciową wyrwę. Twarz jeźdźca wykrzywił jednak grymas bólu, gdy skała, ostra niczym brzytwa, przejechała po jego nodze. Z rany pociekła krew. Konny nie mógł się zatrzymać, gdyż w przeciwnym razie natychmiast by ich dopadła pogoń.

Las gęstniał; drzewa rosnące w tej części tworzyły niejako ściany długiego i prostego korytarza, zaś poprzeplatane konary układały się na podobieństwo sklepienia, które doszczętnie odcinało dopływ resztek zachodzącego słońca. Daleko, gdzieś pośród ciemności, majaczyło ledwie dostrzegalne rozwidlenie drogi, tak przynajmniej wydawało się uciekinierowi. W gęstniejącym mroku oczy go zawodziły. Nie zwalniając, obrał prawą odnogę.

Robiło się coraz ciemniej, jakby zagłębiali się w serce lasu. Co gorsza, prowadzący nie poznawał okolicy. Zagubili się w tym lesistym labiryncie. Nie miał jednak wyboru, musiał jechać naprzód. Dużo dalej trakt niespodziewanie odbijał mocno w lewo. Tylko cudem udało się uciekającym skrócić, dostrzegłszy zakręt w ostatniej chwili. Za nim wypadli na kolejny rozjazd. Jeździec zatrzymał konia. Błędnym wzrokiem spoglądał to w prawo, to w lewo.

Przerażony odwrócił się do tyłu. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze – pościg się zbliżał. Dokąd teraz? – pytał uciekinier sam siebie. Strach paraliżował mu myśli. Nawet najprostsze decyzje wydawały się go przerastać. Wtedy w ciemności świsnęły bełty.

- Do diabła z nimi i ich małymi kuszami! - bąknął pod nosem uciekinier i spiął konia. Tym razem odbił w lewo.

Trakt ponownie zataczał szerokie łuki. Trudno było orzec, gdzie się znajdują – zagłębiają się w leśne ostępy, czy może zbliżają się do obrzeży, ponieważ nad głowami mieli tylko ciemność. Nawet jeżeli na niebie wciąż tliły się resztki słońca, jego promienie nie mogły przedrzeć się przez ten liściasty baldachim. Na domiar złego oddech towarzysza słabł. Wtedy w oddali, pośród mroku, dostrzegł jaśniejący punkt – wylot z puszczy. Jednak się udało – przeszło przez myśl jeźdźcowi i nowy duch wstąpił w niego.

Wyjście było dalej, niż uciekinier mógł się spodziewać, bowiem leśny korytarz ciągnął się i ciągnął. Jak w koszmarze sennym, wierzchowiec przebierał zwawo nogami, ale upragniony cel wciąż zdawał się być tak samo odległy. Już sam nie wiedział, czy to, co widzi, było prawdą, czy tylko majakami wywołanymi przez zmęczenie i ubytek krwi. Gdy uciekinier już zwątpił w swoją poczytalność i zgasła w nim wszelka nadzieja na wydostanie się z pułapki, jaśniejący punkt zaczął się z wolna przybliżać.

Do pokonania pozostało mniej niż sto sążni. Już widział wylot z leśnego labiryntu. Musieli przebić się tylko przez polanę, by znów trafić na otwartą przestrzeń. Wyjście było

już w zasięgu ręki. Lecz wpadłszy na polanę, jeździec nagle ściągnął wodze, a koń zarył głęboko kopytami w podłożu, zostawiając za sobą długi ślad, gdy dwójka konnych odzianych w czerń zastąpiła im drogę. Musieli oni przycząć się tutaj dużo wcześniej i wyczekiwać, aż zbiedzy sami do nich przybędą. Uciekinier zrazu zawrócił rumaka, lecz daleko nie ujechał, ponieważ cztery wielkie kare rumaki grupy pościgowej zatarasowały mu drogę ucieczki. Był w potrzasku - prześladowcy zablokowali oba wyloty z polany. Jeździec mocniej objął ramieniem swego nieprzytomnego towarzysza i zerkał to w przód, to za siebie.

Dwaj prześladowcy, blokujący wylot z lasu, zsiadli z koni i wymierzili w uciekinierów z kusz. Podobnie postąpiły trzy zakapturzone postacie, stojące na przeciwległym krańcu polany, tuż za uciekinierami - chwyciwszy za broń, jęły z wolna kroczyć w ich stronę. Czwarta, ostatnia, sylwetka pozostała w siodle. Basowy rechot wydobył się spod jej kaptura na widok okrążonego zbiega. Nagle jeden z trzech oprychów zachwiał się, a drugi odskoczył, jakby został odepchnięty. Niespodziewanie pomiędzy fałdami ich długich i czarnych płaszczy pojawiła się kolejna, w sumie piąta, sylwetka. Ta była jednak dużo niższa i wyglądała jak liliput. Rozepchnęła pozostałych i sycząc, wyszła przed szereg. Spod jej płaszczyka sterczały bosc stopy okryte gęstym włosiem oraz pokaźnych rozmiarów brzuch, na którym spoczywał złoty łańcuszek.

Napastnicy, których minął liliput, opuścili głowy, jakby chcieli ukryć zażenowanie. Głośne i przewlekłe syknięcie wydobyło się spod fałd kaptura jednej z tajemniczych postaci (prawdopodobnie znaczyło to: „Po co go zabieraliśmy?! Mały knypek rujnuje nam cały efekt”).

Uciekinier dostrzegł szansę. Wykorzystując chwilę nieuwagi, natarł na czterech oprychów. W tym momencie dwójka blokująca wyjazd z lasu odruchowo wyrwała do przodu, opuszczając swoje pozycje. Na to liczył uciekinier. Zatrzymał się tuż przed czwórką drabów, omal nie tratując malca, po czym niemal w miejscu zawrócił konia. W pełnym galopie ruszył na dwójkę na przeciwnym krańcu polany. Ci wymierzili i wystrzelili w szybko zbliżającego się do nich jeźdźca. Ich pociski jednak chybiły. Próbowali wystrzelić ponownie, ale obaj w ostatniej chwili musieli ratować się ucieczką, gdyż inaczej skończyliby pod końskimi kopytami.

Oszukana czwórka wpadła w furję. Jeden z nich wskoczył na siodło, pozostali złapali za kusze.

Uciekinier miał przed sobą już tylko dwa kare, rosłe wierzchowce, stanowiące blokadę. Pojedyncze bełty przefrunęły obok niego, lecz on nie zwrócił na nie uwagi. Od blokady dzieliła go już niewielka odległość. Gdy na znak jeźdźca koń napiął mięśnie i wyszedł do góry, prześladowcy ponowili ostrzał. Wtedy nagła fala bólu przeszła ciało jeźdźca, który zachwiał się w siodle. Tym razem któryś z bełtów trafił. Pozbawiony oparcia towarzysz zsunął się. Koń bez trudu przeskoczył nad zaporą i pognął dalej już

tylko z jednym pasażerem na grzbiecie. W pogoń za nim rzuciło się kilku prześladowców.

Pozostali zgromadzili się przy ofierze, która leżała nieprzytomna na ziemi. Jako że liliput stał najbliżej, to on chwycił za kaptur. Krzyk niezadowolenia wyrwał się z gardeł zebranych, gdy odkryli, że pod nim skrywała się twarz sługi Terensa.

Ciężko raniony Riangal wypadł na pola Czerwonej Pręgi. Nie wie, że wkrótce natrafi na tylną straż swego ojca. Niestety umrze z powodu utraty krwi, lecz nim to nastąpi, zdąży jeszcze powiedzieć: „Nie przeżył, nikt nie przeżył”.

Gar posadził Imerien naprzeciwko siebie.

- Gdzie są nasze dzieci? - spytała.

- Bez obaw. Wkrótce się z nimi zobaczysz, tak jak obiecałem. Wpierw jednak, moja miła, sporządzisz pismo, w którym wyznasz prawdę.

- Prawdę?

- Tak, prawdę - odparł. - Przyznasz się do wszystkiego. Przyznasz się do wszelkich łajdactw, rozumiesz? Opowiesz, jak zdradziłaś swego męża, jak przyprawiłaś mu rogi, jak opróżniałaś skarbiec, by sprawiać prezenty swoim adoratorom, a wszystko to kosztem własnej rodziny. A przede wszystkim opowiesz, jak swoimi grzechami doprowadziłaś moją matkę do śmierci. - Można było odnieść wrażenie, iż Gar upatruje w Imerien źródła wszelkich nieszczęść, których doświadczył w minionym

czasie. Mogę się założyć, że gdyby mógł, to oskarżyłby ją także o grad oraz koklusz. – Co więcej przyznasz się, że podburzałaś dzieci przeciwko ich własnemu ojcu, jawnie sprzeciwiając się moim decyzjom.

– Nie zbudujesz autorytetu, przekupując dzieci, mój drogi – odpowiedziała Imerien. – Tak samo nie zbudujesz go, grożąc im. Nigdy tego nie rozumiałeś.

– Wręcz przeciwnie. To jedyna droga, by go uzyskać. Tu masz papier – rzekł, podając małżonce pergamin. – Wiesz, co masz robić.

– Nie licz na to. Niczego nie sporządzę, niczego nie podpiszę, dopóki nie zobaczę się z dzie...

– Przypominam, że nie jesteś władna stawiać żądań! – przerwał jej Gar, tracąc zimną krew. – Dobrze, znaj moją łaskę – powiedział po chwili, już łagodniejszym tonem. – Porozmawiaj z nimi, może cię przekonają. Dopiero potem podejmiesz decyzję. Straż! – krzyknął, nie wstając z krzesła.

Z zewnątrz dobiegł hałas krzątania. Któryś gwardzista rozchylił poły namiotu.

– Słucham, panie?

– Przeprowadź naszych gości.

Tamten szybkim krokiem oddalił się. Wrócił przed upływem dwóch minut.

– Panie, syn już idzie. Panienska śpi, nie kazałem jej budzić.

– W porządku, możesz iść. Zostawię was samych – oznajmił Gar, zwracając się do żony, po czym ruszył ku

wyjściu. Uchyliwszy poły, spojrział jeszcze raz na Imerien i dodał: – Tęsknili za tobą.

Niedługo potem na dworze zapanował zgiełk. Po chwili do wnętrza namiotu wkroczył mężczyzna o wychudzonym i lekko zarośniętym licu. Łzy napłynęły Imerien do oczu na widok tego młodzieńca, na widok jego blond czupryny i błękitnych oczu. Teraz ponad wszystko inne zapragnęła wyściskać swego syna.

Podeszła i objęła przybysza. Jednak zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poczuła przeszywający chłód stali. Nogi pod nią zadrżały, lecz zdołała jeszcze odeprzeć napastnika.

– Ależ matko, nie poznajesz mnie? – naigrywał się mężczyzna. Krew spływała z noża, który trzymał w ręku.

– Do broni! Do broni! – ktoś zawołał niespodziewanie.

W oddali zawrzało. Lecz bandyta i jego ofiara byli tak pochłonięci sobą, że żadne z nich nie zwróciło uwagi na dobiegające z zewnątrz hałasy.

– Wróg w obozie! – krzyczeli inni. – Wróg w obozie!

Zaskoczenie ogarnęło Imerien, kiedy do namiotu, zrobiwszy wyrwę w ścianie, wbiegł spłoszony koń. Wykorzystując moment nieuwagi, królowa wybiegła przez otwór zrobiony przez przerażone zwierzę.

Ruszyła ku obrzeżom obozu. Wtedy przeciągły ryk surm, niczym grom, przeszył nocne niebo. Choć Imerien silnie krwawiła, można by rzec, iż miała szczęście w nieszczęściu, bowiem wskutek chaosu, który zapanował

w obozie, żaden z mijanych żołdaków nie zwracał na nią uwagi.

Wolno posuwała się naprzód wśród ludzkiej ciżby, która parła w przeciwnym kierunku. Jak ómy do ognia, tak tamci ciągnęli ku bębnom, od których dźwięku drżała cała ziemia. Nagle ktoś chwycił ją za ramię. Był to jeden z elfów.

- Moja pani - zaczął - nie jesteś tu bezpieczna. Musisz... - Urwał, kiedy po gardle przejechał mu nóż, zostawiając za sobą czerwony ślad.

Przerażona Imerien nie czekała. Wbiegła do najbliższego namiotu. Tam zastała schowek, czy też magazynek, wypełniony koszami, skrzyniami oraz zwiniętymi belami różnych materiałów. W tym natłoku przedmiotów nie dostrzegła jednego, o który zahaczyła: o wystające spod płachty czarne skórzane buty. Wzgórek, do którego owe buty przylegały, miał ponad trzy łokcie długości. Obok niego był kolejny, trochę krótszy. Nie wiedzieć czemu, być może kierowana przeczuciem, Imerien chwyciła za kraniec płótna. To, co ujrzała, złamało jej serce. Żadna matka bowiem nie powinna oglądać martwych ciał własnych dzieci.

Chciała krzyknąć, wyć, lecz żadne dźwięki nie mogły przejść jej przez gardło. W tej chwili nie czuła już bólu ani strachu, nie czuła nic. Pozostała tylko przepotężna chęć zemsty, która wypełniła jej duszę. Siekiera, która walała się po podłodze, miała pomóc w jej dokonaniu. Wkrótce Imerien usłyszała za swoimi plecami kroki. Skrytobójca nie

śpieszył się, jakby czerpał przyjemność z długiego i powolnego gnębienia swej ofiary.

Zamachowiec odnalazł królową, kiedy ta klęczała przy zwłokach. Bez obaw zbliżył się do ofiary, przekonany, że ta nie będzie stawiać oporu. Był w błędzie. Wystarczył jeden szybki ruch styliska siekiery, by okraszona złotą czupryną głowa spadła na ziemię.

Z gniewem w oczach królowa ruszyła ku zachodniej części obozu, skąd dochodziły odgłosy walk i okrzyki dowódców kompanii, którzy próbowali pozbierać podkomendnych, zmieszane z biciem werbli. Tam też widoczne były jężory ognia, na tle których, niczym mrówki, szamotały się czarne sylwetki. Nie zdążyła przebiec dwudziestu kroków, kiedy napotkawszy pierwszego lepszego wojaka noszącego barwy Gara, ponownie użyła siekiery. Ostrze poszło w ruch; siekła zawzięcie. W takim stanie odnaleźli ją wojacy Perendira, lecz zamiast posłuchać ich i uciec Imerien wołała wspólnie z nimi ruszyć do boju.

Perendir po kryjomu uderzył na nieprzyjaciela, popychany uczuciem wielkiej krzywdy, której doświadczył z wrogiej ręki. Miecze i topory elfów uderzały zaciekle, a tarcze poszły w drzazgi od liczby przyjętych ciosów.

Straż królewska długo stawiała opór, podczas gdy inni zostali rozbici w perzynę. Jednak, koniec końców, i ona uległa pod naporem nieprzyjaciela. Lecz gdy do tego doszło, króla pośród swoich już nie było. Ciężko raniony, zbiegł, przeprawiwszy się przez nurty Melnisiry, która na długo wskutek przelanej krwi przybrała barwę czerwieni.

Boruta, który także napracował się ramieniem w tej batalii, przemierzał pole bitwy, kiedy kurz zawieruchy już opadł. Zmasakrowane ciała poległych walały się gęsto, zasnuwając ziemię, gdzie krew mieszała się z błotem. Gdzieniegdzie wciąż dopalały się resztki namiotów oraz pozostawionych w pośpiechu wozów, z których unosiły się słupy czarnego dymu.

Stopy w końcu zaprowadziły go w pobliże rzeki, gdzie rozegrały się najkrwawsze starcia. Ramię wciąż miał obolałe od natarcia, które poprowadził. Na myśl o nim lekki uśmiech wstąpił na twarz Boruty, jednakowoż zniknął, gdy tylko powiódł on wzrokiem po brzegu rzeki. Tam ponad pięć tuzinów elfich wojów zaległo. Wtedy zdało mu się, że pośród spiętrzonych zwłok dostrzegł Imerien. Wody rzeki obmywały jej bezsilne ciało, z którego powoli uchodziło życie. Po tylu latach nadal żywił wobec niej urazę (wiedział, iż to ona namówiła Amerię, by go zostawiła), lecz w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

- Pomocy! - zawołał, wbiegłszy do wody. - Mamy żywego!

Położył głowę Imerien na swoich kolanach, a ona podniosła zmęczone powieki. Długo wpatrywała się w twarz Boruty, jakby starała się przypomnieć sobie, do kogo ona należy.

- Wybacz mi - rzekła w końcu ściszoneg głosem. - Nie miałam racji. Ty ze wszystkich byłeś dla niej najlepszy. Nigdy jej nie zdradziłeś, nigdy jej nie zawiodłeś.

- Oszczędzaj siły - przerwał jej Boruta. - Pomoc jest w drodze.

- Na nic się zda - odparła. - Brak mi sił, by walczyć dalej. Ten jeden raz odpuść. Zbyt wiele osób przeze mnie cierpiało. Moje odejście przyniesie tylko ulgę. Byłeś najlepszy - powtórzyła. Przyglądała się twarzy młodzieńca dłuższą chwilę, po czym dodała: - Przypominasz mi kogoś, kogo znałam dawno temu. Mógłby być twoim ojcem - rzekła, gładząc dłonią twarz elfa. - Żegnaj, słodki księżę - poruszyła bezdźwięcznie ustami. - Żegnaj, Borgo.

Gdy znachor przybył, Imerien nie było już wśród żywych.

Boruta krążył przez następne minuty bez celu, aż doszedł do miejsca, w którym spoczywała Ameria. Ogień strawił niemal wszystko, zostawiając z graciarni zgliszcza. Zimna, kamienna cera księżnej, nietknięta przez płomień, kontrastowała z otoczeniem. Leżała, jakby pogrążona we śnie, z którego miała się wkrótce zbudzić. Chociaż wcześniej Boruta pogodził się z utratą ukochanej (tak mu się przynajmniej zdawało), widok ten załamał go. Z oczu popłynęły mu łzy, a z gardła wyrwał się krzyk. Nic, nawet niszczenie mebli czy rąbanie zwłok przeciwników, nie mogło złagodzić jego bólu.

Tego samego dnia elfowie złożyli Imerien w łodzi, tę zaś powierzono nurtom Isiry. Po dziś dzień potomkowie Perendira nazywają tę rzekę Imerienalar, Rzeką Imerien.

ROZDZIAŁ 12



Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza te wielkiej wagi. Taka ich natura. Dlatego kwestią dni, a nie tygodni było dotarcie wiadomości o sromotnej klęsce Gara, nazywającego siebie Smokobójcą, do odpowiednich uszu.

Echo kroków rozbrzmiewało w kryształowej sali. Przysadzisty, schludnie przystrzyżony krasnolud zbliżył się do stopni prowadzących do tronu. Na nim zasiadał siwowłosy starzec; długie włosy opadały mu falami na szerokie ramiona, natomiast orli nos zdobiły okulary o grubych szybkach.

- Wzywałeś mnie, mój panie - zaczął gość, klękając na jedno kolano.

- Tak, Mabonie. Mam dla ciebie ważne nowiny - odpowiedział król Ergen, zdejmując okulary z nosa. - Zbierz wojsko tak szybko, jak to tylko możliwe. Roześlij wieści po wszystkich koszarach. Czas wyruszyć.

- Można wiedzieć dokąd, mój panie?

- Na zachód. Lew stracił kły i pazury.

- Tak jest. - Chytry błysk pojawił się w oku dowódcy na dźwięk tych słów. - Twa cierpliwość popłaciła, panie.

Gdy Mabon opuścił salę, Ergen ponownie włożył okulary, by spojrzeć na kawałek papieru, który trzymał w rękach.

- Prawie ćwierć wieku. Prawie ćwierć wieku przyszło mi czekać na ten dzień - powtórzył, kiwając głową.

Wtedy król przypomniał sobie zajście z tego feralnego dnia sprzed wielu lat. Wspomnienie było tak wyraźne, jakby wydarzyło się zaledwie kilka dób wcześniej. Wciąż pamiętał dzień, w którym to Smokobójca, najpotężniejszy władca ludzi, przekroczył próg jego domu. Zażądał usług najbieglejszego z kowali, by ten stworzył dla niego koronę, która przyćmi wszystkie inne. Los chciał, że jedynym, który mógł sprostać stawianym oczekiwaniom, był Eiridu, najmłodszy syn Ergena. Choć przewyższał innych talentem, jakby ktoś za sprawą magii nadał mu władzę nad metalem, nie był w stanie przeskoczyć faktu, że piec musi być nagrzewany przez trzy dni i trzy noce, by można było uzyskać najczystsze złoto. Przez drugie tyle, w asyście dwóch pomocników, wykłubał metal, żeby dnia siódmego skończyć koronę pozbawioną jakichkolwiek skaz.

Gar przyjechał w umówione miejsce, z dala od murów pałacu, by odebrać zamówienie. Błędem młodzieńca było to, że postanowił przybyć w pojedynkę. Król, oszołomiony pięknem korony, zamiast wypłacić złotnikowi sumę stosowną do jego wysiłku, nakazał pozbawić go rąk oraz oślepić, by ten już nigdy nie stworzył niczego piękniejszego.

Jako rekompensatę rzemieślnik otrzymał tyle złota i klejnotów, ile ważył.

Gar przecenił wartość odszkodowania, bowiem żadna ilość złota nie zmyje takiego upokorzenia, żadna jego ilość nie uśmierzy ojcowego bólu. Od tamtego dnia król wyczekiwał momentu, w którym Gar osłabnie, chwili, gdy pojawi się ryna na jego pancerzu, wszak tylko głupiec rzuci się na silniejszego, pozbawiony realnych szans na zwycięstwo. Lecz dzisiaj wyczekiwanie dobiegło końca, godzina zemsty nareszcie wybiła.

Wkrótce srebrna fala wylała się spod Gór Białych niczym powódź. Wdarła się szybko i głęboko na terytoria pod władzę Gara, nie napotykając żadnego oporu. Na pierwszą potyczkę przyszło czekać ponad jedenaście dni, kiedy to ofensywa krasnoludów zagroziła resztkom wojsk Gara powracającym z przegranej bitwy u brodu Melnisiry. Aby zapobiec ewentualnemu pojmaniu króla, Bergast wyruszył wraz z jeźdźcami w sile pięciuset na spotkanie Ergenowi. Młody książę przecenił swoją kawalerię, za co przyszło mu zapłacić wysoką cenę. Świetnie wyszkoleni krasnoludzcy włócznicy wielokrotnie w trakcie tej bitwy powstrzymywali szarżę jazdy, która nie potrafiła przebić się przez ich szczelny mur. Żaden z pięciuset konnych nie przeżył tego starcia.

Czas zyskany dzięki temu poświęceniu został wykorzystany w dwójnasób. Po pierwsze Gar zdołał schronić się za murami swej warowni, po drugie, gdy usłyszano wiadomość o klęsce, nakazano przeprowadzić całą

ludność z niezbędnym dobytkiem do największych zamków, natomiast wszystko inne – mniejsze grody, wioski i domy – zrównać z ziemią. Pogorzeliska będą się ciągnąć aż do wrót grodu Eruna.

- Niedługo skończą im się zapasy. Nawet jeśli przetrwają na tyle długo, by dotrzeć tutaj, szeregi przetrzebi surowa jesień oraz jeszcze surowsza zima – powtarzali doradcy Gara. Lecz w tym roku, jak na złość, jesień nie chciała przyjść.

Nim jednak Ergen przystąpił do oblężenia, wysłał poselstwo do, jak to określił, „władcy świata połowy” z żądaniem, by ten się poddał. Nie zadziwię chyba nikogo, jeżeli powiem, iż propozycja ta została odrzucona. W takim wypadku krasnoludom nie pozostało nic innego, jak przystąpić do oblężenia. Przywieźli ze sobą nawet nowy rodzaj broni, który znamy jako armatę. I choć trudno w to uwierzyć, wynalezienie prochu krasnoludzkie plemię zawdzięcza alchemikowi, którego imienia historia nie zachowała, a który próbował jedynie skomponować leczniczą formułę na dolegliwości gastryczne.

Wracając do głównego wątku, na przedpolach grodu w prostej linii najeźdźcy ustawili pięć drewnianych armat, które dla wzmocnienia okuto żelaznymi obręczami. Podpalono lonty, paszcze zagrzmiały. Potem znowu zaryczały, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Huk był ogromny (tym bardziej że jedna z armat eksplodowała przy czwartej salwie), podobno słyhać go było w warowniach odległych o ponad sto wiorst. Gęsty dym zasnuł równinę. Gdy opadł,

miny kanonierów posmutniały, bowiem wrota oraz szanice stały nienaruszone. Próbę ponowiono. Ta również zakończyła się fiaskiem.

- Niech to dunder świśnie - rzekł jeden z dowódców. - Trzeba to będzie robić po staremu.

I tak też zrobili. Po staremu.

Dni płynęły, a chłodne powietrze nie chciało nadciągnąć. Pola już dawno powinny być pokryte śniegiem. Dlatego, by poprawić humor mieszkańcom, wojska Ergena zapewniły innego rodzaju opady, twardsze i wykonane z żelaza. Kule od przeszło dwóch tygodni padały rześście. Same dużych szkód nie czyniły, owszem, od czasu do czasu rozbiły komuś balkon czy krużganek, ale nic ponad to. Dotkliwszy dla obrońców był nieprzerwany grzmot; przezeń wielu dzielnych żołnierzy podupało na duchu. Co gorsza, krasnoludy, czy to dla zabawy, czy to z nudów, o każdej równej godzinie wystrzeliwały tyle kul, ile godzin wybijał zegar w namiocie króla.

Świtał kolejny dzień, dzień jak każdy inny. Zbliżała się ósma, koło dział leżało osiem kul przygotowanych do wystrzału. W codzienność wkradła się rutyna. Doświadczali jej również wartownicy stojący na czatach - jak co dzień siedzieli przy ogniskach, niektórzy niemal drzemali, zerkając półprzytomnym spojrzeniem na puste przestrzenie Taliaweru. Tylko jeden z nich, najmłodszy z grupki, któremu broda jeszcze nie urosła, sumiennie wykonywał swoje obowiązki.

Król Ergen od dłuższego czasu nie opuszczał swego namiotu. Tam, stojąc nad stołem w towarzystwie swego zaufanego podkomendnego, próbował wczytać się w mapy i znaleźć pomysł na kolejne posunięcie. Lecz natchnienie nie przychodziło. Gdy tylko zegar wybił godzinę ósmą, krasnolud ściągnął z nosa okulary, ciężko wzdychając.

- Niech to szlag, znowu - pomyślał. - Aż głowa boli od tego huk.

Chwilę później zabrzmiały dwie salwy z czterech armat. Namiot wraz z wyposażeniem lekko zadrżał, lecz żaden z krasnoludów po tylu dniach nie zwracał już na to uwagi. Mabon już odruchowo, nie patrząc nawet, zatrzymał wazę stojącą na piedestale, tuż po jego lewej, która w przeciwnym razie spadłaby i się potłukła.

Gdy tylko umilkło echo wystrzału i królowi zdało się, że może wznowić swe rozważania, nowe zamieszanie na dworze zmaćniło jego spokój. Rozgorączkowane głosy przekrzykiwały się jeden przez drugi, lecz niewiele można było się z tego dowiedzieć.

- Z drogi, ignorancie - zabrzmiał niemal chłopięcy głos i mimo sprzeciwu strażnika do środka wkroczył młokos pozbawiony zarostu. Za nim weszło dwoje spętanych ludzi oraz wartownik z krzykiem na ustach.

- Proszę mi wybaczyć, królu... - zaczął gołowąs, stając przed stołem.

- Co ty robisz?! Nie możesz wejść bez mojej zgody - wszedł mu w słowo strażnik, chwytając młodzieńca za kołnierz.

- Przymknij się.

- Dość - przerwał król, waląc pięścią w stół. - Co to ma znaczyć?! Czego chcesz i kim są ci ludzie?! Mów, byle szybko!

- Ja tylko... - odparł wartownik.

- Nie ciebie pytałem, tylko jego - zagrzemiał Ergen, wskazując na młodego krasnoluda.

Gołowas wyrwał swój kołnierz z uścisku żołnierza i rzekł:

- To szpiedzy, mój panie. Znalazłem, to znaczy znaleźliśmy ich, kiedy próbowali przemknąć się przez obóz.

- Wypraszam sobie! - sprzeciwił się łamaną mową krasnoludów jeden z jeńców. - Nie być szpieg!

Drugi pojmany ze zdziwieniem spojrział na kolegę.

- Ty rozumiesz ten bełkot? - wymamrotał.

- Jestem Jerema, syn Riangala. Mój towarzysz to Boruta - ciągnął pierwszy jeniec.

- Skoro nie jesteś szpiegiem, Jeremo, to skąd znasz naszą mowę, człowieku? - spytał Ergen, spoglądając na niego srogim wzrokiem.

- Elf, nie człowiek! Musiałem się jej nauczyć - odparł Jerema. - To przedmiot obowiązek w trzecim lato. Wszyscy lasowie znamy mowę... *llak do, tarba, ninbar*^[1] - przeklął w rodzimym języku, próbując przypomnieć sobie odpowiedni zwrot. - Nasz partner w handlu.

- Jesteście daleko od domu, mości elfie... Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego nie miałbym ciebie oraz twojego kamrata ukrócić o głowę.

- My chcieć wkraść się do zamek. Znamy tajne drzwi!
My pokazać!

- Owszem, pokażecie. Tyle że w środku zastaniemy
zasadzkę. Wysł się mocniej, elfie.

- Nie kłamię, król, nie kłamię - sprzeciwiał się Jerema.
Armaty zamilkły.

Wiele czasu upłynęło, zanim przybyły z garnizonu posłaniec
odnalazł Gara. Ten siedział osamotniony na kamiennym
tronie, zanurzony w mroku komnaty umiejscowionej na
najwyższym poziomie grodu.

- Panie - zawołał. - Najeźdźcy wdarli się na zewnętrzny
dziedziniec! Panie, jakie rozkazy?!

Lecz Gar nie drgnął, wzrok miał nieruchomy, wbity
w podłogę. Posłaniec dwukrotnie powtórzył wieści. Dopiero
za trzecim razem król zareagował. Podniósł głowę, lecz jego
usta niczego nie wypowiedziały. Wzrok jego był pusty, jakby
pozbawiony życia, niczym u lalki.

- Jakie rozkazy, panie? - ponowił pytanie posłaniec.

- Wdarli się... - wymamrotał Gar, przerywając
milczenie. - Wdarli się.

Nagle król ożywił się i zerwał na równe nogi.

- Prowadź mnie do nich! - nakazał.

Szybko zeszli na niższy poziom, na którym rozścielano
się masywny balkon. Gdy Gar z niego wyjrzał, zobaczył na
dziedzińcu jedną masę ciał i metalu. We wrzawie, która tam
panowała, trudno było poznać, kto jest wrogiem, a kto
sprzymierzeńcem.

- Dobrze was widzieć, panie - rzekł dowódca garnizonu, który przed chwilą dołączył do Gara. - Możemy odesłać tych pokurczy tam, skąd przybyli. Zgódź się otworzyć gwardzistom bramę.

Gar znowuż zamilkł ze ślepiami wbitymi w pobojuwisko.

- Panie, możemy ich odeprzeć! - naciskał dowódca.

W końcu zirytowany postawą króla, chwycił go za kłapy. Gar oczy miał rozbiegane we wszystkich kierunkach. Wyrwawszy się z uścisku kapitana, podszedł do muru. Na przemian upadał i wstawał, jakby ogarnięty przemożną niemocą.

- Do diaska, trzeba działać, zanim stracimy szansę - wykrzyknął dowódca. - Sposobić gwardię! Otworzyć wrota! - rozkazał i wybiegł.

Nagle w dole zabrzmiał przeciągły ryk rogu.

Co to? - spytał sam siebie dowódca. Szybkim krokiem powrócił na balkon. Zostali rozgromieni. Nie było już kogo wesprzeć.

Wojska kurdupli, jak przezywał krasnoludy Gar, w mgnieniu oka przegrupowały się. Zwarte szeregi z uniesionymi w górę tarczami ruszyły w stronę głównej bramy. Na przód wystąpił Ergen.

- Wzywam ciebie, którego zowią królem! - Głos krasnoluda podobny był do dzwonu. - Ukaż się! - wołał, rozglądając się po blankach. - Poddaj się, marna imitacja króla, a oszczędzisz życie swoich poddanych. Poddaj się! - ponowił apel. - Poddaj się, a uratujesz miasto! Ilu jeszcze musi zginąć przez ciebie?!

Żadne słowa nie padły w odpowiedzi. Stało się tak, gdyż w chwili, gdy wydarzenia te miały miejsce, Gar wraz ze swą żoną oddalił się do swoich komnat, umiejscowionych hen, hen wysoko ponad zgiełkiem.

- Niech i tak będzie! - ozwał się Ergen. - Nie wińcie mnie, drodzy ludzie, tylko swego króla!

Nikt nie zauważył sześciuosobowej grupy, która w tym samym czasie przemykała się od strony wodogrzmotów. Kilku krasnoludom udało się zakraść na mury zewnętrznego dziedzińca i tym samym uchylić wrota.

Jerema wraz z pięcioma towarzyszami przeciskał się wąskimi tunelami, które wiły się pod brzuchem lodowca. Wyżłobiły je strugi lawy wydobywające się z pobliskiego wulkanu, które niegdyś tędy płynęły. Blask pochodni odbijał się od nierównej powierzchni sufitu oraz ścian tunelu. Trudno było stąpać po wulkanicznym podłożu - wszędzie wystawały kamienie ostre niczym brzytwy, obmywane przez wody z topniejącego lodowca. Każdy krok zatem musiał być stawiany z rozwagą.

Mijali kolejne poziomy warowni. W większości świeciły one pustkami, spotykali jedynie pojedynczych strażników. Tunel kończył swój bieg w pobliżu sali tronowej, jego wylot oddalony był od niej góra o sto łokci.

Gar niespokojnie krążył po sali, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi. Zawiasy zniosły pierwsze uderzenie, lecz pod drugim się ugięły - drzwi otworzyły się z trzaskiem. Natychmiast ruszyli tam dwaj pacholki. Nie zaszli daleko; padli po przebyciu zaledwie kilku kroków,

trafieni strzałami. Czterech krasnoludów rozbiegło się po komnacie, by powstrzymać kolejnych wartowników, natomiast Jerema oraz Boruta pozostali przy drzwiach, by je zaryglować. Dwa miecze walające się po ziemi musiały im do tego wystarczyć.

Po przeciwnej stronie komnaty, na tle wielkiego owalnego okna stał Gar. Patrzył, jak dwaj mężczyźni kroczą ku niemu, zaś pozostali powalają jego strażników.

- Królu mój - rzekł Jerema, stając przed obliczem dziadka. - Czas twych rządów dobiegł końca. Złóż koronę.

- Ktoś ty? - rzucił Gar, zerkając na młodzieńca. - Kim jesteś, że śmiesz mi rozkazywać?!

- Nie poznajesz własnego wnuka, dziadku?

Śmiech wyrwał się z ust Gara. Nagle zamilkł, jakby zdjęty lękiem, gdy spomiędzy kolumn wyłonił się Boruta.

- Borgo?! Przecież ty... ty nie żyjesz - gadał do siebie. - To niemożliwe... Zginąłeś z mojej ręki.

Po chwili milczenia Gar ponownie się zaśmiał, choć tym razem śmiech był złowrogi, można by rzec - szaleńczy.

- Zatem to tak... Wiedziałem, że zechcecie pozbawić mnie tronu. I nie pomyliłem się. - Gar zdjął koronę i schował w swoich ramionach, jakby bronił cennego skarbu przed złodziejami. - Chcesz korony, chcesz władzy... Widzę, jak jej pożądasz, mój bracie... o niczym innym nie myślisz. Tak, widzę to... Dostrzegam w twoich oczach, ale nie licz na to! Musisz mnie zabić, rozumiesz? Zabić!

Z krzykiem na ustach i mieczem w dłoni natarł na Borutę. Ten odepchnął Jeremę, po czym sparował cios.

Walczyli zawzięcie, żaden nie ustępował. Potyczka trwała ponad pięć minut. W końcu Gar upadł.

- Dokończ, co zacząłeś! Zabij mnie! Zabij! - wydarł się.
- Przecież po to tu przybyłeś, bracie!

Boruta zacisnął chwyt na rękojeści miecza i zbliżył sztych do gardła Gara.

- Nie kuś - odrzekł gniewnie.

- Nie! - oznajmił zdecydowanym głosem Jerema. - On tego nie zrobi. Nie jest tobą. Ciebie, dziadku, czeka inny los. Zostaniesz postawiony przed trybunałem Górskiego Króla. On zadecyduje, co się z tobą stanie.

Powiedz o diable, a ten się pojawi, mawiają. I miał rację ten, kto wymyślił to powiedzenie, bowiem chwilę później w korytarzu rozbrzmiały kroki ciężkich krasnoludzkich buciorów. Niebawem młoty poszły w ruch. Jedno uderzenie wystarczyło, by wyważyć każde ze skrzydeł drzwi i złamać w pół dwie wetknięte w nie eruńskie klingi. W powstałej wyrwie ukazał się Ergen. Zdecydowanym krokiem wkroczył do sali, za nim zaś podążała dwójka eskortujących go wojowników.

Gar, niczym zwierzę w potrzasku, dostrzegł nadążającą się sposobność i wyrwał się z sideł. Chwyciwszy za miecz, który leżał na ziemi, rzucił się z obłędem w oczach w stronę Jeremy. Gar był gotów zadać śmiertelny cios, gdy nagle stanął w miejscu niespełna krok od ofiary. Spojrzał w dół. Dostrzegł miecz Boruty zanurzony aż po jelec we własnych trzewiach.

W sekundzie, w której martwe ciało Gara osunęło się na podłogę, ziemia zadrżała po raz wtóry (wcześniejsze drgania były na tyle słabe, że nikt nie zwrócił na nie uwagi). Niestety oprócz góry zbudziło się także coś innego.

Ludzie i krasnoludy zgromadzeni na dziedzińcach z niepokojem przyglądali się, jak kłęby gęstego i czarnego dymu unoszą się znad górskich szczytów, powoli zasnuwając całe niebo. Wkrótce zniknęło słońce, a dzień przemienił się w najgłębszą noc. Jedyne źródłem światła były teraz trzewia wulkanu, które malowały spód chmur na kolor rozgrzanego żelaza. W tej chwili nie było ważne, czy jesteś obrońcą, czy najeźdźcą, człowiekiem czy krasnoludem; w tej chwili liczyło się tylko jedno - by zbiec.

Ci, co mogli, uciekli w dół, do lochów, tam szukając szczęścia. Pozostali tłoczyli się na ulicach, próbując dotrzeć do bram. W chaosie, który zapanował, nikt nie zwracał uwagi na innych. Wielu ludzi stratowano, wielu się podusiło. Najgorzej sytuacja rysowała się przy bramach, tam stłoczyło się bowiem najwięcej osób. Ludzie ginęli dziesiątkami. Oślepiający biały błysk, przecinający niebo, oświetlał twarze ściśniętego pod bramą tłumu, krzyk wydobywający się z setek gardeł mieszał się z trzaskiem pękających kości. Zagłuszał go jednak przeciągły grzmot, który nadciągał z oddali, znad czerwonej wyrwy.

Wszyscy zamarli z przerażenia na jedną, krótką chwilę, kiedy hałas podobny do wystrzału tysiąca armat przeszył równinę na wskroś. Krater wulkanu eksplodował. Zatrzęsła się ziemia, góra zadrżała w posadach. W miejscu, gdzie

dawniej były wodogrzmoty, skruszona skała uwolniła wodę, która jak bestia zerwana z uwięzi ruszyła w dół zbocza, szczerząc swe spienione kły.

Na oczach Jeremy gęsta sieć pęknięć pokryła ściany, sufit oraz podłogi holu. Garstka żywych skryła się w kącie, depcząc fragmenty szkła, które niegdyś było misternie wykonanym witrażem. Kilkunastu krasnoludów, którzy stali bliżej wejścia, próbowało ratować się ucieczką. Daleko nie uszli – natychmiast zawaliły się na nich stropy.

W ułamku sekundy nadeszło całkowite zniszczenie – siła eksplozji rozerwała zamek. W miejscu, gdzie dawniej stały ściany, teraz świeciła przepastna wyrwa. Ponad połowa grodu runęła, tak samo jak część górskiego masywu.

Z resztek warowni – z kikuta sterczącego ze skały, Jerema dojrzał w chmurze kurzu w głębi góry stworzenie ogromnych rozmiarów o kształcie zbliżonym do ptaka. Ognisty potwór uniósł się wysoko ponad krater i rozpostarł swe skrzydła. Na tle czarnych chmur pomarańczowo-żółte żyłki oraz plamki podobne do rozżarzonych węgli rysowały jego sylwetkę. Leżąc tam, młodzieniec miał wrażenie, że w posępnej ciemności góry, ukryty przed cudzym wzrokiem, czai się ktoś jeszcze. On sam czuł na sobie spojrzenie, które przeszywało go na wskroś i rodziło w nim niezrozumiały lęk.

Na jedno skinienie Raroga, ognistego ptaka, ze szczelin wypłynęła lawa. To była ostatnia rzecz, którą ujrzał Jerema, zanim cały świat zawirował i zaczął oddalać się coraz

bardziej i bardziej, aż całkowite ciemności spowiły jego umysł.

Niewiele pamiętał, gdy się ocknął; nie leżał jednak wsparty o skałę. W pomieszczeniu, w którym się znajdował, gdziekolwiek to było, panował przyjemny półmrok. Ściany, jeżeli w ogóle były, znajdowały się poza blaskiem świecy. Jedyne, czego był pewien, to tego, że nie był sam – zarówno po jego prawej, jak i po lewej stronie leżeli inni. Chciał wstać, lecz najdrobniejszy ruch głową męczył chłopaka przeraźliwie, a przede wszystkim sprawiał ból. Wkrótce zasnął.

Świadomość przychodziła i odchodziła. Nie wiedział, jak długo już tutaj leży ani jaki jest dzień tygodnia. Zdawało mu się natomiast, że za każdym razem, kiedy odzyskiwał przytomność, działo się to w nocy, bowiem pomieszczenie zawsze wypełniał mrok.

Gdy pewnego razu się przebudził, dostrzegł nad sobą czyjąś twarz. Nie znał tej osoby, lecz z jej oblicza płynął dziwny spokój, któremu nie można było się nie poddać. Mężczyzna przyglądał się Jeremie przez dłuższą chwilę. W końcu rzekł:

- Jak się dzisiaj czujecie, mój panie?

Chłopak nie odpowiedział od razu.

- Dziękuję, chyba lepiej...

- Czy będziecie mogli wstać?

- Chyba tak – odpowiedział niepewnie, po czym spróbował podnieść tułów. Od razu zakręciło mu się w głowie.

- Jeszcze za wcześnie - stwierdził mężczyzna i bez słowa wyjaśnienia wyszedł.

Jakiś czas później powtórzono próbę, lecz tym razem obyło się bez problemów. Nieznajomy poprowadził elfa do drugiego pomieszczenia, w którym już czekał nań Boruta.

Chyba nie muszę opisywać, jak bardzo Jerema ucieszył się z tego spotkania.

- Pomóż panu się ubrać. Nie może spotkać się z nimi w takim stroju - nakazał nieznajomy Borucie, po czym gdzieś się oddalił.

Zmieniwszy ubranie, Jerema wyszedł z pomieszczenia w towarzystwie Boruty trzymającego go za ramię. Wkrótce opuścili namiot. Na dworze było ciemno.

Znowu noc - pomyślał chłopak, patrząc w górę. Czarne chmury szczelnie zasłaniały niebo.

- Jak długo leżałem?

- Ponad miesiąc - odpowiedział spokojnie Boruta.

- Niemożliwe.

- A jednak - stwierdził z uśmiechem. - Ważne, że jesteś cały i zdrowy.

Ponad miesiąc - powtórzył w myślach Jerema. Trudno było mu w to uwierzyć.

- Znowu noc - dodał po chwili milczenia, zerkając w górę.

- Co masz na myśli?

- Kolejny raz zbudziłem się w środku nocy.

- Muszę cię rozczarować, drogi chłopcze. Jest teraz dwunasta, ale w południe.

- Jak to?! Chyba sobie kpisz!

- Chciałbym... - stwierdził Boruta ze śmiertelnie poważną miną. - Nikt, może z wyjątkiem ptaków, nie widział słońca od przeszło miesiąca, od dnia upadku miasta.

Do końca spaceru nie zamienili ani jednego słowa. Dopiero u wejścia do drewnianej chaty Boruta rzekł:

- Jesteśmy. Musisz wejść jako pierwszy.

- Co mnie tam czeka? - spytał chłopak z lekka zaniepokojony.

- Nie masz się czego obawiać. To tylko twoi lordowie.

W środku panowało niemałe zamieszanie. Dwunastu mężczyzn przekrzykiwało się, siedząc przy długim stole. Na widok Jeremy wszyscy umilkli.

- Mamy ważne kwestie do omówienia - zabrał w końcu głos długowłosego lorda, siedzący u szczytu stołu. - Pierwsza i najważniejsza: kiedy odbędzie się koronacja Waszej Księżęcej Mości?

Pozostali tylko gładzili brody lub potakiwali w wielkim zamyśleniu, jakby dołączali się do zapytania przedmówcy.

Jerema stanął jak wryty, zaskoczony nagłym obrotem spraw. Poczł nagle, że opuszczają go siły - zimne poty oblewały jego ciało, żołądek podszedł pod gardło, w głowie huczało, jakby ktoś zdzielił go obuchem, a świat wirował przed oczami. Kilka nieprzychylnych i chłodnych spojrzeń powędrowało w jego kierunku. Pod ich ciężarem i naporem ostatnich doświadczeń ugięły się pod Jeremą nogi. Stał tam tylko, przed obliczem lordów, z trudem utrzymując się na nogach, z szeroko rozwartymi ustami, jakby chciał coś

powiedzieć, lecz nie potrafił niczego z siebie wydusić. Nie był w stanie pozbierać myśli.

- Zatem kiedy możemy spodziewać się decyzji? - ponowił pytanie mężczyzna, wyraźnie zniecierpliwiony. Teraz już wszystkie oczy wpatrywały się w Jeremę z zaciekawieniem.

On tylko powiódł wzrokiem po zebranych. I tym razem nie odpowiedział.

^[1] W języku elfów: Jak to, cholera, było.

Szalony król

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-008-7

© Aleksander Michałowski i Wydawnictwo Novae Res 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Kowalewska

KOREKTA: Dominika Świtkowska

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.